

II 2.245.589

BEZ CENZURY

BRONISŁAW KRZYŻANOWSKI

WILEŃSKI
MATECZNIK

1939-1944

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1979

~~A. 4309~~

BEZ CENZURY

BRONISŁAW KRZYŻANOWSKI

SOCIÉTÉ HISTORIQUE
ET LITTÉRAIRE POLONAISE
8, Quai d'Orléans
75004 PARIS

WILEŃSKI MATECZNIK

TOWARZYSTWO
HISTORYCZNO
LITERACKIE

IMPRIMERIE EN FRANCE

INSTYTUT LITERNY
PARYZ

Nº Jm 41198/83THL

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 304

IMPRIME EN FRANCE

**Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poisy Le Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE**

BEZ CENZURY

BRONISŁAW KRZYŻANOWSKI

(PSEUD. BAŁTRUK)

**WILEŃSKI
MATECZNIK**

1939-1944

(Z DZIEJÓW „WACHLARZA” I ARMII KRAJOWEJ)

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1979

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001001008939

BRONISŁAW KRZYŻANOWSKI
(PSEUD. BALTURK)

WILHELM
MATECZNIK
1939-1944



TOWARZYSTWO
HISTORICZNO
LITERACKIE

4659

940.53

II 2,245,589



4849

© COPYRIGHT BY INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L., PARIS, 1979

2006 d 1/40

PIERWSI BOLSZEWICY

18 WRZEŚNIA - 28 PAŹDZIERNIKA 1939

W zimny, mokry wieczór, na początku października 1939 roku podchodziłem, czy może raczej skradałem się do dużej kamienicy przy ul. Jasińskiego 6 w Wilnie i nieufnie spoglądałem na oświetlone okna na I piętrze. Było to mieszkanie moich rodziców. Obszedłem budynek i z wysokości wzgórza wznoszącego się ku ku Pohulance, usiłowałem zajrzeć do środka, w nadziei, że ujrzę kogoś z mieszkańców, lub chociażby znajome meble.

Był to mój gorzki powrót z Kampanii Wrześniowej.

Brałem w niej udział w składzie I-szej Dywizji Piechoty Legionów, która rozpoczęła działania wojenne od granicy Prus Wschodnich i z rejonu Pułtuszka i Wyszkowa wycofywała się w kierunku południowowschodnim, przecinając Podlasie i tocząc kolejno walki z zastępującymi jej drogę Niemcami, aż do ostatecznego okrążenia i rozbicia Dywizji pod Tomaszowem Lubelskim. Jako dowódca plutonu saperów brałem udział w zrywaniu mostów na Narwii i Bugu. Dowódcą Dywizji był gen. Wincenty Kowalski.

Od paru tygodni Wilno, wraz z całą wschodnią Polską, było w rękach sowieckich. Po drodze z Warszawy byłem już w sowieckim Białymstoku w sowieckim Grodnie. Na terenach pod tą sowiecką okupacją, ogólnym wrażeniem, które mię spowiło była jakaś przygnębiająca, szara brzydota. Pochodziło to stąd, że wszędzie przede wszystkim widziało się masy wojska, a to, w odróżnieniu od wojsk Zachodu, było dziwnie bure i smutne.

Wędrując przez tereny zajęte przez Sowiety, zdawałem sobie sprawę, że jadę do Wilna na niepewne losy i że położenie całej mojej rodziny może być szczególnie delikatne w tych nowych warunkach politycznych i wojennych.

W moim mieście rodzinnym nie miałem niezależnego bytu,

a stanowiłem pewną dobudówkę: mój ojciec, adwokat Bronisław Krzyżanowski, był osobistością znaną w Wilnie. Całe życie spędzone w tym mieście na działalności nie tylko zawodowej, ale i politycznej wyrobiło mu pewne imię na całej Wileńszczyźnie. Jego aktywność polityczna, zapoczątkowana jeszcze przed Pierwszą Wojną Światową, wiodła go potem przez czołowe stanowiska w tzw. Litwie Środkowej. Jako wicemarszałek tzw. Sejmu Wileńskiego przewodniczył w dniu 20 lutego 1921 roku posiedzeniu tego Sejmu, na którym powzięto uchwałę o przyłączeniu się Litwy Środkowej do Polski. Potem był posłem w Sejmie Polskim w Warszawie (1921-1922) i senatorem (kadencji 1922-1928). Po wycofaniu się z życia parlamentarnego, przez kilka lat był dziekanem Rady Adwokackiej (1933-36 i 1937-38).

Pewnym złagodzeniem tej eksponowanej sytuacji była, w moim przekonaniu — jakże naiwnym! — ogólnie znana lewicowość mego ojca, jego odcinanie się od wszelkiego nacjonalizmu i szowinizmu, nader krytyczny stosunek do reżymu rządzącego Polską międzywojenną w ostatnich latach, zatargi z władzami administracyjnymi w obronie mniejszości narodowych w naszym różnorodnościowym kraju i obrończe wystąpienia sądowe w procesach komunistycznych. To wszystko miało — w mojej ocenie — stanowić pewien puklerz w stosunkach z nowymi władcami kraju. Natomiast zagrożeniem stawał się stosunkowo znaczny (jak na Wilno — miasto bez rozwiniętego przemysłu i handlu) majątek mego ojca, składający się z nieruchomości miejskich i podmiejskich obiektów letniskowych — nie mających jednak charakteru własności ziemskiej. Jednym z tych obiektów była spora posiadłość położona nad Wilią, na zachód od Wilna — Ponaryszki. Dom ponaryski stanowił niejako całość z dużym mieszkaniem rodziców, przy ul. Jasińskiego 6, w centrum miasta.

Te właśnie oceny i kalkulacje skłębity mi się, kiedy wahajaco naciskałem dzwonek u drzwi wejściowych, w zimny, mokry wieczór, na początku października. Za drzwiami nie czyhała na mnie żadna katastrofa. Rodzice byli na miejscu, tyle że w większym zagęszczeniu, bo przenieśli się do nich krewni, którzy zlikwidowali swoje mieszkanie na mieście. Natomiast moja żona z dziećmi schroniła się na Litwie, włączając się do wielkiej fali uchodźców, która lunęła z Wilna na zachód, w dniu poprzedzającym wkroczenie do miasta wojsk sowieckich. Nasze Ponaryszki leżały o parę kilometrów od granicy litewskiej, a z drugiej strony obfitość krewnych na Litwie czyniła z tego kraju bardzo naturalny azyl. Moje mieszkanie przy ul. Tartaki zostało również zlikwidowane i wszystko skupiło się w lokalu głównym, stanowiącym wraz z Ponaryszkami, rodzinne gniazdo.

W tym gnieździe miałem teraz przeżyć to, co w doraźnych określeniach tamtego czasu nazywało się „pierwsi bolszewicy”, „Litwa Smetonowska” i „drudzy bolszewicy”. Czas miał nam jeszcze przynieść definitywnych „trzecich bolszewików” po okupacji niemieckiej*.

Już pierwsze godziny pobytu w mieście wyjawily mi pewien konkret polityczny, pewne zjawisko masowe i pewien mit.

— Wilno wraz z najbliższym okręgiem ma być w bardzo rychłym czasie przekazane Litwie Smetonowskiej,

— miasto jest w sposób żywiłowy i powszechny objęte wielką grą w chowanego,

— wszelka rozmowa okupantów z okupowanymi zaczyna się od strony tych pierwszych zapewnieniem: „My mamy wszystko” (*U nas wsio jest*’).

Żywiłowe i powszechne ukrywanie się przed masowymi aresztami odnosiło się przede wszystkim do mojej klasy społecznej — do inteligencji. Zjawisko to przybrało formę zupełnie mi nieznaną. W rozumieniu moim, ukrywanie się człowieka nielegalnego było możliwe w oparciu o sprzyjające mu środowisko ludzi legalnych. Tu było inaczej. Miasto było przeludnione, wzdęte od tysięcy uchodźców, którzy napłynęli tu masowo z zachodu, podczas działań wojennych i wciąż napływali dalej przez nową granicę na Bugu i koło Małkini, która zaczynała się stopniowo usztywniać. Byli to w dużej mierze Żydzi, uchodzący spod okupacji niemieckiej, a również Polacy sądzący, że roztropniej będzie zmienić miejsce pobytu na czas okupacji. Dla wielu z nich Wilno miało być tylko etapem przejściowym w drodze na zachód (przez Łotwę lub Szwecję) lub na wschód (na Syberię).

W tym kłębowisku ludzkim, trudnym do penetrowania, sypały się gęsto areszty, prowadzone przez sowieckie władze bezpieczeństwa (NKWD) — władze słabo przygotowane do żądań postawionych im przez sytuację wojenną i polityczną, a do tego nagłone do pośpiechu przez zamierzone przekazanie Wilna Litwie. Pośpiech był trudny do pogodzenia z ambicjami tajności działań, które zwykle wykazywało NKWD na swoim własnym terenie,

* Ściśle biorąc, pierwsi bolszewicy weszli do Wilna 5 stycznia 1919 roku a opuścili je 19 kwietnia 1919 roku, przy zdobyciu miasta przez kawaleryjski zagon Piłsudskiego. Drudzy bolszewicy weszli do Wilna 14 lipca 1920 roku, podczas wielkiego odwrotu Armii Polskiej, a wycofali się 27 sierpnia 1920 roku, przekazując Wilno Litwie w trakcie swego odwrotu, po bitwie nad Niemnem.

W toku Drugiej Wojny Światowej, do Wilna wkraczali kolejno trzeci, czwarci i piąci bolszewicy.

a u nas również produkowało miastu swoje nocne podejścia i chwytty. Pośpiech łapaczy wzmagał ducha łapanych, którzy rozumieli, że:

*Jeszcze chwilka, jeszcze chwilka,
A przymarznie ogon wilka.*

Wszystko to nie budziło w moim ogólnym wspomnieniu uczucia takiej grozy, na jaką areszty te w istocie zasługiwały. Występowały łagodne i uproszczone formy ukrywania się. Wilno dalekie jeszcze było od renomy, którą uzyskało w czasach niemieckich, jako Mekka precyzyjnego fałszowania dokumentów. Teraz wystarczyła mała zmiana adresu, a zwłaszcza nie nocowanie w domu. Trzeba podkreślić zapomnianą i nie docenioną rolę Miejskiego Biura Adresowego: często pracownicy jego uprzedzali dyskretnie osoby, których adresy były ustalane przez nowych władców miasta.

Oczywiście chodziło tu o sprawy ważne, o sprawy życia i śmierci. Z tych kilkuset osób, które zostały wywiezione w tym czasie do więzień w Wilejce Powiatowej i w Mińsku, niewielu wyniosło życie z otchłani. A była to przecie elita Wilna, czołowa inteligencja miasta.

Mimo to uczucie grozy nie kojarzy mi się ze wspomnieniem tego okresu — może dlatego, że moi bliscy i ja sam wyszliśmy z niego cało. Chyba jednak dlatego, że tkwiły w tym wszystkim elementy jakiegoś wisielczego humoru. Armia Czerwona (*niepobiednaja raboczo-krestjanskaja Krasnaja Armija*) była mało przekonująca w swoich burch, sołdackich szynelach i w zimowych czapkach budiennowskich, z czymś nieokreślonym sterczącym do góry, jakby parodia pruskiej pikielhauby. Mimo niewielkiej chyba wartości bojowej (co miało wkrótce potwierdzić się w humorystyczny sposób w wojnie fińskiej), żołnierz ten pod jednym względem był znakomicie wyszkolony, a nawet wytresowany: każdy, poczynawszy od kompetentnego politruka, a kończąc na byle szeregowcu, jednym głosem opiewał pomyślności gospodarcze Kraju Rad, jego zasobność i dobrobyt. Jednocześnie ludzie ci wykazywali uderzający prymitywizm i z tajonym podziwem oglądali stan ekonomiczny kraju tak przecie ubogiego, jak Wileńszczyzna. W skrócie myślowym nazywało się to *u nas wsio jest'*, co przybrało formy anegdotyczne.

Z drugiej strony Litwa Smetonowska, która miała nas przyjąć i wybawić od reżymu bolszewickiego, też nie sprawiała poważnego wrażenia. Wileńskim łapanym pilno było pozbyć się łapaczy, a tu wciąż coś wstrzymywało wyzwolicieli. Widomym znakiem władzy Wschodu był okazały gmach Sądów przy pl. Łukiskim, zajęty obecnie przez NKWD i obstawiony sowieckimi samocho-

dami. Były to wszystko czarne limuzyny, odróżniające się tym od polskich samochodów, że w nocy miały z tyłu wozu 2 czerwone światła pozycyjne, a nie tylko jedno po lewej stronie, jak to dopuszczały ówczesne polskie przepisy. Co rano zaglądałem pod gmach sądowy, aby porachować samochody i stwierdzić, że nie ubyło ich przez noc. Już od połowy października mnóstwo pogłosek twierdziło, że hufce litewskie, gotowe do triumfalnego wkroczenia, stoją już gdzieś blisko. Dowcipnisie twierdzili, że Litwa poszukuje czołgu na wjazd do Wilna — bez tego rekwizytu nowa państwowość nie mogłaby się należycie zaprezentować. Ponoć depeszowano do Łotwy o wypożyczenie jednego, a ta miała oddepeszować: „Jeden czy wszystkie trzy?”.

Czy poza czołgiem, nie było innych przyczyn tej zwłoki? Zapewne były, i to nie od strony litewskiej. Stronie litewskiej z pewnością bardziej śpieszyło się Wilno objąć, niż stronie sowieckiej je przekazać. Po prostu miasto nie było jeszcze dostatecznie obrabowane.

Czy słowo „rabunek” jest tu na miejscu? Tak to wówczas odczuwaliśmy, patrząc na śmigające w kierunku kolei ciężarówki, wyładowane czym się dało. Może jednak nadałoby się tu lepiej lżejsze gatunkowo (a wówczas jeszcze nie istniejące) słowo „szaber”? Władze sowieckie ogałaczały miasto nie tylko z ludzi, ale i z różnych ruchomych dóbr doczesnych. W oczy rzucało się wypróżnianie wielkiego, bogatego domu towarowego „Bracia Jabłkowscy” w śródmieściu. Zabierano co się dało z urzędzeń szpitalnych. Na peryferiach demontowano maszyny różnych fabryk i zakładów przemysłowych. W „Bibliotece im. Wróblewskich” i w Archiwum Państwowym ładowano do skrzyń całe działy zbiorów, dobierane ręką dobrze zorientowaną.

Najcięższą stratą było wywiezienie urzędzeń dużej, prywatnej fabryki radiowej ELEKTRIT. Natomiast OLEJARNIA KURLANDZKA i FABRYKA TYTONIOWA ocalały, obronione przez robotników, którzy okupowali swoje zakłady i wykazali odpowiednią energię.

Miasto, które od pierwszych dni zostało gruntownie „oswobodzone” od chleba i tłuszczów, patrzyło teraz z ironią, jak jego ubogie urzędzenia przemysłowe i bogate dobra kulturalne odpływają oto do kraju gdzie *wsio jest*'.

Mimo że czołg wjazdowy długo nie dopisywał, a szabrownicze ciężarówki krążyły gęsto po mieście, w Wilnie zaczęły zjawiać się dyskretnie pewne agendy Rządu Kowieńskiego. W dzień można było niekiedy usłyszeć na ulicach język litewski, tak egzotyczny dotychczas w tym mieście, mimo że stanowiło przecie historyczną stolicę Litwy. Co więcej, przy wylocie ul. Mickiewi-

cza na plac Katedralny pojawiła się okazała brama triumfalna, oczekująca na przemarsz pod nią upragnionych hufców. Lekka ta konstrukcja, wykonana widocznie bez właściwej narodowi litewskiemu solidności, nie przetrzymała tygodniowego oczekiwania i zawaliła się. Nie przysporzyło to powagi nadchodzącemu aktowi historycznemu.

W nocy strona litewska przybierała anonimowość podobną do polskiej i zapewne unikała nocowania w swoich własnych łóżkach.

W wirze tej maskarady i ja, oczywiście, ukrywałem się, jak wielu innych. Na początku rodzina odpowiadała zapytującym o mnie znajomym, że wciąż jeszcze nie wróciłem z wojny. Potem oscylowałem między Ponaryszkami a miastem. W międzyczasie wyjechałem nawet do Grodna, bo miałem w grodzie Batorego pewne całkiem prywatne powiązania.

Miałem zdwojone motywy do ukrywania się: raz jako ja sam, drugi raz jako syn swego ojca. Mieliśmy z nim nie tylko wspólne nazwisko, ale i wspólne imię (Bronisław), co stwarzało dodatkowe zagrożenie. Ponadto jako były wojskowy musiałem gdzieś tam rejestrować się, do czego się nie śpieszyłem. Pozycję ojca, zdawałoby się, polepszyło to, że już w kilka dni po wejściu wojsk sowieckich został wezwany do gmachu dawnego Urzędu Wojewódzkiego (w którym zainstalowały się wojskowe władze bezpieczeństwa), gdzie przez parę godzin był badany, lecz aresztowany nie został. To znaczyło niewiele, bo nie można było porównać prawdziwego NKGB z jego wojskowymi odpowiednikami, ale na swój sposób było pocieszające.

Nie wiem, czy istniał wówczas w Wilnie człowiek mniej nadający się do ukrywania się, niż mój ojciec. Jego wysoka postać i charakterystyczny zarost znane były całemu miastu. Lecz co najważniejsze w psychice tego starego prawnika, którego życie przebiegło na gruncie niezłomnej legalności, na straży prawa, było coś, co odrzucało wszelkie odejście od tej postawy. Nie tylko on miał te opory. W dalszych latach wojennych obserwowałem nieraz trudności prawników w dostosowywaniu się do nielegalnych sytuacji, tworzących się na każdym kroku.

Trzeba było jednak dostosować się do sytuacji. Pewnego wieczora jakaś nieznana osoba płci żeńskiej szepnęła w naszym przedpokoju kilka słów ostrzeżenia, by nie nocować w domu. Uskoczyliśmy we dwóch z ojcem do dobrze dobranego mieszkania znajomych w śródmieściu. Nazajutrz otrzymaliśmy wiadomość, że ostrzeżenie nie było wyssane z palca. Ojciec zawdzięcza życie anonimowej informatorce, bo przy ówczesnym stanie jego serca, nie przetrzymałby zapewne nawet kilku tygodni w tych

warunkach, które istniały wówczas w więzieniach w Wilejce i Mińsku, dokąd wywożono aresztowanych.

W nocy zadzwoniła do naszego mieszkania kilkoosobowa grupa łapaczy. Na wiadomość, że obu Bronisławów Krzyżanowskich nie ma w domu, główny łapacz pobiegł pędem do łóżka ojca. Ponieważ było gładko zasłane i nie zdradzało, by ktoś z niego przed chwilą umknął, uznano że obiekt jest nieuchwytny (co nie sprawiło łapaczom większego zawodu) i przystąpiono do rewizji.

Rewizja trwała do rana, była szczegółowa, miała na widoku raczej pieniądze, złoto, biżuterię, niż materiały polityczne. Zachowanie się rewidujących bynajmniej nie było bestialskie ani brutalne, a jeżeli dochodziło do pewnych incydentów, to z racji uderzającego prymitywizmu łapaczy.

Wobec choroby serca ojca, matka dbała specjalnie, by wszystko, czego używał było lekkie, począwszy od ubrania i butów, a kończąc na kieszonkowej latarence elektrycznej. W handlu była wówczas mała bateryjka elektryczna, zwana „Mikro” czy „Mikra”, z okrągłym otworem do wstawiania weń oprawki z drobnutką żaróweczką. Taki oto przedmiocik znaleziono podczas rewizji pod szafą. Objasnienie, że jest to latarka elektryczna, nie znalazło wiary. Trzeba było objaśnić, *primo*, dlaczego leży pod szafą (dlatego, że tam zapadła przypadkowo) a, *secundo*, dlaczego nie świeci (dlatego, że jest wypalona). Uporczywie domagano się wydania amunicji (*bojepripasy*) do tej broni. Sytuacja zaostrzyła się, kiedy w kredensie zakwestionowano sporą torebkę migdałów. Ani słowo „migdały” (*mindali*) nie było znane rewidującym, ani nie mieli oni pojęcia, do czego to coś może służyć i nie łatwo mogły to im objaśnić roztrzęsione nocną rewizją kobiety. Powstało niejasne podejrzenie, że w owej torebce mogą być właśnie *bojepripasy* do tajemniczej broni znalezionej pod szafą. W końcu rzecz rozstrzygnęła nasza służąca Paulina, która oświadczyła stanowczo, że migdały to są produkty żywnościowe.

Paulina złożyła jeszcze inne, nie mniej skuteczne oświadczenie, gdy sprawa doszła do kasy ogniotrwałej. Była to nieduża kasetka stalowa osadzona na solidnym postumencie drewnianym. Na pytanie, co to za urządzenie, Paulina odpowiedziała, że to piec (*eto pieczka*). Wzięto to za dobrą monetę. W ten sposób jedynym obiektem nie zrewidowanym w tym mieszkaniu zostało właśnie to, co stanowiło centrum zainteresowania rewidujących. Oczywiście, w tym czasie kasetka była już opróżniona ze swojej zawartości, podobnie jak *safes* bankowy.

LITWA SMETONOWSKA

28 PAŹDZIERNIKA 1939 - 15 CZERWCA 1940

Stopniowe ubywanie czarnych limuzyn sprzed gmachu sądowego coś jednak znaczyło. Po szeregu błędnych zapowiedzi i niedotrzymanych terminów, wojska litewskie wkroczyły do Wilna w sobotę 28 października. Z czołgiem czy bez czołgu, oddziały schludnej litewskiej piechoty w zielonych mundurach zaroily się na Zielonym Moście i weszły do śródmieścia ul. Wileńską. Na skrzyżowaniu Wileńskiej i Mickiewicza czekała je owacja ze strony dość szczupłej, ale akustycznej grupy Litwinów, wyraźnie przybyłych w pierwszym rzucie. Górą biegły wpoprzek ulicy transparenty z litewskimi napisami, w języku zupełnie jeszcze niezrozumiałym dla Wilna. Był też jeden w języku polskim: NIECH ŻYJE ARMIJA LITEWSKA. Pisownia zdradzała niezbyt głęboką znajomość polskiej ortografii. Ulica patrzyła na maszerujących w nieufnym milczeniu, rozważając niestałość spraw tego świata. Bogiem a prawdą należałaby się temu wojsku — bodaj na początku — pewna nuta serdeczności. Słowo „wyzwoliciele” byłoby może tu nadmierne, bo wojsko to zapewne nie niosło miastu naszemu wolności. Raczej byli to „wybawcy z ciężkich tarapatów”, przywracający zrozumiały dla nas ustrój społeczny i ekonomiczny.

Inne kolumny wchodziły jednocześnie od strony Wilczej Łapy, czyli z kierunku kowieńskiego.

Litwini zajęli na początek tzw. koszary Ignacowskie, w sąsiedztwie kościoła Dominikańskiego. Jednocześnie różne urzędy i instytucje litewskie zaczęły rozpleniać się coraz to śmieiej w mieście, w którym wciąż jeszcze czuło się pozostające sowieckie „ogony”. Zresztą bazy sowieckie, na których wprowadzenie Litwa zgodziła się, faktycznie likwidowały niepodległość tego państwa.

Najbliższa z tych baz mieściła się na lotnisku Porubanek, o kilka kilometrów od miasta.

Po wkroczeniu wojsk litewskich do Wilna, na cmentarzu Rossa stały warty honorowe przy mauzoleum Piłsudskiego i przy grobie dr. Bassanovičiusa.

Mimo że wciąż czuło się zapach sowiecki, kilka następnych tygodni było dla miasta okresem odzicipnięcia. Z różnych zakamarków zaczęli wyłaniać się przytajeni ludzie, rozglądając się bacznie, czy nie za wcześnie jeszcze na jawność. Tęga struktura ekonomiczna Litwy zaprezentowała się wygłodzonemu miastu swymi organizacjami spółdzielczymi PIENOCENTRAS, MAISTAS i LIETUKIS, mającymi zdobyć serce miasta przez żołądek. Rzeczywiście aprowizacja miała swoją wymowę.

Otworzyła się droga kolejowa na zachód, do Kowna i dalej w świat. Można było komunikować się z tysiącami Polaków, którzy schronili się w Litwie podczas działań wojennych, z wojskowymi internowanymi w obozach. Komunikacja pocztowa z zachodnią Europą funkcjonowała sprawnie, mimo wojny.

Ja osobiście wrywałem się do żony i dzieci, którzy znaleźli się w północnej Litwie, koło Birż, w majątku naszych krewnych Ciemnołońskich. Pojechałem tam i wróciłem po kilku dniach, a wkrótce oni sami ścignęli do Wilna i Ponaryszek.

Wymiana złotych na lity, przeprowadzona w relacji 1 lit — 2 zł. była oczywiście krzywdząca, a do tego ograniczona: wymieniono 50 zł. osobom samotnym i 100 zł. osobom rodzinnym. Potem wymieniano większe sumy (powyżej 300 zł.) w relacji 1 zł. — 0,4 lita. W każdym razie ustanowiono jednoznaczne stosunki pieniężne.

Ruszyła prasa miejscowa. Z dniem 2 listopada zaczął wychodzić dowojenny *Kurier Wileński*, wydawany przez prof. Witolda Staniewicza, a redagowany po dawnemu przez Józefa Święcickiego. Obok wykwitła wkrótce nowa *Gazeta Codzienna*, redagowana przez Józefa Mackiewicza i Bolesława Szyszkowskiego — w pierwszej chwili zdawała się ona być pogrobowcem zdmuchniętego przez wojnę, znanego *Słowa*, którego redaktor Stanisław Mackiewicz (Cat) wyjechał na Zachód. Wkrótce jednak okazało się, że *Gazeta Codzienna* zбочyła na tory jaskrawego litwinofilstwa, trudnego do strawienia w ówczesnych warunkach społeczeństwa polskiego.

Sprawnie ruszyły szkoły średnie w dotychczasowych gmachach i pod dotychczasowymi dyrektorami. Uniwersytet Stefana Bato-

rego rozpoczął rok akademicki, chociaż od razu czuć było niepewność jego położenia.

Można było podsumować swoje straty. *Kurier Wileński* w okresie od 4 do 19 listopada podał szereg wykazów osób aresztowanych w Wilnie i wywiezionych do Rosji. W sumie lista ta obejmująca 344 nazwiska z pewnością nie była kompletna, ale może niezbyt daleko odbiegała od rzeczywistości. Było to mniej, niż można było oczekiwać po 40 dniach (a raczej nocach) łapanekowych. Widocznie — ogólnie biorąc — w tej grze w chowanego szczęście dopisywało raczej chowającym się. Lista nie obejmowała oficerów zarejestrowanych i wywożonych przez sowieckie władze wojskowe.

Natomiast straty jakościowe były dotkliwe. Uniwersytet Stefana Batorego utracił trzech swoich profesorów: Stanisława Cywińskiego, Czesława Czarnowskiego i Władysława Jakowickiego oraz kilka innych osób z personelu naukowego. Również duchowieństwo miało pewne straty. Największy napór szedł na wszelkiego autoramentu władze miejscowe oraz ogólnie na inteligencję i wolne zawody. Oto niektóre osoby elitarne:

dr Wiktor Maleszewski — prezydent miasta,
Józef Rakowski — wicewojewoda,
Kazimierz Grodzicki — wiceprezydent miasta,
Witold Abramowicz — senator,
Emil Głazek — prezes dykcji kolei,
Mazurowski — wiceprezes dykcji kolei,
Marian Godecki — kurator okręgu szkolnego,
Zenon Mikulski — prezes Izby Kontroli Państwa,
Olgierd Brant — Sędzia, Dowgiałło — sędzia,
Mieczysław Obieziński — prezes Prokuraturii Generalnej,
Maculewicz — dyrektor Banku Rolnego.

Wśród aresztowanych byli również dwaj bracia Marszałka Piłsudskiego: Kazimierz i Jan.

Uderzającą była mała ilość kobiet — zaledwie kilkanaście osób. Natomiast lewica wileńska była reprezentowana w więzieniu.

Istnieje tu pewien akcent dramatyczny. Wykazani na liście 344 wilnianie byli nie tylko aresztowani i deportowani — byli to *morituri*. Chociaż trudno o ścisłe dane, wiadomo, że tylko znikoma ilość tych ludzi zdołała przetrwać. Przeważnie przepadli bez śladu i długie lata bezskutecznego oczekiwania przez rodziny potwierdzało ich śmierć. Przyjmujące ich więzienia w

Wilejce i Mińsku stanowiły wrota otchłani. Nie unikajmy tego patetycznego słowa, nie jest tu ono nadmierne*.

Władze litewskie, z pewnym odcieniem buty, obiecywały dochodzić zwrotu aresztowanych.

Osobny rozdział stanowili uchodźcy. Trudno określić, ile tysięcy uchodźców przyjęło Wilno. Powstał od razu Komitet Pomocy Uchodźcom, na którego czele stali adw. Ignacy Zagórski, prof. Kazimierz Pelczar i dr Maria Petruszewiczowa. Z natury rzeczy uchodźcy wojenni byli zgrupowaniem najbardziej potrzebującym pomocy materialnej, chociaż były wśród nich osoby niezgorzej zaopatrzone w dobra doczesne.

Uniwersytet Stefana Batorego krótko rozwijał swą działalność w rozpoczętym roku akademickim. Już w dniu 20 listopada przybył do Wilna profesor Uniwersytetu Kowieńskiego Končius i od rektora USB, prof. Stefana Ehrenkreuza przejął władzę, jako kurator USB.

Kurator? Przypominamy sobie, że Uniwersytet Wileński miał już kiedyś swego kuratora — był nim senator Nowosilcow, likwidator Uniwersytetu. Jednak skromny prof. Končius, jako likwidator Uniwersytetu Stefana Batorego, nie doczeka się zapewne swego Mickiewicza, który by go uwiecznił.

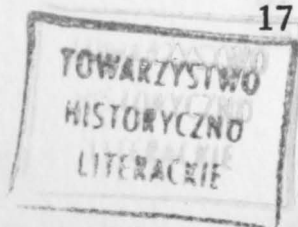
Oficjalnie USB istniał do 15 grudnia 1939. Po tej dacie rozpoczęło się przejmowanie jego majątku przez władze litewskie.

Moje życie osobiste, jeszcze bardziej niż poprzednio potoczyło się w cieniu ojca, który wychynął z ukrycia na jedynie możliwy dla niego obszar działania — na teren legalności. W mieście rozproszonym przez wojnę i przetrzebionym przez areszty, stał się osobistością jeszcze bardziej eksponowaną, niż to było przed wojną. Bardzo szybko po objęciu miasta przez Litwę, już na początku listopada, stworzył się w Wilnie Komitet Polski. Była to instytucja samorzutna, nie uzgadniana ze stroną litewską, a więc nielegalna, a jednak uznawana przez nowe władze, co dawało jej charakter półlegalności. Władze litewskie widziały potrzebę jakiejś reprezentacji wielotysięcznej ludności polskiej Wilna.

Ojciec został prezesem tego ciała społecznego. Stanowisko jego nie pochodziło z wyboru, a jednak nie było wątpliwości, że jest to właściwy człowiek na właściwym miejscu. Ze składu

* W książce *Zygzakiem i po prostu* Anny Jędrzychowskiej, na str. 291-294 podane są dzieje poszukiwań i starań w sprawie Bohdana Skarżyńskiego, młodego działacza komunistycznego aresztowanego w tym czasie w Wilnie, wśród innych lewicowców. Pomimo zaangażowania w tę sprawę wielkiej energii, środków i powiązań, nic zrobić się nie dało i Skarżyński umarł w więzieniu.

A co mówić o innych, mniej ustosunkowanych, mniej zamożnych, mniej młodych, mniej zdrowych?



Komitetu, jeden tylko prof. Witold Staniewicz, były rektor Uniwersytetu Stefana Batorego i były minister Reform Rolnych był osobistością równorzędną. Również prof. Zygmunt Jundziłł był indywidualnością. Jednak ojciec, ze względu na swoją długoletnią działalność polityczną, nacechowaną dążeniem do porozumienia z Litwą, miał lepszą pozycję do rozmów z administracją litewską w Wilnie i z rządem litewskim w Kownie. Łączyły go osobiste przyjazne stosunki z niektórymi litewskimi osobistościami.

Wojna zastała ojca już w pozycji po trosze emerytalnej. Jego praktyka adwokacka nabrała charakteru raczej amatorskiego, gdyż ograniczyła się do spraw nietypowych lub specjalnie interesujących. Stanowisko dziekana Rady Adwokackiej nie było zbyt absorbujące. Jego osobiste starcia z wojewodą Bociąńskim — na tle stosunku administracji polskiej do mniejszości narodowych — ustały z chwilą, kiedy wojewoda ten został przesunięty z Wilna do Poznania, na postrach dla tamtejszych Niemców. Ówczesny wiek ojca — 63 lata — nie był wcale matuzaleмовy, ale choroba serca ograniczała już jego ruchliwość fizyczną, nie naruszając wszakże dynamiczności umysłowej.

Teraz stary koń wyścigowy miał odbyć jeszcze jeden *parcours*. Wyruszając nań, nie wiedział, jak forsowny będzie ten przebieg i iloma najeżony przeszkodami. I że będzie to ostatni *parcours* jego życia.

Rzecz w tym, że zaraz po przywróceniu miastu warunków jakiej takiej normalności gospodarczej, nastąpiło sprężenie polskich uczuć patriotycznych. Już w dniu polskiego święta 11 listopada, ledwo minął bezpośredni szok wojny (a może właśnie w ramach tego szoku), czuć było pewną aktywność gorącej młodzieży szkolnej i uniwersyteckiej. Wraz z kampanią litwinizacji Wilna, którą rząd kowieński wdrażał z całą energią, rosła fala demonstrowania polskości Wilna. Zderzenia tych dwóch fal stanowiły w tym czasie treść życia miasta. A jednocześnie wzmagало się poczucie, że Litwa stała się dla Wilna jakąś wyspą ocalenia. Tuż obok, kilkadziesiąt kilometrów na wschód i na południe, przez sowiecką granicę wciąż przenikały wiadomości o masowych wywozach ludności na Syberię i do Kazachstanu, prowadzonych z całą bezwzględnością, w strasznych warunkach wyjątkowo ciężkiej zimy 1939/1940, gdy mrozy dochodziły u nas do — 40° C.

Zimą tę przebyłem w Wilnie jak u Pana Boga za piecem, w dostatnim, ogrzonym, zaopatrzonym w przedwojenne zapasy mieszkaniu moich rodziców. Nigdzie nie pracowałem. Bez pośpiechu spisywałem moją relację z kampanii wrześniowej. Ten materialny błogostan wspominam na tle napiętej, aktywnej, często gniewnej twarzy ojca. Stanowiła ona odbicie działalności Komi-

tetu Polskiego, któremu przewodniczył. Stanowiła wyraz ostrych napięć psychicznych i wstrząsów nerwowych, towarzyszących prowadzeniu kampanii coraz to bardziej wysiłonej, a coraz mniej skutecznej. To uczucie bezsilności najbardziej przyczyniło się do nerwowego wyniszczenia ojca w ciągu zimy 1939/1940.

Przyczyniały się do tego również różne drobne dokuczliwości litwinizacyjne. Na przykład ojciec toczył homeryckie boje z telefonistką, która nie łączyła z żądanym numerem, jeżeli był on podany po polsku. Żądała, by mówić po litewsku lub po rosyjsku. Zwykle jednak, po gwałtownej wymianie słów zgłaszała się telefonistka-Polka i łączyła z żądanym numerem.

Ale na początku, jesienią 1939, perspektywy Komitetu rysowały się inaczej. Strona litewska, stąpając dość niepewną stopą na podminowany grunt wileński, rada była uniknąć w pierwszej chwili starć narodowościowych na oczach sowieckich. Już przed dniem 11 listopada, odwołując się do rozsądku i umiaru Komitetu, żądała, by utrzymał on w spokoju młodzież szkolną, której obchody tego święta w obrębie szkoły łatwo mogły przenieść się na ulicę. Podobnie, dzięki wpływom Komitetu, strajk szkolny, wywołany na początku grudnia przez zwolnienie ze szkół polskich dyrektorów i części polskich nauczycieli — przebiegał spokojnie. Sprawa skończyła się zamknięciem szkół i ponownymi do nich zapisami. Część młodzieży do szkół nie wróciła i przeszła do nauki w tajnych kompletach.

Poza kierowaniem polskimi poczynaniami organizacyjnymi, działalność Komitetu polegała na reprezentowaniu i obronie interesów ludności polskiej wobec władz kowieńskich. Składało się na to opracowywanie memoriałów i protestów oraz bezpośrednie kontakty z ministrami litewskimi, głównie z premierem Antonim Merkyssem i ministrem spraw wewnętrznych gen. Kazimierzem Skuczaszem. Rząd litewski nadal rezydował w Kownie. W pierwszym okresie, Merkys, zanim stanął na jego czele w dniu 21 listopada 1939, był pierwszym Pełnomocnikiem Rządu dla spraw Wileńszczyzny. Urząd Pełnomocnika mieścił się w Wilnie, w Pałacu Biskupim. Po Merkysie Pełnomocnikiem został Kazimierz Bizauskas.

Rozmowy z tymi osobistościami, przyjmującymi delegacje Komitetu Polskiego, były prowadzone głównie przez ojca. Odbywały się one przeważnie w języku polskim, czasami rosyjskim. Litwini przeważnie nie uchybiali poprawności form, czasem dochodziło do tonów bardziej serdecznych, ale konkretne wyniki, w postaci ustępstw ze strony Litwinów ograniczały się do zdawkowych, ogólnikowych obietnic.

Częste wyjazdy ojca do Kowna obejmowały również kontakty

z posłem angielskim Prestonem, które to poselstwo objęło opiekę nad sprawami polskimi, po zwinięciu poselstwa polskiego w Kownie.

Poselstwo polskie nie istniało, ale w Kownie pojawiła się osobistość rangi *quasi*-poselskiej. W lutym 1940 przybył do Kowna wysłannik emigracyjnego rządu polskiego w Angers prof. Adam Żółtowski. Przebywał w Kownie nie bez zgody rządu litewskiego, ale nie miał statusu dyplomatycznego. Rezydował w reprezentacyjnym hotelu Monopol przy alei Laisves.

Oczywiście Komitet Polski w Wilnie miał silne powiązania z Żółtowskim, mimo że ten pokazywał się niechętnie w Wilnie. Raz czy dwa odwiedził mego ojca przy tej okazji. W Litwie przebył ładnych parę miesięcy.

Ale wróćmy do Wilna zimą roku 1940, do Wilna nabrzmiewającego konfliktami narodowościowymi, rozdzieranego miniszowinizmami — to wszystko na tle zawieruchy dziejowej, która nie nabrała jeszcze swego pełnego rozpasania, ale po stratowaniu Polski błyskała teraz w Finlandii, kłębiła się na dalszych planach zapowiedziami gotujących się zwarć kolosów. Te wizje apokaliptyczne przysłańiały nam sprawy takich czy innych nazw ulic miejskich, takich czy innych śpiewów kościelnych.

Spoglądając z pewnego dystansu na całość poczynań Litwy Smetonowskiej w Wilnie, w latach 1939 i 1940, nie należy widzieć w nich grozy, a raczej oceniać je pobłaźliwie, niezależnie od tego, ile te sprawy, przeżywane wówczas na miejscu, wносиły złej krwi, a nawet nienawiści i jak głęboko zapadły w pamięć ludzką. Państwu litewskiemu jego upragniona stolica wpadła w ręce mocą zupełnie nie kontrolowanej przez reżym ten gry sił. Uzyskana w ten sposób stolica okazała się miastem, w którym język litewski był mniej znany, niż niemiecki czy francuski (nie mówiąc już o rosyjskim). Zatem już sytuacja wyjściowa była potrosze humorystyczna. Komizm ten wzrastał się, gdy oglądało się ciąg dalszy. Reżym stawał na głowie, by to miasto, zamieszkałe w olbrzymiej większości przez Polaków, utwierdzone polskim uniwersytetem, scementowane polską hierarchią kościelną, sprzężone dziesiątkami innych powiązań — by miasto to przemalować tak, by mogło uchodzić za stolicę, a nie za kolonię Litwy. Z oczyma przymkniętymi na otaczającą rzeczywistość, goniąc resztkami niepodległości, Litwa prezentowała Wilnu widowisko rozbudzonego nacjonalizmu, drobiazgowego do śmieszności.

Mniejsza o pałki policyjne, spadające przy lada okazji na polskie grzbiety. Matka moja, osoba wówczas przeszło sześćdziesięcioletnia, została pobita na dworcu w Wilnie przez olbrzymiego „kałakuta” (policjanta) kolejowego. Mniejsza o czcigodne wileń-

skie kościoły rozbrzmiewające kakofonicznym przepieraniem się śpiewów i kontrśpiewów, a potem harmiderem bójek. Raczej spójrzmy na bardziej miarodajne kroki organów centralnych.

Nowa ustawa o obywatelstwie litewskim, mająca przygarnąć ludność Wileńszczyzny, była zbudowana na założeniu, że okres nie uregulowanej prawnie przynależności Wilna do Polski, od 1920 do 1938 roku (tj. do nawiązania stosunków dyplomatycznych z Polską) nie liczy się jako czas. Był to jakiś trudny do pojęcia „czas zerowy”, *tempus nullum*. Nie potrafię objaśnić szczegółowo tej konstrukcji. Istniał wprawdzie pewien precedens. Stary Testament podaje, że Jozue zatrzymał słońce, a zatem wstrzymał czas. Zrobił to jednak na pół dnia, a nie na 18 lat. Ustawa litewska dokazała sztuki jeszcze większej: wstrzymała czas, nie wstrzymując słońca.

To zatrzymanie czasu nie pozostało pojęciem abstrakcyjnym lecz przybrało skutki całkiem praktyczne, nie tylko dla mnie, ale dla całego mego pokolenia. Zostałem o te 18 lat odmłodzony, czyli przybrałem wtórną niepełnoletniość. Mimo że urodziłem się w Wilnie, to jednak, jako niepełnoletni, nie mogłem otrzymać obywatelstwa litewskiego bezpośrednio, a było to uzależnione od obywatelstwa mego ojca. Ponieważ ojciec urodził się w pow. Jeziorskim na Litwie Kowieńskiej, więc obywatelstwo jego, a przez to i moje, było uznane.

Natomiast mój kolega i rówieśnik Eugeniusz Wilczewski, podobnie jak ja, urodzony w Wilnie, nie mógł otrzymać obywatelstwa, bo ojciec jego urodził się w Smorgoniach, czyli już poza granicami obecnej Litwy, na Białorusi.

Kurier Wileński w numerze z 24/25/26 grudnia 1939 podał szczegółowe wyjaśnienie pt. „Kto ma prawo do obywatelstwa litewskiego”. Pochodziło ono ze źródeł urzędowych i brzmiało jak następuje:

„Przy ustaleniu obywatelstwa mieszkańców Wilna i okręgu zasadniczym postanowieniem, określającym, komu przysługuje obywatelstwo litewskie jest art. 6 traktatu litewsko-sowieckiego z 12 lipca 1920 roku, który po ratyfikacji tego traktatu, stał się wewnętrzną ustawą litewską.

Według tej ustawy, obywatelstwo litewskie przysługuje tym, którzy:

1. Dn. 6 sierpnia 1920 roku, mieszkając na terytorium obecnej Litwy mieli 18 lat i którzy 27 października 1939 mieszkali w granicach obecnego Państwa Litewskiego.

2. Dla tych, którzy 6 sierpnia 1920 roku, mieszkając na terytorium obecnej Litwy, nie mieli 18 lat, obywatelstwo ustala się według obywatelstwa ojca, zaś w wypadku jego śmierci, podług obywatelstwa matki. Ojciec zaś czy matka są obywatelami, o ile na obecnym terytorium Litwy się urodzili, na tym terytorium mieszkali 6 sierpnia 1920 i 27 października 1939 roku.
3. Ci, którzy pochodzą z innych terenów terytorium byłego imperium rosyjskiego, lecz 1 stycznia 1904 roku byli pełnoprawnymi pod względem obywatelstwa i od tego czasu, tzn. od 1 stycznia 1904 roku bez przerwy do 1 stycznia 1914 roku mieszkali na obecnym obszarze terytorium Litwy mając stałą pracę, jak również mieszkali tu 6 sierpnia 1920 i 27 października 1939 roku — uważani są za obywateli Litwy, z wyjątkiem cywilnych i wojskowych urzędników byłego imperium rosyjskiego z ich rodzinami.
4. Pochodzący z terytorium obecnej Litwy, lecz stale zamieszkali na innych obszarach imperium rosyjskiego, mogą być obywatelami Litwy tylko w tych wypadkach, jeżeli optowali na rzecz obywatelstwa litewskiego”.

Te niejasne i zagmatwane zasady stanowiły ucho igielne, przez które trzeba się było przecisnąć w pogoni za obywatelstwem litewskim.

Lecz nie dość było sforsować ucho igielne, trzeba było jeszcze dobić się utrzymania swego własnego nazwiska w otrzymywanym dowodzie osobistym. Dla Litwinów maniera litewszczenia nazwisk była naturalna. Żądanie utrzymania w paszporcie nazwiska takiego, jak np. „Krzyżanowski” w nienaruszonym stanie zdawało się władzom zuchwalstwem. Zdaniem tych władz, nazwisko to musiało brzmieć „Križanauskas” lub przynajmniej „Kšīžanovskis”. Najtrudniej było dobić się podwójnego „w”, które w alfabecie litewskim nie istnieje (występuje tylko pojedyncze „v”) oraz pozbyć się końcowego „s”. Wszystko jednak dawało się osiągnąć przy odpowiednim nacisku ze strony zainteresowanego. Zachowało się obszernie umotywowane podanie mego ojca, w którym domaga się on pozostawienia jego nazwiska w stanie niezmiennym. Zresztą nie były to jeszcze sytuacje skrajne. Tym, którzy przyjmowali obywatelstwo, a godzili się przy tym na litewską narodowość, bez ceremonii wpisywano np. „Žvirblis” zamiast „Wróblewski” lub „Kiškis” zamiast „Zajączkowski”.

Szła wiosna — pamiętna wiosna 1940 — czas klęski. Katastrofa Francji grzebała nasze nadzieje, a zarazem stanowiła pewne

zadośćuczynienie za polską kampanię wrześniową. Na koturno-
wym tle wypadków dziejowych nasze wileńsko-kowieńskie spory
i antagonizmy przesywały się w miałość. Czuć było, jak ten
wąty splechetek Wileńszczyzny, od czegoś oddzielony, do czegoś
przyczepiony, kolebie się na przeciągu historii, wraz ze swoim
trudnym miastem. Właśnie pragnienie przeciągu powstawało we
mnie, gdy kiśliśmy w stęchliźnie, chociaż rozumiałem jednocześnie,
że każdy dzień spędzony w zaciszu stanowi wygraną.

DRUDZY BOLSZEWICY

15 CZERWCA 1940 - 24 CZERWCA 1941

Każda następna okupacja jest w jakiś sposób wyzwoleniem od poprzedniej. Toteż kiedy w dniu 15 czerwca 1940 usłyszeliśmy z radia, że wojska sowieckie wkraczają do Litwy, Łotwy i Estonii — poczułem ów przeciąg, który wdarł się w stęchliznę. Nikt chyba nie posądzi mnie o sympatie prosowieckie, ale było coś pocieszającego w tym, że okno, które otwierało się oto na wschód, miało wylot aż na Ocean Spokojny.

Byliśmy wszyscy w Ponaryszkach. Już od wiosny działalność ojca w Komitecie Polskim stopniowo przycichała. Stanowił tam firmę, dawał nazwisko raczej, niż działanie. Był zmęczony. Śmierć, która miała nadejść jeszcze za lat parę, już teraz torowała sobie drogę przez upadek systemu nerwowego, przez osłabienie odporności psychicznej.

Aktywność Komitetu, stanowiącego instytucję jawną, oddzielała się od nurtu podziemnego, który już czuć było w Wilnie. Były to zaczątki tego, co po paru latach, w roku 1944, miało dojść do rozmiarów otwartego powstania. Obecnie były to naiwne organizacyjnie działania, hamowane przez zrozumienie, że Litwa Smetonowska nie jest przeciwnikiem, z którym mielibyśmy skrzyżować szpady.

Wszelako już wtedy nasze Wilno zaczęła opromieniać sława wysoko wyspecjalizowanej produkcji dokumentarskiej, czyli sporządzania fałszywych dokumentów. Ten dział wytwórczości konspiracyjnej, tak niezbędny w warunkach wojny i okupacji, zyskiwał już zasłużoną renomę.

Ale wróćmy do Ponaryszek. Wiadomość o nowej przemianie doszła do nas w dniu 15 czerwca dopiero po południu. Oszczędzając noc ojca, matka zakomunikowała mu ją dopiero nazajutrz

rano i z tą chwilą wkroczyliśmy w rzeczywistość nowej sowieckiej republiki litewskiej — tej Siedemnastej.

Wszystko zawirowało. Nasze osobiste i rodzinne widoki doznały silnego zaburzenia. Przede wszystkim narzuciła się sprawa bezpieczeństwa ojca. Do jego obciążonej przedwojennej hipoteki doszła teraz prezesura Komitetu Polskiego — ciała co najmniej wątpliwego z sowieckiego punktu widzenia. Jednocześnie podważane zostały materialne podstawy rodzinnego bytu. Ponaryszki były tylko letniskiem. Dochód dawały dwa domy w Wilnie, sprzężycie administrowane przez matkę — ale te podlegały nacjonalizacji.

Pewien dochód dawała dotychczas inna działka, położona również nad Wilią, ale powyżej Wilna, naprzeciwko Werek, nosząca nieco egzotyczną nazwę Tartak-Saraj. Tam wkrótce zainstalowały się zakonnice, wyrzucone przez nowe władze z własnego, dobrze zagospodarowanego zakładu na Antokolu. Na czas wojny Zgromadzenie przeszło w stan diaspory. Kilka sióstr usadowiło się w skromnym domku nad Wilią i zaczęło tam gospodarzyć, jako osoby świeckie.

Pozostawałem ja; jako młody inżynier jak najbardziej nadawałem się do pracy zawodowej, ale za czasów smetonowskich, jako Polak nie znający litewskiego, nawet się o nią nie starałem. Teraz nastąpiła radykalna zmiana, która sprawiła, że drudzy bolszewicy na początku zostali przyjęci przez ludność polską z pewną ulgą. Rozpadł się od razu sztywny podział na obywateli (*pilietis*), obcokrajowców (*svetimšalis*) i uchodźców (*karo pabegelis*), przy czym do tych drugich odrzucano często jak najbardziej rdzenną ludność tutejszą. Znikła, a przynajmniej bardzo zelżała dyskryminacja językowa. Luby był widok pysznych „kałakutów” przebranych w zwykłe, zielone bluzy, bez czerwonych naramienników, a do tego wyzutych z nieodłącznych pałek gumowych. Zresztą wystąpiło ogólne zjawisko, znane wszędzie tam gdzie dochodzi do zetknięcia się z bolszewizmem, czyli z rosyjską wersją komunizmu: nacjonalizmy lokalne przycichają i przyjmują wspólny front przeciw nowemu wrogowi.

W nowej sytuacji nie mogłem pozostawać bez pracy, już choćby dlatego, że komorne za nasze duże mieszkanie było uzależnione od wysokości zarobków mieszkańców: przy niskich komorne było niskie, ale przy zarobkach zerowych (czyli dla osób niepracujących) — bardzo wysokie, wprost olbrzymie. Trzeba było na gwałt sprokurować sobie jakieś zaświadczenie z pracy.

W moim fachu nie było to trudne. Wraz z paru kolegami, stworzyliśmy grupę pomiarową przy jakimś truście torfowym i prowadziliśmy zdjęcia topograficzne torfowisk, zaimprovizowa-

nymi instrumentami geodezyjnymi. Potem pracowałem jako pomiarowiec przy reformie rolnej, która odznaczała się tym, że nadzierała małorolnych ziemią w sposób tak opaczny i niezyciowy, że często nowe działki nie były w ogóle obejmowane — jasne było, że wszystko to pójdzie bardzo prędko pod kołchozy. Prace te zapędziły mnie daleko, do północnej Wileńszczyzny, aż pod Turmonty. Nie było to miłe, bo tam wodzili rej nasi święcianańscy starowierzy rosyjscy, osiedleni jeszcze za carów. Obecnie poczuli wspólnotę (przede wszystkim językową) z nowym reżymem.

Potem znów urządziłem się w Kownie, w Zarządzie Dróg Wodnych. Instytucja ta miała dość cudaczną nazwę rosyjską: *Niemanskoje Parochodstwo*. Plagą tego miejsca pracy były nieustanne reorganizacje. Kiedy wyjeżdżałem na niedzielę do domu, do Wilna, oczekiwałem z góry, że w poniedziałek znajdę wszystko zreorganizowane, mój stół na innym piętrze, a pozostałe rzeczy w rozproszeniu.

Miesiące mijały. Nikt nie ruszał ojca, mimo że nie ukrywał się, tyle że przebywał w Ponaryszkach a nie w Wilnie. Wyglądało, że sprawa Komitetu Polskiego przyschła. W tym okresie szybkich przemian sprawy sprzed kilku miesięcy miały już siwe brody. NKGB, które naturalnie zainstalowało się w gmachu sądów i zamieniło nawet obszerne piwnice tego gmachu na więzienie, zajęte teraz było bardziej tropieniem aktualnych polskich organizacji podziemnych, niż nawracaniem do przeszłości. Również do mnie nikt nie miał pretensji o moją przeszłość wojskową. Wobec tego należało poszukać jakiegoś zatrudnienia w Wilnie, bliżej domu i Ponaryszek.

Zagiąłem pjarol na wileński miejski Zarząd Wodociągów i Kanalizacji. Znałem tę instytucję po trosze sprzed wojny. Nie zdołały jej wiele odpolszczyć rugi smetonowskie, bo zrozumiałe było, że taka instytucja jak wodociągi i kanalizacje nie obejdzie się bez fachowców, i to fachowców zasiedziały. Aktualnym dyrektorem był mój kolega z Politechniki, inż. Zygmunt Wałęjko — za czasów smetonowskich wyzuty z praw *karo pabegelis*.

Jednak dostanie się tam nie szło jak z płatka:. Obiecywano, ale kazano czekać. Wreszcie napisałem artykuł do *Prawdy Wileńskiej* o potrzebie budowy oczyszczalni ścieków dla Wilna i to dopiero poskutkowało.

Wilno tymczasem trzeszczało od nadmiaru ewenementów. Odbywały się ogólne „głosowania” i „wybory”, rozwinięto sze-roki plan rozwoju przemysłu, który pozostał na papierze (głównie gazetowym), ale robił dużo hałasu, spowijając Wilno w fatamorgany metalurgii i chemii. Zaprojektowano skrótowną superszose do Kowna, z dwukrotnym przekroczeniem Wili (dotych-

czasowa szosa kowieńska okrążała łuk Wilii poniżej miasta). Jeden z tych mostów miał wypaść — ku naszej zgrozie — właśnie w Ponaryszkach. Na ledwo narzuconej na projekt trasie zaczęto już wykonywać roboty ziemne w rejonie Mazuryszek, po to, by zaraz potem zaniechać całego pomysłu.

Cały harmider przemysłowy skończył się na budowie w Wilnie na Antokolu kolonii domków robotniczych, akurat w samą zimę 1940/1941.

I tak, pod gwar pochodów i pod łopot czerwonych chorągwi, mknęło nam rozplakane sowieckie życie, przetykane aresztami, wstrząsane przewidywaniami wywozów, podścielone WIELKIM MILCZENIEM.

Sotnecznoje otoplienije
Łunnoje oswieszczenije
Wozdusznoje pitanije
I grobowoje mołczanije

mówiła nam zawleczona ze wschodu pogwarka. U nas nie było to może aż tak beznadziejne. Już to jedno, że gdzieś daleko toczyła się wojna, wielka wojna światowa — dawało nam łyk nadziei. Prawda, że ta wojna była dotychczas jedną wielką klęską, że po upadku Francji padły Bałkany, że wielki blok niemiecko-sowiecki z Włochami i Japonią na przyprzążkę stał niewzruszony. Jednak bitwa o Anglię była wygrana a Stany Zjednoczone przechylały się stopniowo na stronę wojny.

Ustrój sowiecki został wprowadzony w naszym kraju w drodze wojskowej okupacji, wbrew woli olbrzymiej większości ludności. Było zatem najbardziej naturalne, że uczucie nieufności „uszcześliwianych” do „uszcześliwiających” i *vice versa* rozprzestrzeniło się w ogólną atmosferę. Widać je było na każdym kroku. Jak wyglądała na przykład ta sprawa na polu prac politycznych nowego reżymu?

Nieufność wyrażała się tu ze strony sowieckiej stosowaniem wszędzie przymusu i podstępu w różnych formach, a ze strony „oswobodzonego kraju” — zupełnym brakiem ludzi miejscowych chętnych do pełnienia poważnej roli politycznej.

Dwukrotnie w ciągu owego roku oglądaliśmy u siebie sowieckie wybory. Pierwsze, w sierpniu 1940 roku miały zdecydować o dobrowolnym przyłączeniu się Litwy do Związku Sowieckiego. Zostały one przeprowadzone w obecności armii sowieckiej w kraju i przy zastosowaniu niechybnych środków zastraszenia i terroryzowania ludności, wypracowanych przez sowiecki porządek rzeczy.

W samym pojęciu słowa „wybór” tkwi możliwość wybierania między co najmniej dwoma możliwościami. Jeżeli możliwość jest tylko jedna i znika czynnik odrzucania jednej alternatywy i decydowania się na drugą, to wybory przestają być wyborami. Tak właśnie było w tym przypadku. W każdym powiecie wyborcom przedstawiono do głosowania jedną tylko listę. Zawierała ona kilka lub kilkanaście nazwisk, przeważnie ludzi zupełnie nieznanych. Dla przeciętnego obywatela było zupełnie niejasne, skąd się ta lista bierze. Została wysunięta na jakichś bliżej nieokreślonych robotniczych zebraniach, co do których nikt nie wiedział, gdzie się odbyły i czy się w ogóle odbyły. Nie ulegało wątpliwości, że nie dopuszczono tam żadnego sprzeciwu i że ta lista reprezentuje wyłącznie urzędowy punkt widzenia. Z drugiej strony wiadano, że głosować trzeba, bo wstrzymanie się grozi deportacją do Kazachstanu.

Jeszcze bardziej drastyczny wygląd przybrały następne wybory, przeprowadzone w styczniu 1941 roku. Tu już nie silono się nawet na listę. W okręgu Wileńskim na oczywiste drwiny z wyborców — po prostu został wystawiony jeden tylko kandydat. Co powiedziano by na podobną praktykę w Anglii lub Ameryce? Tego rodzaju wybory były zniewagą dla społeczeństwa, które je musiało znosić.

Tym jedynym, który miał zostać nieuchronnie „wybrany”, okazał się nie kto inny, jak dotychczasowy poseł sowiecki w Litwie, niejaki Pozdniakow. Pomysł, by ta moskiewska osobistość miała reprezentować Wilno, był aż rozbijający w swej bezczelności i — trzeba przyznać — wydał mi się nowy. Nawet Katarzyna II nie wpadła na to, aby uważać Repnina lub Stackelberga za reprezentanta ziem, które włączyła do swego imperium w drodze rozbiorów Polski. Na tę grubą, antypatyczną gębę moskiewskiego dyplomaty, spoglądającą z niezliczonych afiszów, mieliśmy z upokorzeniem w duszy „głosować”. Tylko zupełnym brakiem ludzi miejscowych, myślących po bolszewicku można sobie wytłumaczyć wystawienie takiej kandydatury.

Odczucie takie było powszechne, a jednak niezupełnie jednolite. Oto wiersz zamieszczony w *Prawdzie Wileńskiej* w tym czasie:

DO TOWARZYSZA POZDNIAKOWA

*Do teatru prowadzą szpalery czerwieni,
Na ulicach pochody. Po niebo — sztandary.
W jeden wiec, w jeden okrzyk kraj się cały zmienił
I płonie wyzwolonej radości pożarem.*

*Słońce w lipcowym niebie, jak jasny snop żyta
Ciągną chmury nabrzmiąle burzą, co oczyści
Ziemię, która tak długo mrokami spowita,
Zrzuca ciężar ucisku, nędzy, nienawiści.*

*Niezlomną wolę ludu, który stargał pęta,
Dzisiaj Sejm wypowiada jasno i dobitnie,
Dwudziesty pierwszy lipca — najpiękniejsze święto
Pięcioramienną gwiazdą nad krainą kwitnie.*

*Ulice przed poselstwem zalał tłum falami,
Z kimże dzielić się mamy radością wyzwolin?
W latach krwawych bezprawi byłeś razem z nami.
Piękne Dziś — jeszcze mocniej z nami cię zespoli.*

M. Lidzki

Podpis „M. Lidzki” był pseudonimem tak dobrze znanego Wilnu poety Teodora Bujnickiego — liryka i satyryka w skali większej niż tylko wileński laur poetycki. Oto jeszcze jeden wiersz Bujnickiego w tejsze *Prawdzie Wileńskiej* z tegoż okresu:

1 9 4 1

*Pierwszy raz pełną pieśnią, ogniem entuzjazmu,
Mięśniami napiętymi do wspaniałych prac
Witamy go na ziemi wyzwolonej z jarzma
W gwiazdozbiorze Republik Rad.*

*Dzień, który nam zaświtał piętnastego czerwca,
Rośnie, błyszczący południem mężniejących sił.
Równiej, mocniej pulsują motory i serca,
Krew i słońce pędząc do żył.*

*I zespoleni w naród szóstej części globu,
W armię, której się oprzeć nie potrafi nikt,
Idziemy naprzód, naprzód — wielką, jasną drogą
Zwycięski, zwarty szyk!*

Teodor Bujnicki

Za wiersze te (te i inne, wśród nich znany wiersz do Bołtruszki „Nasz Kandydat”) Bujnicki zapłacił życiem. Został zastrzelony przez polskie podziemie w roku 1945. Ubolewałem nad tym i ubolewam dotąd, uważając, że z piórem nie walczy się kulą bez przyczyn ostatecznych. W tym przypadku przyczyny takie jeszcze nie zachodziły.

Jednak ze smutkiem muszę zauważyć, że do pewnych sprzedajnych piór tej epoki należy dołączyć sprzedajne pióro Bujnickiego.

Ale wróćmy do wyborów.

Jak na ironię, komedia „wyborów bez wyboru” była jak najstaranniej wyreżyserowana. Spisy wyborców przygotowano z nadzwyczajną dokładnością. Ogromny zespół naganiaczy biegał po mieście, kontrolując, czy wszyscy umieszczeni w tych spisach „spełnili swój obowiązek obywatelski”. W samych lokalach wyborczych niezmiernie dbano o zachowanie form przyjętych w świecie. Wszędzie przewidziane były specjalne ciche zakątki, osłonięte kotarami by obywatel mógł w spokoju ducha, przez nikogo nie podglądany, włożyć swój głos do koperty. Widać było staranie, by przez rozciągnięcie kontroli w biurze wyborczym, nie dopuścić do żadnych „cudów nad urną”. Wszystko to robiłoby jak najlepsze wrażenie, gdyby nie to, że było całkowicie bezprzedmiotowe. W niczym nie mogło wpłynąć na powziętą z góry decyzję wybrania Pozdniakowa reprezentantem Wilna w Radzie Najwyższej Związku Sowieckiego.

A jak wyglądała atmosfera pracy? Spójrzmy na nią oczami zwykłego człowieka. Jakiż obraz życia przedstawił się w tym czasie mnie, skromnemu pracownikowi technicznemu?

Przez ten czas zmieniłem kilka zatrudnień, najdłużej zatrzymując się w wileńskim miejskim Zarządzie Wodociągów i Kanalizacji, gdzie pracowałem jako inżynier. Wszędzie, gdzie zajrzałem, dominowała ta sama nieufność, powszechnie przesycająca sowieckie życie. Główna mądrość życiowa polegała na tym, by do niczego się nie zobowiązać, nic nie podpisać, za nic nie brać odpowiedzialności, wykręcać się przy pomocy kruczków biurokratycznych od każdego zagadnienia, zamiast wziąć je uczciwie na warsztat.

W tym czasie wybuchła w Wilnie epidemia chorób żołądkowych, co wiązało się z pogorszeniem się stanu bakteriologicznego wody wodociągowej.

Jako pierwszy środek zaradczy aresztowano dyrektora wodociągów Wałęjkę, a następnie przystąpiono pośpiesznie do chlorowania wody dostarczanej miastu. Podczas instalowania na Stacji Pomp odpowiednich aparatów zaszła potrzeba ustawienia ich w specjalnych szczelnych szafach, dla ochrony przed przypadkowym wydzielaniem się trującego gazu. By wykonać tę drobną robotę, potrzebowałem zupełnego drobiazgu, bo 1 m³ desek stolarskich. Pomimo całego pośpiechu (epidemia!), sprawa kupna tych desek trwała przez dobrych kilka dni, bo żaden tartak, skład, urząd, komisariat nie wiedział, czy ma prawo je dostarczyć i na wszelki przypadek wolał nie sprzedać, niż sprzedać.

W czasie mojej stałej pracy na Stacji Pomp wciąż miałem trudności z dostaniem się do wewnątrz przez kordon strażników, którzy, mimo że znali mnie osobiście, badali moje dokumenty

i kwestionowali wszystko, co dało się zakwestionować. Mowy nie było, bym mógł dostać się do instalowanych przeze mnie i działających całą dobę aparatów chlorujących inaczej, niż w oficjalnych godzinach pracy. Koroną tej aktywności było ustawienie obok Stacji Pomp wysokiej wieży strażniczej — takiej, jakich się używa, by obserwować wielkie, otwarte przestrzenie lub daleki horyzont. Nie miała żadnego innego celu poza symbolizowaniem „czujności proletariackiej”. Działalność tej straży, która miała za główne zadanie zwalczać „sabotażystów” (ulubione słowo epoki stalinowskiej), była sama doskonałym okazem sabotażu racjonalnej pracy.

Są to moje osobiste spostrzeżenia — każdy mógł czynić podobne w każdej fabryce, w każdym warsztacie. Nie można się dziwić, że reżym wprowadzony wbrew powszechnej woli ludności uważa przeciętnego obywatela za podejrzanego. „Każdy, kto nie wykazuje specjalnej lojalności, jest wrogiem” — oto jest duch stosunku „uszcześliwiających” do „uszcześliwianych”. W tej atmosferze trudno było wytrzymać nam, którzy przywykliśmy, że każdy, kto nie wykazuje specjalnych wrogich skłonności, jest traktowany jako lojalny obywatel. Nawet Niemcy podczas wojny i w podbitym kraju nie czynili ani części tych ostrożności, które stosowali bolszewicy w tej niby swojej własnej Litewskiej Socjetyckiej Republice — i to podczas pokoju.



Wiosną 1941 roku jedna tylko osobistość przebijająca się przez przyćmienie naszej egzystencji, jeden tylko głos naruszał WIELKIE MILCZENIE — był to ks. Hlebowicz. W owym czasie stał się on sztandarem Wilna.

Wilno znało ks. Henryka Hlebowicza już przedtem jako doktora teologii i profesora Uniwersytetu, ale nie to stanowiło o jego wpływie. Nawet nie to, że był wybitnym kaznodzieją. Był jednym z tych kontrowersyjnych księży, przyczyniających wielu kłopotów hierarchii, ale w ostatecznym rachunku przynoszących tyle dobra Kościołowi. Już poprzednio dał się poznać ze swojej samodzielności myślenia i odwagi postępowania. Był świadkiem obrony w procesie Lewicy Akademickiej 8 stycznia 1936 roku. Jego nonkonformistyczne poglądy sprawiły, że nacisk Kurii Metropolitarnej zmusił go do zrzeczenia się katedry uniwersyteckiej.

Co wydzwignęło ks. Hlebowicza „na świecznik” tą wiosną 1941 roku? Nic innego, jak tych kilkanaście kazań, które wy-

głosił w kościołach wileńskich, a zwłaszcza tych kilka, które padły z ambony kościoła św. Jerzego w Wilnie. Czy miał elekcję Bossueta, siłę przekonywania Fenelona?

Niewątpliwie był wybitnym mówcą, ale w tej chwili nie tylko to stanowiło jego siłę. Głos jego był potężny, bo zabrzmiał w WIELKIM MILCZENIU. Wilno milczące i zniewolone tłoczyło się u stóp ambony, słuchając największej osobliwości tego czasu: człowieka, który mówi to, co myśli. Jego kazanie w sobotę 3 maja 1941 roku było na miarę kazania Skargi. Przechowany pieczołowicie, autoryzowany tekst tego kazania czeka dotąd na opublikowanie.

Inną osobliwością było to, że po tym kazaniu kaznodzieja swobodnie wyszedł z kościoła ku zaskoczeniu wielu z jego słuchaczy. Nie powtórzyła się sceneria sprzed przeszło pół wieku, kiedy to w tymże Wilnie, w epoce wymuszania używania języka rosyjskiego w nabożeństwach katolickich, ks. Stanisław Piotrowicz, proboszcz parafii św. Rafała, w dniu 25 marca 1870 roku, na ambonie tego kościoła potępił i spalił odpowiedni ukaz carski, a bezpośrednio potem został wsadzony do kibitki, czekającej już przed kościołem. Tym razem kibitka zmotoryzowana, zwana w nowoczesnym języku rosyjskim *czernyj woron* nie czekała przy kościele św. Jerzego. Do końca okupacji sowieckiej ks. Hlebowicz nie został aresztowany.

Głos ks. Hlebowicza zabrzmiał wtedy, kiedy Wilno naprawdę potrzebowało otuchy. W samą Wielkanoc 1941 roku aresztowano kilku ludzi, stanowiących rdzeń wileńskiego polskiego podziemia. Wśród nich byli: przysłany z Warszawy pułkownik Nikodem Sulik, podpułkownik Zygmunt Centnarowski i znany powszechnie w Wilnie senator Władysław Kamiński.

Za tymi węzłowymi ludźmi poszła szeroka fala aresztów, które obezwładniły rozgałęzioną, ale chaotyczną i luźną sieć polskich konspiracyjnych organizacji wojskowych. Trudno określić liczbę uwięzionych.

Wszystko przywarło do ziemi, nawet niezłomna, silnie zakonspirowana „Legalizacja” (dział wyrabiający fałszywe dokumenty osobiste) zaprzestała produkcji. W końcu maja uwięziona została osobistość najbardziej może wpływowa — szara eminencja podziemia politycznego i wojskowego, rezydujący w kompleksie gmachów przytykających do kościoła św. Kazimierza — jezuita ks. Kazimierz Kucharski.

Nie brałem wtedy jeszcze żadnego udziału w konspiracji, nie zapuszczałem się w mroki polskiego podziemia. Sprawy te dochodziły do mnie tylko pośrednio, mocą ogólnej aury, którą tworzyły w społeczeństwie polskim.

Szła wiosna 1941 — zaburzona, zmacona wiosna skołatanych głów i opuszczonych rąk. Lud ciężko doświadczany szukał ulgi w parapsychologii. Różne teksty proroctw wypełniały czaszki i kieszenie Polaków. Przepowiednia Wernyhory w różnych wariantach i interpretacjach unosiła się jak obłok dymu kadzidlano nad miastem. Przepowiednia Nostradamusa zmuszała do wnikliwych rozbiorów. „Wróżbita z Belmontu”, zasiadłszy na trójnogu — nie szczędził swoim adeptom wizji dalekich podróży i wędrówek. Młodociany „prorok z Popiszek” nie zniżał się do przepowiedni indywidualnych, ale bez ogródek obwieszczał tłumom, przybywającym zewsząd furmankami, że „zanim bez przekwitnie, nie będzie u nas bolszewików”. Kto mógł w to uwierzyć?

Wieści od kolejarzy o wagonach czekających w Nowej Wilejce czy Landwarowie wzmagaly konwulsje wywozowe. Aura była coraz to bardziej rozdygotana. Litewska Republika Sowiecka dobiegała już roku, ale jeszcze nie przechodziła masowych wywozów ludności, takich jakie szły zimą 1939/1940 z pobliskich ziem włączonych do Białorusi. Teraz jednym ciągiem płynął i od nas na wschód plon systematycznych aresztów, ale nie były to jeszcze te wielkie wywózki, które przywykliśmy uważać za emblemat sowieckiej władzy. Lecz te wielkie wisały w powietrzu. Przygotowań do takiej operacji nie da się ukryć całkowicie. Wielu próbowało zabezpieczyć się, zamieniając się mieszkaniem, wynosząc się wiosną z miasta choćby na Antokol czy Pośpieszkę lub do Kolonii Kolejowej.

W Ponaryszkach, dokąd wpadałem często, było zaciszenie i ślicznie, ale czy bezpiecznie? Bądź co bądź stanowiliśmy tam półstałych mieszkańców. Przyszły czas, kiedy człowiek był najbardziej zagrożony w swoim własnym domu.

Od czasu do czasu dolatywał w ponaryskie odludzie hurkot silników i ciężkiego żelastwa. O pół kilometra przebiegała betonowa szosa Wilno - Kowno. Szły po niej na zachód kolumny ciężkich czołgów sowieckich.

Jednocześnie czytaliśmy w prasie gorliwe zaprzeczenia, jakoby na obszarze Związku Radzieckiego odbywały się jakiekolwiek ruchy wojsk. „Wierzę tylko zdemontowanym wiadomościom prasowym” — powiedział ktoś biegle w sprawach tego świata.

A zarazem wciąż potwierdzały się wiadomości od kolejarzy o wielkich transportach towarowych idących na zachód, do Niemiec. Była to żywność, surowce, materiały strategiczne, których Kraj Rad nie skąpił swemu niemieckiemu sojusznikowi.

Aż wreszcie przyszło. W sobotę 14 czerwca 1941 moja praca w Wodociągach ograniczyła się do obrzucenia okiem rozpląszo-

nego i opustoszałego biura przy ul. Dominikańskiej. Potem szybko siadłem na rower. Wielki wywóz rozpoczął się tej nocy.

Kiedy szosą kowieńską rwałem do Ponaryszek, nie wiedziałem jeszcze, że wywóz jest „republikański”, tj. że obejmuje całą Litwę. (W istocie objął wszystkie trzy sowieckie republiki bałtyckie: Litwę, Łotwę i Estonię). Aparat przemocy wymagał ogromnego transportu samochodowego i kolejowego, nie mówiąc już o administracji i konwoju. W naiwności mojej to, co widziałem w Wilnie, uznawałem w pierwszej chwili za działania lokalne.

Na ulicach ciężarówki wyładowane ludźmi, dużo tobołów i tobołków, konwój wojskowy z karabinami. Nieprzeniknione twarze zamarte w WIELKIM MILCZENIU. Na niektórych samochodach młodzi chłopcy w czarnych mundurach jakiejś sowieckiej szkoły, przypuszczalnie jako „czynnik społeczny”. Użycie młodzieży szkolnej do asystowania temu haniebnemu procederowi wydawało mi się szczególnie bezwstydne.

To wszystko — w biały dzień, w jasnym czerwcowym słońcu, w gęstym ulicznym ruchu, rozstępującym się potulnie. I nikt z nas, z dziesiątków tysięcy mężczyzn Polaków i Litwinów, ludzi, którzy przecie służyli w wojsku, a nawet wachali proch na wojnie — nikt z nas nie rzucił granatu, nie strzelił, nawet nie pogroził pięścią. Okupacja sowiecka zmieniała nas w bezkształtną, plastyczną masę, dającą się ugniatać.

W zacisznych Ponaryszkach wszystko to wydawało się przywidzeniem skołatanego mózgu. Miejscowość zdawała się przez samą naturę przystosowana do wyjścia cało z każdego wywozu — nawet republikańskiego. Z jednej strony osłonę stanowiła Wilia, a z drugiej — stromość zalesionego stoku jej doliny. Droga kołowa prowadziła spadzistym i piaszczystym — co się zowie piaszczystym! — dnem zalesionego parowu. Kierowca samochodu zazwyczaj długo wahał się, zanim wjechał w gardziel tego parowu, rozważając, czy maszyna wyciągnie w odwrotnym kierunku — pod górę. Dwa inne parowy, gęsto zadrzewione ziały swymi wylotami bezpośrednio za domem. Opodal znajdował się w przyjaznym sąsiedztwie zaścianek Ponaryszki.

Noc z soboty na niedzielę przebyliśmy bez alarmu, zaszyci w świeże siano, w stodołach naszych zaściankowych sąsiadów. Wiadomo już było, że po drugiej stronie, za Wilią wywożą rodzinę Taberów z folwarku Siderańce, graniczącego z nami przez rzekę (była to już gmina Mejszagolska, a my należeliśmy do gminy Trockiej). Sam Tabera był już poprzednio aresztowany.

Jednak pryskanie wprost do lasu, w razie alarmu nie byłoby

praktycznie łatwe, przy stanie serca mego ojca. Do tego dwoje moich dzieci w wieku ok. 5 lat.

Były to dni upokorzenia. Z zajęczym uczuciem wychylałem się z krzaków i ostry spadek serpentyny ponarskiej wnosił mnie w miasto, między tysiące kluczących zajęców. Sakramentalna doniczka na oknie (w użyciu jeszcze u konspiratorów z czasów króla Ćwiczka) sygnalizowała wolny wstęp do domu. Okólną drogą, po asekuranckich telefonach ze Stacji Pomp, dobierałem się do mego miejsca pracy na Dominikańskiej, stamtąd, pomykałem na jakieś dalsze obiekty.

Po niedzieli 15 czerwca, zapewne w jakimś określonym dniu, wywóz zelżał. Jednak w rozploszonym mieście nie czuć było tego przełomu, wciąż ulica kotłowała się w chaotycznym ruchu. Do Nowej Wilejki, gdzie ładowano do pociągów tłumy tego jasyru, ciągnęły inne tłumy. Niekiedy bliscy krewni, którzy przypadkiem nie zostali wzięci gdyż byli poza domem w czasie wywozu, zgłaszali się z własnej woli, by dołączyć do rodzin już upchanych do wagonów. Nie zawsze ich przyjmowano. Inni przebijali się przez konwój na stacji, by podać bliskim jakieś zapasy na drogę, jakieś wyposażenie na „nowe” życie.

W Nowej Wilejce trwała jeszcze kotłowanina załadunkowa zwiezionej tam miazgi ludzkiej. Ściągano transporty idące z głębi Litwy (a nawet z pozostałych republik bałtyckich), które, reorganizowano”, czyli rozrywano rodziny, oddzielając mężczyzn od kobiet. Ogromną większość wywożonych stanowili Polacy.

Jednocześnie Wilno wychodziło już spod działania szoku. W moich Wodociągach straty ludzkie były nieduże. Wróciłem do pracy.

W sobotę 21 czerwca po południu znów siadłem na rower. Za mną pozostawało miasto ludzi, w którym Wernyhora, Nostradamus, „wróżbita z Belmontu”, „prorok z Popiszek” komentowali przejścia ostatnich dni i perspektywy dni następnych — wszystko spletało się w poczuciu, że coś tu się musi urwać. coś musi trzasnąć, musi nastąpić jakaś zmiana. Struna była na granicy pęknięcia.

W niedzielę jechałem do Ponaryszek.

MIŁE ZŁEGO POCZĄTKI

Poprzednią niedzielę spędziłem w Ponaryszkach, jak zając pod miedzą, teraz jechałem tam, żeby ochłonać po wileńskim tygodniu wywozowym.

Niedzielne przedpołudnie 22 czerwca upływało w odprężeniu. Jedno, co zwróciło moją uwagę, to był zmieniony charakter ruchu na niebie. Zniknęły ciężkie samoloty transportowe, przelatujące nad Ponaryszkami regularnie po kilka razy dziennie, na trasie Wilno - Kowno i odwrotnie, czyli po kierunku wschód-zachód lub zachód-wschód. Teraz po pogodnym niebie jakieś lekkie samoloty śmigały gdzieś bokami — podobnie jak podczas kampanii wrześniowej.

Siedzieliśmy właśnie przy obiedzie, kiedy doszły nas odgłosy dalekich eksplozji i nad Wilnem (odległym o 18 km w linii prostej) wykwitły wielkie grzyby po detonacjach — starzy znajomi z Pułtuska, Wyszkowa i innych miast bombardowanych w Polsce, które oglądałem w czasie kampanii Wrześniowej. To nie mogło być nic innego jak tylko WOJNA.

Pierwsza emocja nie pozwoliła nam ocenić całej wagi tego co zaszło. Oto nagle, jak z bicza trzaśł, wielki blok niemiecko-sowiecki nie tylko pęka, ale obie strony zaczynają się wzajemnie unicestwiać. Ten zakręt historii był tak ostry, że dostawaliśmy zawrotu głowy.

Zdecydowałem się wracać na poniedziałek do pracy w Wilnie. Noc z niedzieli na poniedziałek przespałem przyjemnie w Ponaryszkach. Bombardowanie Wilna, widziane przez nas z daleka, wstrząsnęło miastem a jednocześnie nie wszędzie wzbudziło pewność, że to naprawdę wojna. W Wilnie było inaczej. Na Zwierzynku, w dzielnicy o niezbyt zwartej zabudowie drewnianej, wszczęły się pożary, ludność w ciągu wieczora uciekała za miasto,

chroniła się do podmiejskich lasów. Po drugiej stronie Wilii, w pobliskim Zakrecie panował względny spokój. W dużych kamienicach zajętych przez lotnictwo wojskowe, przy ul. Zakretowej ewakuacja polegała na pośpiesznym zabraniu w nocy ciężarówki samych tylko lotników, ich rodziny pozostawiono na pastwę losu.

Rano o godz. 5-tej nastąpił zmasowany nalot niemiecki na miasto, który najbardziej oderwanym od rzeczywistości wykazał, że wojna naprawdę wybuchła. W mieście powstawały lokalne paniki, wyrażające się tłumnymi uciezkami na przedmieścia.

W tym czasie bez pośpiechu zbierałem się do Wilna szosą kowieńską. Po drodze niewiele szczegółów udało się zauważyć, ale wojna już wyzierała z dezorientacji oddziałów sowieckiej piechoty, przytajonej po lasach wzdłuż szosy.

Do miasta wjechałem po morzu zbitego szkła. Wojna współczesna przede wszystkim rzuca pod buty i koła stłuczkę okienną. Na Pohulance, koło cerkwi Romanowskiej, jakiś silny głośnik grzmiał mową Mołotowa — mową pokrywającą konsternację oburzeniem. W domu zastałem niezbyt roztrzęsione twarze i niezbyt uszkodzone szyby.

W biurze Wodociągów przy ul. Dominikańskiej wojna była już bardzo widoczna. Nowego dyrektora, wysokiego, młodego Żyda (który objął Wodociągi po aresztowaniu inż. Wałejki) nie było już ani śladu. W bramie, koło kompletu zamożnych waliz, kręcił się z miną niepewną inny Żyd, antypatyczny główny księgowy. Na Stacji Pomp sławetny dowódca „straży” urywał się właśnie, blokowany przez swoich podkomendnych, usiłujących odebrać od niego pieniądze, na które ich ponaciągał. To samo widać było wszędzie. Nikt nie liczył, by *niepobiedymaja dobliestnaja Krasnaja Armija* miała nas osłonić przed nawałą germańską, nikomu do głowy nie przychodziło, że mogła stawiać opór.

Rozsiadłem się w gabinecie dyrektorskim z paru inżynierami-Polakami. Co czuliśmy w tej chwili? Nie mogliśmy wykrzesać z siebie ani krzty żalu, że odchodzi oto sprzymierzeniec (tak, sprzymierzeniec, od wczoraj już sprzymierzeniec), a idzie wróg. Ten wróg, który stał przed rokiem najlepszą (w naszym pojęciu) armię świata — armię francuską i szereg innych armii, ten wróg budził swoisty szacunek.

Nie traciłem z oczu proporcji między sprzymierzeńcem a wrogiem. Wiedziałem dobrze, w czyją stronę nasza broń będzie skierowana — ta konspiracyjna broń, której jeszcze nie mieliśmy w rękach, ale już ją wyczuwaliśmy. Wróg otwarty budził coś w rodzaju uznania, zwłaszcza gdy zdierał z naszej szyi zaciśniętą na niej oślizłą dłoń sprzymierzeńca.

Wieczorem sytuacja wyjaśniła się dalej. Przyłgnętem do radia i tak się w nie zatopiłem, że zaniedbałem nocny dyżur, który miałem objąć na Stacji Pomp. Wobec sytuacji w mieście rozsądniej byłoby znaleźć się na miejscu pracy jeszcze za dnia. Jednak mrok już zapadł, a ja tkwiłem wciąż przy odbiorniku. Eter rozbrzmiewał dokonany właśnie odwróceniem aliansów. Londyn podawał deklarację Sikorskiego o nawiązaniu stosunków ze Związkiem Sowieckim jako z naturalnym sojusznikiem. Widać było, że Rząd Polski w Londynie robi wszystko, by ratować te setki tysięcy Polaków wywiezionych do Rosji na zatracenie. Moskwa powtarzała tę samą mowę Mołotowa — słyszałem ją już w południe. Berlin grzmiał wojennym rumorem. Najciekawsze było Kowno: przez cały czas powtarzano w paru językach wciąż te same dwa komunikaty: jeden o opanowaniu Kowna (a przynajmniej radiostacji) przez jakieś powstańcze siły litewskie, które proszą o pomoc niemiecką; drugi o tym, że od strony Ukmerge (podawano również po polsku „Wiłkomierz”, po rosyjsku „Wiłkomir”) posuwa się w stronę Kowna sowiecka kolumna wojskowa. „*Wir bitten diese Kolonne mit Bomben zu belegen*” — brzmiało zakończenie komunikatu, powtarzanego po kilkanaście razy, zredagowanego w dość dobrej niemczyźnie, ale wygłaszanego marnym niemieckim akcentem, tonem natarczywym, a nawet płacziwym.

Wyruszyłem z domu w zupełną ciemność i ciszę, przerywaną od czasu do czasu pogłosami jakichś dalekich strzelanin na przedmieściach. Opony roweru lekko syczały na jezdni zasypanej rozbitym szkłem. Jechałem wolno, środkiem pustej, jak wymiótł, ulicy Mickiewicza, w zupełnej ciemności. Dojeżdżając do gmachu Ubezpieczalni Społecznej na rogu ul. Dąbrowskiego, raczej wyczułem, niż zauważyłem jakąś grupę ludzi u podsienia gmachu. Kiedy zrównałem się z nią, raptownie rozpętała się tuż koło mnie gwałtowna strzelanina. Mimo huraganu ognia czułem jednak, że nie tylko żyję, ale nawet nie jestem draśnięty. Jednocześnie kilkanaście rąk ściągnęło mnie z roweru, wśród litewskich okrzyków i przekleństw.

Wreszcie znalazłem się wewnątrz gmachu, gdzie zajął się mną jakiś inteligentny i rozsądny młody Litwin, mówiący ze mną po polsku, i to *per pan*. Zażądałem zwolnienia, twierdząc, że bez mojej obecności na Stacji Pomp miasto zostanie jutro bez wody (co było z pewnością znaczną przesadą). Litwin odpowiedział rozsądnie, że wobec wagi rozgrywających się wypadków, trzeba zgodzić się na pewne braki w zaopatrzeniu miasta w wodę w dniu jutrzejszym.

Noc ciągnęła się długo. Co jakiś czas na ulicy rozlegała się

wściekła kanonada, na podobieństwo tej, która uświetniła moje przybycie. Jednak więcej jeńców nie przybywało.

Wstawał świt. Był to wtorek 24 czerwca. Noc świętojańska upłynęła mi raczej smętnie, ale interesująco.

Skoro rozedniało, zjawił się znów mój rzeczowy Litwin i zwolnił mnie (wraz z nieodstępnym rowerem i kocem). Prosiłem go o wydanie mi przepustki na przypadek wpadnięcia po drodze na jakieś inne litewskie siły zbrojne. Odpowiedział tonem kompetentnym, że taka ewentualność mi nie grozi.

Siadając na rower przed gmachem Ubezpieczalni, obrzuciłem okiem sąsiednie kamienice. Nie było na nich żadnych śladów kul po tak hojnym użytku broni palnej tej nocy. Widać było, że cały ogień kierowany był dokładnie w niebo, co zresztą poprzednio już mogłem stwierdzić na samym sobie.

Wszystko wskazywało, że byłem świadkiem bardzo amatorskiej i zupełnie odosobnionej próby działania przeciwsowieckiego ze strony litewskiej grupy, być może związanej z dużo poważniejszymi działaniami w Kownie, przebiegającymi nieco wcześniej.

Stacja Pomp działała przez noc normalnie. Mimo że odbiegnięta od swoich „strażników” (od siedmiu boleści), nie doznała żadnej szkody ze strony „sabotażystów”. Przespałem się na stole po nocnych przygodach i po paru godzinach ruszyłem na miasto szukać Niemców, którzy podobno już w Wilnie byli od rana. Krążyłem wśród wileńskiego ludu, który wyległ na ulice. Oczekiwałem jakiegoś przemarszu hufców, czy przejazdu machin wojennych. Nareszcie ujrzałem znajomą zieleń munduru. Na Dominikańskiej pojedynczy żołnierz niemiecki posuwał się wśród przechodniów powolutku, eskortując pojedynczego, silnie utykającego krasnoarmiejca. Zmierzali do budynku oznaczonego już tabliczką KRIEGSGEFANGENENSAMMELSTELLE.

Podobnie jak podczas kampanii wrześniowej, spokój i zorganizowanie Niemców stwarzały iluzję gruntownego opanowania przez nich terenu, na którym ledwo postavili nogę. Widząc taką nieomal idyllę, zapragnąłem pomknąć do Ponaryszek, aby zobaczyć, jak tam wojna wygląda.

Po staremu ruszyłem na szosę kowieńską, przez serpentynę ponarską. Zaraz za szpitalem na Wilczej Łapie, którego mur graniczny biegnie wzdłuż szosy, trafiłem na pobojuwisko. Pojedynek czołgów musiał rozegrać się dzisiejszego ranka. Kilka czołgów sowieckich średniego rozmiaru nosiło ślady postrzałów artyleryjskich. Między małymi domkami na przedmieściu stał nieduży czołg niemiecki z przebitą pociskiem działowym ścianą boczną. Ściana czołowa, dużo silniej opancerzona, wytrzymałaby zapewne taki strzał. Obok na ziemi leżały dwie czarne hauby

niemieckich czołgistów. Opodal na szosie stały postrzelane sowieckie ciężarówki. Trup sowieckiego podoficera leżał na szosie.

O parę kilometrów dalej, za osadą Dolna natknąłem się na natarcie piechoty niemieckiej, wychodzącej z podnóża pobliskich wzgórz Ponarskich na równinę przyrzeczną, w kierunku miasta. Natarcie odbywało się bez jednego strzału. Drużyny piechoty niemieckiej posuwały się polami, po zalanej słońcem otwartej przestrzeni, w tempie jakby turystycznym. Zaczynałem rozumieć, że mam przed sobą wojsko nacierające na Wilno z innego kierunku, niż to czyniła kolumna, która już rano opanowała centrum miasta.

Prowadząc rower pod górę serpentyny ponarskiej, natknąłem się na przeszkodę. Był to wielki korek, złożony z kilkunastu opuszczonych samochodów sowieckich, stłoczonych na szosie, biegnącej w tym miejscu po wysokim nasypie drogowym. Po drugiej stronie korka stał niemiecki łażik wojskowy, a w nim niemiecki major o zmęczonej twarzy i młody żołnierz-kierowca. Na hełmach białe opaski, na masce samochodu biała chorągiewka. Przecisnąłem się do nich między stłoczonymi sowieckimi maszynami. Usiłowali przebić się przez korek. Jechali do Wilna jako parlamentariusze.

Razem z kierowcą spuszczailiśmy w dół po skarpie co się dało zepchnąć z szosy. Major również pchał i dźwigał. Upewniłem go, że w Wilnie, w śródmieściu znajdują się wojska niemieckie, co zdawało się go nieco dziwić. W końcu wążutki, kręty przejazd został otwarty. Łażik prześlizgiwał się po mistrzowsku, ocierając się o karoserie sowieckich samochodów.

Dalej panował spokój. Na górze, koło kapliczki Ponarskiej widać było nieco Niemców, którzy nie zwracali na mnie uwagi, zaś na szosie kowieńskiej było pusto. Ostatni ślad wojny zanotowałem za Grzegorzewem, na moście na Wace, gdzie założona była zaporą przeciwczołgowa. Całą szerokość szosy przegradzała spirala z grubego drutu stalowego, zamocowana na konstrukcji nośnej mostu. Z trudem przeniosłem przez zaporę rower, bo średnica spirali (czyli wysokość przegrody) wynosiła ok. 80 cm. W sumie przegroda była dość naiwna. Stalowy drut zaklinowany w gąsienice czołgu, przy najechaniu byłby zapewne skuteczny, ale usunięcie zapory z drogi, przed najechaniem nie przedstawiałoby trudności przy braku obstawy ogniowej. Nie wiem, czy była to zaporą sowiecką czy niemiecką.

Dalej jechałem już krajem bezpańskim. W Ponaryszkach byłem „pierwszym zwiastunem”. Popasałem tam krótko. Skoro wszystko było spokojnie, a nawet błogo, to obecność moja była potrzebna raczej w mieście.

Przy powrocie, już u wjazdu do miasta wpadłem na obławę

w rejonie szpitala kolejowego na Wilczej Łapie, zostałem zatrzymany i zrewidowany. Z parku szpitalnego miały paść jakieś strzały, Niemcy zastrzelili na miejscu dwóch młodych Polaków.

Przez dobrych parę dni wojny szosa z Kowna do Wilna — wbrew spodziewaniu — nie była wcale szlakiem ruchu wojsk. Wojska sowieckie z tamtego rejonu cofały się gdzieś bardziej na północ, zaś wojska niemieckie dotarły do Wilna z innych kierunków niż oczekiwany kierunek zachodni, prowadzący prosto z Prus Wschodnich. W dniu 24 czerwca rano wkroczył do miasta zagon z kierunku południowego szosą lidzką. Tegoż dnia w południe pojawiły się oddziały z południowo-zachodu szosą grodzieńską.

Były to „miłe złego początku”. Zaopatrzony w legitymację z napisem *Wasserleitung der Stadt Wilna*, ubrany w zielony kombinezon, wyposażony w pewną znajomość niemieckiego, poruszałem się swobodnie w terenie pod pozorem poszukiwania samochodów, które gdzieś zapodziały się Wodociągom podczas działań wojennych. Oglądałem zarazem wielki spektakl niemieckiego marszu na Moskwę. Chyba ze dwa tygodnie minęły, zanim zobaczyłem pierwszy oddział niemiecki maszerujący na własnych nogach. Orgia motoryzacji przewalała się przez Wilno na wschód. Tę oglądaną w Wilnie orgię trzeba było przemnożyć przez całą długość frontu, od Morza Bałtyckiego (a może nawet od Białego) do Morza Czarnego, aby uzyskać orgię sumaryczną. Przed laty wojska napoleońskie ciągnące na Moskwę osiągnęły Wilno w tym samym, nieco spóźnionym już terminie, na początku lata, ale miały dotrzeć do Moskwy pieszo, a teraz ta niemiecka superarmia mknęła na szybkich maszynach, prawie bez kontaktu żołnierskiego buta z ziemią.

Czoło ofensywy było już daleko na wschodzie. Wilno zostało na tyłach, Wilno ogołoczone z dóbr materialnych, ale przede wszystkim z ludzi. Sowiecki wywóz „republikański”, rozpoczęty na tydzień przed wybuchem wojny, ogołocił Litwę również z taboru kolejowego. Wypchanie wielkiej ilości tego taboru daleko na wschód w przeddzień wojny odbiło się na ewakuacji sowieckiej i na działaniach wojennych, bo chociaż brakło wagonów dla wojska i dla instytucji, to jednak starczyło dla wywiezienia więźniów, które według pojęć sowieckich musiały być ewakuowane w pierwszej kolejności. Więzienie Łukiskie w ostatniej chwili zostało załadowane do czterech pociągów. Trzy z nich władze sowieckie zdołały wyprowadzić na wschód, czwarty utknął na stacji towarowej w Wilnie z braku parowozu i w ten sposób ocalał. Wydostało się z niego wielu moich znajomych.

Tymczasem w Wilnie dawała się już odczuwać organizacyjna

aktywność litewska. Wycofywano i wekslowano na inne tory tych, którzy w ciągu roku istnienia Sowieckiej Republiki Litewskiej wychylili się kompromitująco w stronę czerwoną. Sprawnie sadowiono się w pewnych kluczowych instytucjach i organizacjach spod znaku Pogoni litewskiej. W ciągu ubiegłego roku, Pogoń ta musiała ustąpić miejsca godłu państwowemu sporządzonemu według sowieckich standardów. Uchwycone zostały zwłaszcza sprawy gospodarcze, a również przy boku niemieckim sprawnie stanęła *Sauguma* — aparat bezpieczeństwa. Nastąpił nawrót do zamierzchłej już — w szybkim biegu wypadków — epoki smetonowskiej, mimo że sam Prezydent Smetona wycofał się w bezpieczne miejsce, do Stanów Zjednoczonych, inaczej niż prezydenci Łotwy i Estonii, którzy w krytycznym dniu 15 czerwca 1940 roku pozostali na miejscu i zapłacili za to najpierw wolnością, a potem życiem.

W Wodociągach nowy okres rozpoczął się od uroczystego odśpiewania *Lietuva tevyne musu* (który to hymn narodowy musiał w ubiegłym roku ustąpić miejsca *Międzynarodówce*) i zniknięcia (uprowadzenia? aresztowania? zamordowania?) paru pracowników Żydów. Wkrótce potem zwolniono z pracy szereg pracowników Polaków — i mnie w tej liczbie. Patrząc okiem fachowca a nie nacjonalisty, dbałego o utrzymanie polskiego stanu posiadania, nie mogę mieć o to pretensji, bo rzeczywiście personel Wodociągów był rozbudowany z sowieckim rozmachem ponad miarę istotnych potrzeb technicznych.

Mimo supremacji litewskiej w Wilnie zaczęło wychodzić pismo polskie *Goniec Codzienny*. Była to gadzinówka niemiecka, na podobieństwo wychodzącego w Warszawie *Nowego Kuriera Warszawskiego*. Nasz *Goniec* niewiele różnił się ogólnym charakterem od swej starszej o rok siostry, *Prawdy Wileńskiej*, którą dla odróżnienia można by nazwać judaszówką sowiecką. Jednocześnie wszystkie te pisma były potrzebne. *Goniec* przezywano *Pogońcem*, ale czytano — czasem między wierszami. Polak w wieku XX-tym nie może obejść się bez rudymen tarnej informacji prasowej.

Bezrobocie moje nie trwało długo. Już po paru tygodniach zostałem zaangażowany do pracy przez spotkanego przypadkowo inżyniera Jacewicza. Była to osobistość znana w wileńskim świątku technicznym przede wszystkim ze swej obrotności.

Inż. Jacewicz w ciężkim okresie wojennym umyślił założyć Zarząd Stawów Rybnych, co w języku naszych germańskich władców miało nosić nazwę *Teichabteilung*.

Idea była praktyczna. Po roku upaństwowienia większej włas-

ności rolnej, do której należała większość stawów rybnych na Wileńszczyźnie, te urządzenia wodne, wymagające nieraz fachowej i starannej obsługi były w stanie dewastacji. Nie wiem w jaki sposób porozumiał się z niemiecką administracją okupacyjną, dość tego, że jego *Teichabteilung* nabierała właśnie rumieńców życia.

Rumieńce były tym żywsze, że dla swego tworu inż. Jacewicz znalazł całkiem niezwykłą lokalizację, mianowicie u podnóża Góry Zamkowej, na skraju parku zwanego z wileńską bezpretensjonalnością Cielętnikiem, wznosił się pałacyk, który najstarsi wilnianie, sięgający myślą do czasów sprzed Pierwszej Wojny Światowej, pamiętają jako „pałacyk Rennenkampfa”. Nazwisko to wówczas mówiło niewiele, ale nabrało rozgłosu zaraz na początku Pierwszej Wojny Światowej, kiedy to ofensywa rosyjska na Prusy Wschodnie w jesieni 1914 roku dowodzona przez generałów Rennenkampfa i Samsonowa, doznała druzgoczącej klęski w starciu z korpusem niemieckim, dowodzonym przez generała (potem feldmarszałka) von Hindenburga.

Po wojnie, w czasach polskich, odosobniony, starannie utrzymany pałacyk dalej pachniał z daleka wojskiem. Podkreślały to barwnie rozmalowane budki szyldwachów i wojskowe limuzyny wysokiego szczebla u podjazdu. Mieścił się tam Inspektorat Armii. Pałacyk był z reguły siedzibą najwyższego rangą wojskowego w Wilnie. Rezydowali tam kolejno generałowie Kona-rzewski, Rydz-Śmigły, Norwid-Neugebauer, a przed Drugą Wojną Światową gen. Dąb-Biernacki. Można by tę budowlę nazwać wileńskim Belwederem.

Nie mieli jednak sukcesu ci, którzy spod tego dachu wyszli po sławę wojenną. Jeżeli wzlecieli na skrzydłach historii, to w sensie negatywnym. Klęska, którą poniosła polska armia PRUSY, dowodzona przez gen. Dąb-Biernackiego w kampanii wrześniowej, nie ustępowała wcześniejszej, równo o ćwierć wieku, klęsce gen. Rennenkampfa na Jeziorach Mazurskich.

Jako rdzenny wilnianin znałem doskonale pałacyk od zewnątrz, od czasów dzieciennych zabaw w Cielętniku, ale noga moja nie postąpiła nigdy w jego ekskluzywnym wnętrzu, mimo że o paręset metrów dalej, nad Wilią, u podnóża tejże Góry Zamkowej wydeptałem wszystkie ścieżki w moich koszarach 3 Pułku Saperów.

Teraz te wyniosłe komnaty otwarły się przed inżynierem Jacewiczem, który wkroczył w nie na czele swego *Teichabteilung* i rozpoczął działalność nie krępując się ani dysproporcją swych skromnych zamierzeń w porównaniu z monumentalnością lokalizacji, ani też swej bardzo słabej niemczyzny.

Formalnie pałacyk zajęty był przez *Gebietskommissariat*

Wilna-Land. W jaki sposób do tej instytucji administracji ogólnej zostały doczepione stawy rybne — zostaje tajemnicą obrotności inż. Jacewicza. Rzecz dawała dobre wyniki praktyczne. Samo stworzenie i utrzymanie, w instytucji niemieckiej, czysto polskiej, autonomicznej komórki technicznej, złożonej z kilkunastu osób, miało specjalną wartość w Wilnie, spenetrowanym już i obsadzonym przez zapobiegliwość litewską. Organizacje i instytucje litewskie naturalnie zatrudniały również Polaków, ale w swoich własnych ramach. My byliśmy w innym położeniu.

Z czasem zaczęliśmy nawet występować w pewnych funkcjach nadrzędnych, w stosunku do litewskich instytucji rolniczych. Zjawialiśmy się tam zaopatrzeni w niemieckie upoważnienia, zawierające oficjalne zwroty, takie jak *Bericht erstatten* czy *Rechen-schaft ablegen*.

Roboty remontowe gospodarstw rybnych w bliższym wileńskim rejonie rozpoczęliśmy przy pomocy jeńców. Zetknąłem się wtedy bliżej z dawnym więzieniem wojskowym na Antokolu (mieszczącym się od czasów carskich w historycznym pałacu Słuszków nad Wilią), obecnie zamienionym na obóz jeńców sowieckich. Zajeżdżaliśmy tam ciężarówkami dostarczonymi przez *Herreskraftfahrpark* (HKP). Ta świeżo powstała instytucja okupacyjna, później szeroko znana w Wilnie, mieściła się przy ul. Holendernia na Antokolu.

Widok był straszny. Dla jeńca zamkniętego w otchłani głodu, jakim był ten *Kriegsgefangenenlager*, wyrwanie się na zewnątrz, pod jakimkolwiek pozorem, choćby na parę godzin, stanowiło olbrzymią stawkę. Kiedy otwierano obite drutem kolczastym wrota, za nimi stał przepychający się tłum, złożony z kilkuset ludzi. Z dziesiątek rosnących żołnierzy niemieckich walił wielkimi nahajkami, jak cepami w zwartą ścianę ludzką we wrotach. Wyglądało to groźnie, ale nie przyczyniało zapewne cięższych uszkodzeń cielesnych przez grube sołdackie szynele, które nosili prawie wszyscy jeńcy mimo ciepłej pory roku (*omnia mea mecum porto*). Przez grad razów silniejsi przerywali się naprzód, często zginając się do ziemi i osłaniając głowy. Przed samym zamknięciem wrót dochodziło do akrobatycznych przemknień przez zwierające się odrzwia. Charakterystyczne jest, że po załadowaniu się na ciężarówkę, niektórzy jeńcy chcieli przede wszystkim palić, na drugim miejscu stawiając jedzenie. Wydostanie nieco machorki było pierwszym zadaniem dla nas — budowniczych stawów rybnych.

Z czasem sposób pobierania jeńców na robotę uporządkował się i nie miał aż tak rozdzierającego aspektu.

Dalsze nasze zadanie, czyli zdobywanie jedzenia, też dawało się zorganizować na miejscu robót. Pamiętam daleki wyjazd aż

za Podbrodzie, do majątku Orniany. Starania o dobry obiad dla jeńców dały wynik przekraczający moje oczekiwania. Kartofli, chleba, mleka, ogórków, owoców było pod dostatkiem, mięsa nie było, ale pewna omasta się znalazła. Jeńcom oddano jakieś beapańskie poletko ziemniaków, które w mig przekopali. Żaden nie ruszył w drogę powrotną bez wypchanego węzełka, z wyjątkiem może jednego — ten uciekł, wyskakując w biegu z ciężarówką, na zakręcie drogi, w podszytym lesie. Był to młody, szczupły chłopak, przypuszczalnie przytający oficer. Ocenilem z uznaniem jego fizyczną sprawność, a zwłaszcza jego bystry wybór miejsca skoku: przypuszczalnie od razu cofnął się w krzakach za zakręt i przerzucił się na przeciwną stronę drogi, gdzie nikt go nie gonił. Strzały oddane przez konwój miały charakter formalny. Zapamiętałem sobie tę ucieczkę, jako naukę życiową na przyszłość.

Kiedy nazajutrz zjawiłem się na Antokołu po moich jeńców, otrzymałem już innych ludzi — tamci wszyscy rozchorowali się, podobno kilku zmarło.

Wożenie jeńców samochodami na dość dalekie obiekty było bardzo nieekonomiczne, a wynikające stąd rachunki wystawiane przez *Heereskraftfahrpark* — niepomiernie wysokie. Trzeba było przejść na inny system. Zaczęliśmy tworzyć małe obozy jeńców przy obiektach robót.

W tym trybie stałem się budowniczym obozu jeńców niedaleko od Turgiel, w majątku Andrzejewszczyzna, należącym do gen. Żeligowskiego. Na pomieszczenie jenieckie zająłem część dworu. Pomieszczenie trzeba było dostosować do niemieckich przepisów o jeńcach. Z przykrością dewastowałem przez różne prowizoryczne przeróbki siedlisko ukochanego przez Wilno generała. Wilno pamiętało dzień 9 października 1920 roku, kiedy dowodzona przez niego Litewsko-Białoruska Dywizja zajęła miasto, przekazane przez bolszewików Litwie Kowieńskiej, co dało początek tzw. *Litwie Środkowej*. Działania gen. Żeligowskiego były pogwałceniem tzw. Umowy Suwalskiej, zawartej przez Polskę z Litwą Kowieńską. Jednak to wiarołomstwo polityczne przywracało sprawiedliwy stan rzeczy. Wilno było przecie do gruntu polskie. Było więc to *beatum scelus*.

Z jeszcze większą przykrością spotykałem we dworze pijanych Litwinów z zarządu gminy w Turgielach, którzy wylewnie demonstrowali swą satysfakcję wypicia butelki *degtine* w jadalni potwora, jakim był w ich mniemaniu, gen. Żeligowski.

Kilkudziesięciu jeńców — wszyscy z Leningradu — przebyło tu parę zacisznych miesięcy. Z gminy wydestałem dla nich kartki żywnościowe, co stanowiło skromne źródło wyżywienia ale dawało pewną ilość tłuszczu. Kartofle były w majątku. Stale pró-

bowałem w kuchni dość gęstej zupy kartoflano-jarzynowej gotowanej na obiad — nie była najgorsza, choć postna. Położenie polepszyło się dopiero w listopadzie, kiedy ludność miejscowa zaczęła pozbywać się przed zimą różnych przybłąkanych koni wojskowych. Kilka takich chabet trafiło do kotłów jenieckich.

Opieka lekarska była zapewniona przez mieszkającego w Turgielach lekarza Rosjanina, dr. Pietuchowa, który jednocześnie wywierał pewien wpływ religijny na swoich rodaków za drutami.

Konwój złożony z jakiegoś starszego landszturmu odnosił się do jeńców poprawnie. Późną jesienią dwóch jeńców uciekło, co wzbudziło mój niepokój, ale nie wyprowadziło z równowagi konwoju. Po paru dniach jeńcy wrócili, dźwigając spore sakwy żywności — chodzili po okolicy jako kwestarze obozu.

Zimą obóz zwinięto, gdyż centralny *Kriegsgefangenenlager* w Wilnie na Antokolu zażądał zwrotu jeńców. Kiedy ich tam odwiozłem, nie było już tam tego stłoczenia, które widziałem w lecie. Silne zmniejszenie ilości jeńców wynikało zapewne z dużej ich śmiertelności głodowej. A nie był to przecie obóz najgorszy, jeden z tych, gdzie napisy głosiły *Kannibalismus wird mit dem Tode bestraft*.

Ci, których teraz zwracałem, przywozili swoje bogactwo nie w workach czy tobołkach, ale w samych sobie: byli dobrze odżywieni. Potem spotykałem niektórych z nich na ulicy, uzbrojonych, w mundurach jakiejś pomocniczej formacji, stanowiącej konwój łagru antokolskiego. Moja dbałość o wyżywienie jeńców w Andrzejewszczyźnie przysporzyła teraz Wehrmachtowi kilkudziesięciu ludzi, co na pewno nie było moim zamiarem.

Utrzymywanie w łonie *Gebietskommissariat*'u wydzielonej jednostki polskiej, zajętej hodowlą karpia czy linów było wyraźnym przeholowaniem. Aż prosiło się, by przerzucić nas do tzw. *Ostland*'u, czyli zarządu majątków upaństwowionych. Jeżeli rzecz ta odwlekała się z miesiąca na miesiąc, to działo się to dzięki talentom inż. Jacewicza, naszego szefa. Umiał on rozkręcić robotę i trzymać ją na wysokich obrotach, nawet jeśli koniunktura słabła. A właśnie ku zimie czuć było ogólne zwolnienie. Wojna przetoczyła się szybko na wschód, Wilno stanowiło dalekie tyły. *Gebietskommissariat* powołany latem, w tym cichym kraju, którego problemy nie miały na razie ostrości dla okupanta, teraz zapadał w drzemkę. Po pałacyku snuli się niemieccy urzędnicy, interesanci mieli raczej charakter prywatnych znajomych. Polskie maszyny siedziały przy zamkniętych maszynach, starając się nie akcentować swej bezczynności. Wszędzie czuć było postawę „na spocznij”.

Wszędzie, ale nie w *Teichabteilung*. Czasem któraś z osobis-

tości ubranych w brązowy mundur ze swastyką na rękawie stała w drzwiach, zaintrygowana szmerem arytmometrów i obrała wzrok pytający na inż. Jacewicza, uwijającego się wśród naszych uzbrojonych w suwaki logarytmiczne postaci, na tle ścian obwieszonych olbrzymimi planszami w ciszy zaaferowanej pracy, której autentyczność była niewątpliwa.

— Herr Jacewicz, was machen Sie hier?

— Co robię? Oto plany zarybienia, tam obliczenia hydrologiczne, tu projekty obwołań, a tam znów kalkulacja kosztów, odniesiona do... Brak mi personelu na opracowanie gospodarki rybnej głównych jezior litewskich, takich jak Duś i Malaty a także Jezior Braślawskich...

Maszynistki z innych wydziałów, krępujące się wypełniać czas robótkami szydełkowymi, obrzucały inż. Jacewicza przeciągłym spojrzeniem...

— Pani bez pracy? Niech pani przepisze dla *Teichabteilung* tę ewidencję... a potem tabelę wydatków...

Wczesną wiosną (był to już rok 1942) inż. Jacewicz zabrał mnie ze sobą do majątku Świeńiec w gminie Wielkie Soleczniki. Stanowił on poprzednio własność gen. Konarzewskiego. Chodziło o to, że w drodze jakichś odgórnych pertaktacji, Litwa miała się właśnie powiększyć o gminę Wielkie Soleczniki, a wobec tego *Teichabteilung* był zainteresowany dużym gospodarstwem rybnym w pogeneralskim majątku, należącym obecnie wprawdzie do *Ostland*'u białoruskiego, ale administrowanym przez syna gen. Konarzewskiego. Sytuacja ta była typowa dla tamtych stron. *Ostland* na Białorusi był polski, a dawni właściciele majątków byli często administratorami swych niedawnych własności, co niewiele zmieniło poprzedni stan rzeczy.

Inaczej wyglądało to w Litwie, gdzie *Ostland* był opanowany przez inny żywioł i mało kto siedział na swoim. Toteż Wielkie Soleczniki bynajmniej nie pragnęły zamiany *Ostland*'u B na *Ostland* L. Decyzja odgórna tylko z wielkim trudem dawała się zrealizować. Kilkakrotnie ekspedycje litewskie, wyposażone w dokumenty i wspierane przez policję litewską zjawiały się w Solecznikach, ale za każdym razem zastawały budynek gminny opustoszały i zamknięty na głucho — wycofywały się wśród docinków gapiów, dogadujących, że widocznie Wilno Litwie nie wystarcza, skoro dobija się o Załamankę na stolicę. Załamanka była to skromna wioseczka przy trakcie wileńskim, która wcale nie była winna temu, że nazwę miała nieco humorystyczną.

Skoro zatem po odwiedzeniu stawów w Świeńcu, zjawiliśmy się w *Ostland*'zie w Wielkich Solecznikach, zastaliśmy tam sce-

nerię dokładnie wyreżyserowaną przez rękę polską. Kilku opasłych *Treuhänder*ów czekało już na nas w gabinecie. Rozmowa była równie krótka, jak gwałtowna. Wprawdzie nie przyczyniono się do przyspieszonego przebycia przez nas schodów, ale i bez tego, z własnej inicjatywy, poruszaliśmy się dość szybko i z ulgą dosięgliśmy naszego samochodu, czekającego opodal. Jednocześnie przerzucaliśmy się figlarnymi spojrzeciami, gdyż konfuzji naszej nie braliśmy *ad personam*, ale uważaliśmy ją za skierowaną przeciw administracji litewskiej, którą w tej sytuacji wbrew woli — reprezentowaliśmy.

Ostatecznie nie wiem, na czym stało w Wielkich Solecznikach. W rok potem te ciche strony, przyległe do Puszczy Rudnickiej, zaczynały już się broczyć krwią partyzancką i nikomu nie było w głowie, komu Załamanka przypadła na stolicę.

Minęło jeszcze trochę czasu. *Teichabteilung* utracił tę przewagę, jaką dawała mu lokalizacja w pałacyku u podnóża Góry Zamkowej. Przeniesiony gdzieś do miasta, zaflancowny na jakiejś litewskiej grzędzie, był już nie ten sam. Jeszcze przedtem umknąłem z niego. Miałem już inne zainteresowania, trudne do pogodzenia z regularną pracą. A z drugiej strony położenie rolnika gospodarzącego na dwóch działkach podmiejskich (Ponaryszki i Tartak-Saraj) dawało mi dostateczne pokrycie w *Arbeitsamt*'cie przed wywozem na roboty do Niemiec.

W DNIACH SPEŁNIENIA PROROCTW

Dzieje trzyletniego prześladowania Żydów w Wilnie podczas okupacji niemieckiej znajdują niewątpliwie swoich najbardziej kompetentnych historyków wśród tych, którzy ocalili z pogromu. Łagodne słowo „pogrom” używane przed Pierwszą Wojną Światową, nie oddaje tu oczywiście istoty rzeczy. Należałoby mówić o tych, którzy ocalili z eksterminacji.

Jeszcze za czasów bolszewickich poznałem młodego Żyda nazwiskiem Elias Baran. Znajomość początkowo miała charakter raczej zdawkowy: był to syn solidnego wileńskiego kupca drzewnego Owsieja Barana, którego widywałem często w naszym domu, jako klienta mego ojca. Rodziców moich łączyła z nim pewna zażyłość.

Po wejściu Niemców w czerwcu 1941 roku uważałem za swój obowiązek okazać pewną pomoc rodzinie Baranów, zabierając do siebie na przechowanie część ich rzeczy. Perspektywy ludności żydowskiej pod niemieckim reżymem malowały się czarno, a rzeczywistość okazała się wkrótce dużo czarniejsza, niż wszelkie początkowe oczekiwania. Wtedy to właśnie przyjrzałem się bliżej młodemu Baranowi i jego żonie.

Mój nowy znajomy prezentował się okazale. Był to wysoki, niespełna trzydziestoletni mężczyzna o wyglądzie atletycznym. Na zewnątrz emanował z niego ów spokój, który zwykle cechuje ludzi rośłych, zdrowych i fizycznie silnych.

W owym czasie, latem i jesienią 1941 roku Żydzi w Wilnie dzielili się przede wszystkim na „podobnych” i „niepodobnych”, na tych, których żydowskość widoczna była od razu z rysów twarzy, lub z wymowy i na mających wygląd aryjski. Rzut oka, którym witało się każdą nowospotkaną żydowską twarz, był owym uważnym, badawczym spojrzeniem, zaliczającym dany egzemplarz

ludzki do jednej z tych dwóch kategorii. Tylko ten podział liczył się, wszystko inne — to były cechy uboczne.

Wszyscy, którzy przykładali to taksujące spojrzenie do twarzy Barana — odejmowali je z uczuciem podziwu i uznania. Mało powiedzieć, że był „niepodobny”, był bardziej aryjski od przeciętnego aryjczyka. Ci, którzy potem znali go przez dłuższy czas jako Polaka — byli zdumieni, dowiadując się w końcu, że jest Żydem.

Już sam wygląd zewnętrzny dawał Baranowi ogromne atuty w tym dramatycznym okresie. Jeżeli do tego dodać inteligencję, spryt, odwagę, zimną krew i ogromną siłę fizyczną, to zrozumiałe stanie się, że był on w tej chwili faworytem losu, że setki ludzi patrzyły na niego z zazdrością. Kto jak kto, ale on miał szanse przetrwania wszystkiego.

A przetrwać nie było łatwo.

Na zewnątrz wszystko było w porządku, miasto mało ucierpiało od bomb i szybko wróciło do normalnego wyglądu. Przygodny podróżny przejeżdżający w tym czasie przez Wilno, mógłby nie zauważyć, że znajduje się w mieście śmierci. Wielkie wykopy na Ponarach zapełniały się trupami dziesiątków tysięcy Żydów mordowanych przez Litwinów, na przedmieściach Niemcy zakopywali wyschnięte ciała tysięcy sowieckich jeńców zagłodzonych na śmierć w obozach. Ulicami przeciągały wielkie karawany śmierci — pochody Żydów pędzonych z getta na Łukiszki i kolumny wygłodniałych kościotrupów w szynelach, rzucających się, jak zwierzęta na ogryzki jabłek i niedopałki papierosów.

Martyrologia Żydów zaczęła się zaraz po wejściu Niemców od szeregu zarządzeń antysemickich nie stanowiących dla nikogo niespodzianki, takich jak zakaz chodzenia chodnikami, przymus noszenia żółtych łat, zakaz poruszania się po głównych ulicach miasta. To był wstęp. Jednocześnie wyłapano na ulicach kilkanaście tysięcy mężczyzn dla wysłania ich „na roboty”. Wtedy jeszcze nie wiadomo, że roboty te kończyły się zaraz za miastem pod kulami litewskich karabinów maszynowych i długi czas spodziewano się otrzymać wiadomości z dalekich „obozów pracy”, do których tych ludzi rzekomo wywieziono. Równocześnie rozstrzelano po kilkuset Żydów z byle powodu istotnego, lub sfingowanego.

Następnym stadium było getto, w którym stłoczono na małej przestrzeni 70 tys. Żydów z Wilna i okolic, pozwalając im zabrać tylko tyle swego mienia, ile zdołają unieść. Część Żydów trafiła do getta przez więzienie Łukiskie.

W ciągu paru dni jezdnie miasta były zapchane tłumami objuczonych, jak wielbłądy postaci, które szły, wlokły się, ciągnęły

swoje toboły po bruku. Obok kordon rosnących litewskich policjantów w zielonych mundurach. Zdarzało się, że któryś z nich, upatrzywszy sobie właściciela obiecującej walizki, który, obciążony, nie nadążał za kolumną, tak długo tłukł dźwigającego kolbą, walił nahajem, aż go zmusił do porzucenia na ulicy nadmiernego ciężaru. Wtedy z boku wysuwał się cywil-wspólnik i łakomy kasek zniknął, szybko unoszony szedł do podziąłu.

Zanim jeszcze getto zostało utworzone, zaczęły nadchodzić wieści o całkowitej likwidacji Żydów w Litwie rdzennej. W długim szeregu miast i miasteczek rzeź była tak kompletna, że tylko pojedyncze jednostki mogły się uratować. Po kilku tygodniach Żydzi przestali istnieć w Litwie właściwej, z wyjątkiem Kowna i Szawel, gdzie zostało ich po kilka tysięcy w doraźnie utworzonych gettach. Przychodziła kolej na Wilno i okręg wileński.

Skoro getto zostało już skompletowane, rozpoczęła się właściwa jego likwidacja, przeprowadzona przez Gestapo w sposób sprawny, celowy i godny renomy narodu organizatorów. Kilka tysięcy mężczyzn w sile wieku zostało zatrudnionych jako robotnicy w różnych zakładach i instytucjach, przeważnie wojskowych. Tym pewnego dnia wręczono tzw. „żółte szejny” czyli „szejny na życie” i wypuszczono ich z getta na miasto, pozwalając zabrać najbliższe rodziny. Reszta, sfloczona w okrażonej murami, obstawionej przez Litwinów, dzielnicy starego miasta stanowiącej getto — została.

Wówczas to rozpoczęły się pamiętne pochody. Parotysięczne grupy Żydów uformowane w długie kolumny i gęsto eskortowane, przepędzono z getta na Łukiszki, skąd stopniowo samochody wywoziły tę miazgę ludzką na złowrogie Ponary, których wtedy jeszcze nie zaćmiła sława Oświęcimia, Treblinki i Majdanka. Tam specjalne oddziały litewskie, spojne wódką, ożywione nadzieją łupu, przystępowały do roboty. Z tej to epoki pochodzi przydomek „Strzelcy Ponarscy”, który przyłgnął do Litwinów na określenie ich oddziałów wojskowych. Obywało się bez wyrefinowanych urządzeń stosowanych potem w innych *Vernichtungslager*'ach — komór gazowych i prądu elektrycznego. Wystarczały zwykłe kule. Czasem ktoś żywy zdołał przytaić się między trupami, doczekać zmroku, a potem wypełznąć za druty i... wrócić do getta.

Widywałem takie pochody w dzień, słyszałem je w nocy. Jeden z nich, w pierwszych dniach września był tak duży, że ciągnął się przez całe miasto: czoło wchodziło już na Łukiszki, kiedy koniec jeszcze nie wyszedł z getta. Składał się przeważnie z kobiet, dzieci i starców, ale można było również widzieć pewną ilość młodych mężczyzn. Cały ten tłum szedł dźwigając swoje

tobołki, ciągnąc po „kocich łbach” podrygujące wózki dziecinne, prowadząc chorych i niedołącznych. Uderzające było, że wszystko to odbywało się w zupełnej ciszy, tak niezwyklej u Żydów. Słychać było tylko szuranie niezliczonych nóg po kamieniach bruku i, gdzieniegdzie, krzyki pogubionych dzieci, które biegały bezładnie wśród kolumny. W pewnej chwili, tam gdzie ulica skręcała już bez żadnej wątpliwości w kierunku Łukiszek — rozległ się płacz. Cały wielki tłum płakał cichym, zrezygnowanym łkaniem, w którym nie było już buntu.

W końcu września getto liczyło już tylko 20 zamiast niedawnych 70 tysięcy mieszkańców. W tej liczbie było kilka tysięcy „żyjących nielegalnie”, którzy zdołali przechować się w piwnicach, kanałach, zamaskowanych pokojach i innych skrytkach w starych murach gettowych, unikając w ten sposób Ponar.

Społeczeństwo żydowskie, które utworzyło się po wielkich rzeziach jesiennych, dość szybko przystąpiło do pracy wewnątrz getta, wytworzyło własną organizację samorządową i gospodarczą — słowem zaczęło żyć nowym, specyficznym życiem. Życiem, którego myślą przewodnią było to, że skazane jest ono na śmierć: nie ulegało wątpliwości, że getto prędzej, czy później będzie zlikwidowane.



W tej nabrzmiałej tragedii epoce szerokie bary i potężne łokcie Barana stawiały go w pierwszym szeregu tych, dla których były przeznaczone „żółte szejny”. Na własnych plecach przeniósł do getta dużą część swoich rzeczy, pracował w magazynach wojskowych — i podobał mi się coraz bardziej.

Przede wszystkim nie tracił głowy. Już po kilku miesiącach wytworzył się nowy typ Żyda przystosowanego do sytuacji, ale w tym właśnie czasie, w sierpniu i wrześniu 1941 roku nie można było prawie znaleźć człowieka zrównoważonego w tym zbiorowisku okaleczających rodzin, zrozpaczonych kobiet, potrąconych dzieci, starców gubiących się w mistycyzmie i fatalizmie, osobników, u których, dziwnym tokiem procesów psychicznych, rozpacz i upokorzenie pojawiały się w specyficznym nachalstwie żydowskim. Na tle tego wszystkiego atletyczny blondyn był oazą spokoju, rozsądku i dobrej orientacji. Jego żywotność czuwała, by każdą z szans ocalenia uruchomić w porę i wyssać do końca.

Miał je ogromne — ale tylko on sam. Nie mógł swego wyglądu, ani swojej siły przenieść na innych i to stanowiło jego słabość. Ci inni — to była żona i dziecko. Gdyby nie oni, getto byłoby dla niego czczą formalnością. Mógłby wytrzasnąć aryjskie

dokumenty, zamieszkać w mieście lub gdzieś na prowincji i czekać końca wojny.

Dziecko nie stanowiło tu zbyt twardego orzecha. Był to wprawdzie chłopak, co utrudniało nieco jego przebywanie poza gettem, jako że był „oceanowany” (że użyje fachowego określenia tamtej epoki). Dziewczynki uważane były za łatwiejsze do manipulowania w tej sytuacji. Mimo to ja sam mogłem podjąć się załatwienia sprawy. Kilkuletnie dziecko — to nie zagadnienie dla ludzi mających nieco oleju w głowie. Usunięcie jego z getta było konieczne, by nie obciążało rodziców w stanowczej chwili, która mogła nadejść.

Pozostawała żona. Znałem ją przedtem, a teraz w duchu uważałem tę kobietę za skazaną na śmierć. To nic, że miała najpiękniejsze w Wilnie oczy. To nic, że stanowiła produkt starej rasy, na który złożył się szereg patrycjuszowskich pokoleń w Europie i zasnuty mgłami oddaleń ciąg „trzystu przodków” pod wschodnim niebem. Teraz była skazana na śmierć — była „podobna”. Liczył się tylko ten podział.

Była skazana w myśli na śmierć przeze mnie, a zapewne również przez samą siebie — ale nie przez męża. Ten nie dopuszczał najmniejszego rozróżnienia między sobą a nią, gdy chodziło o dostęp do życia. Nie istniała dla niego ta najbardziej oczywista z perspektyw, że on ocaleje, a ona zginie. Przenosił na nią całkowicie swoją mocną wiarę, że zdoła się przebić. Nie rozumiał innego ocalenia, niż z nią.

Bywali wówczas ludzie, którzy zamykali się na lata w jakiejś zamaskowanej klitce i tam bytowali w sposób nieomal roślinny. Taka „melina absolutna” nie była możliwa dla „mimozy”. Jej mąż orzekał, że nie posiada ona na to dostatecznej odporności psychicznej. Pozostawało zdać się na jego mięśnie i nerwy w razie konieczności ucieczki z getta, a póki co zająć w nim możliwie mocną pozycję, jaką dawała praca w którejś z niemieckich instytucji wojskowych.

Pracował tedy w magazynach wojskowych i to bardzo interesujących — w tzw. *Beutesammelstelle* czyli w składnicach zdobyczy wojennej. Ogromne ilości wszelkich materiałów wojskowych pozostawili w kraju bolszewicy wycofujący się na łeb, na szyję. Do zakresu pracy atletycznego blondyna w tym czasie należało — rozbrajanie armii litewskiej. Zasadniczo Niemcy rozbroili litewskie siły zbrojne jako wchodzące w skład armii sowieckiej, z wyjątkiem formacyj, które objęły funkcje policyjne lub pomocnicze (np. „Strzelcy Ponarscy”). To te rozbrajane oddziały zjawiały się w magazynach, gdzie składały broń praktycznie na ręce pracujących tam Żydów. Do tej samej jednostki gospodar-

czej należały wielkie składy wojskowe w Burbiszkach pod Wilnem, stanowiące centralę amunicji wszelkiego rodzaju i materiałów wybuchowych. Wszystko to były rzeczy, na które szeroko otwierałem uszy, ale początkowo bynajmniej nie miałem zamiaru nawiązywać z Baranem jakiejś zbyt daleko idącej współpracy. Do tej pory moje stosunki z Żydami były zawsze poprawne, ale bardzo dalekie od zaufania. Byłem nasiąknięty przesadną ostrożnością, toteż dużo czasu minęło, zanim puściłem z siebie farbę. Tymczasem Baran przeniósł się do magazynów saperskich koło mostu Raduńskiego, gdzie nie miał bezpośredniego kontaktu z bronią.

Planowo i systematycznie przystąpił do rozprzedaży składów saperskich. Zawierały one wiele artykułów nie tak fascynujących, jak broń i amunicja, ale za to poszukiwanych w handlu: łopaty, siekiery, piły różnych rodzajów, gwoździe, skórzane pasy transmisyjne, guma podeszwowa. Ten z gruntu uczciwy człowiek okazał się utalentowanym złodziejem na większą skalę. Stosował on pewien system w swoich czynnościach: przeprowadził inwentaryzację zawartości magazynów, określił, co może być ukradzione, a co ma pozostać i pilnował, by podział ten był szanowany przez jego różnych niesfornych współplemieńców, wreszcie prowadził statystykę tego, co sam już ukradł. Uderzające były nie wyniki ilościowe, ale sposób w jaki Baran brał się do rzeczy w czasie, kiedy dookoła wszelka energia i przedsiębiorczość zamarły w kleszczach terroru, kiedy każdy fałszywy krok groził śmiercią. Była w nim wrodzona skłonność do ryzyka, pewność oka, umiejętność błyskawicznego łapania sytuacji na gorąco. Kiedy windował przez płot ciężkie toboły, lub nieomylnie chwycił moment przejścia przez bramę, od której właśnie odwrócił się wartownik — widać było, że jest w swoim żywiole, że robi to z pewną fantazją.

To budziło zaufanie. To dawało mi niejasne przeczucie, że warto jest stawiać na tego człowieka. Stanowił pewne odkrycie, odkrycie egzotyczne, ale tym bardziej pociągające. A jednocześnie było w jego sposobie bycia coś z dumy *gentleman'a*, który budzi poszanowanie tym, że przede wszystkim szanuje samego siebie — to rzucało się w oczy zwłaszcza w jego trudnych stosunkach z Niemcami. Nawet w najbardziej obdartym ubraniu robotniczym emanowała z niego pewna pańskość. W odniesieniu do swego środowiska bywał często impulsywny i brutalny. Zarazem znać w nim było człowieka wykształconego, czytanego, znającego języki, obdarzonego ostrym dowcipem — rozmowa z nim była przyjemnością.

W krótkim czasie był już nieźle zagospodarowany na swoim nowym miejscu: w sąsiedztwie magazynów miał własną melinę

w domku miejscowego kolejarza. Tam w porze przerwy obiadowej zdejmował robotniczą kurtkę z przypiętymi żółtymi łatami i rezydował w małym pokoiku — jadł tłusto omaszczone bliny, przyrządzone mu przez kolejarzową i przyjmował interesantów. Wymieniał swoje łupy przede wszystkim na żywność. Jego wielkie ciało potrzebowało dużej ilości paliwa; ze wszystkich plag wojny najwięcej obawiał się głodu. Oprócz żony i dziecka miał na utrzymaniu liczną rodzinę.

Należałem wówczas już do interesantów uprzewilejowanych. Zaczęło się od drobiazgów: zaproponowałem mu dostarczenie dla wojskowych celów konspiracyjnych pewnych materiałów technicznych ze swoich magazynów. Na początek poszły małe, poręczne szczypcy do cięcia drutu kolczastego. Chociaż nie była to broń — wydawało mi się celowe gromadzić te rzeczy z niejasną jeszcze myślą o przyszłości. Potem przyszła kolej na coraz to nowe artykuły: materiały opatrunkowe sowieckie i francuskie, wielkie kleszcze do żelaza, łopatkę wojskową, łomy, siekiery, niektóre saperskie przyrządy elektryczne. Jeszcze ważniejsze, niż te materiały były wiadomości o różnych magazynach w mieście, ich położeniu, zawartości, ochronie, itp.

Propozycja moja padła na grunt żyzny — Baran zgodził się na nią nie tylko z chęcią, ale nawet, jak mi się zdawało, z pewną ulgą. Niewątpliwie ówczesna atmosfera getta ciążyła mu i jako reakcji na nią potrzebował jakiejś szerszej zakrojonej pracy niż zdobywanie środków żywnościowych. Czy tylko to? Trudno ściśle określić pobudki, które nim powodowały. Potem, kiedy sprawa posuwała się coraz dalej, nieraz podkreślał, że czuje się dostatecznie lojalnym polskim obywatelem, by brać udział w polskiej akcji niepodległościowej. Trudno oczywiście przypisywać tylko lojalności — uczuciu o charakterze biernym — akty odwagi i poświęcenia na tej drodze, po której zapędził się daleko. Byłoby przesadą przypisywać to wszystko czynnemu polskiemu patriotyzmowi w jego czystej formie. Raczej działały tu dalsze pochodne patriotyzmu: jakieś związki kulturalne z polskością, rodzinne tradycje, jakieś nieuchwytny nici, które potrafiłaby pewnie wydatnić Orzeszkowa. Pomimo niebieskich oczu i jasnych włosów był Żydem tkwiącym głęboko w odwiecznych nawarstwieniach swej rasy. Chwilami gniewnie strząsał z siebie swoją żydowskość, lecz się jej przez to nie pozbywał.

Zaczęło się więc wyciąganie na różne sposoby nowych tobołków, tym razem o charakterze pozahandlowym. Coraz częściej bywałem w małym domku koło parowozowni, coraz dłużej trwały rozmowy w pokoiku za cienkim przepierzeniem, zza którego dochodził głos kolejarzowej i zapach bliń. Dla ostrożności mówi-

liśmy przeważnie po francusku: on — wplatając w dialog wyrażenia robotnicze, które przyswoił sobie w halach paryskich, ja — ową sztywną francuszczyzną tych, którzy poza lekturą niewiele stykają się z żywym językiem. Mimo, że nie chodziło tu o wielkie rzeczy, zachowywaliśmy wszelkie konspiracyjne ostrożności przy widywaniu się i komunikowaniu. Nawet swoich nazwisk nie używaliśmy. Ja nazywałem go z rosyjska Andrejem (Andréj — z akcentem na ostatniej sylabie), a on mnie z francuska panem Croix.

Chociaż wewnątrz magazynów Baran działał indywidualnie, to na zewnątrz płotów, po mojej stronie, zaczynała już występować pewna pomoc, którą na początek można by nazwać rodzinną czy koleżeńską. Chodziło po prostu o to, że byłem wtedy jeszcze skrępowany pracą w *Teichabteilung* i nie mogłem dowolnie dysponować czasem. Na spotkania z Andrejem przychodziła czasem moja żona Helena Krzyżanowska lub nasza szwagierka, Janina Cywińska. Panie te przybrały pseudonimy Perlica i Lisica. Występował również mój szkolny kolega Jan Wojciechowski — chemik i geolog.

Nadzór niemiecki w parku saperskim nie był zbyt ostry, tak, że rzecz wymagała dużej zręczności, ale nie heroizmu. Grubsze sztuki wędrowały po staremu przez płot. Andrej posiadał również zadziwiająca umiejętność chowania pod ubraniem różnych większych przedmiotów. Jego spodnie mieściły w sobie z łatwością kilka siekier, a kilka pił przyklepiało się do niego, jak plaster. Na drobne rzeczy, zwłaszcza na materiały sanitarne miał inną metodę: podchodził do bramy z wypchanym plecakiem i tam, na oczach wartownika wdawał się w rozmowę z przechodzącym niemieckim podoficerem po czym, wykorzystując zrobione przez to „dobre wrażenie”, wychodził za bramę w sposób *quasi-legalny*.

W ten sposób przerzuty postępowały różnie i trwały aż do zimy, kiedy nowy pomysł Andreja pociągnął nasze zainteresowania w inną stronę.

Przesiedlenie Żydów z miasta do getta odbywało się w warunkach takiego terroru, że wielu z nich w obawie rabunków, rewizji i konfiskat, nie zabierało ze sobą swoich kosztowności i pieniędzy. Niektórzy pozostawiali je w dawniej obmyślonych skrytkach po piwnicach i ogrodach, inni przed samym wypędzeniem z domów chowali w sposób partacki co się dało i gdzie się dało. Podczas zajmowania mieszkań żydowskich przez ludność chrześcijańską wytworzył się specjalny przemysł poszukiwania skarbów. Byli ludzie, którzy masowo wynajmowali takie mieszkania tylko po to, aby rozebrać w nich piece i zerwać podłogi.

W tej to interesującej branży mieliśmy zacząć pracować. Do

Andreja zwrócił się w getcie pewien właściciel skarbu, proponując spory procent za jego wydobywanie. Chodziło o około 200 rubli złotych, schowanych w ścianie za deską, w małym mieszkaniu przy ul. Kijowskiej Nr 4. Obiekt nie był duży, ale robota interesująca, toteż podjęliśmy się jej, umawiając się na 30 % od sumy zdobyczej. Sprawa poszła gładko. Moja żona wynajęła, jako sublokatorka, pokój w podanym mieszkaniu, po czym bez trudności rozpruliśmy w ustępie cienką ściankę z dykty, w której tkwiły złote piątki i dziesiątki, schowane pośpiesznie, jak się okazało w ostatniej chwili przed wyjściem właścicieli do getta. Zainkasowaliśmy za ten występ 60 rubli, szybko, łatwo i pewnie.

To pierwsze powodzenie dodało nam animuszu, a zarazem zrobiło Andrejowi pewną renomę w sferach „skarbowych”. Zaczęły napływać nowe zamówienia. Niektóre były mętne wobec tego, że ci, którzy bezpośrednio znali miejsce schowania, już nie żyli, a informacji udzielali jacyś dalsi krewni, znający skrytkę tylko z opisu. Wkrótce mieliśmy na warsztacie inne sprawy tzw. „piwniczne”, niektóre wyglądały całkiem pociągająco okazały się jednak żmudne, wymagały kilkakrotnego penetrowania piwnic, co nie zawsze było łatwe. Nie dawały wielkiego zysku, ale udało się je wykończyć całkowicie ku honorowi firmy.

Zarobek z tych żmudnych robót był niewielki, ale dawały mi one sporo zadowolenia. W ogóle, co tu mówić, polubiłem sprawy „skarbowe”. Oprócz zysku, dostarczały emocji ryzyka, wymagały inwencji, nie dawały się sprowadzić do żadnego szablonu — każda była inna, wymagała odrębnego opracowania. Prócz tego odczuwałem przy nich jeszcze jedną rozkosz — rozkosz uczciwości. Nieraz za dawnych, przedwojennych lat patrzyłem z łagodną ironią na nieskazitelną postawę moralną ludzi, którym nie pozostawało nic innego, jak uczciwość, którym nieuczciwość się nie opłacała. Nie sztuka być jak opoka, mając nad karkiem buchaltera, sędziego śledczego, prokuratora, policję, Izbę Kontroli i wiele innych czynników, które uprzytamniają potrzebę uczciwości w życiu. Teraz było inaczej. Zdani zostaliśmy na własne siły w chwilach pokusy.

Andrej darł w getcie skórę z naszych klientów, wymyślał im i okładał karnymi opłatami za bzdurne informacje, które utrudniały pracę: a zarazem odczuwaliśmy pańską przyjemność nieposiadania lepkich rąk, wyrzeczenia się łatwizny kilku nadprogramowych pięciurublowek, czy kolczyków, które same napraszały się do kieszeni.

Ku końcowi zimy zaczęliśmy odczuwać pewien kryzys — sezon „skarbowy” wyraźnie mijał. Ci, którym się śpieszyło, pozatławiali już sprawę w ten, czy inny sposób, najczęściej wchodząc

w spółkę z żołnierzami niemieckimi, którzy zjawiali się na miejscu i przeprowadzali rewizję „w poszukiwaniu ukrytej broni”. Inni, dysponujący zawczasu obmyślonymi skrytkami, nie musieli opróżniać ich na gorąco. Andrej nie mógł złapać żadnej grubej sprawy, która by za jednym zamachem postawiła nas na nogi — dotąd trafiały się wciąż okazje drugorzędne, przy których trzeba było zmusznie pracować i zadawała się niezbyt dużym procentem od mało imponującej sumy. Zresztą szczęście odwróciło się od nas.

Również w oficjalnym miejscu pracy Andreja odczuwało się zastój. Magazyny saperskie przy moście Raduńskim likwidowały się zwolna — obroty handlowe spadły. W końcu zostały tylko łopatkki wojskowe — artykuł mało pociągający, zarówno z militarnego, jak i z handlowego punktu widzenia. Cóż nam po tym, że było tego aż 50 tysięcy. Te zwały leżały w oczekiwaniu na geniusza, który by potrafił je ukraść i rozprzedać.

Rodzinną i koleżeńską grupką ludzi, stworzoną do „opieki” nad magazynami saperskimi przy moście Raduńskim również zapadała w drzemkę. Składała się z kilku osób: mój szwagier Tadeusz Cywiński (Puchała) a przy nim jego energiczna i obrotna żona Janina (Lisica) — która już wyprawiała się z nami po srebro żydowskie do piwnicy. Do pary z Lisicą moja żona Helena (Perlica). Przezorny i ostrożny Jan Wojciechowski (Kolarz), Lucjan Budkiewicz (Bogumił) i jego szwagierka Jadwiga Matusewicz (Barbara), wreszcie Andrzej Lisowski (Bobola).

W tym niemrawym i zamazanym stanie rzeczy nastąpiła moja podróż do Warszawy.

PRZYLOT DAIMONIONA

Nie pamiętam już, jaką drogą, zetknąłem się w Wilnie zimą 1941/42 z pewnym przybyszem z Warszawy, który szereg razy odwiedzał w owym czasie nasze miasto. Przyjazdy jego, otoczone pewną tajemniczością, wzmagaly ruch w miejscowej branży walutowo-bizuteryjnej. Był to przedstawiciel grubych obrotów warszawskich w tej dziedzinie. Występował w Wilnie jako inżynier Kubissa i zdaje się, że było to jego nazwisko autentyczne. Będąc pracownikiem warszawskiego przedsiębiorstwa elektrycznego, mającego oddziały na terenie *Ostland*'u, przekraczał służbowo granicę Generalnej Guberni zaopatrzonej w pomiarową aparaturę elektryczną, z której po przybyciu na miejsce i zdjęciu plomb wyłuskiwał pliki banknotów, a przed wyruszeniem w powrotną podróż — wkładał na to miejsce złoto i brylanty.

Któregoś dnia w końcu zimy spotkałem się z Kubissą w jego *pied à terre* przy ul. Kalwaryjskiej. Tym razem nie chodziło o „małe”, ani o „wielkie koła”, ale o „łepiek”. Wojna rzuciła daleko w głąb Litwy, aż na Żmudź, pewnego uchodźcę z Warszawy, którego rodzina robiła obecnie starania o jego powrót. Starania te, prowadzone *via* Generalna Gubernia i *Ostland* trwały długo i nie wróżyły sukcesu, toteż zdecydowano się dostarczyć krewniakowi zwykły, spekulancki *Durchlassschein*, którego sprokurowanie w Warszawie nie przedstawiało trudności. Kubissa przywiózł dokument do Wilna, ale nie miał ani czasu, ani ochoty puszcać się w podróż w te egzotyczne, bezdolarowe i bezbrylantowe okolice, jakimi były Możejki czy Telsze. Zaproponował zatem mnie dotarcie do serca Żmudzi i przyholowanie stamtąd delikwenta.

Zgodziłem się, ale zażądałem w zamian dokumentu, który by mi umożliwił dotarcie do Warszawy. Spekulanckie chody działały

sprawnie. Już nazajutrz miałem w kieszeni dwa bliźniacze, zielone *Durchlassschein'y* z pieczęciami warszawskimi: jeden dla mnie, drugi dla mego żmudzkiego klienta.

Po jakimś czasie, dużo później, Kubissa został aresztowany. Zdaje się, że został rozstrzelany.

Nastąpiło to jednak później, a w międzyczasie ja ruszyłem w głąb Litwy. Wczesną wiosną 1942 roku po paroletnim siedzeniu na miejscu i kręceniu się między Wilnem a Ponaryszkami, nawet taka podróż była przeżyciem. Poza tym była to moja pierwsza podróż na „lewych” dokumentach.

Wyruszyłem wyposażony w solidne futro, nowy kapelusz, i odpowiednie buty. Do tego nieco znajomości niemieckiego, wyniesionej z lat szkolnych i odnowionej w *Teichabteilung*. Wszystko szło gładko. W owym czasie w Litwie nie było widać ani cienia tego ducha oporu, który zaczął ujawniać się dużo później. Supremacja niemiecka była zupełna, wszystko, co niemieckie, otoczone było nimbem autorytetu. Moje *sprechen Sie deutsch?* podrywało bardzo skutecznie kasy biletowe na dworcach i zarządy hoteli. Używałem tego pytania, niczym pamiętny kapitan z Köpenick, który wszelkie sprawy rozpoczynał od słów: „Czy służyliście w wojsku?”. Mały dysonans wynikł w Szawlach: jakiś zgryźliwy *Bahnhofsoffizier* kręcił długo głową i zażądał dodatkowego zezwolenia na przejazd do Wilna z miejscowego *Gebietskommissariatu*. Udałem się tam bez entuzjazmu, ale nie było powodu do obaw. Młody, sympatyczny Niemczyk spoglądał na mnie naiwnie zza biurka.

— Wilna? *Wo ist das? Liegt das in Litauen?*

— *Ja, gewiss!* — zapewniłem go z zapałem, którego do tej pory nie wykazywałem w przyznawaniu Wilna Litwie.

Przyszło mi w końcu potknąć się na nadużywanej przeze mnie mowie *Herrenvolku*, która była dobra tam, gdzie jej dokładnie nie znano. W dużym majątku, do którego trafiłem późną nocą, żądając koni, stawiono przed moje oczy obudzonego administratora.

— *Sprechen Sie deutsch?*

— *Ja wohl!* — wyprężył się Litwin i zalał mnie potokiem najczystszej niemiecczyny. Przez kilka minut manipulowałem moim zapasem słów ale to się szybko załamało i prawie nie mogłem skleić zdania. Zaprzężono konie i odjechałem.

W miastach i miasteczkach zwracał uwagę zupełny brak Żydów — tylko w Kownie i w Szawlach pozostały getta podobne wileńskiemu. Kwestia żydowska została już „rozwiązana”. Opowiadano mi w okolicach Możejek o młodej Żydówce, maturzystce,

która ciężko raniona ocalała z masowej egzekucji i przez pewien czas była przechowywana i opatrywana w krzakach przez miejscową siostrę szpitalną. Policja wyszła z tego kłopotu w ten sposób, że wynajęła miejscowego kryminalistę, który dobił dziewczynę z wypożyczonego mu na ten cel karabinu. Nie zdołałem ustalić wysokości „sumy umownej” — podobno wynosiła 30 marek, być może jednak, że podawano ją przez analogię do 30 srebrników.

Po pomyślnym ukończeniu mojej misji z warszawskim „łepkiem”, którego Kubissa poholował dalej — zacząłem i ja zbierać się w drogę do Warszawy. Po co właściwie tam jechałem w tę wiosnę 1942? Nie miałem żadnych widoków na konkretne „dogadanie się” w sprawach politycznych lub wojskowych. Moje stosunki i znajomości warszawskie w ciągu paru lat wojny poszły w takie gruzy, że mogłem liczyć chyba tylko na jakieś wypadkowe spotkanie. Zresztą działaczem politycznym nigdy nie byłem, a po to, by wejść w skład podziemnej organizacji wojskowej, nie trzeba było fatygować się do Warszawy — wystarczyło nacisnąć odpowiedni guzik konspiracyjny w Wilnie. Jeżeli trzymałem się dotąd z moją grupką na uboczu, nie wynikało to bynajmniej z braku kontaktu, a raczej z niechęci zgłaszania się do Okręgu w charakterze bezradnego i bezbronnego nowicjusza.

Warszawa pociągała mnie ogólnie, chciałem przyjrzeć się temu, od czego byliśmy oddzieleni tak długo przez okupację sowiecką, rozprostować nieco duchowe kości, odrętwiałe od siedzenia na miejscu. Również złote piątki i dziesiątki, zdobyte w ciągu zimy w wileńskich piwnicach łaskotały moją kieszeń, by je uruchościć. Warszawski *Durchlassschein* (wystawiony w Wilnie) pokrył się w Litwie autentycznymi stemplami kolejowymi i nabrał wyglądu bardziej wiarogodnego. Był tak przekonywujący, że nie budził żadnych wątpliwości niemieckiego celnika w Małkini, przed którym stałem podczas rewizji, brząkając o zęby przy mówieniu włożonymi do ust złotymi monetami, które zaniedbałem owinąć w szmatki na tę ciężką chwilę.

Warszawa okazała się tak rozległa, że czekała na mnie już w Małkini. Ten tłum kobiet, który natychmiast po przejechaniu przez pociąg granicy Generalnej Guberni, rozpoczął szturm wagonów i zawalił je tobołami, koszykami, workami, gdakaniem kur i gęganiem gęsi — to była cała Warszawa o sto kilometrów od kolumny Zygmunta.

Miasto na zewnątrz nie było dla mnie niespodzianką. Obejrzałem je dość dokładnie natychmiast po kampanii wrześniowej wracając do Wilna po ustaniu walk, i znałem jego ruiny. Teraz te rany zabliźniły się nieco. Bardziej niż spalony Zamek Królewski, czy zburzony dworzec główny, interesował mnie ów pod-

ziemny nurt życia, wyczuwalny wszędzie a nieuchwytny, przelewający się koło mnie a wymykający się z rąk. Miasto konsumowało ze smakiem najświeższy żart o Koperniku, który w odwet za zbezczerzenie swego pomnika, przedłużył zimę o trzy tygodnie.

Uwagę moją zwracało przesadne i szkodliwe rozczłonkowanie polityczne społeczeństwa. Ilość wydawnictw nielegalnych przekraczała wszelką rozsądną miarę i sięgała daleko poza istotne potrzeby informacji. U znajomych z reguły częstowano mnie plikiem najnowszej podziemnej literatury — można ją było nieomal znaleźć w poczekalni u dentysty. Po zacisznym Wilnie, gdzie nasza jedyna *Niepodległość* skromna, ale szeroko kolportowana, zadowalała wszystkich — ta warszawska rozrzutność wydawała mi się bezsensowna. Z prowincjonalną naiwnością dowiadywałem się, że istnieją organizacje wojskowe nie podporządkowane Rządowi w Londynie.

Kiedy wyruszyłem z Wilna na moją warszawską peregrynację, obiecywałem sobie odszukać tam „panią Irenę”, żonę mojego dawnego kolegi i bliskiego przyjaciela — kapitana Macieja Kalenkiewicza. Oddając hołd walorom pani Kalenkiewiczowej, wolałbym jednak w tym czasie spotkać się z jej mężem. Niestety, było to zupełnie niemożliwe — wiedziałem dobrze, że kapitan wkrótce po zakończeniu kampanii wrześniowej wyostał się z Polski i trafił do Francji, a potem do Anglii.

Wizyta miała charakter jak najbardziej banalny. Pani Ireny nie zastałem w domu, rodzina poinformowała mnie, że bezpośrednich wiadomości od Macieja oczywiście nie ma, a sakramentalne posyłki portugalskie przychodzą regularnie. Po wymianie wiadomości rodzinnych i okolicznościowych grzecznościach zamierzałem pożegnać definitywnie moich rozmówców, jednakże na ich sugestie, abym zobaczył się koniecznie z samą panią Ireną — podałem dzień i godzinę mego następnego przybycia.

Tym razem wizyta ograniczyła się do kilku minut, ale przybrała obrót jak najbardziej nieoczekiwany. Pani Irena zakomunikowała mi, że jej mityczny mąż, bawiący *de nomine* w Anglii, *de facto* znajduje się w Warszawie i oczekuje mnie bez zwłoki w swoim konspiracyjnym mieszkaniu.

Nie trzeba było wiele namysłu, aby ocenić znaczenie tego spotkania. Przybycie wysoko kwalifikowanego oficera, jakim był Kalenkiewicz, z Anglii do Warszawy, w roku 1942 (a nawet wcześniej — Kalenkiewicz lądował w Polsce 27 grudnia 1941 miało swoją wymowę. Jasne było, że zjawił się tu nie dla spędzenia lata w gronie rodziny i wzywa mnie nie po to, by wspominać wspólnie nasze szkolne czasy. Szybkość, z jaką zażądał mego przybycia i skierowanie mnie na swój własny lokal bez

uciekania się do „terenu neutralnego” — miało swój osobny akcent w języku konspiracji. Toteż zbliżając się pod wskazany adres w sąsiedztwie kościoła na Koszykach, rozumiałem, że ma tam się coś rozstrzygnąć, więcej nawet — że coś już zostało rozstrzygnięte. Z góry już byłem gotów podporządkowania się temu, co w istocie będzie rozkazem.

Idąc więc ulicą Koszykową pod wskazany adres, myślałem tylko o tym, że kapitan dyplomowany, inżynier Kalenkiewicz jest na pewno osobą najbardziej kompetentną do wciągnięcia mnie w sprawę owego podziemnego nurtu, który mnie tak interesował.

Tak się też stało. Po paru godzinach wychodziłem w kwietniowym zmroku z małego sublokatorskiego pokoiku banalnej kamienicy z głową pękającą od materiału, który miałem przemyśleć do dnia następnego na spotkanie już w szerszym kręgu osób.

Pierwszą sprawą, którą Kalenkiewicz wysunął po krótkiej wymianie wstępnych serdeczności, było ustalenie mego stosunku służbowego do Okręgu Wojskowego Armii Krajowej w Wilnie. Odpowiedziałem, że żaden taki stosunek nie istnieje, istnieje natomiast w Wilnie grupa ludzi, której jestem dowódcą, mająca pewne możliwości materiałowe i amunicyjne, ale zupełnie (tu westchnąłem) pozbawiona broni. Grupa ta nie jest związana z żadnym innym dowództwem. To wyjaśnienie wywołało żywe, choć niezbyt dla mnie zrozumiałe zadowolenie mego rozmówcy.

W dalszym ciągu rozmowy Kalenkiewicz zastrzegł się, że nie będzie brał bezpośredniego udziału w tych sprawach, które zamierza mi objaśnić, gdyż nie wchodzą one w zakres jego obecnej działalności, że występuje tylko jako pośrednik między innymi osobami, z którymi zostaną skomunikowany, jeżeli godzę się na wysunięte propozycje. Dotyczą one mego udziału w powstającej obecnie wielkiej jednostce wojskowej, której zadaniem będzie prowadzenie dywersji dalekiego zasięgu. Zasadą działania tworzących się grup dywersyjnych jest wyłączenie ich, zarówno organizacyjne, jak terytorialne, z konspiracyjnych okręgów wojskowych, obejmujących całość okupowanego Państwa Polskiego. Wynika stąd, że dywersja ta ma objąć tereny położone na wschód od wschodniej granicy Polski z 1939 roku, przenieść się na sowiecką Ukrainę i Białoruś. Terytorium przygraniczne po stronie polskiej może być wyzyskane jako bazy wypadowe, jako miejsce sadowienia się w terenie i organizowania grup dywersyjnych, jednakże zakazana jest wszelka działalność bojowa na tych obszarach i wszelka łączność z istniejącymi tam oddziałami wojs-

kowych okręgów miejscowych. Cała akcja będzie kierowana bezpośrednio z Warszawy.

Na moje zbyt może dociekliwe pytania, Kalenkiewicz wyjaśnił (unikając wszelako wyłożenia sprawy całkiem jasno), że celem tak rozlegle pomyślanych działań jest osłona mającego w przyszłości wybuchnąć powstania. Podobna osłona przewidziana jest również od zachodniej strony Polski.

Rola, którą miałbym w tym układzie spełniać miała ograniczyć się do zorganizowania w Wilnie zaplecza jednego z odcinków dywersyjnych montowanych tam obecnie. Nie miało tu chodzić o dobieranie ekipy bojowej — ta winna była być wysłana w pełnym składzie z Warszawy. Mnie chciano zlecić tylko skromną rolę intendenta, który znając teren i stosunki miejscowe będzie mógł łatwiej zdobywać broń, amunicję i materiały wybuchowe, a również załatwiać sprawy gospodarcze i pośredniczyć w łączności z Warszawą, sprawującą bezpośrednio kierownictwo.

Jak widać, na pozór nie wymagano ode mnie zbyt wielkich rzeczy, jednakże nie wiem, czy podjąłbym się proponowanej mi roli, gdyby nie autorytet osoby, która mi ją proponowała. Sztuczna i pompatyczna koncepcja dywersji dalekiego zasięgu zrażała mnie, a jednocześnie pociągała. Pachniała fałszywie dźwięczącą mocarstwowością, sięganiem po dawne, przedrozbiorowe granice. Raziła mnie „fasadowość”, ale imponowała rola dywersanta. Przypuszczałem, że raczej chodzi tu o pewną polityczną postawę, niż o realne wyniki, których trudno było spodziewać się wśród tych, samochcąc sobie narzucanych trudności i ograniczeń. Zupełne odcięcie się od Okręgu uważałem za nierealne. Prawda, że czynna dywersja obciążałaby ten Okręg dodatkowym groźnym niebezpieczeństwem, w okresie kiedy potrzebował on spokoju dla zorganizowania się i zagospodarowania, ale od tego jest cała technika konspiracji, by niebezpieczeństwo to zredukować. Rygorystyczne kawałkowanie żywej roboty granicą już nieistniejącą i mającą tylko teoretyczne znaczenie, przypominało mi, wyśmiewane nieraz na manewrach, markowane linie fortyfikacyjne, powstałe przez ustawienie tabliczek, lub zabicie kołków, czy też mosty zniesione z powierzchni ziemi przez zakreskowanie kredą.

Każdy prawie punkt tego programu, który miano włożyć mi na barki, był prosty na papierze, ale był pracą Herkulesa, jeżeli miał być naprawdę rozpracowany. Łączność z Warszawą? Przez dwie granice? Zdobywanie broni i amunicji? Czym pachnie zaopatrzenie w materiały wybuchowe rozbudowanego odcinka dywersyjnego? Już kilka miesięcy kręcę się koło tych spraw w Wilnie, a nie mam jeszcze ani kostki trotylu.

Nazajutrz zjawił się w konspiracyjnym pokoju oficer, któremu

miałem być przekazany. Był to kpt. „Dan”, zastępca dowódcy owej dywersyjnej całości. Sposób trzymania się i wysławiania, widoczne bliskie koleżeńskie stosunki z Kalenkiewiczem, wskazywały na zawodowego wojskowego, należącego do elity korpusu oficerskiego. W ślad za nim przybył okazały mężczyzna, którego twarz okolona gęstym zarostem, nadawała całej postaci charakter tak konspiracyjny, że gdybym był gestapowcem aresztowałbym go na ulicy bez wahania. Widoczny respekt okazywany mu przez obu kapitanów pozwalał uplasować go gdzieś koło pułkownikowskiej, czy generalskiej rangi.

Szybkość, z jaką obaj ci panowie zjawili się, by mnie obejrzyć, wskazywała, że sprawy, które mają mi być poruczone, są naprawdę pilne. Przystąpiono energicznie do obróbki nowoupieczonego dywersanta. W jej trakcie wyszły na jaw nowe szczegóły struktury organizacyjnej, którą miałem zasilić swoją osobą. Granica wschodnia została podzielona na odcinki, które zbiegając się w Warszawie, tworzyły „Wachlarz”: Podole, Wołyń, Polesie, Białoruś, Łotwa. Numeracja ich biegła z południa na północ. Ja miałem być skierowany na skrajny północny odcinek O V, w kierunku na Dyneburg. Była również mowa o O IV w kierunku na Mińsk, dla którego równie dobrze Wilno mogło być bazą, ale przeważył pogląd, że odcinki mają być organizacyjnie od siebie oddzielone i mogą stykać się dopiero w Warszawie, u swego korzenia. Wprawdzie wkrótce odstąpiono od tej zasady i dano mi pewne zadanie na kierunku mińskim, ale trwało to tylko przelotnie.

Mimo moich nastawań zasada działań wysuniętych poza granice z 1939 roku została twardo utrzymana. Brodaty „Doktor Waligóra”, dowódca całości „Wachlarza”, oświadczył mi *expressis verbis*: „Za każdy strzał po naszej stronie granicy będzie sąd”.

Dalsza rozmowa dotyczyła moich chodów terenowych w okolicach Turmontu, Dukszt, Braślavia, Dżisny. Te dalekie, nadzwyczajne nazwy brzmiały w Warszawie niemal egzotycznie. Trzej moi rozmówcy przerzucali się dziesiątkami pseudonimów, żonglowali tuzinami skrótów, co przypominało mi moje dawne zabawy w czerwonoskórych Indian. Uroczyste zaprzysiężenie mnie, mimo że treść jego przyjmowałem aż nadto serio, dorzuciło jeszcze jeden ton groteski w te zabawy dorosłych dzieci.

Następnego dnia w jakimś przytulnym, prywatnym mieszkaniu zostałem przedstawiony wysokiemu, szczupłemu panu, dobrze już po czterdziestce, który nie robił wrażenia oficera liniowego. Przy uprzejmym, nawet serdecznym sposobie bycia, miał w smutnych oczach coś przytępnego, jak człowiek przywykły do ukrywania swoich uczuć. Był to kpt. Bezmian, dowódca O V, udający się

właśnie do Wilna z ekipą, złożoną z około 10 ludzi. Nie udzielono mi żadnych bliższych danych co do jej składu, lecz nie ulegało wątpliwości, że są wśród niej spadochroniarze niedawno przybyli z Anglii, tak samo jak Kalenkiewicz.

Bezmian nie był tak błyskotliwy i elitarny jak moi poprzedni interlokutorzy. Robił wrażenie przezorności i opanowania, ale nie bojowego temperamentu. Taka właśnie postawa przy kierowaniu dywersją bardzo mi odpowiadała. Mimo, że na moim nowym, wileńskim stanowisku nie byłem mu formalnie podporządkowany — uważałem go jednak za uprawnionego do wydawania mi wszelkich poleceń, on zaś korzystał z tego z wielkim umiarem i taktem. Rozmowa dotyczyła już tylko ostatecznego szlifowania naszych spraw: ustaliliśmy kilka nowych pseudonimów (w tej liczbie mój), hasła dla skrzynek, które miałem w Wilnie założyć, utrwaliłem w pamięci podane mi kryptonimy miast, których miałem używać w korespondencji z Warszawą. Wszystkie nosiły nazwy różnych produktów żywnościowych i zaczynały się na M. Moje rodzinne Wilno otrzymało kryptonim „Miód”, a „Masło”, „Mąka”, „Mak”, „Makaron” i „Mleko” — plątały mi się po głowie. W oficjalnym meldunku zostałem zafiksowany, jako „Bałtruk”, komendant Bazy „Miód”.

Przed wyjazdem z Warszawy parokrotnie spotykałem się jeszcze z Kalenkiewiczem dla wysłuchania jego obszernej relacji o Anglii podczas wojny. Relacja ta w ciągu następnych kilku lat wciąż była dla mnie źródłem informacji w tych sprawach.

Kalenkiewicz wylądował w Polsce w grudniu 1941 roku w jednej z pierwszych grup spadochronowych, zrzuconych jeszcze na ślepo, bez ustalonej łączności z mającymi wkrótce powstać punktami przyjęcia zrzutów. Grupa wylądowała w okolicach Płocka, akurat na granicy Reichu i Generalnej Guberni, w następstwie czego została zatrzymana przez niemiecką straż graniczną uważającą ją za przemyśników. Na posterunku granicznym, dokąd ich odprowadzono, nastąpiła rozprawa pistoletowa, w której Niemcy zostali wybici, a Kalenkiewicz ranny w rękę. Dwóch ludzi pozostawionych dla ściągnięcia z drzew zawieszonych na nich spadochronów i dla zamelinowania *container*ów, zostało otoczonych przez niemiecką obławę i zginęło.

Specjalnie zainteresowały mnie rozważania nad ustrojem przyszłego Państwa Polskiego, którym Kalenkiewicz poświęcił sporo czasu. W tej sprawie poglądy jego dalekie były od przedwojennych szablonów, a zahaczały nieco o bliskie mi pojęcia, wyniesione jeszcze z rodzinnego domu. To, co wykładał, było szeroko rozbudowaną koncepcją federalistyczną: widział przyszłą konstrukcję państwową, jako ograniczoną do ścisłych ram etnograficznych

centralny okręg polski („Ziemie Piastowe” — według określenia mego rozmówcy) i bardzo odrębne w swojej strukturze ustrojowej Litwę, Białoruś i Ukrainę a może i inne państwa — wszystko związane z Polską w blok federacyjny.

Nie stanowiło to dla mnie żadnego *novum*. Na samym początku istnienia Polski międzywojennej Piłsudski poszedł zdobywać Mińsk i Kijów nie po to przecie, by je anektować. Koncepcje federalistyczne leżały u podstaw ofensywy kijowskiej. Jednak potem, w miarę biegu lat, Polska stała się państwem nacjonalistycznym, anektowała Wilno, wbrew pierwotnym decentralistycznym tendencjom Piłsudskiego, a autonomię Małopolski Wschodniej sprowadziła do zera. W świecie pojęć przeciętnego Polaka z lat trzydziestych, nie było ani krzty miejsca na federalizm.

Ja natomiast wyrosłem w klimacie odmiennym. Wilno było stolicą polskiego federalizmu w latach dwudziestych, zaraz po „wybuchu Polski”. Istniała tam i działała spora grupa ludzi, nawiązujących do ideologii dawnego Wielkiego Xięstwa Litewskiego, czyli stojących na gruncie współzycia na równych prawach wszystkich narodowości zamieszkujących to terytorium. Należał do tego kierunku mój ojciec. Atmosfera mego domu rodzinnego odbijała nieraz echa starć i polemik z tej dziedziny. Pamiętam, jak w okresie zawierania traktatu Ryskiego, ojciec wrócił z Warszawy, gdzie wchodził w skład jakiejś delegacji, która w dość ostrej wymianie zdań, wysuwała ówczesnemu premierowi Witosowi swoje federalistyczne postulaty co do Mińska. „Czego panowie chcecie, przecie ta Rzeczpospolita i tak jest za duża” — w pewnej chwili replikował Witos. „Panie Premierze, Rzeczpospolita za duża, czy ministrowie za mali? — odciął Krzyżanowski, któremu nie brakło ostrości języka.

To, co wyłożył mi wówczas Kalenkiewicz, było zapewne bardziej nowe dla niego, niż dla mnie, ale właśnie dlatego tym ciekawsze. Nie wiem, czy przedstawił tu swój pogląd indywidualny, czy też był to wykwit myśli jakichś środowisk emigracyjnych.

Na tych kilku rozmowach urwał się znów na czas długi mój kontakt z Kalenkiewiczem. Zobaczyłem go dopiero po dwóch latach, w 1944 roku w Wilnie, dokąd przyjechał z Nowogródzyny, będącej wówczas jego terenem działania. To ostatnie spotkanie — mimo że raczej przelotne — miało ten sam inspiratorski charakter, lecz nie tworzyło już tym razem ostrego zakrętu moich osobistych losów. W ciągu tych dwóch lat drogi nasze biegły z dala od siebie, ale po liniach równoległych.

BAZA MIÓD

Do Wilna wróciłem na samym początku maja 1942. Skrzydła które urosły mi w Warszawie, zacząłem rozwijać razem z rozwijającą się wiosną. Jest ona dla mnie najczarowniejsza nad Wilią, wezbraną jeszcze po kwietniowych powodziach, na wzgórzach Ponarskich strojnych w najzieleńsze w naszym kraju lasy. Maj w Wilnie staje się corocznym przeżyciem dla tego, kto widzi w nim najpiękniejszy miesiąc w najpiękniejszym mieście.

Nigdy jednak wiosna nie była dla mnie tak przytłumiona, jak tego właśnie roku. Przytłumiona, zatarta przez sprawy, które zdają się obecnie błahie z perspektywy późniejszych trosk i odpowiedzialności, ale które wówczas uginały ramiona. „Baza Miód” przymierzona do warunków wileńskich wyglądała nader anemicznie. „Organizacja”, której kierowaniem legitymowałem się wobec Doktora i Dana — była po trosze bluffem. Była to przecie luźna grupa ludzi stworzona w związku z możliwościami Andreja. Do tej pory sprawy kręciły się wciąż koło magazynów, nie wyzierały poza kwestie materiałowe. Wciąż trwaliśmy w żalosnym stanie bezbronności. Teraz jednym skokiem trzeba było znaleźć się na poziomie, który narzucało słowo „spadochroniarz”. Trzeba było sprostać wszystkim wymaganiom, oprzeć się wszelkim strachom wyzierającym ze słowa „dywersja”.

Upadałem pod tym ciężarem. Żeby zorganizować łączność z Warszawą, należało szukać ludzi zupełnie innych, jakichś londonowskich trampów obytych z koleją, otraskanych z fałszywymi dokumentami. W resorcie broni i materiałów wybuchowych wierzyłem w Andreja, lecz rzecz wcale nie była jasna, ani łatwa do zrealizowania. Nawet proste sprawy przyjęcia, lokowania i ekspediowania ludzi mających przybyć, zdawały mi się trudne i mozolne. Nie tylko sam nie umiałem pływać po szerokich wodach konspi-

racji, ale obracałem się w społeczeństwie nieobytym, onieśmielonym i nieświadomym istotnej miary tych spraw. Coraz to trzeba było hamować wybuchy entuzjazmu, lub też, odwrotnie, zachowywać taką ostrożność, która wszelką aktywność sprowadzała do zera. A lada chwila miał się zwalić na głowę Bezmian ze swoją ekipą. Czułem się skrępowany szczupłością moich środków dla przyjęcia tych znakomitych osób. Spadochroniarze w Wilnie!

Pierwsze kroki ograniczyły się do zorganizowania skrzynek przyjazdowych. Zaangażowałem tu nowych ludzi: mego kolegę inż. Piotra Słowikowskiego (pseud. Jurek) i nauczycielkę Irenę Gaca (pseud. Majewiczowa). Wcale nie było łatwe dobranie skrzynki dobrej, tj. czynnej przez całą dobę, a przy tym położonej niezbyt daleko od dworca. Z czasem na niebezpieczne te funkcje wyszukiwałem ludzi, którzy z siłą ducha łączyli kalectwo ciała. Tacy przeważnie nie opuszczali domu i nie było obawy o ich wywiezienie na roboty do Niemiec, co dawało skrzynce ważny atut trwałości. Ten motyw kierował mną przy wyborze bardzo sprawnej skrzynki w mieszkaniu Bogumiła, obsługiwanej przez jego szwagierkę (pseud. Barbara), którą przypadkowy postrzał pozbawił w dzieciństwie nogi. Druga, podobna, utrzymywana była u rezolutnej garbatej panienki o pseudonimie Pac (Jadwiga Urbanowicz).

Ta rozsnuta po Wilnie pajęczyna oczekiwała na przyjazd warszawskich przybyszów. Jednocześnie Lisica z Perlicą obiegały miasto w poszukiwaniu lokalów mieszkaniowych. Już po kilku dniach pajęczyna drgnęła: ktoś ukazał się na skrzynce Jurka.

Pierwsze zetknięcie nie przeszło gładko: nowoprzybyły operował umówionym w Warszawie hasłem tak niedbale i nieściśle, że dokładny Jurek nie uznał takiej legitymacji za wystarczającą i nie chciał gadać. Dopiero potem zjawił się nowy, bardziej precyzyjny pasażer i tego, mimo pewnych nieściśłości, Jurek skomunikował ze mną. Był to kapitan Lipek, zastępca Bezmiana.

Na zewnątrz Lipek daleki był od egzaltowanych wyobrażeń o londyńskich spadochroniarzach. Wydał mi się nad wyraz prozaiczny: szczupły, ubogo ubrany mężczyzna o upartej, chłopskiej twarzy. Chwilami robił wrażenie pewnej bezradności, jak wiejski chłopak, który zabłąkał się w mieście. Był nieomal chuderlawy. Nie mogłem go sobie wyobrazić w mundurze oficerskim.

Po kilku dniach kontaktu przekonałem się osobiście w jakim byłem błędzie. Temperament typowego choleryka i upór Lipka stanowiły potężną sprężynę każdego działania — potężną, ale może niezbyt trafnie skierowaną. Człowiek ten łączył w sobie wady i zalety typowego oficera liniowego. W koszarach musiał być trudny w swoim bezwzględnym rygoryzmie i umiejętności

docięnięcia śruby. Tu, w warunkach konspiracyjnych, nie miał dostatecznej elastyczności przy wymijaniu przeszkód. Parł naprzód zrymując się i ciągnąc za sobą pasmo osobistych zadrażnień i konfliktów. Mimo to oceniłem go szybko i polubiłem. Chowam najlepsze wspomnienia o naszej krótkiej współpracy, pomimo pewnych lekkich (jak na Lipka) nieporozumień.

Nazajutrz 12 maja nastąpiło moje spotkanie ze świeżo przybyłym do Wilna Bezmianem. Rozmowa z nim i z Lipkiem doprowadziła do pewnej różnicy zdań. Obaj oni parli do natychmiastowego rozwinięcia się do akcji i planowali pierwsze wybuchy na koniec maja. Ja sądziłem, że rzecz pójdzie dużo wolniej, ale nie miałem wiele do gadania, występując w tym zespole na stopie intendenta.

Następną osobistością, która objawiła się w Wilnie, był niejaki Czarny — wysłannik warszawskiej centrali. Nie należał zatem do bezmianowskiej ekipy, a przybył do nas bezpośrednio od Doktora i Dana. Był to typowy „warszawista”: wygadany, pewny siebie, pełen stołecznej tendencji do „rządzenia się” na zapadłej prowincji, na którą zstąpił. Te cechy sprowadziły nań szybko nienawiść Lipka, który zgrzytał zębami na jego widok. Ja, dzięki „słodczy mego charakteru”, utrzymywałem się w granicach łagodnej ironii.

W drugiej połowie maja w Wilnie znalazło się jeszcze 3 członków ekipy. Przybyli z Warszawy swoimi prywatnymi chodami, nie korzystając z naszej pajęczyny (to właśnie jeden z nich zawadził o skrzynkę Jurka, lecz nie został skontaktowany z powodu nieścisłości hasła). Byli to: Marek, Rogacz i Ślepowron. Poznałem ich przelotnie. Robili wrażenie ludzi inteligentnych o pokroju oficerów. Reszta ekipy nie nadjeżdżała. Również pieniądze utknęły gdzieś w Warszawie. Pomimo teoretycznie zupełnej izolacji wyłaniała się konieczność porozumienia z Okręgiem chociażby w sprawie zaopatrzenia w lewe dokumenty. Trudno było przecie o byle głupstwo jeździć do Warszawy. Również odpowiednich ludzi dla uzupełnienia stanu liczbowego odcinka nie należało szukać „na wolnym rynku”, winien był ich dostarczyć Okręg. Życie było silniejsze, niż zasady przyjęte w Warszawie. Tak więc czas Bezmiana upływał na żmudnych kontaktach i kontakcikach z różnymi osobistościami miejscowymi, w pierwszym rzędzie z trudno uchwytnym Komendantem Okręgu, który w terminologii ówczesnej nazywał się „panem Dziemido”.

Ja natomiast z wielką energią, lecz póki co z małym powodzeniem, biegałem wciąż w godzinach południowych do małego domku kolejarza koło magazynów saperskich. Za cienkim prze-

pierzeniem przesypywały się odgłosy francuskiej konwersacji. Pachniało nie tylko blinami, ale i bronią.

Ten tok spraw został przerwany przez ewenement nie byle jaki. Bezmian wezwał mnie na spotkanie z przedstawicielem Okręgu, które miało odbyć się na cmentarzu ewangelickim na Pohulance. O oznaczonej godzinie zasiedliśmy na ustronnej ławce, ukrytej wśród zieleni i nagrobków. Nie zdołałem jeszcze dobrze przyjrzeć się owemu nowemu okręgowcowi, kiedy z głębi cmentarza wyłoniło się kilkunastu gestapowców i policjantów litewskich. Zostaliśmy aresztowani.

W drodze do komisariatu zdołaliśmy wymienić ze sobą mało co więcej, niż brzmienie naszych nazwisk. Bezmian szepnął mi, że się nazywa Leon Koplewski, a okręgowiec podał nazwisko Stefan Czernik. Nie było mowy o ułożeniu jakiejś wspólnej legendy, co do istniejących między nami stosunków. Zamknięto nas w osobnych celach aresztu, ale na szczęście zamek w drzwiach Bezmiana zepsuł się, tak że przez parę godzin siedzieliśmy obaj w jednej klitce. To wystarczyło do obmyślenia obszernej i prawdopodobnej wersji. Pozycja okręgowca i moja nie była najgorsza — mieliśmy autentyczne dokumenty miejscowe. Samo aresztowanie nie miało żadnych głębszych podstaw — po prostu zauważył nas na cmentarzu jakiś przygodny szpicel. Bezmian natomiast mógł być rozłożony w każdej chwili. Jego lewy, białostocki *Durchlassschein* aż się prosił, by go zidentyfikować — można to było zrobić chociażby telefonicznie. W owym czasie Gestapo było twarde — lewe dokumenty kończyły się z reguły Ponarami.

Wieczorem przeniesiono nas do Gestapo. Schody na dół, a potem żelazna krata i długi korytarz. Znalazłem się w piwnicznej celi z oknem wychodzącym na ul. Ofiarną, mało co więcej, niż 100 metrów od mego mieszkania.

W więzieniu dręczył mnie fatalnie pewien drobny, ale ważny w tej chwili lapsus pamięciowy: zapomniałem na śmierć nazwisko Bezmiana. W każdej chwili spodziewałem się być wezwanym na badanie, mając w mózgu białą plamę w miejscu nazwiska człowieka, który, według ukartowanej wersji, był moim starym znajomym. Po paru dniach mózgowego kołatania odtworzyłem sobie, sylaba po sylabie, słowo „Kop-lew-ski” wśród niezliczonych innych kombinacji i przestawień. Byłem tak przemęczony, a przy tym wygłodniały, że do końca nie miałem pewności, czy moja rekonstrukcja jest wierna.

Głód dręczył mnie mocno. Wyżywienie w Gestapo składało się z chleba, którego dawano nam na pewno nie więcej, niż 100 gr. dziennie. Zupy nie było co rachować, gdyż stanowiła ją

tylko nieprzezroczysta woda, wydzielana w minimalnych ilościach. Po paru dniach chodziłem już z pewnym trudem po celi.

Na czwarty dzień zostałem wywołany na korytarz, gdzie już stali moi dwaj towarzysze. Sam nie wiedząc jak znalazłem się w kancelarii na gorze. Zwrócono nam nasze dokumenty. Byliśmy wolni.

Okres, który nastąpił potem, był szczególnie trudny. Nasze niewiarogodne zwolnienie wydało się „zbyt dobre, aby było prawdziwe”. Należało je zawdzięczać szybkiej interwencji pewnego adwokata litewskiego, związanego od lat z moją rodziną, który przyczynił się do ukręcenia głowy sprawie, zanim wyszła z Gestapo litewskiego i trafiła do Niemców. Tym niemniej trzeba było przez pewien czas zachować pełną ostrożność i sprawdzać na każdym kroku, czy rozkoszny owoc wolności nie zawiera w sobie jakiego robaka. Przezorny i rutynowany Bezmian rozumiał to najlepiej. Niedarmo zwaliśmy go później „pan Leonalibista”. Okręg miał do nas pretensję, że aresztowanie ich człowieka nastąpiło z naszego powodu i boczył się przed dalszą łącznością. Bezmian replikował na to, że miejsce i czas krytycznego spotkania były wyznaczone właśnie przez nich, a nie przez nas.

Względy ostrożności nie mogły jednak hamować pracy, która raz rozpoczęta wciągała nas teraz bezlitośnie w swój tok. W parę dni po naszym zwolnieniu w Wilnie zjawili się dwaj nowi członkowie ekipy: Grek i Szarek. Zaraz potem skrzynka zwała na moją głowę trzy dalsze kłopoty, anonsowane jako Kord, Brona i Maria. Trzeba było dostarczyć im wszystkim odpowiednich lokali i wyżywienia, załatwiać ich różne sprawy życiowe, ba nawet pilnować, by nie afiszowali się po mieście. Najwyższy czas był myśleć o ekspediowaniu na północ do dalekiej Brasławszczyzny tego zatoru, który zaczął się piętrzyć w mieście. Północ ta była zupełnie niezorganizowana. Chwytailiśmy skwapliwie z Bezmianem każdy punkt zaczepienia w tym terenie. Pieniądze z Warszawy nie przychodziły, a gdy przyszły — okazało się, że jest to tylko mała część przekazanej sumy. Idące za ludźmi materiały i broń utykały gdzieś po drodze. O Czarnym, który miał je dopchać na miejsce, słuch zaginął od tygodni.

Jeszcze przed aresztowaniem Bezmian zażądał ode mnie przydzielenia łączniczki. Wyszukaniem odpowiedniej osoby zajął się Kolarz, który zawsze miał na składzie kilka panienek ze sfer uniwersyteckich, przewijających się w zasięgu jego asystentury. Przez cały czas od powrotu z Warszawy Kolarz sekundował mi w montowaniu Bazy Miód, a po naszym aresztowaniu wykazał należytą

twardość, obejmując od razu moje funkcje i zgłaszając się do Lipka, który ze swojej strony przejął spadek po Bezmianie.

Skoro tylko odmyłem się i odjadłem po więzieniu, nowo ustanowiona przez Kolarza łączniczka ukazała się przed moimi oczami. Nie ulegało wątpliwości, że wybór Kolarza był trafny. Panienska podobała mi się przede wszystkim ze swego wyglądu. Należała do tych istot, które po sto razy mogą przejść tą samą ulicą, nie zwracając nieczyjej uwagi. Była szczupła, nieduża, nieładna, niebrzydka. Patrzyła uważnie szarymi oczami z twarzą naiwnej i młodocianej, mimo że nie była wcale dzieckiem.

Dalsza współpraca z Komarową (bo taki sobie obrała pseudonim) potwierdziła początkową opinię Kolarza. Ten rodzaj młodzieży — była to produkcja Wileńskiego Uniwersytetu — powstała przy katedrach takich profesorów-przyrodników, jak Limanowski i Małkowski. Pokolenie oblatane po wycieczkach, wychodzone wzdłuż i w szerz po kraju przy różnych badaniach terenowych, za pan brat z topografią, skore do roweru i plecaka, żyte z mapą i z busolą. Komarowa (Stanisława Gortyńska) jako studentka geologii nie tylko znała Wileńszczyznę bliższą i dalszą, ale miała już ją w głowie rozbitą na poszczególne wycinki sztabówek. Orientacja topograficzna zapewniała jej całkowitą samodzielność w terenie. Samo miasto znała też na wylot i to nie tylko od strony ulic, gmachów i architektury (była rutynowaną krajoznawczynią i przewodniczką po Wilnie), ale i pod względem stosunków ludzkich. Wszędzie roіło się od jej znajomych — różnych kolegów uniwersyteckich i przyjaciółek szkolnych, a nieznanymi przeważnie mogli być zakwalifikowani, jako znajomi znajomych, tak że również znajdowali się w zasięgu.

Zetknięcie się Bazy Miód z ekipą warszawską rzuciło na nas urok. Trudno inaczej określić wpływ tych ludzi na konspiracyjne otoczenie. Widzieć spadochroniarzy londyńskich u nas, w głuchym Wilnie, w trupim okresie okupacji niemieckiej — to było doznanie na miarę wzruszeń pierwszych chrześcijan. W owym wczesnym okresie sam fakt lądowania w Polsce spadochroniarzy z Anglii był utrzymywany w tajemnicy. Ja trzymałem język za zębami co do szczegółów, których dowiedziałem się w Warszawie. Wiadomości przenikały jednak jakimś podziemnymi przeciekami. Właściwie nikt nie wiedział dokładnie z kogo składa się ekipa Bezmiana, ale właśnie dlatego jej spadochronowy charakter rozciągał się w naszym przekonaniu na wszystkich przybyłych. Po tem dopiero zostało ustalone, że prawdziwymi spadochroniarzami byli: Lipek, Brona i Maria. Sami oni demaskowali się dyskretnie przez swoje zawołowane napomknienia o mieście wielomilionowym, które niedawno opuścili, przez aluzje do potężnych

bombardowań lotniczych, których byli świadkami, przez używanie pewnych angielskich zwrotów i terminów.

Zarówno prawdziwi, jak i domniemani stanowili teraz zespół, na który patrzyłem z uznaniem. Wszyscy ci, którzy przeszli przez nasze skrzynki, wyglądali na ludzi wysokiej klasy. To potem dopiero przyszedł czas refleksji i bardziej szczegółowego wartościowania. Imponował mi i wzruszał ten pęd, z jakim parli, jak torpedy, na północ i na wschód. Kto tchnął w nich tę wolę? Oto wysyłano ich osamotnionych w imię sztucznej koncepcji walki poza granicami ojczyzny na jakieś odległe, wrogie tereny, na „dzikie pola” nad Dnieprem i za Dźwiną. Parli w ten obcy świat prawie na oślep, chwytając się tandetnych punktów zaczepienia, licząc na nawiązane byle jak kontakty. Niektórzy, pochodząc z głębi kraju, nie znali nawet rosyjskiego. Polska walcząca i skrzwawiona będzie wydawała się im stamtąd zacisznym ogniskiem domowym. Ilu z nich nie wróci?

Pierwsi ruszyli w teren Marek i Slepowron. Ci mieli swoje własne chody i w dalszym ciągu trzymali się na uboczu. Zaraz po nich Grek i Szarek pomknęli gdzieś daleko na wschód, aż po Dzisnę i Druję. Kord, okazały mężczyzna o twarzy człowieka zdecydowanego, zachorował zaraz po przyjeździe na żółtaczkę i został unieruchomiony w szpitalu. Wygadany Maria, specjalista od rozsiewania wokół siebie londyńskich aluzji, został wyekspediowany pod Brasław. Wreszcie sam Bezmian ruszył na północ w połowie czerwca. W Wilnie pozostał Lipek, by dalej porać się z miejscowymi trudnościami: kilku ludzi, których Okręg nam przekazał, trzeba było wyposażyć i wyekspediować. W tej sprawie miałem do czynienia z silnie zakonspirowanym blondynem, ukazującym się od czasu do czasu w swojej skrzynce na Zarzeczcu, który dla mnie nazywał się „Józef”. Stosunki z tzw. Gospodą (tak brzmiał kryptonim wytwórni fałszywych dokumentów) zacinęły się szpetnie, tak, że wciąż przychodziło wzywać w sukurs znanego mi z więzienia „Stefana”, lub łączniczkę Komendy Okręgu, występującą wobec nas jako „Ewa”. Okręgowcy odnosili się do nas z mieszaniną szacunku i nieufności i starali się nie ujawniać nam swoich właściwych psudonimów, a zastępowali je przyjętymi *ad hoc* imionami.

Pewnego dnia na początku czerwca 1942 zadzwoniła do moich drzwi „Ewa”. Obrzuciła badawczym spojrzeniem mieszkanie, cofnęła się na ciemne schody i wciągnęła stamtąd jakiegoś starszawego już pana, w okularach i z laską w ręku, którego swojska, wileńska wymowa i lokalny wygląd aż prosiły się do felietonu Wincuka Markotnego. Para ta wydała mi się nader kontrastowa. Elegancka, zamaszysta „Ewa” była nie do pogo-

dzenia z tym jegomościem, za którego ręczyłbym, że jest emerytowanym kasjerem kolejowym, lub urzędnikiem lombardu z ul. Franciszkańskiej. Oboje udali się do oddzielnego pokoju, skąd dochodziły głosy ich przyciszonej rozmowy. Potem dopiero nowoprzybyły zajął się mną: oto z głębi swego zakonspirowania wynurzył się „pan Dziemido”, komendant Okręgu, przyszły generał Wilk. Oczywiście nie znałem jego prawdziwego nazwiska i nie miałem pojęcia, że jest ono identyczne z moim. Kiedy po kilku latach, w więzieniu, podczas śledztwa, pokazywano mi autentyczne, przedwojenne fotografie majora Krzyżanowskiego, mogłem stwierdzić, że „pan Dziemido” był znakomicie zakamuflowaną wersją swego mundurowego wcielenia.

W Wilnie pozostał również Brona. Ten na moją propozycję przystąpił do szkolenia kilku ludzi miejscowych (w tej liczbie i mnie samego) w kunszcie dywersyjnym, nabytym w Anglii. Z jego ust posłyszeliśmy wtedy magiczne słowo: *plastic*.

Z całego zespołu Brona był najbardziej przekonujący jako dywersant. Jego ciało zwięzłe i rozrośnięte wykazywało siłę fizyczną, jakąś szczególną sprężystość i niespożyte złoża energii. Mnie szczególnie ujmowało to, że nie znać w nim było żadnej blagi, ani zarozumiałości.

Trudności Odcinka po przerzuceniu się na właściwy teren działania nie zmniejszyły się, ale wciąż rosły. Pieniądze, których tylko mała część nadeszła — utknęły całkowicie. Z żalością patrzyłem, jak ludzie w stylu Lipka, czy Brony walczyli z trudnościami finansowymi: kilkanaście tysięcy marek przekazano z Warszawy drogą prywatną przez ręce niejakiego Pawła Korewy, o którym słyszałem już przedtem jako o rzutkim spekulancie. Ten przyjechał do Wilna, ale poza małą sumą pieniędzy nie wypłacił. Przez czas jakiś lawirował wśród wykrętów i obietnic, a potem naciskany energicznie głównie przez Rogacza — po prostu ukrył się. Nawet ja przy moim umiarkowaniu byłem zdania, że drab musi być niezwłocznie zastrzelony i nagabywałem Warszawę o odpowiedni rozkaz lub wyrok. O ile wiem, pieniądze nie zostały zwrócone i afera finansowa uszła bezkarnie obrotnemu spekulantowi. Po paru tygodniach goniec od Czarnego dostarczył nową przesyłkę pieniężną na skrzynkę Bogumiła.

Inną trudność stanowiło złe funkcjonowanie transportu i łączności. Przepchanie ludzi z Warszawy pod Dyneburg poszło łatwiej, niż dostarczenie broni i innych materiałów — tych angielskich specyfików dywersyjnych, o których mówił Brona w swoim kursie wiedzy tajemnej. Trasa kolejowa była długa i trudna: tęgo strzeżona granica w Małkini między Centralną Gubernią, a okręgiem Białostockim; dalej obstawiona przez Litwinów gra-

nica w Oranach między Białorusią a *Ostland*'em. Mnie ręce opadały, kiedy myślałem o „towarze”. Błogosławiłem chwilę, w której ustaliłem z Doktorem i Danem, że Warszawa pokrywa odcinek Warszawa-Wilno swoją łącznością. Czarny nadrabiał miną, Lipek rzucał mu się z zębami do gardła. Ramię Warszawy sięgało z trudem poza Białystok. Zbliżał się koniec czerwca, a do Wilna nie trafił jeszcze ani jeden pistolet, ani jedna kostka materiału wybuchowego. Podobno wszystko utknęło w Grodnie i tam czekało zmiłowania Bożego.

Ten stan rzeczy trwałby zapewne jeszcze długo, gdyby nie przerwał go Brona: sam pojechał do Grodna dwukrotnie i przywiózł stamtąd po prostu pociągiem osobowym pistolety i kilkanaście kilogramów szedytu — była to podręczna przesyłka, którą Warszawa wysyłała Bezmianowi na pierwszy krok. Na granicy szmuglował swoje pakunki pod ławkami i w ustępach wagonowych. Na dworcu w Wilnie został zahaczony przez żandarma niemieckiego, który dobrał się do jego teczki, ale zadowolił się obejrzeniem leżącego na wierzchu ręcznika i innych fatalaszków. Te wyprawy Brony zaimponowały mi nadzwyczajnie. Uważałem za szaleństwo transportowanie takiego bagażu bez znajomości linii i specjalnych chodów kolejowych.

Znad Dźwiny także dochodziły wieści o trudnościach. Kontakty Bezmiana uzyskane z Okręgu i wyszperane różnymi drogami prywatnymi coraz to nawalały i w rezultacie często demaskowały ludzi, zamiast służyć im pomocą. Szarek i Grek, którzy zapędzili się daleko na wschód, popadli tam w różne tarapaty, i w rezultacie musieli wycofać się. Początkowy plan obsadzenia terenu trzeba było skurczyć do samego tylko pobliza Dyneburga. Na ogół jednak proces sadowienia się grupy Bezmiana w terenie posuwał się naprzód mimo mozołu i przeszkód.

W końcu czerwca Czarny znów zjawił się w Wilnie z wiadomością sensacyjną: anonsował wysłanie z Warszawy specjalnego samochodu, który wiózł większą ilość broni i wszelkiego rodzaju materiałów dla Bezmiana. Jednak po kilku dniach oczekiwania, skoro samochód się nie zjawił — Czarny opuścił Wilno, budząc w nas przez to podejrzenie, że cała sprawa wygląda na blagę. Uderzający był tu brak listu od centrali. Minęło jeszcze kilka dni i uznaliśmy z Lipkiem, że sprawa samochodu rozeszła się po kościach.

„UKĄSZONEMU POCAŁUNKIEM BOŻYM”

Kiedy 7 lipca 1942 roku po południu szedłem ul. Wileńską na kontakt wyznaczony przez Lipka — tryby mechanizmu były już w swym nieuchronnym biegu: pod Dyneburgiem Bezmian czekał ze swymi ludźmi, samochód z Warszawy jechał do Wilna, gdzieś od zachodu sunęła niemiecka kolumna zmotoryzowana. Tylko kule drzemały jeszcze w swych łuskach.

Kontakt był wyznaczony na godzinę 5-tą po południu w melinie „Zygmunta”. Tym imieniem Lipek określał przekazanego nam niedawno przez Okręg człowieka, który miał jechać na odcinek Bezmiana. Słyszałem o nim kilkakrotnie, że jest nadzwyczajny, ma dużo broni i jest w Okręgu postacią legendarną, coś niby Cyd na dworze kastylijskim. Teraz miałem go zobaczyć po raz pierwszy. Chodziło o to, że Okręg cofnął podobno pozwolenie na przejście „Zygmunta” do Wachlarza, wobec czego mieliśmy z Lipkiem natrzeć na Dziemidę, aby nie robił przeszkód. Wyjazd miał nastąpić już za parę dni. Lipek, jak zwykle, zżymał się i pił do pośpiechu.

Z zacięciem więc wchodziłem w bramę domu nr 31 przy ul. Wileńskiej. Ścisłe według opisu w podwórzu zobaczyłem obrośniętą winem oficynkę. Wszedłem do małej kuchni, w której Lipek już czekał na mnie.

W następnym pokoju zastałem dwóch mężczyzn około 30-stki. Mimo że nie czuło się wcale upału, obaj byli bez koszul. Nie trudno było zauważyć, że wysoki, żywy brunet stanowił tu osobę główną. Miał pewne siebie ruchy człowieka świadomego swej ceny. Czarne gładko przyczesane włosy. W stosunkowo drobnej twarzy błakał się pewien trudny do określenia wyraz. Nie wiedząc z kim mam do czynienia mógłbym może wziąć go za Rosjanina.

Z linii ramion, z ruchów bark znać było od razu wielką siłę fizyczną tego człowieka. Nie wiedziałem wówczas, że miałem przed sobą Daniela Kostrowickiego, którego ucieczka z wileńskiego bolszewickiego więzienia znana była szeroko: podczas badania w gmachu NKGB więzień rzucił się na prowadzącego śledztwo oficera bolszewickiego, udusił go i wyskoczył oknem z I-go piętra. Nie zaniedbał przy tym zabrać ze sobą aktów swojej sprawy. Pamiętam dobrze ogromną obławę, która potem nastąpiła w mieście.

Teraz te same ręce poruszały się zwinnie w rytmie nieświadomej gracji. Cały tors oddychał lekkością i elegancją.

Drugi nasz rozmówca był to średniego wzrostu, krępy, silnie zbudowany blondyn. Pod dolną szczęką zwisało mu kilka kłaczek niewyrośniętych jasnych włosów, mających tworzyć bródkę. Widać było, że jest to prowizoryczna innowacja. Jego wileński sposób mówienia — tak miły dla mego ucha — zdradzał pochodzenie robotnicze.

Nie ulegało wątpliwości, że człowiek z bródką jest zapatrzony w swego mistrza i dowódcę, stanowi jego wierne echo. Ten stosunek nie był niczym podkreślany na zewnątrz, ale stawał się oczywisty po kilku minutach rozmowy.

Przystąpiliśmy do rzeczy. „Zygmunt” wyrażał pełną gotowość jechania do Bezmiana, ale chciał mieć wyraźny rozkaz Dziemidy. Wobec czego Lipek żądał szybkiego z nim kontaktu. „Zygmunt” miał wprowadzić do niego skrzynkę bezpośrednią, ale z jakichś powodów nie chciał jej użyć. Mój kontakt przez „Ewę” mógł trwać dobrych parę dni — o wiele za długo jak na cierpliwość Lipka. Nastąpiła lekka scysja, w której Lipek (mimo, że w ogóle odnosił się do „Zygmunta” z widocznym szacunkiem i mówił do niego per „mistrzu”) zaczął pokazywać zęby. Ostatecznie stanęło na tym, że „Zygmunt” użyje swoich szybkich chodów dla przesłania zredagowanej przez nas kartki, w której prosiliśmy Dziemidę o kontakt z nami nazajutrz o godz. 16-tej w moim mieszkaniu. „Zygmunt” wziął kopertę i wyszedł z nią do przylegającej kuchni. Wróciwszy po chwili stanął w drzwiach i uniósł wyprostowaną rękę do przodu gestem dowódcy straży z „Aidy” zawiadamiającego o wykonaniu rozkazu. W tej chwili ten gest miał znaczyć: „List wysłany”.

Zaczęła się rozmowa „towarzyska”. Człowiek z bródką wyłożył na stół parabellum, tłumacząc szeroko Lipkowi, że potrzebuje nowego magazynka, „Zygmunt” domagał się dla siebie nowego colta i gotów był dać za niego dwa naganany. Ja doradzałem Lipkowi tę transakcję, wobec tego, że amunicję naganową miałem akurat na składzie.

Nazajutrz, ściśle o godz. 16-tej Dziemido, punktualny jak zaćmienie słońca, zjawił się u mnie. Lipek natarł nań energicznie, ale nie było potrzeby wyłamywać drzwi otwartych — Komendant zgadzał się, zastrzegając tylko pewien okres na zlikwidowanie przez „Zygmunta” jego dotychczasowych czynności. Dla przyśpieszenia sprawy ustaliliśmy, że spotkamy się jeszcze raz nazajutrz, wzywając również „Zygmunta” dla osobistego ustalenia, kiedy najprędzej będzie mógł jechać i ostatecznego przekazania go do Wachlarza. Ponieważ spotkanie miało odbyć się w naszej sprawie, mnie obowiązywało dostarczenie lokalu — wyznaczyłem wewnętrzną skrzynkę w mieszkaniu dr. Iszory przy ul. Mickiewicza nr 22. Lipek miał powiadomić „Zygmunta” o tym kontakcie, który został ostatecznie umówiony na dzień następny 9 lipca, na godzinę 17.30.

Nazajutrz od samego rana rozległ się alarm: Zewnętrzna skrzynka Majewiczowej zawiadomiła mnie o przybyciu samochodu warszawskiego.

Mityczny samochód, w istnienie którego już przestaliśmy wierzyć — zjawił się przekraczając wszelkie przewidywane granice opóźnienia i stanął przed nami w całej grozie i czarze swego ładunku: wiózł 300 kg szedytu i około 50 kg środków zapalających i specjalnych materiałów dywersyjnych.

O szedycie wiedziałem z góry, że nie jest to idealny materiał dla naszych celów, za to ilość jego była imponująca. Natomiast druga część ładunku — owe środki specjalne — owiana była urokiem rozpalającym naszą wyobraźnię. Były to te tajemnicze materiały, o których mówili spadochroniarze — ostatnie osiągnięcia produkcji angielskiej; to, co nocą, w spadochronowych *containerach* wylądowało gdzieś pod Warszawą i po przejściu przez szereg tajemniczych i bezimiennych rąk dotarło oto do Wilna. Oprócz wielkiej ilości znanych materiałów minerskich tj. spłonek i lontów wybuchowych i prochowych, były tam „dzwonki” — elektryczne zapalniki, kontaktujące pod naciskiem szyny ugiętej przez parowóz *fog signals* zakładane na szynę, dające wybuch przy zmiążdżeniu grzybka przez najeżdżające koło; „ołówki czasowe”, wywołujące eksplozję po dłuższym czasie, wskutek chemicznego działania kwasu; termitowe „kieszenie zapalające” do niszczenia zbiorników z benzyną; „myszki zapalające”, wywołujące pożar w określonym czasie; angielski plastyczny materiał wybuchowy „808” z detonatorami pośrednimi; wreszcie pistolety i amunicja do nich.

Lecz nie było czasu, by dawać folgę wyobraźni. Poleciałem zawiadomić Lipka i ściągnąć z pracy Komarową, a sam poszedłem

pod wskazany adres przy ul. S-to Jakóbskiej. W podwórku stała szara, dość niepozorna ciężarówka, koło której kręciło się dwóch młodych ludzi w szoferskich kombinezonach. Wkrótce zjawił się trzeci — elegancki pan w filuternym kapelusiku, który jak się okazało, pilotował transport uchodząc za *Volksdeutsch'a*. Byli to warszawianie: Jan Karwicki, Jan Jaroszewicz i Jerzy Minkowski.

Rozmowa z nimi nie obyła się bez zgrzytów. Szoferzy chcieli wyładować transport w Wilnie, twierdząc, że nie mają ani rozkazu, ani odpowiednich dokumentów, by jechać dalej. Ja natomiast żądałem dostarczenia całości na z góry oznaczony punkt w okolicach miasteczka Widze, czyli 120 km dalej na północ, gdyż pozostawienie transportu w Wilnie było tylko połowicznym załatwieniem sprawy. Żadna ze stron nie ustępowała. Rozstaliśmy się bez wyraźnego wyniku. Poszedłem do miasta by na wszelki wypadek robić przygotowania do wyładowania transportu na miejscu. Po godzinie nadszedł Lipek. Był również przy samochodzie, rozmówił się z szoferami i zdołał ich skłonić (zapewne przy użyciu niezupełnie łagodnej perswazji), by jechali dalej. Żądali jednak przewodnika, znającego teren i zaopatrzonego w odpowiednie dokumenty. Nie godzili się na Lipka, uważając jego białostocki *Durchlassschein* za dokument słaby. Ja również odpadałem, gdyż nie miałem przepustki.

Siłą rzeczy nasuwała się tu osoba „Zygmunta”. Poprzednio pokazywał nam swoje białoruskie dokumenty wraz z przepustką. Akurat na dziś mieliśmy umówione z nim spotkanie. W takim razie samochód mógłby wyruszyć z Wilna jeszcze przed wieczorem, przenocować po drodze i być nazajutrz z rana na miejscu. Rzecz wymagała jeszcze pozwolenia Dziemidy, ale wobec ważnych okoliczności nie można było wątpić, że sprawa zostanie załatwiona. Ustaliliśmy, że auto (które popołudniu pojechało do warsztatu przy ul. Kalwaryjskiej) wyruszy o godz. 18.30. „Zygmunt” będzie miał około godziny czasu, żeby zabrać broń i przygotować się do drogi.

Poszedłem na spotkanie nieco wcześniej. Doktora Iszory ani jego żony akurat nie było w domu. Stara służąca nie bardzo chciała mnie wpuścić, ale zdołałem jakoś przebić się do poczekalni. Zjawił się Lipek, którego też wholowałem do środka. Po chwili rozległ się dzwonek „Zygmunta”.

Tym razem był starannie ubrany — patrzyłem z pewnym zgorszeniem na elegancki strój, który w Wilnie, mieście zaniedbanej odzieży, mógł zwracać uwagę, a nam nie wolno było przecie niczym wyróżniać się od ogólnego tł. Dobrze skrojone ubranie i błyszczące, oficerskie buty podkreślały smukłość i elegancję jego sylwetki. Fantazja, rozmach, temperament — to wszystko „bie-

gło za nim i przed nim”, tego wszystkiego nie potrafił ukryć, nie umiał wbić pod ziemię, jak to robiliśmy my wszyscy.

Kilka minut czekaliśmy na Dziemię, który tym razem spóźnił się jakoś.

Szybko wyłożyliśmy Zygmuntowi o co chodzi. Propozycję natychmiastowej jazdy samochodem w nieznane przyjął, wbrew naszym oczekiwaniom, z największą łatwością i gotowością. Widać było, że taka właśnie wyprawa doskonale odpowiada jego naturze. „Można jechać” — powiedział krótko. Najmniejsza wątpliwość czy wahanie nie zmarszczyły mu czoła — nawet to, że żądając wyjazdu za pół godziny, nie dawaliśmy mu już czasu na zjedzenie kolacji. Nie było w nim żadnego przecucia tego, co się zbliża. To my raczej byliśmy zatroskani i niepewni.

Jeszcze raz obejrzelśmy jego dokumenty: miał białoruski dowód osobisty i lidzką przepustkę — wytwory wileńskiej Gospody. „Można jechać” — rzucił jeszcze raz, gdy z troską i wątpliwością oglądałem te dość nikłe podstawy jego prawnej osobowości. Podałem mu marszrutę i punkt docelowy wyprawy — pewien folwark koło Widz. Zanotował nazwę na kartce pismem otwartym, bez wysilania się na szyfr i schował ją do papierośnicy.

Trzeba było iść — czas naglił. Komendant nie przyszedł ale wobec wyjątkowych okoliczności usprawiedliwione było decydowanie sprawy bez niego. Lipek i Zygmunt wyszli z tym, że ten ostatni wstąpi jeszcze na chwilę do owego mieszkania na górze. Za pół godziny mieliśmy się spotkać na Kalwaryjskiej, przy samochodzie. Ja zostałem jeszcze na sakramentalne kilka minut, żeby nie wychodzić razem. Jak zwykle przy czekaniu, wskazówka zegarka posuwała się naprzód, jak z łaski. Wstałem z krzesła i w zamyśleniu podszedłem do okna. Była punktualnie godzina 18-ta.

Drzwi u dołu, akurat pode mną, otworzyły się. Ujrzałem „Zygmunta” z góry, przechodzącego przez puste podwórko do bramy prowadzącej na ulicę. Szedł, zataczając lekki łuk wokół klombu zajmującego środek podwórza. Stałem w oknie nie spuszczać zeń oczu.

Wyszedłem. Miałem wstąpić do domu po łopaty przygotowane do załadowania na samochód na wypadek, gdyby przyszło do zakopywania ładunku po drodze. Idąc w kierunku placu Łukiskiego natknąłem się na Dziemię, kroczącego najwidoczniej na miejsce naszego zebrania. „Nie poznał mnie”, toteż wyminąłem go bez słowa. Skierowałem się ku Wili. Mijając szybkim krokiem kościół św. Jakóba zobaczyłem z daleka policjantów litew-

skich prowadzących w stronę Łukiszek dwóch aresztowanych młodych ludzi. Kiedy zrównali się ze mną, spostrzegłem na dolnej szczęce jednego z nich znajome kłaczki jasnych włosów — to był człowiek z bródką. Człowiek z bródką! Przez chwilę stałem w miejscu bezradnie, patrząc na oddalającą się grupę. Uprzedzić melinę przy ul. Wileńskiej? A samochód czeka! Nie ma co — trzeba iść najpierw do samochodu.

Aresztowanie człowieka z bródką nie skojarzyło mi się z osobą Zygmunta. Byłem pewien, że Zygmunt nic nie wie o aresztowaniu swego towarzysza i zastanawiałem się, czy należy go o tym zawiadomić, skoro i tak pomóc tu nic nie może, a jechać musi.

Gdy zbliżyłem się do Zielonego Mostu, zauważyłem pewne poruszenie wśród przechodniów. Grupki ludzi stały po obu stronach mostu, patrząc w kierunku ul. Zygmuntowskiej, która przebiega wzdłuż rzeki. Była ona zastawiona niemieckimi ciężarówkami wojskowymi, koło których kręcili się żołnierze. Dalej, na skarpie bulwaru, nad samą wodą stała grupa ludzi cywilnych i wojskowych, skupiona koło czegoś niewidocznego z daleka. Z dosłyszanych urywków rozmów rozumiałem, że ktoś został tam zabity. Jasne się stało, że człowiek z bródką jest aresztowany w związku z tym wypadkiem.

Minąłem Zielony Most. W wąskiej uliczce prowadzącej do dawnego warsztatu Fiata maszyna stała już gotowa do drogi. Oprócz trzech samochodziarzy i Lipka zastałem tam jeszcze wysokiego mężczyznę o bujnej czuprynie — był to, jak się okazało, znajomy „*Volksdeutsch*’a w kapelusiku”, administrator majątku niedaleko Niemenczyna, w którym odjeżdżający mieli nocować. Zygmunta jeszcze nie było — Lipek kręcił się niecierpliwie koło samochodu. Oddałem łopaty i szybko wycofałem się gdyż tłok przy samochodzie i tak był za duży.

Wracając przez Zielony Most do miasta w dalszym ciągu widziałem gromadzące się grupy ludzi. Skręciłem na Zygmuntowską, aby dotrzeć do miejsca wypadku. Na ulicy panowało wciąż poruszenie. Ludzie stali w bramach, wyglądając poprzez stojące samochody ku rzece. Opowiadano, że ktoś biegł po bulwarze z dwoma pistoletami w rękach i w czasie strzelaniny położył niemieckiego oficera, czy nawet kilku Niemców, a potem zbiegł na sam brzeg, żeby przepłynąć na drugą stronę rzeki i tam został zabity. Z poziomu ulicy nic nie było widać, a porozstawiane posterunki niemieckie nie dopuściły mnie na nadbrzeżną skarpe bulwaru. Trzeba było wracać.

Po zawiadomieniu meliny przy ul. Wileńskiej o aresztowaniu człowieka z bródką, poszedłem do domu. Aż do wieczora trwałem w przekonaniu, że ani mężczyzna zabity nad rzeką, ani aresz-

towany człowiek z bródką nie mają związku z „Zygmuntem” i odpędzałem od siebie niejasne podejrzenie, że może związek taki istnieje. Sprawa wyjaśniła się dopiero po nadejściu Lipka, od którego dowiedziałem się, że „Zygmunt” nie zjawił się i samochód odjechał bez niego. Tu dopiero uderzyła mnie myśl, kim jest człowiek zabity nad rzeką. Bez długich namysłów trzeba było ratować sytuację, która stała się bardzo groźna: w kieszeni zabitego tkwiła przecie owa feralna kartka z zanotowaną nazwą docelowego folwarku. Należało zatrzymać transport na postoju nocnym w majątku Werusów, kilka kilometrów za Niemenczynem. Trudne zadanie gonienia samochodu otrzymała Komarowa, która — jak to ona — bywała uprzednio w owym nikomu nieznanym Werusowie, znała świetnie drogę i miała rower na pogotowaniu. Przed świtem ruszyła w pościg i dopadła samochód jeszcze na czas. Transport został wyładowany na miejscu.

Późniejsze wiadomości pozwoliły z grubsza odtworzyć bieg wypadków. W ciągu owych kilkunastu minut po opuszczeniu przez nas konspiracyjnego lokalu przy ul. Mickiewicza, „Zygmunt” udał się wprost do swojej meliny przy ul. Wileńskiej, gdzie zabrał dwa pistolety i ruszył w kierunku Zielonego Mostu, odprowadzany przez człowieka z bródką. Koło mostu wywiadowcy — agenci litewskiego Gespato — usiłowali zatrzymać obu uchodzących. „Zygmunt” skręcił w ul. Zygmuntowską i byłby zapewne wycofał się szczęśliwie, gdyby nie obfitość żołnierzy niemieckich, kręcących się koło stojącej pod drzewami kolumny samochodowej. Na alarm podniesiony przez Litwinów Niemcy usiłowali zatrzymać uchodzącego, który torował sobie drogę groźbą pistoletu. Wreszcie wysunął się uzbrojony podoficer — padł strzał i Niemiec rozciągnął się na ziemi. W odpowiedzi posypały się gęsto strzały karabinowe.

Strzały powaliły go nad samą wodą. Jego gasnące oczy widziały zapewne przed sobą cichy nurt Wilii — Wilii najmilszej z rzek...

„CZAR OREŻA”

Śmierć Kostrowickiego odbiła się echem żalu w mieście. Okoliczności w jakich wyrwał się z bolszewickiego więzienia stworzyła mu legendę wśród społeczeństwa polskiego. Niestety był to dopiero początek krwawej serii związanej z samochodem warszawskim. Wkrótce nadeszła wiadomość o śmierci całej obsługi tego samochodu. W drodze powrotnej wszyscy trzej — obaj szoferzy i „*Volksdeutsch*” w kapelusiku — zginęli w okolicach Słonima: natknęli się na szosie na zasadzkę partyzantki sowieckiej. Przypadkowa śmierć tych dzielnych ludzi była przysłowiowym utonięciem przy brzegu po przepłynięciu morza.

Po paru tygodniach wiadomo też było o śmierci człowieka z bródką, który został zakatowany w więzieniu. Gestapo dotarło również do miejsca naszego ostatniego spotkania — dr Iszora został aresztowany i przebył w więzieniu kilka miesięcy. Przez cały czas konsekwentnie zaprzeczał wszystkiemu, co mu zarzucano.

W pierwszych dniach po katastrofie nad Wilią przyszło nam oczywiście zlikwidować się z miasta. Lipek zresztą nie miał co tu robić, skoro materiał został już przepchany poza Wilno. Mnie obciążała wciąż nie załatwiona sprawa kontaktów na kierunku mińskim, które według warszawskiego porozumienia (czy raczej rozkazu) miałem również opracować. Ruszyłem tedy w znane mi sprzed wojny okolice Wilejki i Mołodeczna.

Podróż miałem bardzo pomyślną. Udało mi się w Wilnie wypożyczyć z zakładu dla ociemniałych kilkunastoletnią dziewczynkę, którą miałem odstawić do jej rodziny, zamieszkałej w tamtych okolicach. Był to doskonały pretekst do podróżowania. Ci sami Niemcy, którzy w tymże czasie mordowali miliony ludzi na całym kontynencie europejskim, którzy likwidowali getto wileńskie na Ponarach — odnosili się z ogromną sympatią i z senty-

mentalnym zainteresowaniem do niewidomej dziewczynki, którą wciąż obdarzano cukierkami. Kiedy przyszło do noclegu w Mołodecznie, umieszczono nas w specjalnym hotelu dla wojskowych niemieckich.

Celem moim było dotarcie do mego dawnego kolegi i przyjaciela Adama Jentysa, który za bolszewików przesiedział kilka miesięcy w więzieniu i został oswobodzony przez wybuch wojny niemiecko-sowieckiej. Teraz trzymał się z dala od Wilna, uważając Gestapo i NKGB za instytucje pokrewne. Siedział zaszyty aż za Wilejką, w okolicach tak zakazanych, jak Ilija, czy Chocieńczyce. Wówczas cały ten teren były to prawdziwe „dzikie pola” — kraj bezpański. Po miastach i na szosach siedzieli Niemcy, którzy jednak władali tymi obszarami tylko *de nomine*. Po lasach sadziła się już partyzantka bolszewicka, nieśmiała jeszcze, ale rosnąca w siłę ludzką i zaopatrywana w broń z za frontu. W terenie, między młotem a kowadłem, lawirowała policja białoruska. Była złożona z miejscowych drapichróstów, ubrana w czarne mundury o wyglądzie pogrzebowym i marnie uzbrojona. Niemcy, którzy ją sami stworzyli, odnosili się do swego tworu z dużą nieufnością, bolszewicy zasadniczo zwalczali „karawaniarzy”, lecz często traktowali ich jak swoich ludzi. Wśród tych trzech władz szary mieszkaniec zwoził drzewo z lasu państwowego, pędził samogon i żył jak chciał, zawsze gotów do ucieczki w krzaki za zbliżeniem się bandy bolszewickiej, lub na odgłos samochodu niemieckiego. Pieniądz w ogóle nie istniał. Jednostkami płatniczymi były pud żyta i paczka machorki.

Z Wilejki doszedłem pieszo lasami do małej osady pod Wiazyniem, gdzie mieszkał dobrze znany mi sprzed wojny woźnica Homołko, który w ciągu paru lat wieleset kilometrów odwalił ze mną polami i lasami dniem i nocą, saniami i wozem — prowadziłem tam przed wojną roboty melioracyjne. Homołko zaprzągnął konia i ruszyliśmy na Ilię. W Wiazyniu, obwieszony granatami policjant białoruski patrzył bezradnie na moje niemieckie przepustki i wahał się długo — wreszcie Homołko zaręczył, że jestem bardzo porządny człowiek i że zna mnie od dawna. Zręcznie omijając miasteczko Ilię podjechaliśmy do folwarku Bobrówka. W alei prowadzącej do zabudowań urządzone były jakieś zagrody z żerdeń, okólniki dla cieląt i źrebiąt (których nigdzie nie było) tak że podjechać pod sam dom dało się dopiero po przewyciężeniu pewnych przeszkód. To praktyczne urządzenie dawało pewność, że samochód od strony Ilii nie dostanie się od razu do zabudowań. Z innej strony rozebrany mostek tworzył przeszkodę jeszcze skuteczniejszą.

W domu zastałem tylko jedną starą kobietę, ale na dźwięk

mojej polskiej mowy i na widok znanego tu dobrze Homołki, inne osoby zaczęły stopniowo wyłaniać się z różnych zakamarków wewnątrz i zewnątrz domu. Wreszcie ukazał się sam Jentys. Był bosy, ubrany w jakieś tylko bardzo prymitywne spodnie i koszulę pochodzącą w prostej linii od zwykłego worka. Na widok moich nóg wybuchnął śmiechem — ubawiło go to, że zdołałem dojechać na miejsce w moich długich butach. Zaraz też ściągnął mi je i wyniósł na łąkę w krzaki. Po kwadransie byłem już, podobnie jak on, tylko w spodniach i w koszuli, a cała reszta moich ruchomości mieściła się w ogrodzie, w jamach po kartoflach, pod ulami. Zegarek i pieniądze powędrowały do jakiejś dziupli. W zabudowaniach nikt nic nie chował, bo mogły się spalić.

Parę dni, które tam spędziłem, pozwoliły mi przyjrzeć się temu, co w Wilnie było jeszcze egzotyczne — partyzantce bolszewickiej. Nie była dobrze zorganizowana, ani świetnie uzbrojona, ale dysponowała ludźmi w sporych ilościach. Pewną część stanowili tu Żydzi chroniący się do lasu przed likwidacją, która w tym rejonie także została przeprowadzona późną jesienią ubiegłego roku. W stosunku do tej liczebności działalność bojowa partyzantki sowieckiej była słaba, raczej chodziło jej w tym okresie o zainstalowanie się w terenie, niż o walkę z Niemcami. Jednakże na odcinku kolejowym Mołodeczno-Parafianów, który przejechałem, widać było ślady kilku świeżych katastrof kolejowych.

W trakcie nawiązywania kontaktów potrzebnych dla kierunku mińskiego poznałem w sąsiednim majątku młodego człowieka nazwiskiem Andrzej Święcicki który podobnie jak Jentys wyrwał się z bolszewickiego pociągu więziennego w chwili wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej, a teraz stronił od Wilna. Mimo że spędził w więzieniu przeszło półtora roku, robił teraz wrażenie nienapoczętej świeżości i energii. Tam również spotkałem mego kolegę z politechniki inż. Aleksandra Borowskiego, który trwał wraz ze swoją matką w ich majątku koło Chocieńczyc. Poznałem także tamtejszego proboszcza ks. Sęka, który w warunkach przypominających czasy pierwszych chrześcijan pełnił swoją misję. Wszyscy ci ludzie trzymali się pazurami trudnego terenu, na którym żywioł polski został prawie wytrzebiony przez bolszewickie masowe deportacje do Kazachstanu w roku 1940. Większość z nich zginęła. Już po kilku miesiącach Jentys i Borowscy zostali rozstrzelani przez policję białoruską, a późniejsze mordowanie Polaków przez partyzantkę bolszewicką dokonało reszty. Był to posterunek stracony.

Po paru dniach wycofałem moje manatki z krzaków i dziupli i ruszyłem w drogę powrotną. Przez kilka miesięcy jeszcze utrzymywałem łączność z tym terenem, lecz żadnych dalszych poleceń

nie otrzymałem od Doktora i Dana. Potem zostałem zdjęty przez Warszawę z kierunku mińskiego.

Po powrocie do Wilna zastałem miasto puste: Lipek ruszył na północ do Bezmiana, a Brona wyjechał do Warszawy. Ten po swoich wyprawach grodzieńskich zasmakował w kolei i zaczął wykazywać wielką ruchliwość. Wciąż był w drodze to do Warszawy, to pod Dyneburg. Trudno było połapać się dokąd mknął w danej chwili — wpadał do Wilna i znów go nie było. „Figaro tu, Figaro tam” — powtarzał Kolarz, notując to wszystko dokładnie w prowadzonej przez siebie kronice. Zbadanie tych zapisków wykazuje, że między 28 czerwca i 20 sierpnia 1942 Brona wyjeżdżał z Wilna 8 razy do Warszawy, na O V i do Grodna. Jeździł przeważnie obciążony wszelkiego rodzaju „kompromitacją”. Podróż bez pistoletu w kieszeni i teczki nabitej szedłtem nie cieszyła go wcale. Ja z ulgą widziałem się odciążony od obowiązku organizowania łączności i transportu. Wkrótce potem Ślepowron zorganizował paru kolejarzy miejscowych i przy ich pomocy wypychał z Wilna zaległy bagaż. Również Kord był w tym czasie czynny między Wilnem a Odcinkiem.

Staranne obwąchiwanie zewsząd sprawy Kostrowickiego nie wskazywało, jak dotąd, na nic groźnego dla nas od tej strony. Wróciłem tedy do moich zajęć. Dwie ważne sprawy miałem na głowie: po pierwsze należało zająć się ładunkiem warszawskim, który zawisł w przestrzeni między Wilnem a Dyneburgiem po wyładowaniu go na przygodnym postoju.

Drugą sprawą było nurtujące mnie od samego powrotu z Warszawy pragnienie zdobycia broni na miejscu w Wilnie. Przed przybyciem samochodu warszawskiego rzecz była paląca i pochłaniała całą moją wolną myśl, która mi pozostawała po kłopotach bieżącej chwili. Przez dwa miesiące chodziłem już koło niej, jak lis koło sera i jak dotąd — uzyskałem niewiele.

Po dostarczeniu transportu warszawskiego sprawa straciła swój kluczowy charakter czynnika, bez którego Bezmian nie mógł ruszyć z miejsca. Mimo to zdobycie porządných materiałów wybuchowych dalej było kwestią ważną. Szedyt warszawski, zdaniem Brony i Lipka (którym w głowie tkwił tylko *plastic* i inni jego angielscy kuzyni) był materiałem mało doskonałym. Oczywiście w braku innych mógł być użyty, ale już z góry trzeba było myśleć o jego zastępstwie. Był to owoc konspiracyjnej produkcji warszawskiej — to budziło we mnie podziw — ale znać było na oko, że ta domowa wytwórczość nie może osiągnąć poziomu normalnych materiałów wojskowych. Siła jego wybuchu była kilkakrotnie niższa od *plasticu*. Próby robione przez Bronę wykazały,

że jest on wrażliwy na wilgoć. Kilogramowe brykiety przywiezione poprzednio z Grodna były pokruszone i zawilgocone, tak, że były w stanie zaledwo zdatnym do użytku.

Angielskie specyfiki, które widziałem u Brony, robiły wrażenie dużo bardziej przekonujące, ale produkcja krajowa szwankowała. Warszawa też znajdowała się zapewne w tym czasie w stanie montowania pierwocin. Pierwsze zapalniki elektryczne, wytwarzane domowym sposobem ze spłonek angielskich, nie chciały wybuchać, bo również były wrażliwe na wilgoć. Wobec tego działanie „dzwonków” które właśnie nadeszły, stawało się wątpliwe. Nie tylko siłą dwumiesięcznego rozpędu, ale i z potrzeby byłem pchany do szukania w Wilnie broni.

Zaraz po powrocie z Warszawy zaprzęgam Andreja do tej działalności. Miałem mocne przekonanie, że jego umiejętność uchwycenia sedna rzeczy, poparta przez warszawskie pieniądze — potrafi ruszyć sprawę. On sam tkwił jeszcze w likwidującym się parku saperskim, ale lada tydzień mógł być przeniesiony do składów wojskowych w zabudowaniach dawnych Targów Północnych u wylotu ul. Wiwulskiego, gdzie koniunktura w obchodzącej nas sprawie była nieco lepsza. Natomiast Andrej nie miał wstępu do wielkich magazynów w Burbiszkach pod Wilnem, które stanowiły istne morze wszelkiej amunicji. One również były obsługiwane przez dość liczną grupę robotników-Żydów. Istniała zatem możliwość działania pośrednio i tu pieniądze warszawskie były bardzo na czasie.

Pierwsze próby szły jak z kamienia. Dwaj młodzi Żydzi, których Andrej wziął w swoje ręce (jak się potem okazało, byli braćmi i nazywali się Gordonowie) okazali się tu prawie do niczego. Całymi tygodniami biegałem wczesnym rankiem by pod pozorem handlu chlebem widzieć się z moimi kontrahentami idącymi z getta do pracy w kolumnie robotników żydowskich. Na początku przynosili to i owo, lecz były to przeważnie rzeczy mało wartościowe, za które ja jednak płaciłem, by wciągnąć ich do pracy. Potem, kiedy zacząłem żądać porządnych materiałów wybuchowych i zapalników — rzecz utknęła. Przeszkodą był tu też brak podręcznej meliny w sąsiedztwie magazynów dla składania rzeczy wynoszonych. Trzeba je było nosić do miasta, lub nawet transportować *via* getto, co było jawnym absurdem.

Rzecz przybrała wygląd bardziej pocieszający, kiedy w końcu czerwca sam Andrej znalazł się na Targach Północnych. Nie było co oczekiwać wielkich wyników z tych przenosin, bo składy owe nie obfitowały podówczas w interesujące mnie artykuły. Jednakże już po kilku dniach Andrej zaczął wynosić drobne ilości

sowieckiej amunicji pistoletowej. Brałem ją skwapliwie na zapas, mimo że nie było czego jeszcze nią nabijać.

Położenie Targów Północnych było o tyle szczęśliwe, że sprawa podręcznej meliny mogła być dobrze rozwiązana: tuż przy wyjściu z bramy głównej, na końcu ul. Wikulskiego mieściło się mieszkanie Bogumiła, cenne przez stałą obecność w nim jednonogiej Barbary. Było już obciążone funkcją skrzynki, pełnioną od paru miesięcy. Skrzynka została przeze mnie szybko wyeksmitowana i punkt zaczął działać, jako melina amunicyjna. Andrej mógł tam wpadać o każdym czasie, wychodząc przez bramę, lub wrywając się przez płot na ulicę. Oprócz tego o parę ulic dalej Bogumił dzierżawił ogród, w którym można było swobodnie chować to, czego nie należało trzymać w domu. Taki aparat odbiorczy był jak bucz zastawiony na rybę.

Do bucza wpadały początkowo drobne płotki: paczki amunicji sowieckiej i niemieckiej. Wykradanie ich przekraczało możliwość jednego człowieka, toteż Andrej przybrał sobie współnika, któremu wytłumaczył, że jego znajomi ze wsi kupują naboje wobec wzrostu bandytyzmu na prowincji. Suma, którą płaciłem, była połową ceny, jaką współnikowi proponował Andrej (1 marka za nabój) gdyż on sam faktycznie nie otrzymywał swojej połowy, jako „współpracownik ideowy”.

Mocą szczególnego prawa serii, kilka źródeł naraz zaczęło sączyć pierwsze krople. Równocześnie z wiadomością o samochodzie warszawskim i z pierwszymi kostkami szedytu przywiezionymi z Grodna przez Bronę, Andrej zdołał przebić się przez wstępne trudności, które forsował od dwóch miesięcy. Zarazem ruszyli się Gordonowie z Burbiszek. Pewnego ranka, gdy zjawiałem się w melinie amunicyjnej, Barbara podała mi małe, lekkie pudełko blaszane, opatrzone niemieckimi napisami, których sens gubił się w niezrozumiałych skrótach. Wewnątrz, wśród skręconych przewodników elektrycznych, bakelitu i waty tkwiły aluminiowe tulejki grubości ołówka. Musiałem dobrze przyjrzeć się by pojąć, że są to zwykłe zapalniki elektryczne.

Dla mnie miały wygląd niezwykły. Te, które znałem z mojej służby wojskowej, lub owe, przysłane ostatnio z Warszawy, wyglądały przy tych okazach, jak ubogi Ford przy luksusowym Packardzie. Od razu czuć w nich było niemiecki styl produkcji. Długie przewody elektryczne o wspaniałej izolacji przenikały przez warstwę jakiejś masy wodoszczelnej, która drwiła sobie z wszelkich wilgoci. Na zewnątrz ujęte były w bakelitowe oprawki zakończone nagwintowaniem dla wkręcenia w odpowiednie gniazdko w materiale wybuchowym. Oprawka ta mogła być momentalnie odjęta i odrzucona, gdyby okazała się zbyt cenna.

Wszystko to odrobione z zegarkową dokładnością, budziło swoim wyglądem ślepe zaufanie. Oto jest zapalnik, z którym można iść na tor!

Akurat w dniu śmierci Kostrowickiego dostałem w ręce inne pudełko — które pochodziło od Gordonów. Było ciężkie, uszczelnione taśmą izolacyjną. Wewnątrz leżało opakowanych pedantycznie kilkanaście mosiężnych, błyszczących cacek, zaopatrzonych w filigranowe zawlecзки. To były zapalniki pociągowe. Poczynając od gwintu przy obsadzie spłonki, a kończąc na lilipucie nakrętki i misternej sprężynce przy zawleczce — wszystko tchnęło niemiecką precyzją i niezawodnością. Gordon żądał za nie dużej sumy, którą zapłaciłem bez wahania. Byłem rozrzutny. Czy miałem cofać się dla braku zdewaluowanych reichsmarek? W myśli biegłem już na tor.

Moje częste spotkania z Andrejem odbywały się na opuszczonym placu przylegającym do terenu magazynów i porośniętym dość wysokimi, zdziczałymi konopiami. Już Mickiewicz ocenił wartość tej rośliny dla tych, którzy szukają ukrycia. Tam w godzinie przerwy obiadowej mój cenny „współpracownik ideowy” wygrzewał się na słońcu i opróżniał menażkę zupy. W długich naszych rozmowach nie były pomijane również sprawy wielu artykułów pozaideowych. Piły i siekiery już się skończyły, ale były za to hacele, latarnie, pilniki, bruski, skóra zdatna na uprząż. Tylko że warunki eksploatacji tych pokładów stały się o wiele trudniejsze, niż poprzednio. Oprócz dozoru wchodziła tu w grę pora roku — letnie ubranie nie dawało tych możliwości, co swetry i kozuchy w zimie.

Andrej wkrótce podłapał na swoim terenie kilka pudełek zapalników elektrycznych i pociągowych, tak że przestały już być unikatami, za które płaciłem każdą cenę Gordonom. Z moich porannych z nimi spotkań przynosiłem od czasu do czasu zawiniątko z kostkami trotylu — ślicznego niemieckiego trotylu, cennego, jak złoto, kadzidło i mirra razem wzięte. Z tych drobiazgów zbierały się z czasem ilości mające praktyczne znaczenie. Bogumił wytrwale cyrkulował między swoim mieszkaniem, a ogrodem i grzebał się w ziemi.

Moje późniejsze stosunki z Bogumiłem nigdy nie doszły do tego stopnia bliskości, jaki tworzy między ludźmi bezpośredni udział w walce. Nie był to człowiek o temperamencie bojowym. Przez cały czas naszej późniejszej paroletniej współpracy traktowaliśmy się z pewnym dystansem. Należał raczej do ludzi typu Kolarza, do tych opanowanych i trzeźwych umysłowości, tak trudnych do porwania na słowa i uczucia, a niezawodnych w pracy, jeżeli poprzednio sami doszli do rozumowego wniosku, że praca

ta jest niezbędna. Jego małe mieszkanko, w którym pojawiło się właśnie nowourodzone dziecko, wciąż było wystawione na możliwości wpadki kurierów na linii Warszawa-Wilno i na wszelkie niebezpieczeństwa meliny amunicyjnej. Moje stosunki z Żydami były czymś, co — widziałem to dobrze — oburzało go i zniechęcało. Uważał je zapewne za fatalny kompromis z własnymi przekonaniem. Rzecz przynosiła pewne korzyści — to było oczywiste — ale godziła jego zdaniem w sprawę najważniejszą — w ideowy fundament jego działań. Poza tym obarczanie swojej egzystencji rodzinnej kontaktami budzącymi nieufność, było szczególnie uciążliwe.

Bogumił przyjmował te wszystkie obciążenia bez uzewnętrznianego zapału, ale z twardością i lojalnością: z tą twardością, która budzi wdzięczność tych, którzy mogli się o nią wesprzeć; z tą lojalnością, bez której z prawdziwej dyscypliny pozostaje tylko pruski dryl.

Znów coś wpadło do bucza. Bogumił wezwał mnie do swego ogrodu i tam wydobyl z ukrycia spore blaszane pudło zewsząd szczelnie oblutowane, które dzięki żelaznemu uchwyty do noszenia w ręku, miało wygląd małej walizki. Zielony, ochronny kolor nadawał temu przedmiotowi charakter wojskowy. Na różowych nalepkach odczytałem wśród różnych skrótów słowo „trotryl”. Andrej złapał grubą rybę — miałem przed sobą duży ładunek potężnego materiału wybuchowego.

Na walizce w trzech miejscach widniały otwory o nagwintowanych brzegach dla założenia spłonek. Poprosiłem Bogumiła o wydobycie zapalników elektrycznych i pociągowych — tych, które tak mi zaimponowały przy pierwszym ich obejrzeniu — i zacząłem kolejno zakładać metalowe cacka w gniazda ładunku. Nie mogłem powstrzymać podniecenia, widząc, jak wymiary i gwinty wszędzie pasują do siebie z zegarmistrzowską dokładnością. Bogumił przyglądał się tym manipulacjom z wyrazem odległego zainteresowania.

W tym właśnie czasie Brona znów ukazał się w Wilnie. Tym razem przyjazd jego miał charakter nieco uroczysty: na Odcinku zagrzmiał pierwszy wybuch. Brona i Szarek zainaugurowali bezmianowski sezon miną szedytową z zapalnikami „dzwonkowym” na linii kolejowej na północ od Dyneburga. To pierwsze cięcie w sierpniu 1942 nie było zupełnie udane, bo pociąg, mimo uszkodzenia toru, przeszedł po wyszczerbionej szynie, lecz to już była wada materiału, a nie ludzi, którzy szli na tor. Moralnie wybuch miał swoją pełną wartość — zamykał długomiesięczny okres wstępny, i wyprowadzał Odcinek na drogę jego właściwego powołania.

W parę dni potem zjawiłem się o umówionej godzinie przed domem Brony z niewinnie wyglądającą teczką, którą Bogumił przygotował na oznaczony termin. Nie tyle ja ją, ile to ona unosiła mnie w górę po schodach w krainę najpiękniejszego marzenia: marzenia które ma być zrealizowane. W pokoju Brony znajdowała się akurat łączniczka Komarowa, która przyniosła dokumenty dostarczone przez Gospodę.

Był to okres, kiedy ponosiło nas najbardziej. Brona już był wżarty w dalekie szlaki kolejowe gdzieś pod Dyneburgiem. Ja miałem za sobą miesiące gorączkowego sięgania po trotyl, który wciąż się wymykał. Teraz mnie także z kolei ogarniała gorączka toru. Rozpierała nas sława dokonań jeszcze nie zrealizowanych. Już czuliśmy je na końcach palców.

Sława siedziała przy stole w postaci łączniczki i patrzyła na wpół dziecinnymi oczami na banalną teczkę spowitą w tej chwili we wszystkie uroki tajemniczości. Niby chór w greckiej tragedii, który uosabia głos ludu, reprezentowała tutaj szeroki świat, co przewalał się koło nas nie widząc naszych pióropuszków.

Postawiłem na stole moją zieloną walizkę — Brona przywarł do niej pożądliwymi oczami i rękami. Obok zapalniki elektryczne rozkładały swój przepych srebrzystego aluminium i gwintowanego bakelitu. Brona wydobył jeden z „dzwonków”, które przywiózł z Warszawy i włączył przewody zapalników do kontaktu. Oto był komplet. Przerzuciliśmy się spojrzeniami. Zaraz nazajutrz miał jechać na północ.

Obok kompletu stanęła butelka wina (Brona, jak zwykle, był dobrze zaopatrzony)

W ciągu kilku dni do meliny Bogumiła trafiło jeszcze 5 ładunków walizkowych. Zabiegałem do mansardowego mieszkania, żeby „popieścić się z miną”. Tylko 3 z nich wysłałem na „Odcinek” przez kolejarzy Ślepowrona, a 2 pozostałe Bogumił schował głęboko w swoich składach — zdecydowałem zachować je na nasz własny użytek. Zarazem Andrej dał znać ze składów, że ukazał się tam zwierz jeszcze grubszy: sowiecki karabin maszynowy. Początkowo wahałem się, czy zabiegać o tę broń nieznanego mi typu, a wymagającą dużych ilości amunicji by w ogóle miała jakiś sens. Jednakże opis Andreja przekonał mnie, że rzecz warta jest zachodu i kosztu. Miał to być nader udatny okaz sztuki uzbrojeniowej: lekki, poręczny, ładowany do około 70-cionabojowych bębnow. Żydowscy specjaliści z warsztatów mechanicznych wydali o nim najlepszą opinię. Wobec takich rekomendacji rzecz została postanowiona.

W umówionym dniu obiekt został przeniesiony do ustronnej szopy, gdzie po upatrzeniu odpowiedniej chwili miał być szybko

rozebrany i przerzucony przez płot w kierunku na konopie, w których ja czekałem. Pierwsza połowa przedsięwzięcia poszła gładko i owinięte w szmaty żelaziwo oraz bębny z amunicją znalazły się migiem w mieszkaniu Bogumiła. Jednak skóra cierpła mi w konopiach, kiedy Andrej z resztą części nie zjawiał się niepokojąco długo. Wreszcie nadszedł z lakoniczną wiadomością, że wszystko już trafiło do meliny inną drogą. Był blady i widocznie wzburzony. Okazało się, że w szopie, podczas rozbierania, w krytycznej chwili zacięła się śruba, łącząca łożę z lufą. Położenie było poważne, bo zdekompletowanego karabinu nie można było zostawić, a dużego, metrowej blisko długości przedmiotu, na który składały się dwie najważniejsze części, nie dało się ani windować przez płot, ani schować. W tym położeniu Andrej przywołał cały swój talent „wchłaniania pod ubranie” i zaryzykował grubo: wpakował całość w nogawicę swoich szerokich spodni, przywiązał do nogi i poszedł przez bramę główną, obok wartownika. Gdyby coś się stało — nie mógłby nawet uciekać.

Te pierwsze zdobycze Andreja — to były niedostrzegalne drobiny w skali toczącej się wojny. Jednak dla mnie znaczenie ich było ogromne. Jest w „Złotej Wolności” Zofii Kossak rozdział zatytułowany „Czar Oręża”, mówiący o ludziach, którzy po raz pierwszy dostają broń do ręki. Ten właśnie czar przynosił się teraz na nas. To była moja nagroda za długie dokopywanie się do korzenia tych spraw, którym był Andrej. Poza mną nikt prawie nie brał udziału w narodzinach broni. Była ona nie tylko skuteczna, ale i tajemnicza. Czar oręża konspiracyjnego jest inny, niż karabinu otrzymywanego z magazynu, lub pistoletu kupowanego w sklepie. Nasz rozdział należałoby zatytułować: „Czar Oręża Tajemnego”.

Wyładowanie samochodu warszawskiego z dala od miejsca jego przeznaczenia narzucało teraz nową serię wyjazdów za Niemczyn. Cały ładunek należało potem przeciągnąć furmankami stamtąd, aż gdzieś pod Dukszty, czyli przeszło 100 km na północ. Odcinek nie mógł zorganizować szybko takiej ekspedycji, wymagającej sporo ludzi, dużej ostrożności, szczegółowego opracowania trasy. Wobec tego przyszło wydzielić z całości podręczną ilość szedytu i cofnąć go do Wilna, a stąd już transportować brykiety małymi partiami koleją. W tej sprawie musiałem pojechać kilka razy do Werusowa, gdzie poznałem administratora majątku Adama Śliwińskiego. Ten rzeczowy człowiek był, jak się zdaje, jednym z ważnych oczek w siatce terenowej Okręgu (pseud. Lux). Znajomość ta w przyszłości okazała się bardzo przydatna. Mimo, że względy konspiracyjne wymagały całkowitego rozdzielenia zakresu naszych prac, Lux zawsze gotów był prywatnie

pomóc nam i kilkakrotnie Baza korzystała z jego broni, furma- nek, melin i kontaktów. Nie obyło się też na wstępie bez pew- nych zatargów: Lux porwał z transportu samochodowego 2 visy i ani myślał ich oddawać. Sprawa nabrała konspiracyjnego roz- głosu i Wachlarz trząśnięt się z oburzenia od Warszawy aż do Dyneburga.

Szedyt jechał do Wilna wodą. Transportowaliśmy go z Koma- rową 14 sierpnia spod Niemenczyna łodzią w dół Wilii. Tuż przed miastem, prawie naprzeciwko Werek, przybyliśmy w miejscu, gdzie na brzegu stał skromny domek i parę zaniedbanych zabu- dowań gospodarczych.

Był to właśnie ów Tartak-Saraj — należąca do moich rodziców działka podmiejska, którą w tym czasie władowały siostry zakonne ze Zgromadzenia tzw. Magdalenek. Zakon ten, mający swój własny duży zakład na Antokolu, został z niego wyrzucony przez Litwinów za czasów bolszewickich. Wówczas to zgromadzenie przeszło w stan diaspory. Część sióstr wyjechała na prowincję, lub pracowała w mieście, kilka usadowiło się na tej właśnie podmiejskiej kolonii i prowadziło tam zwykłe gospodarstwo rolne. Dwie z nich, s. Petronela i s. Innocenta stanowiły stałą obsadę kolonii, inne zjawiały się i znikwały w miarę potrzeb gospodarczych.

Obie siostry stałe były to dojrzałego już wieku kobiety, doświadczone, praktyczne, przedsiębiorcze, doskonale obeznane ze swoją pracą. Siostra Innocenta, drobna i szczupła, była okazem nadzwyczajnej ruchliwości. Podreptać swoim żwawym kroczkiem z kolonii do centrum miasta (odległego o 8 km) i wrócić — to była dla niej drobna przechadzka dla rozruszania nóg, by zaraz potem pobiec do Podbrzezia, lub Mejszagoły, gdzie miała roz- ległe stosunki, była znana i szanowana. Równie znana była w mieście, a cały Antokol był jej domeną. Z ruchliwości, ze sposobu bycia i z ogromnej torby skórzanej, z którą się nie roz- stawiała — była siostrą typu kwestarskiego. Chociaż stale zwią- zana z kolonią, znajdowała się w ciągłym ruchu. Ta jej skłonność dobrze uzupełniała się z usposobieniem siostry Petroneli, która przedstawiała w tym zespole czynnik domatorstwa. Tkwiła na miejscu i nie tyle pracowała ile wprost harowała. Mało znałem ludzi obdarzonych taką pasją nieustannej, ciężkiej pracy. Pewne przywiązanie do dóbr materialnych, właściwe duchowieństwu wszelkich epok i wyznań, łączyło się u niej z chłopską zapobiegli- wością i skrętnością. Garnęła pod siebie wszystko. Na jej stry- chach, w różnych skrzyniach, bokówkach i zasiekach można było znaleźć przedmioty najbardziej nieoczekiwane, a nieraz nader przydatne. Niektóre z nich były to nieomal szacowne antyki pokryte patyną długich lat wojny: skrzynka przedwojennego

mydła, lub puszka pasty do butów autentycznej marki „Dobrolin”.

Poprzednio już miałem do czynienia z tymi osobami w różnych sprawach nieco ryzykownych. Obserwowałem, jak po nagłym wyrzuceniu zakonu z jego Zakładu, siostry przystąpiły do częściowej rewindykacji swego własnego mienia ruchomego. Robiły to w sposób żywo przypominający działalność Andreja w składach wojskowych i nie brakło im wcale zimnej krwi, ani pewnej ręki. Nie omieszkałem poznać mieszkanek samotnej kolonii nad Wilią z „przemysłowcem” z magazynów przy moście Raduńskim. Obie strony oceniły nawzajem swoje talenty. Gdy nastał gorący czas w getto, Andrej oddał siostrom na przechowanie swoją żonę i dziecko, wózek siostry Petroneli, zaprzężony w charakterystycznego bułanka, od czasu do czasu pojawiał się w okolicy mostu Raduńskiego. Przez zabudowania kolonii nieraz przewijali się ludzie nielegalni. Byli to przeważnie księża przesładowani przez hitlerowską okupację, których siostra Petronela podejmowała z gościnnością i szacunkiem. Mały pokójek zostawał nieraz przekształcony w kaplicę i odprawiały się w nim nabożeństwa, ukrywane skrzętnie, ale dostępne dla wtajemniczonych z sąsiedztwa. Wojna tworzyła dla niektórych życie wzbogacone i rozszerzone. Przypuszczam, że dla energii i przedsiębiorczości tych sióstr samodzielne życie na konspiracyjnej kolonii dawało więcej, niż normalna egzystencja w zakładzie pod czujnym okiem Matki Przełożonej. Zwłaszcza siostra Petronela okazała się człowiekiem chodzącym nieraz własnymi drogami. Na zewnątrz była pełna układności i zakonnej pokory, zgadzała się na wszystko i nie miała całkiem własnego zdania. A potem robiła swoje i na tym koniec. Była ustępliwa w słowach ale nie w czynach. Bardzo szanowałem tę cechę jej charakteru.

Tak więc kiedy przybiliśmy z Komarową do brzegu, by wylądować z łódki plecaki z szedytem — wiedziałem na jaki grunt przyjdzie mi stąpać, ale nie byłem pewien przyjęcia. Bądź co bądź tego rodzaju produktów nie widziały dokąd składy petronelowe.

Jednak nie zawiodłem się. Siostra błysnęła oczami i ochoczo skinęła głową. Jednym chwytem visy i colty znalazły się pod jej obszernym fartuchem. Materiał wybuchowy powędrował do cebra. W stodole siostra położyła się na ziemi i wwierciła go, jak jamnik, w torpę słomy od dołu. Robiła to wszystko z werwą, uśmiechała się z aprobatą, nie porzucając przy tym wyrazu zakonnej układności i pokory. Odtąd została zawarta między nami niepisana umowa dotycząca broni.

Kolonia nad Wilią stała się w krótkim czasie królową melin.

I w dzień i w nocy można było do niej dotrzeć nie zwracając niczyjej uwagi. Siostra Petronela była stale na miejscu, sama, lub w towarzystwie innych sióstr, równie pewnych, jak ona. Natomiast nie było żadnych osób postronnych — tych plag każdej prawie meliny. Zaraz na wstępie otrzymywało się — w tym Petronela celowała — porządną porcję jajecznicy, lub miskę doskonałej fasoli, która stanowiła *spécialité de la maison*. Było się nie tylko sytym, ale i bezpiecznym — ostre oko i ucho siostry baczyło na wszystko dokoła. Nie uszedł jej uwadze ani trzask gałęzi w lesie, ani przejazd samochodu za rzeką. Często zanim jeszcze psy zaczęły szczekać, ona już uruchamiała swoją spostrzegawczość. Na jej cześć melina nad Wilią nazwana została w konspiracyjnym żargonie jej imieniem: Petronela.

NOWI LUDZIE

Rozpaczliwy brak ludzi sprawiał, że przez cały czas kręciłem się po mieście, jak Diogenes chodzący po Atenach z latarnią w poszukiwaniu człowieka. Blask tej latarni prześwieślał coraz to inne postacie ludzkie, bliższe i dalsze, wyraźne i mgliste — i szukał dalej. Nic odpowiedniego nie wyłaniało się w polu bezpośredniego widzenia. Jeżeli ukazywał się ktoś naprawdę budzący zaufanie, to z reguły wyjaśniało się przy bliższym zbadaniu go, że tkwi już w Okręgu, a wyreklamowanie drogą oficjalną trwało całe tygodnie, po których okazywało się, że wskazana przeze mnie osobistość w ogóle nie istnieje. Było zresztą zrozumiałe, że Okręg nie palił się do oddawania swoich ludzi do branży, którą poczytywał za konkurencyjną. W ten sposób rzecz rozplątywała się zwolna, a ja pozostawałem w samotności i dalej szukałem. Kolarz musiał wyjechać na dłuższy czas w głąb Litwy w związku ze swoimi badaniami geologicznymi, a Jurek uzyskał właśnie odpowiednie pozwolenie władz niemieckich i przeniósł się do Warszawy, skąd pochodził. Jedyłą osobą, na której można było budować, okazała się Komarowa. Tymczasem łączność z północą leżała odłogiem i utrzymywana była przez sam Odcinek, którego ludzie, zaopatrzeni w dobre dokumenty, pokrywali całą trasę od Dyneburga aż do Warszawy; sprawy techniczne czekały na opracowanie; zaczynała mi już pachnąć własna robota bojowa, której zamysły utrzymywałem w tajemnicy przed Bezmianem, ale którą po cichu przygotowywałem. Na to wszystko trzeba było ludzi, ludzi, więcej ludzi.

Jak często bywa w takich wypadkach, ludzie zjawili się po długim okresie posuchy, całą serią. W ciągu paru dni blask mojej latarni Diogenesa odkrył trzy niezależne od siebie postacie: Fostowicza, Grada i Kosa.

Któż to byli ci „trzej muszkietierowie”, z którymi los i praca sprzęgły mnie najściślej w ciągu następnych miesięcy? Pochodzili z jednej warstwy społecznej — z inteligencji, ale poza tym różnili się na każdym kroku ukształtowaniem psychicznym, wykształceniem, zakresem pojęć.

Największą troską moją w tym czasie było uzupełnienie luki, jaka tworzyła się przez brak mego zastępcy — zastępcy komendanta Bazy Miód, używając oficjalnej terminologii. Szukałem poważnego człowieka, wolnego od innych obowiązków, by mógł się oddać pracy całkowicie, możliwie krytego przed wywozem do Niemiec, obeznanego z wileńskim gruntem, a ponadto bojowego, niezłomnie dyskretnego i odpowiednio inteligentnego. Człowiek taki, wtajemniczony we wszystkie arkana Bazy — w pierwszym rzędzie w łączność z Warszawą i w chody amunicyjne z Żydami — dopiero pozwoliłby mi ruszyć sprawy pozawileńskie, zając się naprawdę łącznością z Odcinkiem i w ogóle rozwinąć skrzydła związane uganianiem się po mieście i załatwianiem przy pomocy Komarowej dziesiątków drobiazgów.

Skąd wydobyć taką perłę? Rozmyślałem o tym pogwizdując arię z „Poławiaczy Pereł”, ale mało co więcej ponadto mogłem zrobić w Wilnie wyludnionym i rozpłoszonym przez wojnę. Trzeba było żmudnie przetrząsać całe miasto, by znaleźć taką doskonałość w stanie wolnym do wzięcia.

Przypadek zdarzył inaczej. W końcu sierpnia przyjechał do Wilna Ślepowron, który, jako kwatermistrz Odcinka, miał na głowie wiele spraw gospodarczych, wymagających kontaktu z miastem. Między kwestią kupna butów, a zamówieniem swetrów, czy koszul, zagadnął mnie, czy nie potrzebuję jego kolegi uniwersyteckiego, który zjawiał się teraz w Wilnie po dłuższym pobycie na wsi i poszukuje właśnie kontaktu z jakąś poważną robotą. Bliższe wiadomości, które Ślepowron podał, zdawały się wskazywać, że chodzi tu o odpowiednią kandydaturę: prawnik niedawno ukończony, asystent wileńskiego uniwersytetu, za lat studenckich wybitny działacz korporacyjny, wilnianin, ziemianin, nieżonaty. Samo nazwisko: Jerzy Zahorski — brzmiało zachęcająco, wskazując, że chodzi tu o krewnego dr. Władysława Zahorskiego, znanego całemu miastu profesora *honoris causa* naszego uniwersytetu. Tak, to właśnie to czego szukałem. Po paru dniach poznałem wysokiego blondyna o wyglądzie ziemiańskim, który pod nazwiskiem Fostowicza zaraz przystąpił do roboty, jako zastępca komendanta Bazy.

Ślepowron nie przesadził. Od początku znać było w Fostowiczu człowieka dużej inteligencji. Rozmowa z nim świadczyła o kulturze środowiska, z którego pochodził i o poziomie uniwer-

sytetu, który go wypuścił. Głowa solidnie umeblowana, erudycja, znajomość języków, obycie towarzyskie — wszystko wskazywało, że *c'est quelqu'un*. Mimo to w pierwszym okresie niezupełnie ufałem roslemu blondynowi, mimo sympatii którą budziła jego otwarta twarz o krótkim nosie i przystrzyżonych wąsach. Ziemianin? Korporant? Wcale nie miałem przekonania do tego typu ludzi. Na politechnice trzymałem się z dala od dwóch kategorii kolegów: Żydów i korporantów. No, ale skoro teraz współpracuję z Żydem, to może trzeba starać się o korporanta dla równowagi? W każdym razie nie łączmy na razie ze sobą tych swóich sprzecznych elementów. Niezbyt skwapliwie wta jemniczałem mego nowego zastępcę w różne tajne chody. Niech czas pokaże, czy Fostowicz jest tym, o którym marzyłem przetrząsając Wilno w poszukiwaniu perły.

W tym samym czasie wstąpiłem do małego warsztatu przy pl. Napoleona by dogadać się z jego właścicielem, niejakim Janem Nasutto. Kontakt ten został mi nastęczony na odjezdnym przez opuszczającego Wilno, Jurka, którego wstępna diagnoza brzmiała: „człowiek zdecydowany, dobry strzelec”.

Warsztat, jak się okazało, wyrabiał drewniaki. Właściciel zajęty był akurat przyjmowaniem obstalunku od eleganckiej pani, podczas kiedy ja rozglądałem się po pokoiku wypełnionym małym biurkiem, filigranowym łóżkiem, dużą ilością różnych narzędzi, form, pras. Wszystko to było utrzymane w wielkim porządku i zorganizowane w ekskluzywny świeatek, którego ós — pan Nasutto — stał oto przede mną w postaci niedużego, suchego człowieka o drobnej twarzy, zakończonej od góry gładko przyczesanymi blond włosami, a od dołu gładko przystrzyżoną ryżawą bródką. „Jadowity korniszon” — mówiło się o takich typach w wojsku.

Był zapewne jeszcze młody, lecz postarzony na twarzy zarówno bródką, jak też ziemistą cerą, która dodawała mu wieku. Szybkie ruchy i ostry głos kazały odgadywać człowieka nerwowego, a zarazem opanowanego. Ze sposobu bycia zrobił na mnie wrażenie oficera zawodowego (a wiedziałem dokładnie, że nim nie jest).

Poza szablonowymi sprawami organizacyjnymi, pierwsza rozmowa dotyczyła głównie zawodów strzeleckich, w których uczestniczył i rozlicznych typów pistoletów, z których strzelał. Strzelać — zdawało się taką samą funkcją jego organizmu, jak wydzielać dwutlenek węgla przy oddychaniu, lub pocić się latem. Wyniosłem przekonanie, że producent wytwornych drewniaków pachnie prochem i że trzeba go użyć raczej w departamencie

bojowym, niż organizacyjnym. Takim przy pierwszym spotkaniu ukazał mi się Nasutto, późniejszy Grad.

O ile dwaj pierwsi „muszkietierowie” zjawili się jako ludzie dla mnie całkowicie nowi, o tyle trzeciego znałem aż nadto dobrze: był to mój szkolny kolega Edward Piotrowski, znany w moim przedwojennym środowisku jako konstruktor różnych ekscentrycznych mechanizmów i twórca licznych „patentów”. Był to również bliski przyjaciel Kolarza. Kolarz był człowiekiem wyjątkowo zrównoważonym, pedantycznym i systematycznym, lecz posiadał tę cechę, że lgnął do ludzi o wręcz przeciwnych właściwościach psychicznych.

W ramach życia przedwojennego Piotrowski mieścił się z trudem. Czuł się nieco na bakier ze szkołą, z pracą zawodową, z wojskiem. Żeby się wydostać z tego nieznośnego położenia, delikwent zastosował środek radykalny: przestał jeść. Po miesiącu ukrywanej skrzenie głodówki został zwolniony z wojska z powodu skrajnej anemii i wrócił do Wilna. Był tak wychudzony i wycieńczony, że zyskał wśród nas przydomek Piotrowina.

W pierwszym okresie wojny Piotrowin-Piotrowski dalej rezydował w Wilnie i pędził swój urozmaicony tryb życia, przerzucając się z kwiatka na kwiatek w sferze swoich „patentów”. Za bolszewików, w roku 1940 założył kurs szoferski, którego mienił się być dyrektorem, a również wykładowcą i instruktorem jazdy. Że sam nie posiadał przy tym prawa prowadzenia samochodu — to był szczegół niegodny uwagi.

Po wybuchu wojny niemiecko-bolszewickiej znalazł się w Warszawie, gdzie dał się zarekrutować na wyjazd do pracy w głębi Rosji. Warunki, które *Arbeitsamt* obiecywał ochotnikom były dobre. Nasz ochotnik żądał dodatkowo, by zatrudniono go nie gdzie indziej, niż nad Czarnym Morzem. Obiecano mu to i ruszył na Ukrainę.

Ruszył, ale nie na długo. Został fatalnie oszukany. Zamiast nad Czarne Morze, zawieziono go do jakiegoś zakazanego, Boże się pożał, Dniepropietrowska, a tam znowu okazało się, że do pracy trzeba wstawać dużo wcześniej, niż to leżało w jego zwyczajach. Wobec tego uciekł stamtąd i ukazał się znów w Warszawie, uzyskując zaszczytny przydomek Dniepropietrowskiego.

Dosięgły go moje listy i w końcu sierpnia przyjechał (czy raczej przyszedł pieszo) do Wilna, ignorując wszelkie granice, paszporty i przepustki: ignorować co się da na prawo i na lewo — było ważnym rysem jego postawy duchowej. Widziałem w nim przede wszystkim cenną siłę techniczną. Zaraz też Piotrowski-Dniepropietrowski-Piotrowin (który teraz ukrył się pod krótkim

ptaszcym pseudonimem: Kos) został przywalony zamówieniami, porwany falą pomysłów i patentów.

W sprawach technicznych Kos był zdolnym dyletantem.. Potrafił zaimprovizować wszystko, co narzuca chwila, szybko, z byle jakiego materiału, najprostszymi środkami.

Jego umysłowość żywa, o szerokich rzutach wyobraźni, bulgotała wciąż nadmiarem inicjatywy i przerostami manii reformatorskiej. Gdyby nie wdzięk osobisty i dowcip wydzielany „wszystkimi porami ciała” — obcowanie z nim mogłoby być trudne. Nikt bardziej od niego nie dojadł mi nieustanną krytyką, w której rdzeń słuszności trudno było oddzielić od fantastycznej przesady. Nawet podczas zaprzysiężenia, które obowiązywało przy wstąpieniu do Armii Krajowej, przerywał recytowanie uroczystej formuły, by krytykować jej treść i proponować zmiany.

NARODZINY EDYPA

W końcu lipca Brona znów ruszał do Warszawy. Skorzystałem z tego, by poprosić Doktora o „koncesję” dla Bazy Miód na samodzielną robotę bojową na linii kolejowej Wilno-Kowno w jej części przebiegającej poza granicą polsko-litewską.

Siedzenie w Wilnie, na tyłach Odcinka Bezmiana, wciąż w charakterze intendenta, a zarazem biernego świadka przyszłej chwały Bronów, Ślepowronów i Kordów, nie stanowiło pozycji zbyt atrakcyjnej. Wydawało mi się, że każdy obszar, byle położony poza granicą Polski, nadaje się do działań Wachlarza równie dobrze, jak tereny położone za Dźwiną a linia kolejowa Wilno-Kowno, stanowiąca jeden z najważniejszych szlaków prowadzących z Niemiec na wschód, niczym nie ustępuje dyneburskiemu węzłowi kolejowemu. Teraz, skoro mieliśmy już materiał, trudno było nie poprobować własnych sił. Zwłaszcza Andrej palił się do roboty i podniecał mnie niecierpliwymi pytaniami: „Na co czekamy?”.

Odpowiedź, którą Brona przywiózł po kilku dniach, pochodziła od Dana (Doktor był nieobecny w Warszawie). Dowódca nasz zgadzał się zasadniczo na koleje litewskie, ale żądał przede wszystkim uruchomienia odcinka dyneburskiego. Widać było, że Warszawa odnosi się do mojej propozycji bez entuzjazmu i lekce ją sobie waży. Tym niemniej uważałem „koncesję” za udzieloną i zabrałem się do roboty.

Niedługo potem odcinek dyneburski ruszył wreszcie, po trudnym okresie transportowania materiałów i sadowienia się w terenie. W połowie sierpnia było już wiadomo o pierwszym kroku, postawionym przez Bronę i Szarka za Dyneburgiem. Początek był zrobiony. Brona przestał pokazywać się u nas, nie było go w Wilnie przez kilka tygodni, natomiast od innych, przybywają-

cych z Odcinka podwładnych Bezmiana, zaczęły przeciekać głu-
che wieści, zawoalowane niedomówieniami połowicznej dyskrecji,
osłonięte półmrokiem tajemnicy służbowej. Widać było, że na
Odcinku ruszyło, że coś się dzieje pod Dyneburgiem. Andrej
coraz natarczywiej zapytywał przy naszych spotkaniach w kon-
opiach: „Na co czekamy?”.

Kierunek na zachód od Wilna był wygodny nie tylko ze
względu na bliskość granicy, ale posiadał dla mnie pewną do-
datkową atrakcyjność: Ponaryszki. Nie trzeba było lepszej bazy
wypadowej: granica w odległości 3-4 km, kolej i szosa tuż obok,
dojście z Wilna prawym brzegiem Wilii, przez głucho okolice
bezniemieckie i bezlitewskie, lub też dojazd rzeką z prądem.
Czego można chcieć więcej?

W tych warunkach transport sporej ilości materiałów wybu-
chowych, przeznaczonych na naszą inaugurację, był po prostu
miłą wycieczką. W pogodną niedzielę 29 sierpnia 1942 załado-
waliśmy z Komarową u Petroneli szedyt do kajaka i popłynęliśmy
w dół rzeki przez miasto. O umówionej godzinie spotkał nas
w Zakrecie Fostowicz (był to jego debiut w roli czynnego członka
Bazy) i doręczył owe 2 zarezerwowane ładunki niemieckie, bę-
dące ostatnim osiągnięciem Andreja. Dalsza podróż aż do Pon-
aryszek odbyła się w jak największym spokoju i pogodzie zarówno
ducha, jak aury. Żaden środek konspiracyjnego transportu nie
jest tak błogi i kojący nerwy, jak właśnie kajak. Z pogodnego
nieba, z łagodnie przesuwających się krajobrazów spływa pewność,
że nic niepożądanego stać się nie może. A gdyby ostatecznie coś
zaszło, to zawsze można wywrócić kajak i utopić drażliwy ładun-
ek. Toteż nasza przejażdżka po Wilii daleka była od charakteru
bohaterskiego. Przygrzana słońcem Komarowa (zwana po cywil-
nemu panną Tanią) wkrótce zdrzemnęła się, wsparłszy główkę
na trotylu, a nogi na szedycie. Jedyłą chwilą jakiego takiego
niepokoju był przejazd przez „rapy” w Sojdziach.

Rozpoznanie „miejsca zbrodni” (jak mawiał Brona) też poszło
gładko. Pojechaliśmy z Perlicą rowerami za Jewje w charakterze
drobnych spekulantów. Tam kręcąc się po wsiach i handlując,
obejrzałem sobie dojście, przez las do wcale okazałego łuku kole-
wego, położonego w połowie drogi między Jewjem a Żośłami,
koło wsi Kowgany. Potem dopiero zauważyłem, że jest to ta
sama miejscowość, o której mówi Mickiewicz w wierszu:

*„Nasz naczelnik nad Trockim jeziorem
Po kowgańskiej potyczce nocuje...”*

Również niezbyt emocjonujący był dalszy transport materia-

łów. Zdarzyło się dziwnym trafem, że Puchała, który prowadził wówczas jakieś roboty leśne koło Rykont, miał do rozporządzenia furmankę, należącą do wileńskiego Gestapo. Na nią to z uciechą załadowaliśmy nasze tobołki, oddając zarazem hołd Stwórcy, który ustanowił, że koń mówić nie może. Na leśnej drodze, o kilometr od upatrzonego łuku kolejowego zakopaliśmy wielkie, blaszane pudło, stosując przy tym wszelkie finezje kunsztu melinowania.

Wszystkie te przygotowania zostały ukończone w pierwszych dniach września. Noce były już dłuższe, poranki chmurne i przymgłone. Zbliżał się właściwy sezon dla tych, którzy pracują po ciemku. Pora było zbierać się *na rabotu sławnuju* według słów sowieckiej piosenki, którą podśpiewywał Fostowicz.

Robota odwlekła się jednak aż do początku października.

Ostatni okres przygotowań — to brzmi poważnie i oficjalnie. Już po paru miesiącach przywykliśmy przywiązywać do cięć kolejowych nie tak dużą wagę i przykładać do nich inną, bardziej familijną miarę. Cóż to za ważne przygotowania były jeszcze do zrobienia? Nawet materiał wybuchowy mieliśmy już na miejscu. Zabrać zapalniki do torby, pistolety do kieszeni, słońinę i butelkę samogonu do chlebaka i uznać „ostatni okres przygotowań” za ukończony.

Tak byłoby po paru miesiącach. Ale wtedy byliśmy dywersantami dopiero w pączku. Jakże niegodny czułem się wielkiego zadania, które brałem na swoje ramiona! Z jaką żarliwością prozelity przystępowałem do rozstrzygnięcia takiego na przykład zagadnienia, jak wybór zapalnika. Naciskowy, czy pociągowy? Wybrałem pociągowy, wbrew sprzeciwom Komarowej, która wchodziła już w swoją późniejszą rolę „opozycji Jego Królewskiej Mości” w Bazie. A wybór ludzi! Jeden Andrej wydawał mi się pewny, widziałem go już w różnych tarapatkach i wierzyłem w jego spokój i odwagę. Grad robił też dobre wrażenie, ale kto go tam wie. Kos? Kos ze swoimi fanaberiami, z astmą nerwicową i gorączką sienną? Niech siedzi w Wilnie i łuszczy swoje patenty. Fostowicz? Ziemiański synek, który dobrze jeździ konno, ale chodzić pieszo pewno nie umie! Szumbura? Uchowaj Boże! Kolarz? Ale gdzież tam!

Przypominając sobie teraz, jak wtedy oceniałem tych, którzy potem błyszczeli odwagą, stanowili elitę bojową — myślę, że oni sami nie znali wówczas swoich własnych możliwości.

W innych sprawach też widoczna było przesada, z jaką odnosiłem się do naszego debiutu. Dla ostrożności postanowiłem nie zjawiać się z moją ekipą w Ponaryszkach przed robotą, ani nie zachodzić tam po robocie, a startować wprost z Wilna i wracać

do Wilna. Wyobrażałem sobie, że nasz wybuch wywoła kolosalną obławę, że rozpoczną się represje, że przy śledztwie obecność obcych ludzi w Ponaryszkach wyjdzie na jaw i wzbudzi podejrzenia. Było to śmieszne, jeżeli się zważy, że obrane przeze mnie miejsce wybuchu znajdowało się od Ponaryszek w odległości około 20 km. Mimo to wolałem urządzić się w ten sposób, by żywność, broń i inne potrzebne rzeczy były nam z Ponaryszek dostarczone przez Perlicę i Komarową na umówione punkty w lesie.

Inną sprawą, stanowiącą cień tego okresu, był zupełny brak pieniędzy. Łączność z Warszawą funkcjonowała nieświetnie, pieniądze nie przychodziły, wydatki na broń i amunicję rosły bez miary. Siedzieliśmy od dawna w długach tak zawiłych i skomplikowanych, że tylko uniwersalny umysł Andreja przebijał się przez tę gęstwinę rachunków obliczanych na marki, na ruble, na złoto, na słońinę, na dolary. Wreszcie wyczerpało się wszystko, a zwłaszcza cierpliwość — goniec z Warszawy nie przyjeżdżał. Ostatecznie start do naszego cięcia zależał od tego, czy zdołam sprzedać szybko mój patefon. Inaczej nie było za co kupić brakującej opony do roweru. Ta transakcja zatruwała mi ostatnie godziny przed wyruszeniem.

Inna ważna kwestia została wyjaśniona też w ostatniej chwili. Mieliśmy wielkie aspiracje, ale ani jednego pistoletu. Wszystko, co przechodziło przez Wilno tranzytem, poszło już na Odcinek. Nie tylko pieniądze, ale i broń trzeba było pożyczyć. Jedynym źródłem był Lux z Niemenczyna, który przyswoił sobie 2 visy z warszawskiego transportu i trzymał je, jak swoje. Oczywiście nie był skory do ich pożyczenia, mniemając nie bez racji, że nie jest to pewna wiarygodność. Poleciałem talentem Komarowej załatwienie tej delikatnej sprawy. Pojechała — i wróciła z visami.



Rowery, pieniądze, kajaki, mapy, patefony — to wszystko odstało ode mnie, jak powłoka poczwaraki: siedziałem już na wozie. Tęga, parokonna furmanka, wracająca z miasta do maj. Waka unosiła mnie, zagrzebanego w słomę, na zachód, w kierunku Ponaryszek i Jewja. Andrej i Grad mieli wyjechać z Wilna rowerami nazajutrz w południe.

Dzień był chmurny i chłodny, deszcz popadywał. Byłem ubrany lekko, jak do marszu, ale w słomie było mi ciepło. Nie miałem przy sobie broni, ani w ogóle nic kompromitującego — wszystko już pojechało naprzód.

Tak, cała żmudna robota montowania wyprawy została już

za mną. W tej chwili Komarowa szła prawym brzegiem Wilii do Ponaryszek, niosąc ciężko pożyczone pistolety. Perlica remontowała dziurawy kajak, Fostowicz w mieście biegał, szukając na gwałt opony do roweru, w lesie za Jewjem czekał zakopany materiał. Rozkręcany od miesiąca wózek dywersji toczył się pełną szybkością.



Po nocy spędzonej w Wace, po różnych manewrach końskich i dyplomacjach furmankowych, których celem było zaoszczędzenie swoich nóg i dostawienie ich w stanie jak najbardziej świeżym na miejsce zbiórki — dotarłem parokonnym, majątkowym powozem do Rykont. Stąd miałem już tylko 2 km. do wyznaczonego pagórka w lesie. Na szosie ukazał się rowerzysta — po chwili nadgonił mnie Grad. W parę minut potem nadjechał Andrej. Obaj zjawili się punktualnie. Do tej pory nie znali się toteż teraz oglądali siebie wzajemnie spod oka z taksującym zaciekawieniem. Była akurat godzina 2-ga, gdy wszyscy trzej w komplecie weszliśmy na umówiony wzgórek.

Nie minęło i pięciu minut, jak z krzaków wyłoniły się obie kobiety. Niosły pokaźne tobołki, aż dziwne było, że tyle się tego zbiera. W ostrożności i ciszy (posterunek niemiecki był w leśniczówce opodal) rozłożyliśmy na trawie cały bazar różnorodności. Grad dorwał się do visów i włożył w nie duszę. Składał, przecierał, ładował, repetował, błyskał wyczyszczoną i z lekka nawazelinowaną amunicją. Ja zamknąłem się w moim ekskluzywnym światku spłonek, zapalników i lontów. Linka pociągowa na zwijaku zajmowała tak dużo miejsca, że sama jedna wypełniała cały chlebak. Przewody „dzwonka” miały nieco wątpliwą izolację, trzeba było sprawdzić baterie, przyciemnić żarówkę kontrolną. Andrej rozłożył się na trawie i jadł, co mu podały kobiety.

Jeszcze ostatnie chwile rozmowy, ostatnie ustalenia. Zreperowany kajak stał już na miejscu, na przeprawie przez rzekę. Komarowa miała tam czekać aż do świtu z jedzeniem i wszystkim, co potrzebne do dalszego marszu. Spodziewałem się że załatwimy wybuch do godz. 9-tej wieczorem, zatem nad rzeką mogliśmy przypuszczalnie zjawić się koło 1-szej lub 2-giej w nocy.

Trzeba było iść — dochodziła godz. 3-cia popołudniu. Mieliśmy jeszcze przeszło 20 km marszu do miejsca, gdzie czekał na nas zakopany materiał. Chlebaki pęczniały coraz to bardziej, połykając wciąż nowe porcje ładunku: jedzenie, zwijak z linką, „dzwonek”, spłonki, lont prochowy, zapasowe zapalniki pociągowe i elektryczne, busola, sztabówki, amunicja do visów, opatrunki indywidualne. Jeszcze raz wypróżniliśmy kieszenie, aby

pozbyć się do reszty każdego papierka, wszystkiego, co stanowiło jakiś związek z naszym zwykłym życiem. Odrywaliśmy się od swojej ostatniej bazy, by wkroczyć na naszą arenę: szare pasmo szosy a potem las i tor.



Skoro już poczuliśmy pod butami twardą, betonową nawierzchnię, skoro spłynęła po mnie ostatnia słabość krótkiego i oszczędnego w słowach pożegnania z kobietami — od razu ogarnęła nas i uniosła radosna beztroska życia. Lekko jest iść *na rabotu sławnuju*, czując błogi ucisk visa na prawym udzie, wierząc, że obaj towarzysze są równie pewni, jak pistolety, które niosą, że tak samo niezawodny jest trotyl zakopany koło toru i zapalniki tkwiące w chlebaku. Mimo rozterek i strachów, które się wyłaniały zewsząd, mieliśmy owo radosne i dumne poczucie, że nasze trzy niepozorne postacie posuwające się od niechcienia szosą, stanowią groźną siłę bojową. Patrzyliśmy pobłaźliwie na ludzi, których obojętny wzrok przesuwiał się bez zainteresowania po naszych ubogich ubraniach, pobłaźliwie słuchaliśmy, jak na torze kolejowym, przebiegającym niedaleko, idą pociągi. Minęliśmy przejazd kolejowy w Zawiasach, a po paru kilometrach dawną granicę polsko-litewską, z opustoszałą strażnicą i dalej most na Brazole. Weszliśmy w lasy, ciągnące się aż do Jewja.

Grad miał znakomite kwalifikacje strzeleckie, ale nie przechodził żadnego wyszkolenia w dziale materiałów wybuchowych, toteż wykorzystałem kilkugodzinny marsz, by zaznajomić go dokładnie z zawartością naszego chlebaka amunicyjnego. Ta pogładowa lekcja, oparta na idącym właśnie do akcji materiale mineralnym, była dużo skuteczniejsza, niż długie godziny wykładów teoretycznych.

Samo Jewje, w którym zachodziła obawa spotkania z policją, minęliśmy bez przeszkód. Nowa szosa nie przechodzi przez miasteczko, lecz omija je bokiem. Dalej mieliśmy już spokojny trakt na Żyzmory. Szliśmy bezpieczni, odprężeni, ale zaczynał się już czuć w nogach przebyte kilometry. Moi towarzysze przybyli z Wilna na miejsce zbiórki rowerami i włożyli w tę jazdę także sporo wysiłku, ciągnąc pod silny, zachodni wiatr. Z traktu kowieńskiego skręciliśmy koło miejscowości Żebirtany na boczną drogę, prowadzącą do Żośli. Było już po 6-tej, powoli zaczął nadciągać zmierzch.

Pociągi szły. Coraz to od toru dolatywało ich dalekie dudnienie. *Sczastliwczik, sczastliwczik*, uśmiechał się zjadliwie Grad. „Pracujemy na własny rachunek, ale pod obcą firmą” — dorzucił

Andrej, wyciągając z chlebaka paczkę sowieckiej amunicji do automatu i sowiecki opatrunek wojskowy, specjalnie zabrane, by je podrzucić koło miejsca wybuchu, dla stworzenia pozoru akcji dywersantów bolszewickich.

Jeszcze kilkaset metrów do dróżki, na której zakopaliśmy z Puchałą materiał. Chciałem tam dojść jak najprędzej, by odszukać miejsce jeszcze przy świetle dziennym. Daliśmy nurka pod ciemne sklepienie liści i gałęzi, zamykające się nad leśną ścieżką. Odmierzyłem odległość od znajomej brzozy i zacząłem odwalać darninę. Wszystko było w porządku: blaszane pudło z szedytem, opakowane w płachtę brezentową i dwie niemieckie, dobrze znajome „walizki”.

Była już noc zupełna, kiedy zaszyliśmy się w gęste krzaki, by tam wyciągnąć się na ziemi. Po kilku godzinach marszu byliśmy porządnie wygłodniali, więc chlebak aprowizacyjny opróżniał się szybko. Popiliśmy wódki, Andrej i Grad wypalili „na zapas” po parę papierosów. Można iść.

Noc była ciemna, księżyc miał wzejść dopiero po północy. Wszędzie cisza. Ja niosłem tobół z pudłem blaszanym, Andrej z walizeczkami w rękach wyglądał jak makabryczny turysta. Po kilkuset metrach droga skręciła w lewo, ukazały się światełka w jakimś oknie — to już przejazd przez tor i budynki kolejowe.

Pas lasu przylegający do toru, szerokości około 100 m. został tu wyrąbany. Wszędzie pełno leżących pni. Należało odskoczyć od zabudowań o paręset metrów, a potem usadowić się na długim łuku, który widziałem podczas rozpoznania.

Po trzeszczących gałęziach brnęliśmy do toru. W ciemności zarys nasypu kolejowego wyrósł przed nami wysoki i groźny. Posunęliśmy się jeszcze paręset kroków do miejsca, gdzie niewyrąbane krzaki podchodziły blisko do nasypu. Tam wyszliśmy na górę.

Lecz co to? Łuk zniknął. Najwyraźniej staliśmy na prostym odcinku toru. Gdzieś dalej majacząca niejasno ściana lasu zaginała się wzdłuż nasypu, ale tu gdzie staliśmy, łuku nie było. Od strony Kowna widniało wysoko nad torem światełko semaforu koło budynku blokowego. Gdzie się podział łuk? Łuk, który widziałem własnymi oczami.

Z visami w rękach ruszyliśmy w jedną, potem w drugą stronę. Znowu znaleźliśmy się blisko budynków i światła semaforu. Widać było, jak w tym miejscu porusza się latarnia jakiegoś kolejarza. Wszędzie to samo — nigdzie nie znać żadnej krzywizny toru.

Dużo czasu straciliśmy na te wędrówki. Ostatecznie zrozumiałem, że łuk znajduje się tam, gdzie być powinien, lecz chodzimy

po nim bez ustanku, nie mogąc go spostrzec z tego powodu, że krzywizna jego jest zbyt łagodna. Krótki odcinek szyn, który ogarniają nasze oczy, w ciemności wydaje się wciąż linią prostą, a nie możemy sięgnąć wzrokiem o kilkadziesiąt metrów dalej.

Wróciliśmy na stare miejsce, gdzie weszliśmy na nasyp, by tam zainstalować się ostatecznie. Przede wszystkim czekała nas uciążliwa robota rozwinięcia linki na całą jej 150-metrową długość. Jeden jej koniec przywiązaliśmy do żelaznego słupka na torze. Grad i Andrej zagłębili się w krzaki, ostrożnie rozwijając ze spuli sprężyste, stalowe zwoje. Ja zostałem w zaroślach przy torze, żeby ostatecznie przygotować materiał. Mieliśmy założyć 2 miny: jedną, silniejszą, na kierunku dofrontowym, czyli na torze Kowno-Wilno — przeznaczyłem na nią jeden ładunek trotylowy i cały szedyt; druga, na kierunku Wilno-Kowno, miała zatrzymać pociąg raunkowy, który zostanie zapewne skierowany z Wilna na miejsce katastrofy. Pierwsza mina miała być uruchomiona przez pociągnięcie linką, druga automatycznie, przy pomocy „dzwonka”.

Wyszukałem w chlebaku małe, metalowe cacko — niemiecki zapalnik pociągowy Z.Z.35. Obok owinięta pieczolowicie w watę, czekała gruba spłonka niemiecka, jedyna, którą w tej chwili posiadaliśmy. (Spłonki angielskie były cieńsze i nie pasowały do niemieckich zapalników). Wkręciłem cały zespół w nagwintowane gniazdko jednej trzykilówki, drugą uzbroiłem w 2 niemieckie zapalniki elektryczne, połączone z kontaktem „dzwonka”.

Tamci dwaj wrócili — linka rozciągnięta. Ze wszystkimi tobołami znów weszliśmy na tor i po chwili siedzieliśmy w krzakach, bo dał się słyszeć pociąg, tym razem pociąg z Wilna. Chwili spokoju nie ma, gdy się pracuje w branży kolejowej!

Znów wleźliśmy na nasyp. Grad wyładował z pudła duże, kilogramowe brykiety szedytu, układając je na poboczu toru. Odwiązany od żelaznego słupka koniec linki okazał się za krótki, trzeba było zluzować przeciwległy koniec, przywiązany do drzewa w głębi krzaków. Andrej pobiegł tam, jak można najszybciej, my dwaj przylegliśmy na skarpie.

Nagle drgnąłem — od strony Wilna na torze rozległy się wyraźne kroki. Trąciłem Grada, który wychwycił z kieszeni pistolet. Kroki zbliżyły się, potem ucichły. Grad z zimną krwią przysypywał zerwaną trawą leżące koło niego brykiety szedytu. Zsunęliśmy się ze skarpy.

Kroki rozległy się znowu — to szła wacha. Wysoko na nasypie ukazały się trzy postacie, idące twardym, żołnierskim krokiem, jedna za drugą. Nie wyglądali na Niemców, bo byli bez hełmów. Przeszli nie oglądając się. Jeszcze z daleka słycać

było ich podkute buty na żwirowej ścieżce między torami.

Znów wspięliśmy się na nasyp. Uff! Za dużo już było tych urozmaiceń. Incydent z wachą sforsował moje nerwy. Założyć miny i prędzej wynosić się z toru. Przepuściłem pod szyną zluzowany koniec linki i złączyłem go mocno drutem z trzpieniem zapalnika. Ładunek leżał doskonale, zaparty bokiem o stopkę, pod samym stykiem szyn. Przerzuciłem blaszaną powierzchnię tłuczniem, by była mniej widoczna. Szedyt czekał obok na trawie — dołączy się go w ostatniej chwili.

Pozostawała druga mina. Należało ją założyć na sąsiednim torze, o paręset metrów w stronę Wilna. Musiała być starannie zamaskowana, by ujść uwadze tych wszystkich, którzy będą się tu kręcić po pierwszym wybuchu. Wydobyłem „dzwonek” i ruszyłem na poszukiwanie odpowiedniego miejsca, eskortowany przez Grada.

Od razu wyłoniła się poważna trudność techniczna. Drugi tor, ułożony dopiero podczas wojny, nie miał tego porządnie podbitego podłoża z tłuczniem, które widziałem przy zakładaniu pierwszej miny. Podtorzem był tu po prostu piasek, który opadł tak, że górna część podkładów wystawała z niego dość sporo. W ten sposób między stopką szyny idącej po podkładach a ziemią utworzył się odstęp 10-15 cm. W tych warunkach niewidoczne umieszczenie „dzwonka”, który musiał przecie dotykać od dołu do stopki, było trudne, a sztuczne podwyższenie ziemi w tym miejscu rzucałoby się w oczy każdemu, oglądającemu uważnie szyny. Zmienić ładunki na torach? Też niedobrze, bo mina obserwowana, jako ważniejsza i większa, musi stać na kierunku dofrontowym. Od początku piastowałem w duchu moim tkliwą nadzieję (jakże naiwną!), że wybuch pomoca jakiś czuły wagon w transporcie amunicyjnym i cały pociąg pójdzie w powietrze.

Inna wątpliwość zaczęła dręczyć mnie również: przy tak gęstym i nieregularnym ruchu kolejowym nie było pewności, że pociąg z Kowna (na który w tej chwili była kolej, bo wileński przeszedł przed kwadransem) nadejdzie pierwszy. Mogło się zdarzyć, że właśnie z kierunku wileńskiego zaskoczy nas pociąg, który spowoduje wybuch automatyczny wcześniej, niż będziemy mieli okazję użyć miny obserwowanej. W takim razie pozostanie nam tylko pociągnąć za linkę i ograniczyć się do zerwania paru metrów gołego toru, bez pociągu na nim. Znaczyłoby to, że tylko wybuch pomocniczy zostanie właściwie wykorzystany, zaś główny będzie wypalony w powietrze.

Lecz oto nagle podnieśliśmy uszy, pociąg szedł. Znajomy odgłos, głuchy jeszcze i zawodny, to zacichał, to rósł znowu. Tak, idzie z Kowna. Nasz pociąg idzie z Kowna.

Poderwaliśmy się. Z ulgą uznałem się za zwolnionego od obowiązku zakładania drugiej miny. Szybko wykręciłem zapalniki elektryczne z trzykilówki i dołączyłem ją do pierwszej miny.

Teraz szybko do szedytu. Piorunem wyciągaliśmy zamaskowane w trawie brykiety. Układaliśmy je wzdłuż szyny, po obu stronach ładunku głównego. Nie wiedziałem jeszcze wtedy, że szedyt jest tak słabym materiałem kruszącym, iż wymaga porządnego zagłuszenia, by działał skutecznie.

Pociąg zbliżał się. Był jeszcze dość daleko, ale nam zdawało się, że już jest tuż, że zaraz zza zakrętu ukążą się ogniste oczy parowozu. A trzeba było jeszcze przemierzyć całą połąć lasu wzdłuż linki, aż tam, gdzie stał Andrej. Posłałem Grada naprzód i na chwilę zostałem sam. Ostrożnie przytrzymując linkę wyjąłem zawleczkę z zapalnika pociągowego. Grad znikł już na dole w ciemności.

Kiedy zsuwałem się ze skarpy, ledwie dotykając linki palcami, odgłos pociągu przeradzał się już w łoskot, którego echa odbijały się po lesie. Dwie uporczywe myśli tkwiły mi w głowie: nie szarpnąć linki i nie zgubić małej, paromilimetrowej nakrętki od zawleczeni, tylko co wyjętej z zapalnika — to by dowodziło braku zimnej krwi. Trzymałem ją drobniutką, jak pchełkę i drżącymi palcami nakręcałem na nagwintowany koniec zawleczeni — nareszcie weszła. Nie było czasu na grzebanie po kieszeniach — włożyłem małe, mosiężne świece do ust.

Już krzaki. W ciemności i gęstwinie tylko linka prowadziła mnie, jak nić Ariadny przez Labirynt. Przy całym pośpiechu posuwałem się jednak wolno. Grad, który przebył przedtem tę trasę dwukrotnie, był już daleko z przodu. Poczułem, że linka nie jest rozciągnięta prosto, lecz skręca nieco w bok. Jeszcze kilkanaście małych kroczków, z palcami na cienkich, stalowych drutach, wśród ciemności, wśród potężniejszego łoskotu i sapania parowozu.

Zatrzymałem się. Dalej iść nie mogłem nie z braku czasu — światła pociągu już błyskały zza krzaków, ale były jeszcze o parę set metrów — lecz dlatego, że traciłem orientację: w gęstwinie krzaków linka opisywała nieco powyginaną linię, tak że wymykało mi się ścisłe poczucie kierunku, w którym znajduje się nasza mina na torze. Miałem jeszcze kilkanaście sekund. Od nasypu byłem przeszedł o 100 metrów. Raczej domyślałem się, niż widziałem ciemną jego masę przez krzaki i na tle drzew stojących po drugiej stronie toru. Za mną z głębi krzaków dochodziły szelesty i trzaski gałęzi z miejsca gdzie byli Grad i Andrej. Stałem mocno, rozparłem się na nogach w szerokim rozkroku, obejrzałem się za siebie, czy jest miejsce, by się cofnąć o parę kroków w wy-

padku, jeżeli linka okaże się rozwinięta tak luźno, że nie zdołam jej ściągnąć jednym szarpnięciem. Okręciłem sobie na dłoni parę zwojów elastycznych drutów i zacisnąłem pięść. Byłem gotów.

Nagle sporząłem w prawo i zamarłem: na torze ukazały się światła — to szedł inny pociąg — pociąg z Wilna. W gęstwinie krzaków doszedł niedostrzeżony aż prawie na wprost przede mną. Czarny kształt parowozu i rząd wagonów osobowych z migocącym gdzieś światłem w oknach, sunął oto, wykreślając w ciemności wyraźny zarys nasypu. Oczy latały mi z prawa na lewo, z lewa na prawo, oceniając szybkość obu pociągów. Jeżeli skrzyżują się tu, przede mną, to wygraliśmy wielki los na loterii dywersji. W takim razie wybuch wagonów amunicyjnych roznieśie w drobny mak i drugi pociąg. Jeżeli okaże się, że amunicji tej nie ma i nastąpi wybuch tylko naszej miny, to szanse są dużo słabsze, bo wileński idzie po wewnętrznym torze, a wagony kowieńskiego zapewne zlecą po wykolejeniu na zewnątrz, a więc nie wpadną na tamten pociąg.

Wielka szansa wyminęła nas o włos, to znaczy o kilkadziesiąt sekund. Pociąg kowieński zwolnił biegu, widać było przez krzaki jego światła poruszające się niemrawo. Wileński przejechał po drugim torze obok miny pełną szybkością. Po chwili spostrzegłem ze zgrozą, że też zwalnia biegu, a potem zatrzymuje się przed semaforem.

W ciągu kilkunastu sekund szansa obróciła się przeciwko nam: tuż obok miejsca wybuchu, który zaraz miał nastąpić, stał na drugim torze pociąg z wojskiem. Co będzie, jeżeli jakiś energiczny oficer wyładuje swój pluton i rozpocznie oblawę po lesie? Przepuścić transport kowieński i poczekać na następny, a przez ten czas osobowy odjedzie? Niemożliwe, jest późno, musimy być na przeprawie przed świtem.

Pociąg kowieński był tuż. Wyminął semafor i nabierał właśnie szybkości. Byłem gotów. Już od kilkunastu sekund stałem z zaciśniętymi w dłoni skrętami linki, które wpijały mi się w ciało. Czarna bestia o ognistych oczach sunęła zwinnie po nasypie.

Chłodnymi oczami odmierzałem długość parowozu wjeżdżającego na minę; potem długość trzech pierwszych wagonów, które w pociągu amunicyjnym idą zwykle nie załadowane; potem parę wagonów na zapas, bo nie mogłem już określić zupełnie ściśle miejsca, w którym mina jest założona. Wreszcie całym ciężarem odchyłonego w tył ciała szarpnąłem za linkę.

Parę następnych sekund mego życia było długim okresem rozczarowania. Eksplozja, której huk i błysk szarpnęły mną w teże chwili, nie była tym kolosalnym wybuchem, na który byłem nastawiony. To tylko eksplodowała nasza mina. Wybuch

był piękny — zwarty, jak kłaśnięcie bicia, ale jakże słaby w porównaniu z tym, czego oczekiwałem. A pociąg jechał dalej! Coś w nim zaszło, bo sunął naprzód cały rozświetlony, wśród iskier tryskających spod kół, wśród wierzącego zgrzytu żelaza trącego o żelazo — ale jechał! Rozumiałem, że to iskrzą koła unieruchomione w ułamku sekundy w kleszczach hamulców automatycznych, lecz widok pociągu, który jedzie — był przynębiający.

Aż wreszcie przyszło to, co by nasyciło moje serce. Od tyłu z ciemności podniósł się przeciągły hurkot, narastający łomot tłukących o siebie ciężkich żelaz. Jakieś jasne smugi zaczęły zsuwać się z nasypu ukośnie na dół. Jakieś głucho uderzenia ciężkich ciał, zarywających się w miękką ziemię, gruchot sypania się, jazgot żelastwa — cała groza naszego dzieła wionęła na mnie od toru.

Jeszcze kilka sekund. Parowóz i przednie wagony wciąż sunęły naprzód. Przenikliwy dźwięk unieruchomionych kół trących o szyny podniósł się do swego apogeum, zawiercił, zawibrował — i raptownie opadł. Pociąg stał. Cisza nagła, cisza równie przeraźliwa, jak urwana dopiero co kaskada infernalnych dźwięków, spadła na nas, niby całun. Cisza i ciemność. Tylko światła parowozu błyskały przez krzaki.

I oto znów głos inny targnął powietrzem. Od parowozu uniosło się wycie syreny. Przenikliwe, urywane dźwięki sygnałów alarmowych napełniły ciemność, poniosły się daleko na lasy. Słychać w nich było i ból, i skargę, i chęć zemsty — zraniony zwierz ryczał. Chwilami zacichał nieco, jakby tracił dech i znów zaczynał wyć głośniejszym, boleśniej swój monotony motyw, spleciony na przemian z krótkich i przeciągłych dźwięków.

W tej chwili daleki byłem od odwagi. Uciekać! Ssanie paniki podnosiło mi się w piersi aż do gardła. Wycie parowozu, pociąg z wojskiem, stojący o paręset metrów. Uciekać! Przez głos syreny przebijało się słabo nawoływanie tamtych dwóch z głębi krzaków. Rzuciłem się ku nim na przełaj przez gęstwiny — i po kilkunastu krokach stałem znów oszołomiony — w ręku trzymałem linkę. Teraz skończone, wklinowałem ją w krzaki i sam diabeł tego nie rozplącze w ciemności. Z wściekłością, która rodzi się nagle ze strachu, wyrwałem dłoń z elastycznych zwojów drutu.

O kilkanaście metrów przed sobą zobaczyłem światełko zapalone przez tamtych — co się stało? Parłem przez gąszcz z szelstem liści, z trzaskiem gałęzi, jak dziki zwierz wymykający się z obławy. Donośne wycie parowozu dominowało wciąż nad wszelkimi innymi dźwiękami. Po chwili głos Grada przebił się wyraźnie gdzieś już całkiem blisko, w mroku zamajaczyła wielka

postać Andreja. Grad szamotał się z wysiłkiem w ciemności. Przerzucaliśmy się zdyszczanymi urywkami zdań.

— Linka! Linka zacięła się!

— Ciągnij mocno!

— Nie idzie!

— To nożem ją!

Rozległo się pracowite piłowanie — Andrej przecinał kolejno scyzorykiem stalowe druty.

— Po co było to światło?

— Zgubiłem czapkę.

— Znalazłeś?

— Jest.

Grad nakręcał resztę linki na zwijak. Gotowe. Jeszcze tobół z pudłem. Idziemy.

Zauważyłem, że Andrej porusza się jakoś z trudem.

— Co ci jest?

— Oko. Nadziałem się na gałąź.

— Widzisz na nie?

— Nie. Coś ciecze, ale nie wiem, czy to krew, czy łzy.

— Które oko?

— Prawe.

— Daj mi visa, nie możesz strzelać.

Wycie syreny ustało, słyhać było tylko sapanie parowozu, wzdłuż pociągu zaczęły przesuwać się światła latarek kolejarzy. Szliśmy, trzymając się jeden drugiego za pasy od chlebaków. Gałąź zdarła mi z twarzy okulary, ale zdążyłem jeszcze złapać je w locie. Ciemność, jakieś wykroty, krzaki, las rzadszy i znów krzaki. Światła zaczęły zostawać w tyle. Jeszcze paręset metrów i ostatnie błyski znikły w gęstwinie pni i gałęzi. Las czarny, las — ukoiciel wchłonał w siebie trzy mgliste postacie.



Pierwsza szarość przedświtu zastała nas wlokących się po jakimś polu. Po ostatnim zgubieniu drogi za Jatelunami — drogi znanej mi przecie od dzieciństwa — posuwaliśmy się wciąż krawędzią lasu, której kierunek zgadzał się dość dobrze z busołą. Teraz właśnie omijaliśmy po falistych pagórkach jakieś olszniaki, wśród których w dole błyszczało małe jeziorko. Czyżby to był krętogórski staw? Po tylu zawodach, po tylu utraconych złudzeniach nie śmiałem wprost w to uwierzyć. Szedłem wciąż naprzód, tamci dwaj wlekli się z tyłu.

Dniało. Tak, to krętogórski staw. Ta droga obok prowadzi do krzyża, a potem parowem w dół do Wilii. Jesteśmy prawie

na ponaryskiej ziemi. Nareszcie. Teraz tylko przejść przez to poletko i w sośniak. Potem stromym stokiem góry nad rzekę — tam czeka Komarowa. Tylko straszna szkoda, że już dnieje — trudno będzie przepawić się niepostrzeżenie przez Wilię. W sośniaku zatrzymałem się, żeby poczekać na tamtych. Kiedy się odwróciłem, dowlekli się właśnie.

Pierwszy raz od wczorajszego zachodu słońca mogliśmy obejrzeć siebie wzajemnie. Z szarzyzny wstającego dnia wyłoniły się dwie postacie, wydobyte gdzieś z teatru, dwa widma, od których biła groza.

Szeroka twarz Andreja, z obfitą strugą zaschniętej krwi, wyciekającej z prawego oczodołu, była blada i nieruchoma. Zapuchnięte oko miało ów wyraz martwoty właściwy kalekim członkom ciała. Drugie oko patrzyło tępo i twardo, wzrokiem zagonionego zwierzęcia, które niczego już nie oczekuje. Zaostrzona linia nosa, bolesne wygięcie ust, przydawało tej twarzy jakiegoś antycznego wyglądu, wyrazu cierpiącej maski z greckiej tragedii.

Przez zawałony wrażeniami mózg, przez otępiąłą wyobraźnię z trudem przeciskały się myśli i skojarzenia. Gdzieś przecie widziałem już taką twarz przekreśloną pionowymi smugami krwi ciekącej z oczu. Skąd znam tę postać, tę sytuację! Z wojny? Z jakiegoś dawnego snu? Może jakiś film przed laty?

Już wiem. To Edyp. To Edyp błakający się po scenie z wypionymi oczami. Odblask Sofoklesa zamajaczył nad Wilią.

Obok bladego Edypa, stał Grad — drobny, szczupły, nerwowy. Już od pół drogi włókł się ze sforsowanym kolaniem, które bolało coraz to bardziej. Miał całą twarz w sine plamy. Twarz ta ściągnięta była w wyraz zajadłości i uporu, który nie zdolny był pokryć wyczerpania, bijącego z zaostrzonych rysów twarzy, z fałd poszarzałej cery, z sino podkrążonych oczu.

Nasze buty i nogi wysoko poza kolana stanowiły jednolitą masę błota, które zaczynało już nieco schnąć. Drelichowe bluzy, namoknięte i zeszywniałe od deszczu, były porozdzierane na gałęziach i drutach, wychłapane gliną przy padaniu na błoto. Oprócz wypróżnionych chlebaków nieśliśmy dalej tobół z pudłem blaszanym — było zbyt duże, by je ukryć, a porzucone po drodze, mogło stanowić pewien ślad. Zwijak z uciętą linką został utopiony gdzieś w rzeczce, przy przeprawie.

Tak, widać było po nas, czym jest 20-kilometrowy nocny marsz na przełaj. Poznaliśmy cenę tych kilometrów odwalonych przez lasy i błota, w bród przez rowy i rzeczki, w deszcz i o głodzie. Nasze twarze, nasze postacie stanowiły żywy bilans całego wysiłku tej nocy — przemykania się wzdłuż toru, na którym

błyskały światła kolejarzy koło nieruchomych pociągów, wytężonego parcia naprzód wśród kołowań, nawrotów, nadziei, zawodów, błędnych obliczeń i lekkomyślnych założeń. Wypisana była na nas historia przebijania się przez młodniaki sosnowe, przez gęste zarośla olchy. Stawało się radosnym wytchnieniem, jeżeli kierunek wytyczony przez fosforyzujące światełko busoli wyprowadził na pole, gdzie nogi więzły wprawdzie w zoranej ziemi, ale można było iść po otwartej przestrzeni, nie nadziewając się na drzewa, nie drapiąc twarzy o gałęzie. A potem znów mdłe światełko pchało nas w rów, w rojst, którego obchodzić nie było czasu, do rzeczki, w którą pakowaliśmy nogi z tępą rezygnacją. Potem dalej pola, zagrody omijane z daleka, szczekanie psów, skakanie przez płoty. Szeroka bagniskowa dolina Brazoły i most kolejowy, na który wparliśmy się „było, nie było”, bo innej rady nie mogliśmy dać rozlanej i niemożliwej do przejścia rzeczce. Druty kolczaste, dzwonek alarmowy, ucieczka po bagnie, zapadanie i wzajemne wyciąganie się z błota; kluczenie wzdłuż rzeki i zbawcza kładka koło Białolesia. Ostatnie kawałki słoniny zżarte do czysta. Ciągłe łudzenie siebie, że to już widać znajomy zakręt drogi, znajomą krawędź lasu — i żałosne, podcinające nogi rozczarowania. Absurdalność przewidywań, które pozwoliły mi spodziewać się, że w ciągu 4 godzin dojdziemy do przeprawy. Wreszcie ostatnie zgubienie drogi, już po minięciu Jatelun i Kragzli w terenie znanym mi od dzieciństwa na wylot — drogi, o której marzyłem przez całą noc, by się na niej znaleźć.

Teraz, kiedy wiedziałem, że do przeprawy zostało nam ostatnie kilkaset kroków — dwaj moi widmowi towarzysze patrzyli na mnie apatycznym wzrokiem, w którym, jeżeli można było wyczytać jakieś pytanie, to tylko to jedno:

Czy daleko jeszcze do Komarowej?

Komarowej nie było.

Zanim spuściliśmy się stromym zboczem i doszli brzegiem na miejsce — już rozedniało zupełnie. Według umowy Komarowa miała czuwać przy przeprawie aż do świtu a potem wrócić do Ponaryszek. Spóźniliśmy się o te kilka, czy kilkanaście minut. Teraz siedzieliśmy bezradni w krzakach nad rzeką. Kajak stał na brzegu, ale poza tym nie było nic. Jedzenie, zapasowe skarpety, suche buty — to wszystko, co mogło nas postawić na nogi — było zapewne gdzieś niedaleko schowane w krzakach, lecz nikt z nas nie miał siły drapać się na strome zbocza, by tam szukać tych skarbów.

Zresztą nie rozwiązywało to sprawy. Jasne było, że dorwanie się do przygotowanych zapasów zaspokoiliby nasz pierwszy głód, ale nie przywróciło zdolności do dalszego marszu. Grad był w ogóle unieruchomiony z powodu kolana, Andrej i ja mogliśmy może po paru godzinach snu ruszyć dalej — do Wilna zostało niespełna 20 km — gdyby nie nasz wygląd. Mowy nie było, by móc wejść do miasta w tym obdartym, zabłoconym i okrwawionym stanie. Musieliśmy zatrzymać się gdzieś, żeby wyprać i wysuszyć ubrania, wyczyścić buty, opatrzyć oko Andreja. Ale gdzie? Wokoło siebie wszędzie spodziewaliśmy się policji, rozstawionych posterunków, indagacyj, obław, psów policyjnych. Jedyne miejsce to były Ponaryszki wyłaniające się właśnie z porannej mgiełki białą plamą domu na tle lasu. Ja mogłem pójść tam dość swobodnie (choć wolałbym nie pokazywać się w tym dniu i w tym stanie), ale jak wprowadzić niepostrzeżenie do domu pełnego ludzi — tamtych obu? Jak wytłumaczyć zjawienie się o świcie dwóch obcych, noszących na sobie tak wyraźne piętno czegoś dramatycznego w twarzach i w ubiorach? Nie trzeba być bardzo przenikliwym, by skojarzyć sobie przybycie tych gości z głuchym milczeniem, trwającym od wczoraj na torze kolejowym, który zazwyczaj huczy gęstym ruchem pociągów. Co robić?

Andrej wydobył z chlebaka to, co nam jeszcze zostało: butelkę z resztą wódki i wychlał ją do dna. Teraz zwałił się na mokry piasek. Obłocone nogi dygotały mu z zimna, podczas gdy głowa już zapadała w sen. Po rzece rozlewała się rozproszona jasność mającego zaraz wzejść słońca. Zdjąłem buty, zawinąłem obłocone spodnie i zepchnąłem kajak. Od biedy mogłem uchodzić za rybaka. Nic innego nie pozostawało — trzeba odszukać nasze kobiety. Po kwadransie byłem w ogrodzie. Dom o zamkniętych okiennicach spał jeszcze, ale z górnych okien czyjeś oczy musiały obiegać rzekę i schodzące ku niej piaszczyste zbocze góry. Przystanąłem na dróżce, czekając.

Drzwi skrzypnęły — wyszła z nich Komarowa. Zeszła z ganuku i ruszyła ku mnie swoim płynnym krokiem. Szare oczy patrzyły pytająco z niewyspanej, pozornie zmniejszonej twarzy. Z pewnym ociąganiem, jakby wahając się, czy ten gest będzie odpowiedni w tej chwili — podała mi rękę. Ja również wykonałem lekki ruch zażenowania, wyciągając ku niej moją mokrą i brudną.

— Tamci?

— Są nad rzeką.

— A pociąg?

— Spadł z nasypu.

JESIEN 1942

Robota wstydu nam nie przyniosła. Prowizoryczny wywiad wykazał, że około 10 wagonów leży u podnóża nasypu, nie licząc tych, które się wykoleiły na torze. Dwa z nich wpadły początkowo (wbrew wszelkim przewidywaniom, opartym na sile odśrodkowej) na wewnętrzną stronę łuku, tarasując drugi tor — co lepszego można sobie wymarzyć? Tylko ładunek pociągu okazał się nieosobliwy: same otwarte lory z węglem. Lecz, na pociechę, dodatkowy smakołyk uzupełnił ten nasz dywersyjny jadłospis: pociąg techniczny, wezwany z Kowna na miejsce wybuchu, sam uległ katastrofie — w zamieszaniu na linii wpadł na inny pociąg koło stacji Koszedary. Toteż oczyszczanie i naprawa torów trwały długo, bo przeszło dobę. Ku mojej uldze władze niemieckie nie zarządziły żadnych masowych represji w bliskości miejsca katastrofy.

Lecz ważniejsze, niż rozbite wagony i rozwalony tor, był postęp, który dokonał się w nas samych. Po tej pojedynczej próbie byłem już „starym gwardzistą”. Poczułem się całkowicie wyszkolony, doświadczony i równie kompetentny, jak kształceni w Anglii spadochroniarze. Przestaliśmy być formacją tyłową a stanęliśmy w jednej linii z Odcinkiem, który właśnie „rozkręcił się” i grzmiał wybuchami pod Dyneburgiem. Cięcie kolejowe zostało odarte ze swego nimbu a przywrócone do właściwych proporcji w skali zjawisk, które roztaczała przed nami wojna. Stało się jasne, że przeciętna wyprawa na tor nie jest heroizmem. To sprawa dostępna dla każdego z nas. Plan dalszego działania na następne miesiące zarysował się jasno: kształcić ludzi, popularyzować naszą sztukę. Polska jest „krajem tranzytowym”, przez który różne wrogie okupacje przetaczają swój transport wojenny ze wschodu na zachód, i z zachodu na wschód. Możliwość

masowego przecinania tego transportu — to nasza broń. Do tego trzeba dobrego materiału wybuchowego i wyszkolonych ludzi — dowódców przyszłych patroli.

I jednego i drugiego brakło w tej chwili. Dalecy byliśmy od możliwości operowania masowo ludźmi i materiałem. Dla kontrastu dość powiedzieć, że po zwrocie pożyczonych visów całkowite wileńskie uzbrojenie składało się z jednego browninga FN, który Bogumił wytrzasnął, a Grad wyremontował. Mimo to początek był zrobiony. Co jak co, ale ludzi w Polsce do takich spraw nie powinno zabraknąć. A materiał wybuchowy też się znajdzie. W powietrzu już wisało coś, co miało zmaterializować się za chwilę, jako broń w naszych rękach.

Jednakże nie była to łatwa materializacja. Odcinek mógł jeszcze przez jakiś czas jechać na warszawskim szedycie, pomimo wad tego materiału. Odcinek miał uzbrojenie skromne, ale wystarczające dla celów dywersyjnych. My byliśmy tak fatalnie goli, że aż wstyd się było do tego przyznać. Przecie niedawno przez ten kraj przewalała się wojna — Eldorado dla tych, którzy chcą się zaopatrzyć we wszelkiego rodzaju artykuły nielegalne. Przegapiliśmy ten okres. Teraz przyszedł czas skwapliwego rzucania się na każdą możliwość.

Możliwość — to był przede wszystkim Edyp. Właśnie w tym czasie nastąpiły nowe przenosiny. Magazyny przy ul. Wiwulskiego zostały zlikwidowane. Dały plon niezły: 2 sowieckie karabiny maszynowe (bo jeszcze drugi został wytaszczony *via* konopie), owe znakomite niemieckie ładunki walizkowe, sporo amunicji i wyrafinowanych zapalników. Była to o tyle wygodna instytucja, że oprócz broni, zawierała mnóstwo innych artykułów, których spieniężeniem Edyp zajmował się przez cały czas z nie zmniejszoną gorliwością. Małe chwila nieuwagi wartownika wystarczała mu, by porwać taki na przykład drobiazg, jak 60-kilową skrzynkę haceli i wynieść ją „pod pachą”.

Wobec likwidacji dotychczasowego miejsca pracy, nalegałem na Edypa, by starał się dostać na Burbiszki. Tylko jego osobista obecność w tym miejscu mogła zapewnić należyty bieg sprawom amunicyjnym. Trudność polegała na tym, że Burbiszki nie posiadały ani haceli, ani pił, ani siekier, ani gumy podeszwowej, ani żadnych innych życiodajnych artykułów — tamtejsi Żydzi przymierali głodem. Gotów byłem wyłożyć duże sumy, na utrzymanie Edypa, byle by „zaflancować” go za drutami burbiskimi, on jednak w dalszym ciągu wzbraniał się przed takim rozwiązaniem, przewidując słusznie, że w przyszłości, po ujawnieniu naszych stosunków, rzecz będzie oceniana przez wielu, jako nabijanie sobie kieszeni, jeżeli tylko jakiegokolwiek pieniądze będą

wchodziły tu w grę. Zawsze znajdują się tacy, którym obecność Żyda wyda się podejrzana a każda suma pieniężna oglądana przez antysemityczne okulary, urośnie do rozmiarów afery finansowej. Ostatecznie, ulegając memu naciskowi, Edyp poszedł na Burbiszki, lecz, mimo wynikających stąd kłopotów finansowych, nigdy nie przyjął ode mnie pieniędzy pochodzących od „antypatycznego staruszka Churchilla”.

Odcinek był w pełni swojej aktywności. Brona znów wpadł do Wilna — zjawił się, jak Mefisto, z chmury dymu i ognia. Przywoził wiadomości o poważnym cięciu wykonanym przez jego patrol na wschód od Dyneburga; o wybuchu wagonu z amunicją na stacji w Dyneburgu; o wywołanym przy pomocy „kieszeni zapalającej” pożarze, który ogarnął pociąg benzynowy tak szybko, że nie zdołano nawet odpiąć parowozu; o robocie Greka, który sam jeden poszedł za Dźwinę, wykoleił parowóz miną szedytową i, uchodząc, starł się z patrolem niemieckim. Podczas wymiany strzałów zlikwidował „wachę” ze swego nagana (był świetnym strzelcem), lecz został w trakcie walki ranny w obie nogi z automatu niemieckiego. Pomimo to dotarł do Dźwiny, przebył ją w pław i dostał się do swoich.

Zaprosiłem Bronę do Petroneli na spotkanie z miejscową ekipą — tą samą, którą w czerwcu kształcił. W zebraniu, oprócz Brony i mnie, brali udział Edyp, Fostowicz, Grad i Komarowa. To *consilium facultatis* analizowało z koneserstwem różne subtelności dotyczące zapalników, podnosiło zalety tych, czy innych sposobów pakietowania, roztrząsało sprawę „wyprzedzenia”, dysputowało nad połączeniami elektrycznymi. „Dzwonek warszawski”, który jeszcze w sierpniu uchodził za doskonałość dywersyjną — teraz spotkał się już z krytyką na korzyść zapalników naciskowych i pociągowych. Wobec zawodności zapalnika automatycznego, zaczynała już się wyłaniać zasada nieodchodzenia od miny do chwili wybuchu. Szedyt bladł zupełnie przy swoich doskonalszych krewniakach. *Vox populi* (złożony z 6 głosów) domagał się, jeśli nie *plastic*’u, to przynajmniej trotylu.

Pomimo swego ubóstwa Baza wrzała ową gorączkową pracą *selfmademana*, który czuje, że już, już zdoła się wybić. Kos i Grad — dwie cenne siły techniczne — rzucili na szalę cały ciężar swoich ruchliwych mózgów. Kos po zainstalowaniu się w Wilnie, założył swoim obyczajem własny warsztat i zaczął w nim produkować wózki dzieciinne, baterie elektryczne, piecyki żelazne, zdjęcia fotograficzne, lampy karbidowe i wiele innych renomowanych artykułów (przeważnie zbytecznych). Musiał mieć przecie swobodę wytwarzania tego, co mu się podoba. Mowy nie było, by się dał osiodłać w normalnej fabryce, czy biurze tech-

nicznym. Wstawał do pracy swoim obyczajem, nie wcześniej, niż o 10-tej. Nie bacząc, że *inter arma silent musae*, zapełnił ściany swego nowego atelier aktami malarskimi i fotograficznymi. Przez ogłoszenia w miejscowej gazecie wciąż poszukiwał coraz to nowych modeli i modelek przed światła swoich jupiterów (zasilanych „lewym” prądem elektrycznym przez specjalne przewody konspiracyjne). Lokal ten mieścił się w pożydowskim sklepie na parterze dużej kamienicy przy ul. Piłsudskiego nr 9c. Drugą jego część zajmowała dama trudniąca się wyrobem biusthalterów — sąsiedztwo niezbyt pożądane. Kos jednak pocieszał mnie, że ma to swoje dobre strony: pracownia taka może bardzo łatwo przejść w razie potrzeby na produkcję spadochronów.

Lokal w prędkim czasie stał się centralą prac technicznych, jeżeli godzi się użyć tak uroczystej nomenklatury na określenie ciemnego pomieszczenia, w którym, z lekka przymelinowane, wśród stosów blachy i żelastwa, „wodziły się” zapalniki, lonty, baterie, dzwonki, przyciski, kontakty, kable. Z tego materiału powstawały nowe „modele”, składane, rozkładane i przerabiane z prestidigitatorską szybkością przez gospodarza lokalu. W drugim pokoju mieściło się atelier: jupitery i akty. Właściciel tej interesującej pracowni żył w niej pod grozą wykrycia przez Gestapo i w panicznym strachu przed przybyciem kontrolera elektrowni, lub wkroczeniem „starej Piotrowskiej”. Niezawodny system sygnałów miał go uchronić przed każdym z tych kataklizmów.

Grad, po powrocie z cięcia i wyremontowaniu sforsowanego kolana, przeszedł duszą i ciałem do „braci w trotylu”. Zaniedbał swój warsztat eleganckich drewniaków, nudziła go gra w karty. Było coś ewangelicznego w nagłym a całkowitym pochłonięciu tego człowieka przez prąd, unoszący nas wszystkich. Ten drobny chuderlawiec z ryżawą bródką (którą jednak wkrótce poświęcił) — poza tym że był doskonałym strzelcem, człowiekiem odważnym i zdecydowanym — wnosił jeszcze do meliny Kosa znakomite walory techniczne. Czuł się w swoim żywiole w precyzyjnym światku zapalników i spłonek. Poza tym umiał nie tylko strzelać, lecz i trafiać. W przeciwieństwie do dyletanta Kosa, miał cenną tendencję do solidnego, nawet ozdobnego wykańczania wszystkiego, co robił. Jego inicjatywa, pomysłowość i samodzielność projektowania w sprawach technicznych były nie tak bujne, jak u malowniczego twórcy aktów, ale dużo bliższe rzeczywistości.

Te wszystkie walory oddane na wyłączny użytek dywersji stanowiły dużą pozycję. Mimo to przez pewien czas Grad był traktowany przeze mnie z nieufnością. Wynikło to z mojej obawy, że zbyt szczegółowo informuje o sprawach konspiracyj-

nych swoją rodzinę. Komarowa, która poszła tam po cięciu, żeby powiadomić, że synek wróci dopiero za parę dni (Grad pozostał przez pewien czas na wsi z powodu nogi), wróciła z alarmującą wiadomością, że „mamusia wie wszystko”. Potem dopiero przekonałem się, że zarówno mamusia, jak i reszta rodziny nie dawali żadnego powodu do niepokoju.

Lecz sprawy techniczne nie kończyły się na Gradzie i Kosie. Nieco na uboczu, na Zwierzyńcu, rezydował w oddzielnym domku z niedużym, dobrze zaopatrzonym warsztatem, nasz Bobola (Andrzej Lisowski), jeden z pierwszych z edypowskich czasów pre-Bazy, fachowy ślusarz i blacharz. Zarówno ustronne położenie domku, jak i nadzwyczajny spokój i cierpliwość Boboli sprawiały, że punkt ten był używany (i nadużywany) jako melina przerzutowa w wielu niespodzianych lub awaryjnych wypadkach. „Do Boboli!” — brzmiała nieodmiennie moja dyspozycja, gdy potem, w czasach większego obfitowania w broń, po mieście błąkała się furmanka sidolek, lub pływał karabin maszynowy, szukający portu. Wszystko to wchłaniał warsztat i pokrywał niewzruszony spokój gospodarza lokalu.

Warsztat był przeciążony nie kończącymi się zamówieniami na wszelkiego rodzaju wodoszczelne skrytki, zasobniki, opakowania dla przechowywania broni, toteż w kwestiach melinowania Bobola był autorytetem. Późniejsza szeroko rozbudowana sieć naszych melin stałych wiele mu zawdzięcza. Był on znany i szanowany u Petroneli, od czasu, kiedy przy okazji swoich służbowych czynności, poreperował, co się tylko dało w gospodarstwie siostr.

Gdyby w konspiracji oprócz pseudonimów, dawano również herby — kolba do lutowania i nożyce blacharskie widniałyby na tarczy Boboli.



Sprawy szły nurtem kapryśnym, wśród niespodziewanych skrętów i załamaniań. Bezmian pojechał do Warszawy i przez dłuższy czas nie wracał. Coraz to ktoś z północy wpadał do Wilna dla załatwienia zakupów, czy innych spraw gospodarczych. Odcinek przygotowywał się do kampanii zimowej — gromadził kozuchy, buty, swetry. Łączność z nim została znacznie ulepszona przez zaangażowanie nowej osobistości — Podróżnika. Był to człowiek nader kompetentny w branży kolejowej. Jak zwykle, nie bardzo ufałem mu na początku, ale jego gotowość i wielka sprawność przy transportach na północ szybko zyskały mu uznanie.

Pod koniec października podniósł się alarm spowodowany przez wpadnięcie gdzieś między Białymstokiem a Grodnem dużej

przesyłki pieniężnej, przekazywanej przez centralę Odcinkowi. To spowodowało przyjazd z Warszawy Dana, który przeprowadził inspekcję Odcinka i Bazy. Głównym zarzutem, który należało mi postawić, była sprawa łączności z Warszawą. Nie zdołałem jej prawie wcale zorganizować, tak że w rezultacie cały ciężar obarczył tu Odcinek. Mimo, że był to poważny mankament, Dan nie traktował sprawy ostro, kładąc w zamian na szali ciężar naszego cięcia kolejowego.

W tym samym czasie ja osobiście otrzymałem *via* Okręg poważnie brzmiące ostrzeżenie, pochodzące zapewne od kontrwywiadu wileńskiego, iż jestem zagrożony ze strony miejscowego Gestapo. Było to jedno z tych zaalarmowań, które nękały nas wówczas, aż „rozeszły się po kościach” nie potwierdzone przez fakty. Tym niemniej trzeba było izolować skrzynki, ucinać kontakty, znikać z miasta, wysyłać siebie samego i innych na wieś, by jakiś czas „siedzieć na pokucie”. Fostowicz wysuwał się na pierwszy plan, stając się stopniowo encyklopedią „wiedzy tajemnej”. Nosił w głowie całą łączność — Warszawę, Białystok, Grodno, przeskoki przez granicę w Małkini, dojścia do O V na stacjach kolejowych w Turmontach i Duksztach, kontakty z Okręgiem w Wilnie. Prócz tego prowadził kasę, pisał kronikę, w zakamarkach swego strychu chował archiwum. Uporządkował i doprowadził do pełnej sprawności komunikację z Gospodą, którą objęła Pac. Wyszperał i ściągnął do Bazy młodego lekarza (pseud. Lis), pracującego w ambulatorium dla policji litewskiej, który, mając dostęp do kartotek, mógł wiele zrobić w dziale usystematyzowania tych dorywczych wiadomości, jakie Wilno miało o swoim, nie największym może, lecz dokuczliwym wrogu. Na szerokich ramionach Fosta opierało się owo napawające otuchą poczucie, że poczynania nasze — to nie amatorskie hasanie kilkunostrzalców, lecz sprawa systematycznie ujęta, metodycznie rozbudowana. On w świecie cięć, melin, kontaktów — stanowił opokę porządku i stałości. Należał do rzędu tych ludzi-fundamentów, na których wspierają się węgły budowy.

Moje zagrożenie i związana z tym nieobecność w Wilnie utrudniały przede wszystkim kontakt z Edypem. Do tej pory wszystko, co udało się zdobyć, przechodziło wyłącznie przez moje ręce. Jedynie Bogumił brał w tym pewien udział i orientował się w sytuacji. O Edypie wiedział również Kolarz — wierzyłem mu więcej, niż samemu sobie. Teraz przyszło z musu uchylić tego płaszcza tajemniczości i zorganizować aparat odbiorczy, złożony z Fostowicza i Komarowej.

Położenie Edypa w naszym zespole było obecnie w dużym stopniu zmienione przez jego udział w cięciu. Gdyby nawet

ujawnić przed wszystkimi całą wagę rocznej pracy Edypa — wobec której udział w cięciu był tylko nieznacznym fragmentem — to wszystko inne schodziło na dalszy plan wobec pióropusza, który wykwitał ze słów: „to ten spod Jewja”.

Rozwalony pociąg i getto! To zestawienie było zanadto niespodziewane. Dotąd pamiętam okrągłe oczy Komarowej, silącej się zrozumieć, o czym mówię. Moje zamiłowanie do tworzenia niezwyklej sytuacji miało doznać nasycenia, gdy z uczuciem chemika łączącego dwie rzadkie substancje, tłumaczyłem mojej rozmówczyni, że ma o oznaczonej godzinie odebrać za mostem Raduńskim kilka kilo trotylu od Edypa, który będzie szedł tamtędy z getta w kolumnie robotników żydowskich. Spytała niemal ze strachem:

— Z łatami?

— Tak, z łatami.

Nie była wcale antysemitką i nie miała żadnego ideologicznego zastrzeżenia przeciwko takiemu rodzajowi współpracy. Lecz samo wzrokowe połączenie niebieskich oczu i jasnych włosów Edypa z gettem było trudne.



Wśród tych dni jesieni, szarej dla innych a barwnej dla nas, dojrzało drugie cięcie. Dowodził nim Grad. Zgodnie z moją koncepcją „popularyzacji sztuki”, na robotę mieli iść coraz to nowi ludzie, pod dowództwem jednego z „oblatanych”. Takich w tej chwili było tylko nas trzech. „Narybek” w osobach Fostowicza i Kosa czekał na swoją kolej. Dalej obowiązywała zasada Wachlarza działania poza granicami Polski, toteż inne linie kolejowe, oprócz starej, kowieńskiej, musiały być uważane za zamknięte dla naszych harców. Jako bazę wyjściową przyjąłem (tym razem bez skrupułów) Ponaryszki. Grad przystąpił do pracy dmuchając na zimne: po lekkomyślnym i źle przygotowanym odwrocie owej fatalnej nocy, nikt nie miał ochoty do improwizacji. Trzeba było zacząć od podstaw — od rozpoznania, które szczegółowo ustaliło „miejsce zbrodni” i całą trasę. Następnie patrol (wbrew protestom Kosa, który uważał za szaleńców ludzi wierzących w mapę i kompas) ruszył na próbny, nocny marsz po tej trasie, prowadzącej tym razem południową stroną linii kolejowej, z okrążeniem jeziora Jewje (Vievis). Dla pewności zorganizowano dodatkową melinę w maj. Wiłuniszki, po przeciwnej stronie toru niż Ponaryszki. Dostarczony przez Edypa trotyl (tym razem sowiecki, w dużych kostkach po 400 gr) został wzięty w posiadanie przez Grada i Kosa i stał się w ich rękach obiektem różnych kombinacji i projektów. Chodziło o przeprowadzenie

próby wykolejenia parowozu możliwie skromną ilością materiału wybuchowego. Ostatecznie stanęło na minie dwuładunkowej, założonej po obu stronach złącza kolejowego. Wybuch miał wywalić około metra szyny, wraz ze złączem. Zdecydowano się na niemieckie zapalniki elektryczne, włączone do „dzwonka warszawskiego”, który po ulepszeniach i przeróbkach Kosa, stał się przyrządem co się zowie patentowanym. Sam „dzwonek” miał być ustawiony z parometrowym wyprzedzeniem i zaopatrzony w specjalny ładunek dla zniszczenia baterii, by nie zostawić śladów. Jako drugi obwód zapalający przyjęto niemiecki zapalnik naciskowy z lontem wybuchowym angielskim i takimiż spłonkami. W ten sposób międzynarodowe materiały minerskie, zespolone z wynalazczością miejscową, miały dać całość, mogącą zadowolić najwybredniejsze gusta dywersyjne. Również wyżywienie tym razem zapowiadało się bez zarzutu. Butelka koniaku i czekolada stanowiły tu „konspirację w konspiracji”. Melinowałem te artykuły nie mniej starannie, niż trotyl, by uchronić je do właściwego terminu.

Pierwsza wyprawa była tak przesycona „żarliwością prozelitów”, że nie stało już w niej miejsca na śmiech. Teraz brany był rewanż za tamto ograniczenie. Przez parę dni dom w Ponaryszkach rozbrzmiewał wesołością, muzyką fortepianową, poezją z antologii i zbiorów, rozłożonych na stole obok kabli, kolb do lutowania i taśmy izolacyjnej. Fostowicz grał „dynamicznie” swoje „Czarne Tango” i recytował urywki z *Iliady* po grecku. Perlica ćwiczyła zajadle na fortepianie preludium H moll Szymanowskiego — ważny punkt programu. Winna je była odegrać przed samym wyruszeniem a ze sposobu wykonania utworu miały być wyciągnięte wróżby co do powodzenia wyprawy. Ja myśkowałem po antologiach, a Grad tworzył poemat z visów, które Komarowa po staremu wypożyczyła i przyniosła zza Niemenczyna — rozbierał je przecierał i oliwił całymi godzinami. Kos „odstawił” lekcję historii w przyszłej szkole polskiej: uczniowie recytowali wykutą z podręcznika „wyprawę Grada”. Wieczorem po ciemku wybiegał przed dom i na leżącej drabinie (mającej przedstawiać tor) demonstrował przy pomocy nadzwyczajnych chwytów ustawienie swojej aparatury — szybkie, precyzyjne i patentowane. Z boku nadchodziła „wacha” — zatrzymał ją litewskim okrzykiem i zaczął „pozować” stojących opodal „strażników” do strzału, jak do zdjęcia u prowincjonalnego fotografa. Potem zasypał ich ogniem z nie załadowanego visa. Brakowało tylko jupiterów.

Niedługo już przed wyjściem Fost sięgnął po tom Mickiewicza, poszperał w nim i zaczął czytać na głos „Redutę Orдона”.

Nie był dobrym recytatorem — raczej głośzył, niż uwydatniał patos potężnego wiersza. Ale żadne wady dykcji, czy modulacji nie zdolne były stłumić owej wybuchowej siły zawartej — jak trotyl — w wierszach znanego nam wszystkim prawie na pamięć trzynastozgłoskowca. Sytuacja, a nie głos mówiącego, stanowiła *vehiculum* dla patosu. Usta nasze sunęły przed czytającym, szepcząc z pamięci słowa koturnowego opisu bitwy. Myślałem o Żeromskim — jemu ten wiersz posłużył za osnowę do znanej sceny z „Syzyfowych Prac”. Ale teraz — inaczej, niż w owej klasie szkolnej — momenty polityczne nie przemawiały do nas z taką siłą. Ów nieporównany werset:

„Gdy Turków za Bałkanem twoje straszą spiże,
„Gdy poselstwo paryskie stopy twoje liże,
„Warszawa jedna mocy twojej się urąga,
„Podnosi na cię rękę i koronę ściąga,
„Koronę Jagiellonów, Chrobrych z twojej głowy,
„Boś ją ukradł i skrwawił, synu Wasylowy!”

nie stanowił już dla nas tego wierzchołka, na który nienawiść unosiła Żeromskiego. Teraz co innego zagarniało nas w sferę patosu: sam wybuch. Wydobyty ze słów wiersza łoskot wielkiej eksplozji sprzed stu lat zlewał się z antycypowanym graniem tej małej, która poleci echami po lasach za kilka godzin. Czekaliśmy na finał, na ostatni wiersz poematu — tam, mocą wielkiej poezji wyziera gniewnie oblicze naszego Boga: Boga-pirotechnika.

„Bóg wyrzekł słowo stań się, Bóg i zgiń wyrzeczcie.
„Kiedy od ludzi wiara i wolność uciecze,
„Kiedy ziemię despotyzm i duma szalona
„Obleją, jak Moskale redutę Orдона,
„Karząc plemię zwycięzców zbrodniami zatrute,
„Bóg wysadzi tę ziemię, jak on swą redutę!”

W tej chwili miałem żal do Orдона, że nie zginął w tym wybuchu. To było potrzebne dla całości obrazu. Inaczej nieśmiertelność, którą otrzymał z rąk poety, była wyłudzona.

Fostowicz skończył. Za chwilę romantyczne preludium Szymanowskiego, rozkołysane coraz to mocniej, zaczęło bić w nas falami swego *fortissimo*, jak morze o mur mola...



W kilka godzin po wyruszeniu „wyprawy Grada”, w jesiennej ciemności przed domem ponaryskim zamajaczył rowerzysta. Wszedł

Kolarz. Jego zawsze jednakowa twarz nie zdradzała, jak złej wiadomości jest gońcem:

„Rewizja w melinie Kosa”.

Melina w tej chwili miała być wypróżniona z trotylu i zapalników, ale znajdował się w niej (mały figiel) karabin maszynowy. Był to ten drugi, który akurat miał jechać na Odcinek. Zardzewiał dość mocno w ogrodowym schowku Bogumiła i właśnie Grad doprowadzał go do porządku. Został na wysokiej, podsufitowej półce między gratami. Bębny z amunicją i kilka granatów ręcznych leżały w skrzyni z odpadkami żelaznymi. Po rewizji aresztowano rodziców Kosa, zamieszkałych w innej dzielnicy. Lokal opieczętowano.

Jednocześnie sytuacja nie była zupełnie beznadziejna. Rewizja została przeprowadzona nie przez Gestapo, lecz przez litewską policję kryminalną i miała podłoże spekulacyjne. Jak się okazało, Kos z cechującą go lekkomyślnością pozwolił jednemu ze swoich znajomych umieścić w warsztacie kilka skrzyń hufnali — to właśnie był cel poszukiwań policyjnych. Według relacji damy od biusthalterów, Litwini nie interesowali się niczym, poza tymi skrzyniami (przynajmniej w pierwszej fazie rewizji, której dama była świadkiem). Istniała zatem pewna szansa, że broń leży sobie spokojnie na swojej półce, a wisząca na włosku sytuacja da się uratować przez natychmiast przeprowadzone włamanie do opieczętanego lokalu. Komarowa, która na szczęście wróciła do Wilna, była już w akcji.

Zaczęła się ciężka noc — ciężka podwójnie. Nie tylko wpadnięcie meliny Kosa, ale i perspektywy dążącego właśnie na zachód patrolu przygniatały mnie aż do ziemi. Pogoda psuła się: zaczął padać śnieg — okoliczność fatalna. Zjawiła się ponura perspektywa, że odwrót, zamiast po zmarzniętej grudzie, na której nie pozostawia się żadnych śladów, będzie się odbywał po świeżej, bielutkiej ponowie. Nie przeceniałem już tym razem mającego nastąpić pościgu, ale jasne było, że w takiej sytuacji dostęp do Wiłuniszek (gdzie miała zostać zamelinowana broń) był zamknięty. Kunsztowna trasa wokół jeziora Jewje została przekreślona. Grad byłby skazany na posuwanie się głównymi drogami, czyli praktycznie ograniczony do szosy kowieńskiej — której właśnie musiał unikać.

Wśród tych kalkulacji mijała noc. Powoli przewalały się wyolbrzymione godziny dorywczego drzemia, wyglądania oknem na świat coraz to bardziej biały, nasłuchiwanie dalekiego grzmotu. Niepokój tych, którzy czekają beczynn timer, ma w sobie — podobnie jak działanie narkotyku — moc przetwarzania świata. Pod czaszką narasta wizja o wyolbrzymionych proporcjach.

Dobrze po północy ciemność nieco zrzędła. Było już sporo po pełni, tak że księżyc wschodził w drugiej połowie nocy. Oni pewno już wracają.

Na stole opustoszałym z narzędzi i drutów leżała w dalszym ciągu antologia. Brałem ją do rąk i odkładałem na bok — w lekturze tej przyjmował udział tylko wzrok, a nie świadomość. Ułamki wierszy łuszczyły się jak stary, opadający tynk.

W ciągu nocy śnieg i wiatr wzmógł się do rozmiarów zamieci, wobec której ustała wszelka obawa o ślady. Jak tylko rozedniało, ruszyliśmy z Perlicą na umówione spotkanie w lesie, niedaleko Rykont. Mieliśmy tam dostarczyć rowery Gradowi i Kosowi, którzy zamierzali przeprowić się przez Wilię i jednym ciągiem dotrzeć do Wilna drogą na Szyłany. Fostowicz, według planu, zostawał dla zamelinowania broni i lewych dokumentów.

Obaj oczekiwani przybysze zjawili się w umówionej kępie zarośli prawie bez opóźnienia. Z ich pewnych siebie, chociaż wyczerpanych twarzy widać było, że niosą jakiś plon.

Mina wybuchła „planowo”. Parowóz został wykolejony jak również kilka wagonów za nim. Słychać było charakterystyczny stuk kół taboru kolejowego, które podskakiwały jeszcze jakiś czas po podkładach, po czym pociąg stanął — był to wojskowy transport z samochodami i czołgami. Wobec bardzo małej szybkości nic nie spadło z nasypu, ani nie nastąpiło spiętrzenie wagonów. Mina została założona nie na nowoobranym łuku, ale na starym miejscu w lesie, tuż koło wywalonych przez nas poprzednio wagonów. W trakcie roboty na torze pracujący zostali zaskoczeni przez nadejście „waczy”, którą zauważono z tak bliskiej odległości, że tylko dzięki gęstej śnieżycy, strażnicy nie spostrzegli trzech ludzi, którzy w ostatniej chwili uskoczyli za nasyp z gotowymi do strzału pistoletami. Robota trwała długo, wobec zamarznięcia ziemi na skałę. Po połamaniu noży, użyto do wybijania dołków pod szyną żelaznych prętów z leżących koło nasypu rozbitych wagonów. Trzeba było długo czekać na pociąg — nadszedł dobrze po północy. Wybuch nastąpił zatem nie w sobotę 28, a w niedzielę 29 listopada — akurat w rocznicę powstania 1830 roku. Kłopot był z Kosem, którego nie sposób było utrzymać w przyzwoitej odległości od ładunku, gdyż wciąż rwał się, żeby oglądać spektakl „przykładając nos do szyny”.

Grad skończył swoją relację — teraz była kolej na moją. Wartość ludzi ocenia się w ciężkich chwilach. Katastrofalną wiadomość o wpadnięciu meliny i aresztowaniu rodziców Kos przyjął potokiem przekleństw, ale po chwili flirtował już z Perlicą i

opowiadał jej nieskazitelnym akcentem, godnym Sory Kłok, żydowską anegdotę o sytuacji bez wyjścia, z której wynikało, że z każdego położenia są dwa „wichody”. Szedł naprzód, lecz nogi zostawały mu z tyłu, gdy ciągnął je ciężko po 40-tu z górą kilometrach marszu. Siadł na rower, wydając z głębi gardzieli ów swoisty dźwięk, bardzo naturalny przy ukazywaniu się widma na cmentarzu, ale niezwykle w świecie ludzi żywych. Pojechali.

Wszystko skończyło się szczęśliwie. Sprawa okazała się czysto spekulacyjna. Rodziców Kosa po przesłuchaniu zwolniono.

Zagrożenie meliny zostało szybko zlikwidowane. Kos z Komarową przeniknęli do wewnątrz opieczętowanego lokalu. Z niezliczonych byle jakich skrytek Kos wyciągał niezliczoną ilość nie byle jakiej kompromitacji. Pistolety, spłonki, zapalniki, wszystko pomieszanę z hufnalami. To one były przedmiotem zainteresowania policji.

Obładowana Komarowa cztery razy przechodziła próbę nerwów, przenosząc ciężkie torby do lokalu na ul. Zakrętową. Koroną tych trudów był długi karabin, który zawieszony na szyi po 50 krokach wysuwał się spod płaszcza. Ulica była pustawa. Sytuację uratowała przypadkowa dorożka. Po pewnym czasie sprawa przyblakła i wydawała się nieszkodliwa. Kos przez kilka tygodni niby się ukrywał, ale i tego wkrótce zaniechał.



Tuż przed Bożym Narodzeniem, całkiem niespodziewanie, Dan zjawił się w Wilnie. Kiedy stanąłem przed jego obliczem, niepewny co by go sprowadzać mogło ponownie w tak krótkim czasie — szczęka opadła mi ze zdziwienia: Wachlarz został rozwiązany. Przyjechał ni mniej ni więcej tylko dla likwidacji O V i Bazy, jako segmentu Wachlarza i przekazania tych jednostek Okręgowi Wileńskiemu. Wesoła historia! Pobiegłem z tą wiadomością do swoich, wywołując burzliwy obieg krwi w naszym małym organizmie. Podobnie musiał wstrząsnąć się Odcinek w swoich naddźwińskich posadach.

Wachlarz zainstalowawszy się w Wilnie zajął od razu w stosunku do Okręgu miejscowego pozycję uprzywilejowaną. Na każdym kroku była widoczna specjalność jego powołań i zadań. Od początku chodził w sławie czynów, których dopiero miał zamiar dokonać. Błyszczał swoim warszawskim pochodzeniem i londyńskimi koneksjami. Angielska broń, spadochroniarze, no i wreszcie grube pieniądze — to wszystko było nadzwyczajne.

Kilka miesięcy pracy potwierdziło tę opinię, powziętą początkowi nieco na kredyt. Po opornym okresie wstępnym Bez-

mian ze swymi ludźmi zdołał wrosnąć w teren mocno niewdzięczny i rozwinął się do akcji, która trwała całą jesień i dała poważne wyniki. Trzeba przypisać wielkiej ostrożności i rozważności samego Bezmiana, że nie opłacił tych sukcesów dużymi stratami. Jeden tylko Grek, który po podleczeniu swoich poranionych za Dźwiną nóg, jechał do Warszawy, został aresztowany w drodze i niebawem nadeszła wiadomość o jego rozstrzelaniu. Z sąsiedniego Odcinka IV docierały katastrofalne słydy o aresztowaniu przez Gestapo w Mińsku wszystkich prawie ludzi wraz z dowódcą. Na innych „frontach” Wachlarza a także w warszawskiej centrali, areszty powodowały duże wyrwy. W ten sposób nasz O V błyszczał nie tylko warszawską i londyńską reklamą, ale i istotnymi sukcesami bojowymi i organizacyjnymi. My — Baza tego Odcinka, również zażywaaliśmy pewnego splendoru, chociaż genetycznie nie różniliśmy się wcale od każdej innej komórki miejscowej.

Równocześnie to uprzywilejowanie musiało wywołać i wywołało pewien antagonizm. Istnienie na jednym obszarze dwóch jednostek: jednej strojnej w pawie pióra, drugiej szarej, jednej bogatej, drugiej ubogiej — zawsze doprowadzi do zawiści. Teoretycznie Wachlarz działał poza granicami Okręgu, ale praktycznie całe jego życie skupiało się w tych właśnie granicach, a działalność bojowa była wypadami na zewnątrz. Kilkakrotnie dochodziło do konfliktów na tle porwania przez Odcinek ludzi Okręgu. Nic dziwnego, że bardziej aktywne jednostki, stykając się z Lipkami i Bronami, lgnęły do nich, a porzucały swoją dotychczasową pracę, zwłaszcza, że była ona częstokroć dość luźna i mało skonkretozowana. Tam dostawało się broń i pieniądze do ręki i szło się na tor pod dowództwem prawdziwych spadochroniarzy; tu trzeba było popychać zwykłe sprawy organizacyjne, polegające z natury rzeczy więcej na gadaniu, niż na czynach, lub szkolić jakieś bliżej nieokreślone zawiązki przyszłych oddziałów liniowych, które w tej chwili były oczekującą na wcielenie abstrakcją. W nagrodę miało się wprawdzie szumne tytuły dowódców tych mglistych jednostek. Niejeden wszakże przekładał autentycznego amerykańskiego colta nad godność dowódcy kompanii, czy plutonu *in partibus infidelium*. Przypuszczam, że oprócz powodów natury wojskowej i politycznej do likwidacji Wachlarza przyczyniła się również presja tych okręgów wojskowych, które (podobnie jak wileński) narażone były na buszowanie po nich bujnych i zaborczych „fanmanów” (jak nazywał ich Fostowicz).

Odcinek wraz z Bazą to było zaledwie kilkudziesięciu ludzi, Okręg liczył swój stan na tysiące. Mimo tej dysproporcji, nabytek był cenny. Tych kilkunastu dowódców patroli dywersyjnych

znad Dźwiny — to była prawdziwa sól ziemi. Okręg wciąż jeszcze trwał w stanie „mgły i galarety”. Owe masy, którymi operował, przyszłoby wycisnąć do dużo skromniejszych liczb, gdyby miało dojść do przedwczesnej próby sił. Aby te tysiące stały się armią — trzeba je było gęsto przesiać dobrym dowódcą.

Dan załatwiał sprawę krótko. Z podziwem patrzyłem, jak w ciągu kilku godzin zdołał ustalić spotkanie z Komendantem Okręgu. Normalnie zorganizowanie kontaktu Bezmiana lub Lipka z tą niedostępną osobistością zajmowało dobrych kilku dni. Kiedy ruszałem na to spotkanie, by wraz z Bezmianem zostać „przekazany” — byłem żegnany przez swoich, jakbym szedł na nowe cięcie lub zgoła na ścięcie. Fostowicz upominał mnie wciąż, bym się trzymał, bym się nie dawał, bo inaczej rozpędzą nas po innych oddziałach i taki będzie koniec. Komarowa, której (niczym fredrowskiej paniencie, domagającej się krokodyla) w głowie było tylko przewracanie parowozów — czuła się bliska płaczu na myśl, że zapędzą ją do kolportowania gazetki lub do zwijania bandaży. Kos proponował bunt i stworzenie własnej, oddzielnej, niezależnej organizacji, która...

Rzeczywistość okazała się nie tak groźna. Byliśmy — Bezmian i ja — taksowani przez Komendanta Okręgu z zainteresowaniem, z jakim ogląda się nową broń, nieznaną jeszcze, ale budzącą zaufanie. Formalna strona rzeczy została ujęta przez odpowiedni protokół, spisany na miejscu. Widać było z niego, że nasza pozycja materialna była podówczas nader skromna, przy wybujałych aspiracjach.

Nasze zadanie na bieżącą przyszłość nie zostało wprowadzie od razu sprecyzowane, ale widoczne było, że Baza (mieliśmy zastrzymać tę nazwę, mimo że traciła od tej chwili aktualne znaczenie) dalej będzie jechała swoim torem dywersji kolejowej. Ten tor, ograniczający się dotąd do jednego toru Wilno-Kowno (a ściślej biorąc Jewje-Kowno ze względu na granicę), rozwidlał się teraz obiecująco na kilka szlaków kolejowych, zbiegających się w Wilnie. Odpadało sztuczne ograniczenie związane z Wachlarzem — horyzont się rozszerzał. Już nazajutrz siedziałem z Fostem nad sztabówkami, smakując różne łuki kolejowe w kilku kierunkach od miasta.

Lecz chociaż miło było smakować rzecz z mapy, to przychodziło obejść się tym smakiem na torach. Brakło materiału. Edyp z największym trudem mógł wyczarowywać pojedyncze kilogramy, mimo że sam osobiście tkwił na Burbiszkach i chwycił każdą okazję, która była jako tako, w ramach rozsądku, możliwa. Lecz nawet jego dar realizowania spraw załamywał tu ręce. Jego przeniesienie na Burbiszki nastąpiło w czasie, kiedy minęła już pora

„luzów”. Stopniowo rygor twardniał, drut kolczasty się rozprzestrzeniał, robotnicy żydowscy byli kontrolowani i rewidowani coraz to bardziej systematycznie. W tych warunkach wyniesienie kilku spłonek było trudne, a co mówić o materiale tak objętościowym, jak duże ilości trotylu. A tylko duże ilości mogły rozwiązać sprawę a nie kilka kostek przemyconych cudem raz na miesiąc. By móc je wynieść, nie można się było obejść bez współdziałania kilku ludzi naraz. Taka szeroka współpraca oparta na pieniądzach (bo nowych Edypów nie było widać) jest antypatyczna, ryzykowna i bardzo droga.

Od dłuższego czasu zastanawialiśmy się z Edypem nad napa-dem lub włamaniem do któregoś z magazynów. Rzecz taka byłaby rozwiązaniem co się zowie, ale nie łatwo dawała się zaaranżować. Ustalenie zawartości skrajnych bunkrów porozrzucanych na obszernym terenie burbiskim, trwało tygodniami, gdyż dotrzeć do nich można było tylko w ramach normalnej pracy, a siłą przekory losu pracowało się zwykle w przeciwnej części parku, niż ta, gdzie ciągnęły Edypa jego specyficzne zainteresowania. W połowie grudnia udało się upatrzeć bunkier, jak plaster miodu. Ustaliliśmy, że najlepszą okazją do obrabiania warty litewskiej będzie noc Sylwestrowa. Aliści przed samymi świętami nagle zabrano Litwinów rozwałkonionych na Burbiszkach od szeregu miesięcy i na ich miejsce przysłano młodych i dziarskich Niemców, wprost z *Hitlerjugend* powołanych do wojska. Ta okoliczność, zdaniem Edypa, przekreślała a przynajmniej odwlekała nasze przedsięwzięcie.



Cóż było robić? Święta zapowiadały się nieosobliwie. Bardziej w duchu rozrywki niż w trybie akcji bojowej, zabrałem się do montowania trzeciego cięcia. Ten gatunek roboty został już ostatecznie „odbrązowiony”. Rzecz wyglądała przy tym o tyle niepoważnie, że dysponowaliśmy śmieszoną resztką materiału. Porządne trotylu mieliśmy mało co więcej, niż 1 kg — poza tym jakieś humorystyczne zapalniki artyleryjskie, jakieś dziecinne substancje powydobywane z bliżej nieokreślonej amunicji. Jasne było, że idzie tu o robotę raczej szkoleniową, niż bojową. Na dobitkę pudło minerskie zakopane w ogrodzie zostało zalane wodą podczas odwilży, tak że ostatnie posiadane przez nas zapalniki elektryczne miały iść na tor po parotygodniowej kąpieli. Jednak Kos, który tym razem miał prowadzić patrol, nie zrażał się przeciwnościami losu, ani brakami w wyposażeniu. Skonstruował instalację elektryczną całkowicie według swego pomysłu, odrzucając stanowczo wszelkie modele stworzone przez warszaw-

skich nudziarzy. Wahałem się, czy go puścić na samodzielną robotę wobec jego „kalectwa”: w terenie orientował się jak kura. Uspakajała mnie obecność Kolarza, który, jako geolog, był dokładnie obznajomiony z mapą i mocny w topografii. Na trzeciego szedł nowy nabytek — Frycz. Ten również zdawał się być terenowo otraskany.

Frycz był to ten sam wysoki młody człowiek, którego poznałem latem podczas wyprawy do Wilejki i Mołodeczna. W jesieni wrócił na stałe do Wilna z owych dalekich okolic i zgłosił się do Bazy. Początkowo nie poddawałem się uderzająco dobremu wrażeniu, które robił. Teraz miał zadebiutować.

Pogoda była nadzwyczajna. Po długiej odwilży od kilku dni panował dość silny mróz bez krzty śniegu. Można było chodzić po zoranym polu nie pozostawiając śladów większych, niż na kamiennej posadzce. Jednak należało się śpieszyć, bo każdy dzień mógł całkowicie zmienić sytuację.

Smakowite łuki na innych liniach kolejowych jeszcze nie były opracowane, więc znów poszły w ruch Ponaryszki. Całe zgromadzenie miało udać się tam podczas świąt, przybierając pozór beztroskiego towarzystwa o samogonowych zamiłowaniach. Grad i Komarowa przyłączyli się do kompanii. Specjalną trudność stanowiła nieobecność Perlicy, która akurat wyjechała na Litwę. Ona jedna była powołana do subtelnego kierowania domem w tak delikatnych terminach. Neutralizowanie różnych sąsiedzkich ciekawości, nadawanie naturalnego pozoru podejrzanym błahostkom, które kumulując się, tworzą w końcu istny akt oskarżenia — oto było jej powołanie. Nieobecność kobiecej ręki w takiej sytuacji jest jak brak smaru w mechanizmie. Lisica, która mogłaby ją zastąpić, akurat była chora, a Komarowa, znalazłszy się na obcym gruncie, nie miała potrzebnej swobody ruchów. Ja radziłem sobie w tych sprawach, jak słoń w sklepie z porcelaną.

Główną rafą była tu panna Polcia, osóbką o wartkiej wymowie i umyśle niezbyt zrównoważonym, mieszkająca w Ponaryszkach i trudniąca się wyrobem swetrów. Widowisko było żałosne: sześciu ludzi swobodnych, dumnych i zbrojnych jęczało przez parę dni w niewoli u tej przedstawicielki miejscowego trykotarstwa, urywając rozmowy, patrząc spode łba, nasłuchując odgłosów z kuchni, chowając po kątach narzędzia, mapy, pistolety. Panna Polcia natomiast dawała upust swojej spostrzegawczości i zmysłowi obserwacyjnemu. Nie mogła już rozkwitnąć poprzednia atmosfera nasycona poezją i muzyką, nie miał kto zagrać preludium Szymanowskiego...

Zresztą muzy przycichły nad Wilią nie tylko z racji „niewoli”.

Również obecność Frycza wносиła nowy ton w dotychczasowy nastrój. Jego sposób bycia można by określić jako pogodną rzeczowość. Przez cały czas był wesoły i uśmiechnięty, a zarazem nie zdawał się widzieć niczego niezwykłego w owej robocie, w której miał brać udział — traktował ją zanadto zwyczajnie jak na debiutanta. Nie bawiły go specjalnie dowcipy Kosa, ani nie przejmowały przestrogi Grada. Orientował się zarówno dobrze w bronii, jak i w sprawach związanych z materiałami wybuchowymi — nie z racji jakiegoś specjalnego przeszkolenia, ale z wrodzonej bystrości. Przyjechał na krótko przed wyruszeniem, zapowiadając, że po robocie, wczesnym rankiem siada na rower i wraca do Wilna.

Nastał trzeci dzień Świąt 27 grudnia. Panna Polcia dała się namówić na dłuższą wizytę gdzieś w okolicy i wyszła z domu z tym, że wróci dopiero nazajutrz. Jak tylko ściemniało, Kos poprowadził swój patrol, czy też, ściślej biorąc, sam został przezeń poprowadzony. Tym razem miało się obyć bez dalekiego zapuszczania się w głąb Litwy. Wobec ubóstwa materiału wybuchowego nie opłacało się nawet szukać łuku. Wprost z szosy miało się zejść na tor gdzieś pod Jewjem i tam w dowolnym miejscu robić swoje. Czy nie zanadto już spoufaliliśmy się z koleją?

Pozostała trójka: Komarowa, Grad i ja — zespół kibiców — drzemaliśmy wygodnie na ponaryskich tapczanach. Już koło pierwszej w nocy — bardzo wcześnie — u okna rozległo się pukanie. Skoczyliśmy we troje do sieni. Tamtych trzech stanęło na przeciwko, prezentując nam swoje uśmiechnięte twarze. Patrzyłem pytająco na dowódcę patrolu Kosa.

„Wyszliśmy z domu i za ogrodem dróżka doprowadziła nas do szosy, gdzie zorientowałem się, że trzeba iść w prawo” — zaczął znakomity terenowiec. W dalszym ciągu relacji okazało się, że wybuch mimo wszystko nastąpił. Byłem pełen wątpliwości, czy tak będzie, wobec dwutygodniowego pławienia w wodzie zapalników. Doprawdy niemiecka produkcja minerska jest ponad wszelkie pochwały. Nie bez sceptyzmu zapatrywałem się też na „samorodną” instalację elektryczną Kosa — tu także zwątpiłem niesłusznie.

Gorzej było, że pociąg nie tylko się nie wykoleił, ale nawet nie zatrzymał. Dało się słyszeć stukanie kół o wyrwę w szynie, ale parowóz przeciągnął wszystkie wagony przez uszkodzone miejsce, chociaż ciężko przy tym dyszał i zwolnił biegu. Aczkolwiek taki wynik nie stanowił niespodzianki, nie można było uważać cięcia za udane. Zatrzymanie pociągu jest to minimum wymagane od takiej roboty.

Nazajutrz rano całe towarzystwo wyspane i wypoczęte zbie-

rało się na śniadanie. Ostatni wszedł do jadalni Kolarz. Kiedy grzecznie, chociaż nieco sztywno, ukłonił się od drzwi nam, siedzącym przy stole, nie mogłem powstrzymać wybuchu śmiechu na jego widok. Wysoki, szczupły, gładko uczesany i ogolony, w ciemnych, wizytowych spodniach w paski i z teczką w ręku — był niewiarogodny jako dywersant. Wszystko można było powiedzieć o tym człowieku, lecz nie to, że przed kilku godzinami wykolejał pociąg. Na jego pociągłej twarzy nie malowało się nic prócz spokoju i ścisłości myślenia. Za kilka dni miał wygłosić w Instytucie Geologicznym odczyt na temat swoich badań pokładów gipsu w Litwie. Słuchacze byliby zaskoczeni, gdyby naraz dowiedzieli się jakie to poza-gipsowe zainteresowania zaprzętały prelegenta tak niedawno.



Po Nowym Roku zaczęły się kontakty z władzą okręgową. Reprezentował ją na początku ten sam młody, szczupły oficer, którego poznałem na samym wstępie, jako „Stefana” i z którym razem byłem aresztowany, a potem zwolniony w maju. (Potem dowiedziałem się, że był to kpt. łączności Stefan Czernik). Fostowicz pokazał mi spory zeszyt, wypełniony drobnym pismem — był to sporządzony przez Lisa, ogólny spis policji litewskiej w Wilnie. Prezentował się poważnie — zawierał kilkaset nazwisk i adresów. Najważniejszą jego część stanowił wykaz tzw. Ypatingu Burisu, tj. specjalnego egzekucyjnego oddziału litewskiego przy Gestapo niemieckim. Potem jeszcze Lis kilkakrotnie uzupełniał i aktualizował swój elaborat.

Lecz „Stefan” wkrótce zniknął z naszego pola widzenia. Miejsce jego zajęła inna osobistość — „Sław”. Wiadomo było od razu, że jest to nie byle kto. Kronika nasza początkowo określa go skróttem SS (szef Sztabu), potem wyjaśniło się, że był to Szef Oddziału Operacyjno-Wyszkoleniowego. W owym czasie był w Wilnie człowiekiem świeżym — dopiero zjawił się z Warszawy, gdzie wylądował przed kilku miesiącami, jako spadochroniarz z Anglii. Stamtąd znał dobrze Bronę. Z rozmowy i ze sposobu bycia łatwo w nim było wyczuć oficera zawodowego i to nie byle jakiego. Zawsze dobrze ubrany, ogolony, elegancki, lecz bez wymuskania, inteligentny, lecz bez skłonności do popisywania się erudycją. Początkowo czuł się niezbyt pewnie na nowym gruncie wileńskim. Potem, w miarę jak się wgryzał, znać było ślady jego pracy organizatorskiej na otaczającej nas rzeczywistości konspiracyjnej. Długo jeszcze działalność Sława wychodziła poza funkcje związane ściśle z jego stanowiskiem a sięgała

w głąb rozmaitych spraw technicznych, materiałowych, uzbrojeniowych. O ile mogę o tym sądzić, osobowość jego sporo zaważyła przy wyprowadzaniu Okręgu ze stanu „mgły i galarety”.

W owym czasie rozmowy jego ze mną dotyczyły tzw. zadania głównego, czyli przygotowania się do akcji podczas mającego nastąpić powstania. Zadanie to parokrotnie zmieniane utrzymywało się w zakresie dywersji kolejowej i drogowej i skrojone było znacznie „na wyrost” w stosunku do ówczesnych możliwości Bazy. Patrzyłem na nie w dalekiej perspektywie, którą zasłaniały mi potrzeby bieżącej chwili.

SEN NOCY ZIMOWEJ

Mijał styczeń 1943. Burbiszki były niedostępne. Wiadomości Edypa stamtąd, dalej nie wróżyły nic dobrego. Młode Niemczyki maszerowały po zaśnieżonych ścieżkach z całą dokładnością i przejęciem, właściwym ich wiekowi — byli to chłopcy, którzy dopiero co dostali karabin do ręki. Taki wartownik jest najtrudniejszy do zaskoczenia. Nawet do ustępu chodzili w nocy po dwóch i z granatami za pasem.

Położenie nasze stawało się coraz bardziej kuse. Po ostatnim cięciu (27 grudnia) nie mieliśmy ani kostki materiału. Cały nasz majątek dywersyjny ograniczał się do kilku zapalników-niedobitków, pozostałych z zapasów wysłanych na OV nieopatrznie prawie w całości, bez żadnej myśli o naszych własnych przyszłych potrzebach. Teraz plułem sobie w brodę i rwałem się do trotylu, jak kot do waleriany. Wobec Okręgu, który odnosił się do nas z pewnym szacunkiem wyglądaliśmy jak ubodzy krewni, oczekujący aż im coś do ust spadnie. To nie było w naszym duchu. A oczekiwać nie było na co, bo Okręg sam był ubogi w te artykuły, o które nam chodziło. Warszawski *plastic* coraz to bardziej przybierał charakter mityczny — to jasno wynikało z paru rozmów, które miałem w tym czasie ze Sławem.

Ten stan rzeczy trwał kilka tygodni. Dopiero w końcu stycznia, kiedy poszedłem na Kijowską na jedno ze zwykłych spotkań z Edypem — zastałem go tam z miną rozpromienioną: warta niemiecka została zdjęta, na jej miejsce wrócili starzy, zadomowieni Litwini — wartownicy od siedmiu boleści. Nic lepszego nie mogłem sobie wyobrazić.

Natychmiast została wzięta na warsztat stara koncepcja Edypa włamania się do bunkrów po zachodniej stronie lasu burbiskiego. Skrajny bunkier nr 16, znajdujący się w odległości zaledwie kilku-

nastu metrów od płotu, był stale zamknięty na dużą i trudną do zoperowania wytrychem kłódkę, wobec czego nie można się było do niego dostać bez pozostawienia wyraźnego śladu a tego chciałem w miarę możliwości uniknąć. Jednakże była na to rada. Edyp ustalił, że czwarty z rzędu bunkier nr 13 nie jest wcale zamykany. Oprócz dużych ilości amonitu, który nas nie interesował, znajdowały się w nim miny sowieckie w kilku rozmiarach oraz 8 skrzyń zawierających 200-gramowe kostki trotylu niemieckiego, dobrze znane ładunki „walizkowe” w blaszanym opakowaniu, lont wybuchowy i różne inne mniej fascynujące materiały. Oto były artykuły, które trzeba było dostać w ręce. Dostać w łapy i powiedzieć sobie słowami Fredry: *beatus qui tenet*. Brakowało wprawdzie zapalników, ale nie żądajmy na raz gwiazdki z nieba.

Oprócz podania zawartości bunkra, Edyp określił szczegółowo jego położenie. Wszystkie interesujące nas obiekty (bunkry 13, 14, 15 i 16) miały mieścić się w zarośniętej lasem dolinie, przeciętej w poprzek przez 2 linie płotów z drutu kolczastego, stanowiących zewnętrzne ogrodzenie Burbiszek. Ostatni bunkier nr 16 był już bardzo blisko płotów, nr 13 położony był o 150 m. w głąb ogrodzonego terenu. Wzdłuż doliny biegł tor kolejki, zakończony koło ostatniego bunkra belką zderzakową. Niepodobna było ustalić szczegółowo, w jaki sposób zachowuje się w nocy warta, chodząca wzdłuż kolejki od wartowni do płotu zewnętrznego, ale nie ulegało wątpliwości, że Litwini, podobnie jak przedtem, odnoszą się w sposób ośpały i niedbały do bezpieczeństwa powierzonych ich ochronie składów.

Należało jeszcze ustalić drogi dojścia do naszego celu. Odszukanie dolinki nastęrczało pewne kłopoty, bo teren był rozległy i trudny do orientacji. Można było wprawdzie iść wzdłuż ogrodzeń zewnętrznych, aż się natrafi na sytuację zgodną z opisem Edypa, ale wtedy ryzykowało się spotkanie z wartownikiem, chodzącym wzdłuż ogrodzenia bez możliwości umotywowania swej obecności w tym miejscu. Jedynym dorzecznym motywem były tu narty, toteż w najbliższą niedzielę 31 stycznia, wybrałem się na „wycieczkę” z Komarową i Kolarzem.

Komarowa orientowała się najlepiej w tym terenie dzięki temu, że z upodobaniem chodziła za szkolnych lat na wagarzy w te okolice, toteż bardzo bystro wyprowadziła nas przez przejazd kolejowy do stromego wąwozu, skąd dostaliśmy się do lasu. Stało tam kilka chatek wyglądających dość bezludnie i na szczęście pozbawionych psów. Dalej droga wspiniała się na zbocze, na którym z daleka ujrzelśmy owe dwa równoległe płoty z drutu. Po dłuższym krążeniu Komarowa zauważyła, że między drzewami w dole prześwituje jakiś szary budynek. Obok niego oko moje

wypatrzyło w gęstwienie pni „ważną szczegółę” (jak mawiał Brona) — na białym tle śniegu odcinała się ostro czarna belka końcowego zderzaka kolejki. Z tą chwilą bunkier nr 16 został zidentyfikowany. Od zderzaka widać było na śniegu zawiane ślady, prowadzące przez płoty na zewnątrz — była to wspomniana przez Edypa ścieżka, którą wartownicy chodzili nieoficjalnie do miasta „szlakiem Komarowej” — również na wagary. Wylot tej ścieżki na drogę zauważyłem poprzednio przy jednej z mijanych chat. W ten sposób dojście do „miejsca zbrodni” zostało rozgryzione.

Rozpoczęły się forsowne przygotowania, jak zwykle w takich razach, pełne wahań, obaw i złych przeczuć. Kwestia meliny była szczególnie trudna, bo, wobec zamarznięcia ziemi, mowy nie było o zakopywaniu zdobyczy. Pozostawała Petronela, położona dość niewygodnie, bo po przeciwnej stronie miasta. By się do niej dostać, trzeba było obejść Wilno od zachodu, przekraczając dwukrotnie po lodzie Wilię, raz poniżej Wilczej Łapy, a drugi raz koło Trynopola. Grad otrzymał zadanie opracowania trasy i zabrał się do tego ostro.

Początkowo termin został wyznaczony na sobotę 6 lutego i byłby zapewne dotrzymany, gdyby nie gwałtowne łapanki, które rozpoczęły się właśnie na kilka dni przedtem. Trzeba było siedzieć w domu, wieczorami uciekać do Petroneli lub też w ogóle wynosić się z miasta. Ruszyliśmy pieszo do Ponaryszek, ale okazało się, że drogę zagraadza nam litewska ekspedycja karna, która zjawiała się w okolicach i rozstrzelała tam 2 lutego przeszło 20 osób. Cofnęliśmy się znów do miasta. 4 lutego na ulicy został wzięty Grad — było to uderzenie w samo sedno burbiszki przygotowań, toteż zaczęły się parodniowe, intensywne starania, prowadzone głównie przez Lisicę, by wykupić go z aresztu, w którym został odszukany przez swoją rodzinę. Jakaś aferzystka spod ciemnej gwiazdy zażądała ogromnej wówczas sumy za zwolnienie go i byłem gotów iść na ten wydatek — Grad był zbyt potrzebny w tej chwili, by liczyć się z pieniędzmi. Niestety nic zrobić się nie dało i po dniach tułaczki po aresztach delikwent pojechał na roboty przymusowe pod Leningrad, skąd wrócił dopiero po paru miesiącach. Przed odjazdem dał znać, że nie będzie uciekać z drogi, by nie narażać rodziny. Odpadnięcie Grada uderzyło nas boleśnie, ale nie byliśmy już aż tak słabi, by ubytek jednego człowieka, nawet najpotrzebniejszego, miał przekreślić całe przedsięwzięcie. Po kilku dniach łapanki ustały i zaczęło się montowanie wyprawy na następną sobotę 13 lutego. Termin ten miał poważny defekt: księżyc zbliżający się nieomal do pełni i zachodzący dopiero po północy. Nie było jednak na to rady. Trasa

do meliny została podzielona na 2 części i oddana do obróbki Fostowiczowi i Kolarzowi, którzy wzięli się do pracy z właściwą im obu pedanterią, przeszli swoje odcinki kilkakrotnie, zarówno w dzień, jak i w nocy i rozpoznali je szczegółowo. Szczególniej Fostowicz, który nie znał tych okolic, wrywał sobie po prostu nogi, łażąc po zaspach dla drobiazgowego opracowania ominięcia wsi, które usadowiły się na naszej trasie. Kolarz miał zadanie łatwiejsze, bo akurat te okolice Wilna poznał podczas swoich badań geologicznych.

Dla czołówki, która miała wejść pierwsza za druty i ubezpieczyć patrol od strony wartowni, trzeba było przygotować białe płaszcze śniegowe. Zaczęło się skupowanie prześcieradeł i szycie z nich długich, makabrycznych „widmowców” o obszernych kapturach na głowę i szerokich rękawach. Wobec perspektywy długiego leżenia na śniegu, należało zdobyć dla wszystkich wojski. Trzeba było przygotować odpowiednio żywność, pomyśleć o lokalach wyjściowych. „Departament gospodarczy” w osobie Lisicy w ciągu kilku dni biegał, kupował, szył, gotował i żądał pieniędzy. A przecie nie tu jeszcze leżał punkt ciężkości — najważniejsza była broń.

Jak zwykle pistolety były naszą najślabszą stroną. Kilka sztuk, które mieliśmy, to był początek, śmieszny zarodek prawdziwego uzbrojenia, o którym mówiły szumne warszawskie instrukcje, deklarujące nam, ubogim o *tommygun*’ach i *plastic*’u. Kilka egzemplarzy, które Grad z matczyną pieczołowitością podczyszczał i wyremontował, mieliśmy na własność. Resztę trzeba było dokończyć po ludziach. Nie w naszym duchu było zwracanie się do Okręgu po przydział broni. Znowu Komarowa ruszyła zaśnieżoną szosą za Niemenczyn do Luxa po visy. Fostowicz porwał colta od Bezmiana (który po likwidacji O V zasiadł w Wilnie) i przyswoił go sobie na pewien czas, zapewniając właściciela, że pistolet został zamelinowany daleko na wsi, wobec łapanek w mieście („Panie Leonie, takie czasy”).

Skład personalny ekspedycji też był wciąż płynny. Największe trudności nastroczał udział Edypa. Z jednej strony był on inicjatorem włamania i przeprowadzał rozpoznanie, skąd wynikało, że nie tylko winien brać udział w wyprawie, ale nawet nią dowodzić. Z drugiej strony udział jego sprawiał szereg dodatkowych trudności. Dzięki swemu wzrostowi i dość charakterystycznej postaci był dokładnie znany warcie litewskiej. W tych warunkach każde zetknięcie się z tą wartą musiało się skończyć krwawo. Mowy nie było o żadnych wybiegach, udawaniu patryzantów sowieckich lub rozbrojeniu wartownika i zamknięciu go w pustym bunkrze. Litwin, który by się zetknął z Edypem, musiał być nieuchronnie

zlikwidowany. Natomiast wpadnięcie Edypa żywego czy umarłego było równie nieuchronną zgubą dla setki Żydów pracujących w Burbiszkach, a może nawet dla całego getta wileńskiego. Ta setka (a może nawet setki czy tysiące) zginęłaby ponosząc zbiorową odpowiedzialność za obcą im sprawę. Ostatecznie zdecydowałem się nie brać Edypa, zwłaszcza, że on sam zdawał się przygnieciony ciężką na nim odpowiedzialnością. Wiadomości, które od niego otrzymałem, były tak dokładne, opis terenu i budynków tak szczegółowy, że trudno było spodziewać się, abym miał jakieś trudności w zorientowaniu się na miejscu. Cała sytuacja była wielokrotnie szkicowana i przez nas obu omawiana. Wyrzekałem się Edypa z żalem, ale nie tyle potrzebowałem go jako przewodnika na miejscu, jak chodziło mi o jego wielką siłę fizyczną. Nikt z nas nie nadawał się, tak jak on, do dźwigania ciężarów — wraz z nim ubywało kilkadziesiąt kilogramów trotylu.

Z podobnych względów trzeba było wyrzec się udziału Lisa, który jako lekarz w ambulatorium dla policji mógł być znany wartownikom litewskim.

Odrębny rozdział stanowiła sprawa Komarowej. Osóbka ta nie posiadała ani odpowiedniej siły fizycznej, ani należytego obycia z bronią. Rozumiała sama, że nie ma odpowiednich kwalifikacji, toteż nie domagała się zbyt natarczywie zabrania jej na wyprawę, mimo że bardzo chciała brać w niej udział. Atutem, który przeważał, była jej gruntowna znajomość terenu. Nikt z nas nie orientował się jak ona w wertepach między lasem burbiskim a kolejną i dalej aż do Wili. Nikt nie potrafiłby lepiej wyprowadzić ludzi na gładką drogę w razie, gdyby doszło do indywidualnego cofania się i przebijania przez druty. Przy tym była to osoba poinformowana o wszystkim, nie trzeba było wtajemniczać jej w żadne nowe szczegóły. Znała melinę u Petroneli i brała udział w rozpoznaniu dojścia do Burbiszek, wiedziała zatem „skąd” i „dokąd”.

Ostatecznie z ludźmi było dość skąpo. Brona akurat wyjechał do Warszawy. Po odpadnięciu Grada, Edypa, Lisa i Podróżnika, z trudem skompletowała się ekipa złożona z 8 ludzi. Na ubezpieczenie czołowe miał iść Frycz i świeżo przyjęty Bil, który nie znalazł jeszcze okazji zademonstrowania swoich zalet bojowych, ale posiadał własny porządny pistolet. Ubezpieczenie tylne mieli tworzyć Kos i Fostowicz. Ja z trzema pozostałymi ludźmi (Kolarz, Komarowa, Szumbura) miałem otworzyć bunkier nr 13 i załadować plecaki. Tak więc ekspedycja odbywała się pod znakiem trzynastki (13 luty i bunkier nr 13).

O ile termin nie był wygodny ze względu na księżyc, o tyle

z innych powodów przedstawiał pewne korzyści. 16 lutego przypadało narodowe święto litewskie, nie uznane przez władze niemieckie i traktowane jako zwykły dzień pracy. To wzbudziło silne nastroje opozycyjne w potulnym społeczeństwie litewskim w Wilnie a zapewne i w całej Litwie. Do tego jeszcze w mieście wydarzyło się jakieś zabójstwo Litwina przez Niemca, rozdmuchane przez sfery opozycyjne do rozmiarów naczelnego ewenementu dnia. W tych warunkach zniknięcie materiałów wybuchowych z Burbiszek, w razie wykrycia, poszłoby niewątpliwie na karb Litwinów, przez co Żydzi byłiby odciążeni. Wobec tak pomyślniej koniunktury politycznej, Edyp zdecydował się nie ewakuować swojej rodziny z getta na krytyczny okres. Zresztą dużo przemawiało za tym, że zniknięcie trotylu w ogóle nie będzie wykryte, wobec chaosu panującego w niemieckiej administracji wojskowej.

Dni mijały, przynosząc coraz to nowe komplikacje. Koło 10 lutego rozpoczęła się gwałtowna odwilż. Nie tylko okazały się zbyt ciężkie zakupione wołoki, ale wyrosła naprawdę poważna trudność: lód na Wili. W rejonie Wilczej Łapy lód ten był twardy, lity i widać było, że jakiś czas potrzyma lecz koło Trynopolu, w środku rzeki ział czarną pustką szeroki pas niezamarzniętej wody, na którym w jednym tylko miejscu istniało przejście, stworzone sztucznie przez zatrzymanie kry liną. Teraz to pasmo lodu, nie szersze przy jednym brzegu niż 20 m., było atakowane z szumem przez podnoszącą się wodę, rozmywane przez padające deszcze. Gdyby ta droga została zamknięta, to pozostawałyby tylko mosty, bo trudno było marzyć o zdobyciu łódki. Te, które stały na brzegach, były zasypane śniegiem i przymarznięte. Most „strategiczny” na Antokolu, położony wewnątrz miasta, w rejonie koszar, był nie do użycia. Pozostawał most w Turniszkach, bardziej dostępny, ale niewątpliwie strzeżony w nocy i położony tuż koło magazynów i składów zbudowanych przed wojną dla potrzeb projektowanej w tym miejscu hydroelektrowni.

O obchodzeniu miasta od wschodu (co eliminowało zagrożenie przekraczania Wili) w ogóle strach było myśleć. Była to trasa dużo dłuższa i najeżona przeszkodami, których ominięcie wymagało gruntownego przestudiowania.



Wśród tych wahań i obaw nadszedł czwartek 11 lutego. Rozgardiasz przygotowań doszedł do szczytu, kiedy „dyrektor trasy” Kolarz, popierany usilnie przez Komarową, zażądał stanowczo białych płaszczy dla wszystkich uczestników wyprawy, a nie tylko dla czołówki. Uważał to za niezbędne ze względu na samą

robotę, a poza tym nie ręczył za niewidoczne przeprowadzenie ekspedycji podmiejskimi drogami, wśród osiedli i wiosek, a w szczególności wzdłuż obszernego terenu stacji radiowej koło wsi Wierszuliszki. Szał kupowania prześcieradeł ogarnął wszystkich. Lisica nie była w stanie wykonać całego zamówienia, wobec czego wypadło zaangażować do pracy żonę Bogumiła i Barbarę.

Krytyczny dzień 13 lutego zaczął się zamieszaniem spowodowanym głównie przez warunki atmosferyczne. Od samego rana, wśród deszczu i błota, Fostowicz ruszył na sprawdzenie rzeki i wrócił koło południa z wiadomościami raczej uspokajającymi: lód był dość mocny, mimo że znajdował się już pod wodą, która płynęła górą. Po południu wziął lekki mróz, więc można było rachować, że sytuacja nie pogorszy się w środku nocy. Lisica była gotowa i z szyciem i z aprowizacją. Kos też dobijał do końca swoich przygotowań technicznych. Na wieczór miałem jeszcze zamówiony kontakt z Edypem, który miał mi dostarczyć ostatnich informacji. Ośmiu ludzi podzielonych na 2 czwórki miało zebrać się o godzinie 7-mej wieczorem u Łucji (Janina Łukaszewicz) przy zaułku Zakretowym i w mieszkaniu Bogumiła przy ul. Wivulskiego, by stamtąd ruszyć po ostatnich przygotowaniach i po otrzymaniu ciepłego posiłku. Tam również powinny były być zdane „prawe” dokumenty, które Perlica miała natychmiast przenieść do Petroneli i pozostać tam przez noc, aby spotkać nas, przygotować jedzenie i dopilnować, by psy nie czekały przy naszym przybyciu.

Edyp, z którym widziałem się już wieczorem, nie wniósł nic nowego. Nic się nie zmieniło w stanie bunkrów, ani w rozkładzie posterunków, tylko po staremu „wielką niewiadomą” było zachowanie się warty w nocy. Tego Edyp nie mógł ustalić, uważał jednak za nieprawdopodobne, by w nocy miał się znajdować stały posterunek przy skrajnych bunkrach. Raczej trzeba się było liczyć ze spotkaniem z posterunkiem ruchomym wzdłuż kolejki wąskotorowej, przy której bunkry były rozmieszczone. Jak często ten posterunek przechodzi swoją trasę, kiedy się zmienia, z ilu ludzi się składa — tego wszystkiego nie można było przewidzieć. Jeszcze raz Edyp wyłożył mi cały plan sytuacyjny i wyliczył zawartość 8 skrzyń w bunkrze nr 13. Wszystko to zresztą umiałem już przedtem na pamięć i nosiłem pod powiekami.



Kiedy po godzinie wychodziliśmy z zacisznego mieszkania Bogumiła, spod kręgu lampy nad okrągłym stołem, przy którym jedliśmy kolację, przedwojenną kolację przygotowaną i pięknie

podaną przez „firmę Jadwiga” — księżyc był już wysoko i zlewał potoki światła z prawie bezchmurnego nieba. Wziął lekki mróz, który chrząścił pod stopami bryzgami ściętego błota i lodu, pokrywającego cienką warstwą kałuże. Szliśmy we dwóch z Fostowiczem naprzód, za nami posuwali się Frycz i Bil. Miasto mimo wcale nie tak późnej pory było zupełnie bezludne i uśpione. Pustą ulicą Konarskiego a potem Legionową przebieraliśmy się w kierunku Wilczej Łapy.

W miarę, jak wychodziliśmy za miasto, ogarniało mnie coraz większe zwątpienie. Wszystko jakby zmówiło się przeciwko nam: księżyc, bezchmurne niebo, odwilż a teraz znów mróz. Każdy nasz krok był widzialny i słyszalny z dużej odległości. Pól i pagórków nie pokrywała już jednolita biel śniegu, bo kilkodniowa odwilż wyżyłobiła na nich obszerne pasy i plamy czarnej halizny gołego gruntu. W tych warunkach białe płaszcze traciły swój sens, bo, o ile chroniły nas na śniegu, o tyle demaskowały na tle ciemnej ziemi. Ale nade wszystko deprymował mnie nieustanny chrząst, trzask, łomot rozlegający się w ciszy nocnej za każdym stąpieniem buta.

Czemu nie cofnąłem się wtedy? Czemu nie odłożyłem wyprawy o tydzień lub dwa, tak, by się doczekać bezksiężycowych nocy, nowego śniegu? Żaden poważny wzgląd nie sprzeciwiał się takiej decyzji. Jednak coś parło mnie, żeby iść natychmiast, zrywałem się na każdą myśl o zwłoce. Było to owo wyrobione podczas wojny nerwowe przekonanie, że każda sposobność, jeżeli nie zostanie wyzyskana natychmiast — jest stracona bezpowrotnie. Czy można odkładać o dwa tygodnie to, co zająć się o układ stosunków i warunków, obowiązujący tylko w danej chwili? Jakaś drobna zmiana, wycofanie warty litewskiej, opróżnienie bunkra, zamknięcie go na kłódkę, przeniesienie Edypa z Burbiszek do innych magazynów — to wszystko mogło wysadzić nas z siodła i pozostawić na lodzie w żalonym poczuciu przegapionej sposobności, na pastwę rozważań zaczynających się od słowa „gdyby”. Skoro się już wyszło spod kręgu lampy nad biało nakrytym stołem, z pistoletem w kieszeni i z płaszczem śniegowym zwiniętym za pasem — to trzeba iść.

Dobrnęliśmy do dobrze znanego przejazdu kolejowego z białym budynkiem dróżnika i złym psem na podwórzu. Trzeba go było obejść z daleka i przeskoczyć przez tor. Dalej droga szła po polu, dnem podłużnej doliny, by wejść w stromy wąwóz prowadzący na górę. Po lewej stronie widniało zbocze pagórka porośnięte lasem i upstrzone wielkimi, ciemnymi plamami na miejscach, gdzie śnieg stajał. Tam mieliśmy się spotkać z drugą

czwórka, prowadzoną przez Komarową i Kolarza, która startowała nieco później z meliny Łucji.

Przywarowaliśmy nieruchomo na jednej z ciemnych plam. Bil nałożył biały płaszcz i ruszył na próbę na drugą stronę dolinki. W bardzo niedalekiej odległości znikł nam z oczu, roztapiając się w białości śniegu, ale każdy jego krok słychać było z największą wyrazistością. Księżyc chwilami chował się za chmurki i wtedy widoczność zmniejszała się znacznie.

Koło 10-tej kilka postaci zamajaczyło od strony toru — to zjawiali się tamci. Kiedy zbliżyli się nos w nos, nastąpiło wzruszające spotkanie Frycza i Szumbury. Okazało się, że ci dwaj serdeczni koledzy szkolni i towarzysze sportowi, spotykający się wciąż w mieście, od pewnego czasu napastowali siebie wzajemnie żądaniami przejścia do jednego oddziału konspiracyjnego. Obaj jednak wzbraniali się porzucić swój oddział dotychczasowy i żaden nie ustępował w tym wzajemnym przeciąganiu się. Dopiero nocne spotkanie na zboczach śniegowym wyjaśniło, że żadne przenosiny nie są tu potrzebne.

Z zawiniątek i plecaków zaczęliśmy wyciągać nasze płaszcze śniegowe. Przez kilka minut słychać było tylko szelest i łopot płócien, wydymanych przez wiatr, jak żagle. Potem powiewne zwoje materiału ułożyły się, uspokoiły i przyległy do naszych ciał. Wszystkie postacie stały się jednakowe, nikogo już nie mogłem rozpoznać, chyba tylko wielkiego Frycza i małą Komarową. Wszystkie twarze ściemniały nagle, wtłoczone między biały płaszcz z dołu i obszerny, biały kaptur, zachodzący pod daszek czapki od góry. Wciąż jeszcze trwało białe zamieszanie, ten zamieniał płaszcz z sąsiadem, inny wycinał nożem otwory, by zrobić sobie dostęp do kieszeni z pistoletem czy amunicją, tamten podwieszał plecak tak, by dał się wyjąć jednym pociągnięciem. Potem wszystko uspokoiło się i 8 białych postaci stało obok siebie, tworząc jednolitą białą plamę na ciemnym stoku pagórka.

Kiedy ustawiałem ludzi w rząd, żeby już ruszać, wciąż jeszcze chwytaly mnie nawroty zwątpienia, jak niespodziewane mdłości choroby morskiej. Czy to już naprawdę idziemy na Burbiszki? Wciąż jeszcze nie wierzyłem samemu sobie.

Ruszyliśmy. Tuż za mną szedł ze szczypcami w rękę „druziarz” Kos, który miał wyciąć przejścia w płotach. Za nim Fostowicz. Ci dwaj zostawali przy otworach, by nie dopuścić do nich wartownika, mogącego ukazać się na ścieżce prowadzącej wzdłuż ogrodzeń a także, by zlikwidować przypadkowego Litwina, jeżeli by zdarzyło się takiemu wracać z miasta tą samą drogą, którą my teraz dochodziliśmy do Burbiszek. Dalej osłona przednia —

Frycz i Bil. Za nimi trzech pozostałych — ostatni Szumbura z naganem.

Wąska ścieżka, podchodząca ostro do góry dnem wąwozu, stanowiła ścięty nagłym mrozem ściek wody. Lodowa równia pochyła lśniła w świetle księżyca, wyginając się w lekkie nierówności fal, które napływając z góry i rozlewając się po dolnych warstwach lodu, zostały ścięte przez mróz. Raz wraz ktoś potykał się i walił butami o lód, łapiąc równowagę. Tuż na lewo, na górze czerniał samotny dom, który, tak jak dawniej, zdawał się być bezludny i nie reagował szczeniem psów na nasze kroki.

Byliśmy na górze. Jeszcze jedna chata po lewej, również samotna i obumarta. Z drogi łagodnie odchodzi ścieżka na prawo i wsiąka w krzaki. Widać, że zaledwo kilka par nóg przeszło po niej podczas odwilży, ślady są zatarte i rozlane. W lesie jest lepiej: śnieg chrzęści, ale nie ma już tego szklanego dźwięku lodu łamanego przez każde stąpienie buta.

I oto szliśmy. Lekkim, posuwistym, niemal tanecznym krokiem sunęliśmy po wąskim pasemku ścieżki, jak po linie zawieszonyj poza rzeczywistością. Czasem ręka wysunęła się naprzód, by odgarnąć gałąź zagrządzającą drogę i przekazać ją ostrożnie do tyłu. Raz i drugi wszystko zamierało w bezruchu, aby wsłuchać się w lekki szum drzew nad głowami, w zamierające szelesty na szczytach świerków.

Sunęliśmy dalej. Ścieżka łagodnym łukiem skierowała się w prawo, zarośla odeszły na boki, dając więcej wolnej przestrzeni. Znów podniosłem oczy od śladów, po których stąpaliśmy i zatrzymałem się — za mną zamarł korowód białych postaci.

Byliśmy na miejscu. Rzeczywistość znana dotychczas z opisów Edypa, przetwarzana tylokrotnie w wyobraźni, ukazała się mi oto w swojej poetycznej, balladowej postaci: łagodny zakręt ścieżki wyłonił przed nami krajobraz księżycowy, którego urokowi nie mogłem oprzeć się nawet w tej chwili tak pełnej napięcia. Dolina osłonięta łagodnymi stokami, zarośniętymi lasem, była zaciszna, wypełniona bielą śniegu, zalana zielenią światła księżycowego. Na jej dnie widniały jakieś poetyczne budowle. Wprost nie do wiary było, że za chwilę w ten spokój i w ten blask mogą paść strzały. Osiem par oczu sondowało chciwie krajobraz księżycowy. A tam w głębi dalej panowała cisza.

Lecz oto poetyckość odczuwań splatała się już z realnością. O kilkadziesiąt metrów przed nami, na stoku doliny rysowały się twardo dwie równoległe linie płotów z drutu kolczastego. Ten najbliższy budynek tuż za nami — to szesnastka. Na lewo od niego nasyp kolejki wąskotorowej, zakończony czarną belką zde-

rzaka. Widać na skarpie ślady nóg schodzących do płotu. Dalej w głębi dwa następne bunkry. Tak, wszystko się zgadza.

Jeszcze kilkadziesiąt, jeszcze kilkanaście metrów. Śnieg chrzęści. Znów zatrzymujemy się. Stoimy przed drutami. Sekundy płyną, ale nic nie przerywa wielkiej, otaczającej nas ciszy.

„Tnij!” — rzucam półgłosem za siebie.

Ostrożnie, żeby nie porobić zbyt wielu śladów poza ścieżką, Kos otarł się o mnie i ruszył do płotu. Za nim przecisnął się barczysty Fostowicz z ciemną plamą colta w ręku. W ciszy rozległo się delikatne, metalowe brzęknięcie — to odezwał się pierwszy przecięty drut. Po kilkunastu sekundach Kos był już za ogrodzeniem, w przestrzeni międzypłotowej.

Zawinąłem poły płaszcza i przerzuciłem się przez wygodny, duży otwór wycięty w drutach. Tuż za mną wsunęła się wielka postać Frycza. Następni stali w rzędzie i przytrzymując płaszcze rękami czekali na swoją kolej.

Kos był już przy płocie wewnętrznym, szczerkanie jego nożyc sypało się jak groch. Po chwili zaczął szybkimi ruchami rąk odginać przecięte druty i usunął się na bok, robiąc mi przejście.

Byliśmy wewnątrz ogrodzeń. O kilka kroków wznosiła się stroma skarpa nasypu kolejki. Wdrapałem się na nią i przystanąłem w cieniu budynku obok. Pięć białych postaci stało za mną bezszelestnie i widmowo. Fostowicz i Kos pozostali na dole na swoich posterunkach.

Sytuacja nie pozostawiała wątpliwości. Po lewej stronie zderzak końcowy kolejki i dalej tor z niewidocznymi pod śniegiem szynami. Po prawej szary budynek. Skoczyłem do drzwi, by z ulgą zobaczyć na nich to, czego oczekiwałem: tabliczka z „16”. Teraz prosto ścieżką. Na prawo w głębi dwa bunkry „15” i „14”. Przed nami o 100 metrów majaczy już nasz docelowy budynek. O kilkanaście metrów na prawo zostaje ciemna cembrowina zbiornika pożarowego, o którym mówił Edyp. Ścieżka jest szeroka, wydeptana, śnieg prawie nie chrzęści. Lufa browninga zatacza delikatne łuki w takt ostrożnych kroków.

Już stoimy przed naszym bunkrem. Szybko do drzwi zobaczyć, który numer. Jest „13”! Drzwi zamknięte na zasuwę ze skoblem. Kłódki nie ma! Teraz tylko ustawić ubezpieczenie i do roboty. Frycz i Bil ze mną, reszta czekać. Zza łagodnego zakrętu ścieżki wyłoniła się szara bryła następnego bunkra, wmontowanego w stromy stok wzgórza. Dwie białe postacie skoczyły tam i wtopiły się w biel śniegu.

Teraz do roboty, teraz szybko do roboty. Zasuwa zgrzytnęła, drzwi szarpnięte za skobel otworzyły się. Drzwi mocne, dwudzielne, obite blachą żelazną, otwierane na zewnątrz. Za nimi

drugie drzwi drewniane. Za nimi ciemne wnętrze. Komarowa, latarkę! Ostrożnie, bo okna u góry.

Przyćmione światło wydobywa z mroku stosy skrzyń po lewej stronie ciemnego wnętrza. Tak, wszystko się zgadza. Pod samym oknem 3 ażurowe skrzynie z solidnych desek, w których widać po 6 sztuk min mniejszych — są zielone, walcowate, wielkości sporego garnka. Dalej 8 skrzyń po 2 duże miny w każdej. Te mają rozmiar niewielkiego kotła. Dalej 3 skrzynie duże ustawione jedna na drugiej. Tylko zdjąć wieko i odwalić najzmudniejszą robotę: pakować do plecaka ładunki 200 gramowe.

Oto są. Pod warstwą wiórków drewnianych leżą rzędami spokojne, łagodne, banalne, jak kawałki mydła, nieświadome swej siły, nie wiedzące, że stanowią dla mnie pasję życia, treść wielomiesięcznych namysłów, kalkulacji, zawodów, nadziei. Chciwie chwytają je szybkie ręce, chciwie połyka je ciemne wnętrze worka.

Dość. Widać już wyłożone elastyczną tekturą dno skrzyni. Wiórki na miejsce, wieko na miejsce. Teraz do stojącej na ziemi skrzyni, do tej, w której są „walizki”.

W błysku latarek oko chwytą dobrze znany kształt. Dwa plecaki napełniają się ich kanciastymi bryłami. Są również ładunki jednokilowe, również w blaszanym opakowaniu.

Koniec. Zawiazywać plecaki. Nie zapomnieć o dwóch szpulach lontu wybuchowego z ostatniej skrzyni. Jeszcze jeden rzut oka, czy wszystko w porządku. Zedrzeć i zabrać kartki z wykazami materiałów, przybite na każdym stosie skrzyń. Szumbura, wyrzucaj plecaki na zewnątrz! Kolarz, bierz ze mną plecaki! Komarowa, świeć, świeć!

Skrzynia jest ciężka i nie ma uchwytów — trzeba ją wytoczyć raczej, niż wynieść na platformę przed wejściem. Ostatni błysk latarki i pchnięte żelazne odrzwia zatraskują się z hałasem. Stop, poła mego białego płaszcza tkwi przycięta w drzwiach, otworzyć jeszcze raz!

Drzwi zamknięte, zasuwą na miejscu, skobel założony. Cichy gwizd i dwie białe postacie wydzielają się z tła śniegu. Potężny Frycz i mały Bil podnoszą skrzynię. Odjazd.

Plecaki nie są ciężkie, ale skrzynia daje się we znaki. Jest niewygodna w niesieniu, coraz to trzeba zatrzymywać się i poprawiać. Odpycham Bila i zajmuję jego miejsce, oddając mu swój plecak. Ze skarpy trzeba ostrożnie, żeby nie porobić zbyt wielu śladów. Mimo wysiłków skrzynia pada na ziemię. Unosimy się znowu. Frycz wsuwa się w otwór w płocie. Widzę, jak druty kolczaste masakrują mu biały płaszcz na plecach, pasy płótna zostają na kolcach. Ja przesuwam się z wysiłkiem i brnie-

my do następnego płotu. Skrzynia znów pada w śnieg — przewalamy ją przez druty na drugą stronę. Jeszcze kilkadziesiąt metrów, byle tylko do zakrętu, byle nie być w polu widzenia wartownika, który może się ukazać.

Skrzynia znów leży w śniegu na ścieżce, nie mam siły jej podnieść. Z wściekłością oddzieram wieko. Frycz pakuje w swój ogromny plecak trzy miny, resztę zabierają inni i znikają za zakrętem. Mają siedzieć w naszej bazie wypadkowej u wejścia do wąwozu. Ja zostaję i czekam, aż Kos i Fostowicz załatają druty. Znów robi się cicho i biało. Księżyc świeci.



Na dole było zacisznie. Wiatr ustał, zaczynało się chmurzyć. Na ciemnym zboczu wzgórza znów wyrosła białą plamą imitacja śniegu — naszych osiem skupionych postaci. W odprężonej ciszy odbywało się przygotowanie do drogi — równomierne rozkładanie ładunku po plecakach, ładowanie min na saneczki. Trzeba było ruszać.

Czekało nas kilkanaście kilometrów drogi, w tym dwukrotne przekroczenie Wilii po wątpliwym lodzie. Księżyc miał zająć za parę godzin. Trzeba się było przygotować na brnięcie z ładunkiem po śniegu, błocie i w ciemności. W żadnym razie nie można sobie było pozwolić na wejście do Petroneli później, niż przed świtem. Należało się śpieszyć.

Lecz zanim plama śniegowa wydłużyła się w białego węża na drodze, czujny Kolarz zauważył coś na ścieżce. Dwóch ludzi ukazało się od strony przejazdu kolejowego. Biała plama znieruchomiła. W świetle księżycowym dwie postacie w długich płaszczach odcinały się wyraźnie na śniegu. Dróżka prowadziła o kilkanaście metrów od nas, u podnóża zbocza. O tej porze mogli to być tylko wracający z wagarów wartownicy burbiscy.

Postacie zbliżyły się. Obaj byli bez karabinów, to grunt. Jeszcze chwila i przedefilowali dołem, pod lufami naszych pistoletów. Doszły nas pojedyncze słowa litewskiej rozmowy.

Mieliśmy szczęście — i my, i oni. Kilka minut wcześniej, lub parę chwil później a spotkanie na drodze skończyłoby się dla nich zapewne śmiercią, a dla nas fatalną komplikacją w dotychczasowej „czystej robocie”. A tak rozstaliśmy się, nie mącąc sobie wzajemnie wody.

Ruszyliśmy objuczeni, jak muły. Przez przejazd kolejowy koło białego budynku poszło gładko, ale dalej, na wertepach musieliśmy stanąć. Saneczki okazały się do niczego, co chwila wywracały się. Nie pozostało nic innego, jak wyszukać dołek zasypany śnie-

giem i schować w nim miny. Odciążeni ruszyliśmy lekko. Wciąż jeszcze byliśmy na trasie, na której można się było obawiać ponownego spotkania z wracającymi wartownikami.

Ale oto wertepowy teren wzgórz Ponarskich przechodził w płaską dolinę Wilii. Pochłonęła nas biel śniegu na szerokich polach, schodzących ku rzece. Przed nami majaczyła fabryczna osada Dolna, którą mijaliśmy szerokim łukiem. Szło się lekko, szło się wesoło, zapadając od czasu do czasu w zdradliwe rowy, górą zawiane śniegiem a dołem pełne wody. Szosa ponarska pusta i cicha, pozostała za nami. Wśród śmiechu i bryzgów śniegu zjechaliśmy na łeb na szyję ze stromego brzegu rzeki nad sam lód.

Na lodzie wierzchem pobłyskiwała woda, ale przejście, sprawdzone za dnia i podmarznięte w ciągu nocy, trzymało mocno. Drugi brzeg rzeki, wysoki ciemny, zalesiony — wyciągał ku nam ramiona swoich wielkich drzew.

„Bóg mi powierzył honor Polaków” — zawołał Kos i skoczył na lód, w wodę, która nie sięgała mu nawet do kostek.

Od rzeki rozpoczynał się odcinek Kolarza. Od rzeki też zaczynało się poczucie zupełnego bezpieczeństwa. To uczucie (może niezbyt umotywowane) oderwania się od wszelkiej pogoni, zatarcia wszelkich śladów, powstawało zawsze, gdy w jakiś sposób udało się odskoczyć za wodę. Wilia, najmilsza z rzek, była nam tarczą w walce.

Na drugim brzegu wyprawa przestała być „czynem zbrojnym” a stała się wycieczką. Gdyby nie pośpiech i bądź co bądź, ciężki ładunek — stałaby się spacerem, ślicznym nocnym spacerem, tak nowym dla nas, od lat już zamykanym przez wrogie okupacje na noc w miejskich domach. Wesoło i przytulnie szło się drózkami Kolarza, kunsztowną trasą omijającą wszelkie zabudowania tak, że podmiejski teren robił wrażenie zupełnie bezludnego. Uśmiechnięty Frycz dźwigał „podwójną porcję” w swoim wielkim plecaku. Kos w rozrzuconym nonszalancko białym płaszczu („Kos, nie chodź z gołym brzuchem”) widoczny był z daleka. Komarowa szafowała z torby świninę, na której widok i smak myśl moja ulatywała ku Lisicy, w tej chwili zapewne słodko uśpionej. Ściemniało, księżyc zaszedł, gwiazdy znikły za chmurami i z niskiego nieba zaczęła padać na nasze ślady upragniona substancja, cenna, jak manna dla Izraelitów: śnieg.

W przerwach pomiędzy laskami majaczyła w dole, za rzeką, ciemna masa Wilna. Szliśmy przecie samymi skrajami miasta, prawie po linii przedmieść. Ten teren, te wzgórza, ta gwiazda głównych dróg rozchodzących się z miasta — do Sałat, do Zameczka, trakt Suderwiański, szosa Wiłkomierska — to bieliała

się uśpiona w zimowym śnie nasza najbliższa Ojczyzna. Wszyscy byliśmy, jeżeli nie urodzeni w Wilnie (tak jak ja), to tu wychowani i wyrośnięci.

Teraz przemierzaliśmy naszą najbliższą, sto razy schodzoną Ojczyznę, na nowo, zupełnie na nowo.

Pedantyczny Kolarz doszedł do wyznaczonego skrzyżowania dróg koło folw. Karolinka — i zatrzymał się. Dalszy odcinek obejmował drugi „dyrektor trasy” — Fostowicz. Za szosą Wiłkołmierską zaczynały się znów zawalone śniegiem bezdroża. W pewnej chwili ścieżka zamieniła się w szeroki strumień płynącej wody. Odbiliśmy w bok, brnąc po kolana w śniegu po jakichś pagórkach i laskach. Fostowicz padając rozkrwawił sobie rękę — okazało się potem, że miał pęknięty palec. Ciężko dysząc omijaliśmy polami rozbrzmiewającą szczekaniem psów wieś Nowosiółki.

Znów przegradzała nam drogę dolina Wilii, od której trasa oddaliła się poprzednio o parę kilometrów. Spadzista, leśna droga prowadziła nad rzekę. Jasne wieże kościoła Trynopolskiego zamajaczyły na prawo. Za nimi szeroka, czarna wstęga płynącej wody, okolona po bokach białymi pasami lodu. Czy trzyma się jeszcze 20-metrowy przesmyk, prowadzący na drugą stronę? Od tego zależy ostateczne wykończenie wyprawy.

Jest. Trzyma się. Lód jest popękany i odstaje od brzegu, trzeba wchodzić nań po położonych deskach. Woda szumi na środku rzeki, nurkując pod spękane tafle, ale przejście jest możliwe. Ostrożnie, pojedynczo przesuwamy się na drugi brzeg po białym paśmie, przysypanym równiutko świeżym opadem.

Jeszcze tylko kilkaset metrów. Biel śniegu pochłania nas i prowadzi przez pola ku zabudowaniom meliny, gdzie czeka roześmiana twarz Perlicy, bystre spojrzenie sióstr Petroneli i Innocenty, mocne „prawe” dokumenty, piec napalony, zapraszający do suszenia mokrych butów i wielki sagan gorącej zupy.

WIOSNA 1943

Staliśmy na nogi a zarazem na pewien czas spoczęliśmy na laurach. Debiut Bazy w Okręgu wypadł należycie — to dawało przyjemne poczucie wartości własnej i pewnej niezależności. Napisałem do Sława lakoniczny raport, do którego dołączyłem rachunek za każdą kupioną podczas przygotowań sztukę płótna, czy kawałek słoniny, natomiast nie podałem w nim całkowitej ilości zdobytego trotylu, sądząc, że roztropniej będzie posiadać, pewien fundusz dyspozycyjny. Brona przyjechał po kilku dniach z Warszawy i został nie bez satysfakcji powiadomiony przez Fostowicza o wyniku. Nikt z „góry” do końca nic nie wiedział o naszych zamierzeniach. Zdziwienie. Słowa uznania.

W międzyczasie nowe tarapaty: odwilż, która już poprzednio psuła nam szyki, teraz znów poplątała wszystko. Po kilku dniach miny schowane za Wilczą Łapą wylazły na wierzch z topniejącego śniegu, jak przebiśniegi na wiosnę. Trzeba je było na gwałt przenosić do prowizorycznej meliny, skąd pojechały, podobnie jak pierwszy transport, do Petroneli.

Kolarz i Fostowicz spędzili tam noc 16/17 lutego na gruntownym melinowaniu naszych skarbów. Wszystko zostało zapakowane z całą pedanterią, w specjalnych metalowych pudłach. Rano obaj pedanci ruszyli do miasta, a dosłownie w godzinę po ich odejściu u Petroneli zjawili się kilku agentów litewskiej policji kryminalnej, którzy przeprowadzili rewizję w całym obejściu. Nie chodziło im o te artykuły, które zostały właśnie ukryte, a o sprawy spekulacyjne, lecz to w niczym nie zmieniało groźnej sytuacji. Siostry Petronela i Innocenta wydały z siebie siedem zimnych potów śmiertelnych w ciągu tych kilku godzin. Ogromne zasługi położyła suka Aza, która zachowywała się tak wojowniczo, że

nie dopuściła Litwinów do swojej budy, w której się mieścił rozebrany karabin maszynowy, ten sam, który przed paru miesiącami przechodził tarapaty w melinie Kosa. Po zlikwidowaniu Wachlarza nie został wysłany na północ. Obecnie służył do bieżącego szkolenia.

Wypadło uznać na pewien czas Petronełę za spaloną. Przez parę dni pozostałe miny z Wilczej Łapy wędrowały po mieście, przewożone dorożkami ze sporym ryzykiem.



Sens naszych poczynań mógł być zakwestionowany również w innych sprawach i to sprawach większej wagi. Dorwaliśmy się wreszcie do materiału. Trzymaliśmy w rękach 120 kg doskonałego niemieckiego trotylu. Z dumą obliczałem sobie, że wystarczy to na 20 suto wyposażonych wypraw na tor. Zdawałoby się, że nic nie powstrzyma nas teraz, by pohasać sobie po pięciu liniach kolejowych, tworzących węzeł wileński.

Jednakże sens militarny takiego pohasania wydawał się wątpliwy. Sytuacja wojenna była już inna niż latem i jesienią, kiedy armie niemieckie parły niepowstrzymanie nad Wołgę i na Kaukaz. Teraz byliśmy w epoce Stalingradu. Nastąpiło wyrównanie sił a nawet zarysowała się już pewna przewaga bolszewicka. Jaki był sens naszego udziału w tej walce? Każdy z nas, Polaków — bał się jak siedmiu plag egipskich powrotu reżymu sowieckiego. W tej sprawie byliśmy zgodni, jeżeli nie z oficjalną linią polityczną, to z faktycznymi intencjami naszego rządu w Londynie. W naszym rozumieniu prawdziwy stosunek Anglii i Ameryki do rozgrywających się właśnie zapasów niemiecko-sowieckich, streszczał popularny dwuwiersz:

*„Ja za wodą, ty za wodą,
A te byki niech się bodą”.*

W tych warunkach głos rozsądku górował we mnie nad wybuchami temperamentu, tak że nie zwracałem się nawet do Komendy Okręgu o pozwolenie na energiczną kampanię kolejową. Niech sobie trotyl leży zamelinowany w skrzyniach u Petroneli i czeka wyraźniejszej koniunktury politycznej. Naszym zadaniem jest przede wszystkim zdobycie porządnej broni. Nie można przecie daleko zajechać na tych kilku pistoletach, stanowiących dotychczasowe uzbrojenie Bazy. Należało szukać robót łatwych

i intratnych, a unikać póki co reprezentacyjnych imprez, przynoszących wiele chwały, ale żadnych zysków materialnych.



Nasze parotygodniowe odprężenie przerwał Brona. Wrócił właśnie z Warszawy i zaraz poczuł zwierzyinę. Na stacji towarowej w Wilnie stał przez dłuższy czas pociąg techniczny (tzw. *Bauzug*), z którym w jakiś nieznany mi sposób Brona był związany. Stąd wynikł projekt włamania do wagonu stanowiącego magazyn, dla zdobycia mundurów kolejowych, których Brona potrzebował, jako że jego ówczesna działalność wciąż zawadzała o kolej. Drugi specjalista od transportu — Podróżnik — również był tu zainteresowany. Prócz tego do ekipy zostali zaangażowani Fostowicz, Kos i Szumbura. Włamanie zostało przeprowadzone w nocy 3/4 marca 1943. Bohaterem jego okazał się Kos, którego w ciągu tej ciężkiej, całonocnej roboty, nie opuszczał humor, podlany zimną krwią. Wydając z głębi wnętrza swoje widmowe chrzęszczenie, godne wilde'owskiego ducha z Cantervilu, wspinał się do okna wagonu, a ponieważ szyba nie chciała poddać się działaniu zwykłych środków stosowanych w takich wypadkach — wywalił ją po prostu siekierą z brząkiem zdolnym, zdawałoby się, zagłuszyć orkiestrę wojskową.

Kiedy w parę tygodni potem Brona i Podróżnik ruszali do Warszawy — ich czarne mundury z granatowymi kołnierzami i złotymi orłami na czapkach, budziły należyty szacunek wszędzie, gdzie się pokazały.

Brona od czasu zlikwidowania O V, czyli od grudnia, grał w Warszawie ku Wilnu, ale wciąż krążył między Warszawą, Dyneburgiem, jakimiś innymi, tajemniczymi miejscowościami, pędzony w różne strony przez nadmiar inicjatywy, wlokący za sobą smugę konspiracyjnej sławy, zdobytej nad Dźwiną. Teraz zasiadł w Wilnie i prowadził jakieś rozmowy z Komendą Okręgu, o których wiedziałem tyle, że ma zostać naszym dowódcą. Do tej pory rzecz ta nie była ściśle uregulowana — po włączeniu Bazy do Okręgu w sprawach służbowych komunikowałem się ze Stefanem, znanym mi jeszcze z czasów Wachlarza, i ze Sławem. W końcu marca zostałem oficjalnie powiadomiony, że Baza została włączona do nowoutworzonego oddziału, przeznaczonego do specjalnych akcji bojowych, i noszącego nazwę Odvodu Komendanta Okręgu. Wyglądało to nieco bombastycznie wobec nader skromnego stanu naszego uzbrojenia.

Dowiedziałem się również, że obok nas wchodzi tu również tzw. Egzekutywa, czyli specjalna jednostka, wykonująca wyroki śmierci, wydane przez polski sąd konspiracyjny. Dowódcą tej nowej, obiecującej jednostki został Brona.

Od tej pory siedział w Wilnie prawie stale i po staremu nie mieścił się we własnej skórze. Nie był z rasy wielkich organizatorów, ani nie imponował mi jako umysłowość. Działał na ludzi, roztaczając przed nimi patetyczne widowisko swojej odwagi i przelewającej się przez brzegi energii życiowej. Kiedy nocą, przebrany w mundur niemiecki, buszował po gmachu Dyrekcji Kolejowej, dobierając się do składu broni, kiedy na ulicy w śródmieściu strzelał do agentki Gestapo Wyleżyńskiej, kiedy w pociągu panoszył się, wymyślając frontowym podoficerom łamaną niemczyzną, przetykaną angielskimi wyrazami i wyrzucając ich z zajętego przez siebie przedziału — wtedy właśnie tworzył swój „rząd dusz” nad ludźmi. Fostowicz, górujący nad nim intelektualnie, był mu ślepo oddany. Podróżnik miękkł jak wosk w jego rękę. Ci dwaj, ubrani w zdobyte w *Bauzug*'u niemieckie mundury, z pistoletami w kaburach, gotowi byli jechać z nim choćby do Berlina i przywieźć stamtąd nawet armatę. Zresztą my wszyscy, którzyśmy się z nim stykali — byliśmy w niego zapatrzeni. Delikatnie, bez żadnego nacisku, wyrażone życzenie Brony było spełniane za skwapliwością, szło w pierwszej kolejności przed wszelkimi innymi sprawami.

A przy tym wszystkim był to człowiek, w którym wyczuwało się jakąś szczególną miękkość dostosowywania się do sytuacji, pewną elastyczność przy forsowaniu przeszkód. Nie było w nim nic z rygoryzmu oficera zawodowego. Nieraz zastanawiałem się i starałem się podchwycić, kim był z pochodzenia i z zawodu ten fascynujący człowiek. Jakie środowisko wydało tę pyszną figurę, spadłą na grunt wileński? Jego elastyczna siła chwytu, z jaką łapał drapieżnie za gardło każdą nadpływającą sposobność, miała w sobie coś z Pochronia. W olśniewających podróżach, w błyskawicznym przerzucaniu się od Krakowa po Dyneburg, w żonglowaniu taliami fałszywych dokumentów, którymi miał wypełnione kieszenie — czuć było żywotność rozsadzającą go od wewnątrz. Różnorodność tych dokumentów sprawiała, że przez pewien czas podejrzewałem, iż ich okaziciel, oprócz polskiej dywersji, macza jeszcze palce w wywiadzie angielskim.

Bliskie współzycie mego zastępcy Fostowicza z Broną sprawiało, że łączność tak zazwyczaj trudna w warunkach konspiracyjnych — funkcjonowała znakomicie. Brona przez cały czas był „wgryziony” w Bazę. Spokojny, zrównoważony Fostowicz

o ostrożnej umysłowości naukowca, stał się jego nieocenionym współpracownikiem, tak jak od dawna był moim.



Po zgwałceniu *Bauzug*'u spokój trwał krótko — sprawy goniły jedna drugą. Koło 20 marca rozpoczęły się nowe, intensywne przygotowania: Edyp ponownie podniósł sprawę Burbiszek. Po włamaniu przez pierwszych kilka dni panowała tam cisza, po czym zniknięcie materiałów zostało wykryte, sprawa oparła się o Gestapo i, zgodnie z przewidywaniami Edypa, została przypisana Litwinom. Zdarzały się akurat jakieś wypadki dezercji z ochronnego oddziału litewskiego, wypłynęła jakaś inna sprawa kradzieży amunicji pistoletowej — dość tego, że Żydzi zostali odciążeni. Gruby kapitan, komendant parku stwierdził w Gestapo, że nie należy podejrzewać nikogo z robotników. Jednocześnie jednak nie wycofano warty litewskiej, a tylko zmieniono część żołnierzy. Trudno było o bardziej jaskrawy wskaźnik, do jakiego stopnia brakuje Niemcom ludzi.

Sprawa powtórzenia włamania do Burbiszek wyglądała w tych warunkach dość realnie. Rzecz wymagała pośpiechu, zanosilo się na rychłą likwidację tego obiektu jako parku amunicyjnego. W końcu marca większość bunkrów i magazynów opróżniono. Żydzi ładowali forsownie wielkie ilości amunicji karabinowej i armatniej do wagonów, które odchodziły gdzieś na wschód. Nasze 3 skrajne bunkry były dotąd nienaruszone, ale likwidacja ich wisiała na włosku.

Mimo tak palącej sytuacji nie mogłem wyznaczyć terminu wyprawy wcześniej, niż na sobotę 10 kwietnia. Tym razem rzecz wymagała innej techniki, niż w lutym, kiedy były szanse rozejścia się sprawy po kościach lub obciążenia nią obcego konta. Wszystkie bunkry były teraz zamknięte na mocne kłódki, których zerwanie zostawiłoby ślady. Zarówno likwidacja składów, jak i zostawienie tych śladów zamykało nam definitywnie drogę do dalszej eksploatacji Burbiszek. Opłacało się zatem robić tu wyprawę na dużą skalę, zabrać kilkaset kilogramów interesujących nas specyfików i w ten sposób „opuścić lokal trzaskając drzwiami”. Dla zabrania 500 kg (bo tyle sobie uplanowaliśmy z Broną) trzeba było 25 tęgich chłopów. Skąd wziąć podobny tłum ludzi? Baza nie mogła wystawić takiego składu. Użycie furmanki odpadało wobec trudności terenowych wycofywania się przez wzgórze Ponarskie.

Ostatecznie po krzątanii się Komarowej koło wypożyczenia ludzi z innej jednostki i zakazach Komendy Okręgu dokonywania

takich „operacji kredytowych”, po rozważaniach i wahaniach, po debatach i aprobatach, Brona, wbrew zasadom konspiracji, przydzielił do ekspedycji siebie samego i kilku ludzi z dowodzonego przez siebie innego oddziału. W ten sposób ustalono skład bojowy na 27 ludzi, nie licząc personelu pomocniczego.

Koronkowe opracowanie dojścia i odskoku tak dużego oddziału było dla nas poważną próbą sił. Jak na robotę prawie miejską, była to rzeczywiście spora ilość. Przecie jeszcze w grudniu normalny patrol ruszał na tor w sile 3 ludzi. W lutym szliśmy na Burbiszki w 8, co wynosiła niespełna 3^2 . Teraz w kwietniu $27=3^3$. To się nazywa w matematyce postęp geometryczny. Wyżywienie, uzbrojenie, meliny, dokumenty, środki opatrunkowe — od tego wszystkiego jak zwykle w takich wypadkach pękała głowa.

Oczywiście uzbrojenie nie chciało wzrastać w postępie geometrycznym. Ostateczny *ordre de bataille* zestawilem w ten sposób, że tylko ubezpieczenie miało otrzymać te kilkanaście pistoletów, które udało się nam zgromadzić. Dopiero po opanowaniu terenu miały wejść do trzech skrajnych bunkrów dalsze grupy, których zadaniem było zabranie i wyniesienie „towaru”. Ci mieli iść z gołymi rękami. Jako „królowa uzbrojenia” miała iść „pepesza” sowiecka, wypożyczona od Luxa. Szumbura i Kos pojechali po nią rowerami. Nasz własny karabin maszynowy, wtedy jeszcze nieprzestrzelany, uznałem — jakże niesłusznie — za zbyt ciężki do takiej ekspedycji.

Kardynalnym warunkiem bezpieczeństwa było szybkie odskoczenie za Wilię po robocie. Komarowa puściła w ruch swoje chody prywatne i zorganizowała dużą łódź z obsługą złożoną z 3 ludzi, która miała nas przetrzymać przez rzekę. Miejsce przeprawy zostało ustalone dość daleko, bo aż koło góry Garuńskiej. Fostowicz i Komarowa opracowali koronkowo kilkukilometrową trasę odskoku u podnóża wzgórz Ponarskich i 2 trasy pomocnicze. Kolarz, Bąk, Boboła i Fasola organizowali meliny kopane w ziemi po drugiej stronie rzeki, w bezludnych miejscach, których nie brak w tamtym głuchym zakątku, osłoniętym od głównych dróg przez kolano Wilii.

Do innych kłopotów dołączyły się gwałtowne starania o zwolnienie Grada, który został wrócony spod Leningradu ale wprost z dworca powędrował na Łukiszki. Niestety, Grad ukazał się na widowni dopiero w maju.

Przygotowania techniczne posuwały się różno, ale z innej strony wynikła przeszkoda. Wobec przystąpienia do zaatakowania Burbiszek w sposób otwarty, należało spodziewać się represji i ewakuować z getta rodzinę Edypa lub przynajmniej zaopatrzyć

ją w dokumenty aryjskie, a następnie dostarczyć jej odpowiednich melin. W naszej rozmowie na ten temat Edyp powoływał się na przykład uczonego i polityka żydowskiego Józefa Flawiusza, który podczas zburzenia Jerozolimy otrzymał od Wespazjana prawo uratowania z rzezi 40 wybranych przez siebie rodaków i wyniesienia z płonącego miasta 40 zwojów Tory. W naszym wypadku rodzina ta nie dosięgła takiej liczby, ale w każdym razie nie była mała. Przechowywanie kilkunastu Żydów w ówczesnych warunkach przekraczało nasze możliwości. Zaledwie paru ludzi wiedziało, kim jest Edyp i tylko na ich współdziałanie mogłem liczyć.

Uzgodniłem z Edypem, że dokumenty zostaną wydane tylko tym członkom jego rodziny, którzy posiadając aryjski wygląd i czystą polską wymowę, będą mogli dawać sobie radę poza gettem samodzielnie. Takich osób Edyp wyeliminował 6. Do tej liczby nie zostali włączeni nawet jego rodzice a wyjątek był zrobiony tylko dla żony, której wymowa okazała się nieposzlakowana, ale wygląd mógł budzić podejrzenia. W ten sposób z zachowaniem odpowiednich proporcji, stało się zadość analogii historycznej sprzed 19 wieków. Była ona o tyle zniekształcona, że Edyp całkowicie rezygnował ze zwojów Tory.

Dokumenty zostały zamówione w Gospodzie, lecz przez długi czas nie nadchodziły pomimo przynagleń i alarmowania z mojej strony. Wśród forsownych przygotowań zbliżał się już termin wyprawy, kiedy na 2 dni przed nim, we czwartek 8 kwietnia poczta przyniosła krótki list: Gospoda zwracała jedno z zamówień, gdyż wywiad stwierdził, że osoba przedstawiona na fotografii jest Żydówką. Obok widniała krótka decyzja Sława zawieszająca kontakt Bazy z Gospodą do czasu wyjaśnienia sprawy.

Zostaliśmy zatem zdekonspirowani. Do tej pory strzegłem zazdrośnie, by ani „dół”, ani „góra” nie mieli pojęcia o Edypie. Ale nie to było najgorsze — ostatecznie nic strasznego nie stanie się przez to, że kilku panów dowie się o chodach Bazy na Burbiszkach. Gorsze było to, że w takim momencie zostały zablokowane nie tylko dokumenty Edypa, ale i mnóstwo innych papierów, zamówionych dla ludzi w związku z wyprawą. I trudno było mieć do kogoś pretensję, bo rzeczywiście sprawa mogła robić na Gospodzie wrażenie afery w bardzo brzydkim gatunku. Afera taka musiałaby być traktowana z całą surowością.

Nie sposób było iść na wyprawę bez dokumentów, a tu Burbiszki wisały na włosku i mogły uciec każdego dnia. Nie było jednak innego wyjścia i po naradzie z Broną postanowiłem odłożyć wyprawę o tydzień. Trzeba było wśród kłątów i zamieszania demontować cały aparat tak dokładnie wyregulowany.

Ostatecznie broń pochowano, kupione mięso zjedzone, wezwani ludzie zamiejscy odjechali z powrotem na wieś. Brona ruszył w pośpiechu na znojny trud wyjaśnienia sprawy starszym panom Okręgu.

Trud okazał się nie tylko znojny, ale i jałowy. Dni mijały. Co dzień biegłem na kontakt z Edypem, by dowiedzieć się od niego z ulgą, że bunkry są jeszcze nie opróżnione, co dzień ulepszało się i kompletowało to wszystko, co poprzednio w pośpiechu było nie wykończone. Wreszcie znów minął tydzień, a dokumenty nie nadchodziły. Stało się jasne, że nie nadejdą na termin, może nie nadejdą w ogóle. Trzeba było zrozumieć, że moja współpraca z gettem jest rzeczą zbyt egzotyczną, że wyjaśnienia nie znajdują wiary, że wszystko, co się łączy z Żydami ma posmak finansowy, że Gospoda wzdryga się na myśl, że jej niebezpieczna i trudna praca może służyć komuś do nabijania sobie kieszeni.

A zarazem nie było żadnej możliwości dalszego odkładania wyprawy. Sam Edyp parł, by w tę sobotę kończyć sprawę. Wszystko było, jak nigdy poprzednio, doprowadzone do perfekcji, nad doraźną improwizacją zapanował niepodzielnie duch Fostowicza i Kolarza: przewidzieć wszystko, przemyśleć wszystko. Żeby usunąć do reszty wszelkie wątpliwości co do warty, ruszyłem z Kosem na rozpoznanie do magazynów, gdzie spędziliśmy kilka godzin nocnych. Przez cały czas przy bunkrach panowała cisza. Przy okazji obejrzelśmy kłódkę przy bunkrze nr 16, o której Edyp wyrażał się z szacunkiem, jako o bardzo mocnej. Przeprowadzone następnie próby wykazały, że nasze wielkie szczypcy biorą (choć z trudem) żelazo tej grubości.

W sobotę po południu aparat zaczął działać. Pięc punktów zbiórki w mieście wyrzuciło o wskazanej godzinie i wskazanymi drogami ludzi nakarmionych, zaopatrzonych w opatrunki, skarpety, plecaki, latarki; broń jechała różnymi drogami na miejsce przeznaczenia; przeprawa przez rzekę została obsadzona, meliny przygotowane. Wieczorem 27 ludzi znalazło się w lesie Ponarskim.

I wszystko to na próżno. Mocą szczególnej przekory losu, ta tak przygotowana, tak wypieszczona sprawa skończyła się fiaskiem. Czołówka złożona z 5 ludzi wycięła otwory w dobrze nam znanym ogrodzeniu i weszła za druty. Kiedy posuwaliśmy się cicho, jak cienie pod ścianą skrajnego bunkra, zatrzymał nas ostry ruch ręki Frycza, który swoimi przewiercającymi ciemność oczami zobaczył inne cienie. Dwie czy trzy postacie smyrgnęły o sto metrów spod trzynastki w bok, na zbocze wąwozu. To była warta.

Nastąpiło krótkie wahanie. Przez chwilę szeptaaliśmy skupieni przed budynkiem. Potem Brona wziął inicjatywę: zsunęliśmy

się ze skarpy na dół, aby pod jej osłoną posunąć się bliżej. Przebiegliśmy około 100 metrów wśród trzasku suchych badyli łamiących się nam pod nogami i wynurzyliśmy się znów na torze kolejki, całkiem już blisko przy trzynastce. Wtedy z ciemnego zbocza o 30-40 metrów przed nami zabrzmiały strzały karabinowe.

Przez beładne trzaskanie naszych pistoletów przebił się przeciągły trzask automatu. Przebrzmiał i zamilkł. Po chwili jasne było, że nasza „królowa uzbrojenia” po pierwszej serii zacięła się i nie działa. Blisko koło mnie z lewej strony błyskał miarowo sowiecki pistolet Frycza, gdzieś dalej Brona walił ze swego hiszpana. Jeszcze przez kilkanaście sekund ściany leśne odbijały echa strzelaniny. Potem naraz wszyscy razem uskoczyliśmy za skarpe. Cofaliśmy się ku płotom.

Nad ranem zmoknięci i zmęczeni siedzieliśmy z Fostowiczem i Edypem u Petroneli. Lizaliśmy swoje rany — tym razem rany duchowe, gdyż na szczęście nikt nie został poszwankowany podczas krótkiej wymiany strzałów. Czy rzeczywiście na szczęście? Może stałoby się lepiej, gdyby ktoś naprawdę dostał kulę? To byłoby przynajmniej jakimś usprawiedliwieniem naszego łatwego ustąpienia. A tak wyszliśmy z Burbiszek „ani z tarczą, ani na tarczy”.

W każdej robocie, nawet najlepiej udanej, rzucały mi się w oczy przede wszystkim jej słabe strony. Różne nie udane, drugorzędne szczegóły przesłaniały początkowo główny sukces. Teraz wszelkie te pomocnicze sprawy były doprawdy bez zarzutu — brakowało tylko głównego sukcesu.

Cała wyprawa była niewątpliwie organizacyjnie udana. Końcowa jej część — odwrót spod magazynów, odskok za Wilię, przeprawa, meliny, wyżywienie, dojście do miasta — to wszystko funkcjonowało równie dobrze, jak na początku. Zabrakło nam tylko siły do przełamania kryzysu. Oczywiście, że warunki były ciężkie. Trudno iść z pistoletami (skoro automat się zaciął) na karabiny. Do tej pory roboty wiodły się nam, gdyż udawało się je przeprowadzać — czy raczej przemycać — bez użycia broni. Jeżeli mamy być agresywni, to trzeba choćby spod ziemi wyrwać porządne uzbrojenie — przede wszystkim porządne automaty. Bez tego nie będziemy prawdziwym oddziałem bojowym. Zabrakło przy tym — co tu mówić — nie tylko broni, ale i determinacji. Zabrakło bojowego nastawienia, nie stało agresywności do walki wręcz. Te cechy trzeba było dopiero w sobie wyrobić. Obezwładniło nas niezbyt groźne widmo napełnionej Litwinami wartowni i Niemców zakwaterowanych w centralnej części magazynów. Czuliśmy się zagrożeni ogólnym alarmem, mogącym

nastąpić z minuty na minutę. Mimo to można i trzeba było forsować sprawę.

Teraz Burbiszki były przekreślone, a my przeżuwaliliśmy gorycz u Petroneli.



Ale nie był to czas na długie przeżuwanie goryczy. Brakowało nam bojowego wyrobienia, ale nie żywotności. Już po kilku dniach nadpłynęła nowa fala: Brona wezwał Bazę na inne przedsięwzięcie. Tym razem wywachał nie byle co, bo skład broni: automaty, pistolety, granaty — sam smak. Przez kilka dni i nocy nosiło go we wspaniałym mundurze po gmachu Dyrekcji Kolejowej i po okolicznych budynkach. W końcu rozpoznanie było gotowe. Dostęp łatwy: drzwi w piwnicy zamknięte na kłódkę. Tylko ciąć zamek i brać.

Znów ruszyliśmy w ostry kurs: trasy, meliny, meliny, trasy. Po paru dniach bieganiny byliśmy gotowi i znów utknęliśmy w niepowodzenie: w przeddzień przygotowanego włamania Brona dostał się do piwnicy, by sprawdzić ostatecznie jakieś szczegóły — i zastał kłódkę zdjętą, drzwi otwarte. Znów fiasko — w międzyczasie broń została przeniesiona na inne miejsce. Gwałtowne poszukiwania wykazały, że skład mieści się w gmachu Dyrekcji Kolejowej, jest trudno dostępny i dobrze strzeżony. Brona z Podróżnikiem warowali przy nim nocami przez jakiś czas, ale trudno go było ruszyć. Ze złości włamali się do innego pomieszczenia, zabierając stamtąd rower, maszynę do pisania i wielki plik kartek żywnościowych. To jednak nie zastąpiło broni, która odpłynęła bezpowrotnie.



Ale to nic, ale to wszystko nic. Brakowało nam wyrobienia bojowego, brakowało szczęścia, ale nie żywotności. Nowa fala zaczęła przybierać od dołu. Był to Frycz i Jaszuny.

Jeszcze w zimie było wiadomo, że niedaleko od stacji Jaszuny na szlaku Wilno-Lida, Niemcy urządzają wielkie składy zdobytego sowieckiego materiału wojennego. O ogólne wiadomości nie było trudno, gdyż do wyładowywania nadchodzących transportów kolejowych były używane miejscowe furmanki. W ciągu paru miesięcy przybywały duże ilości sowieckich bomb lotniczych różnych wielkości. Wszystko to składane było po prostu pod gołym niebem w lesie, między stacją kolejową a osadą Bękarty. Obszar kilku kilometrów kwadratowych lasu został ogrodzony wysokim płotem z drutu kolczastego. W głębi tej składnicy amunicyjnej mieściły się baraki, w których magazynowano inne artykuły, bar-

dziej delikatne niż bomby, a bliżej nieznanie. W nocy po całym tym kompleksie leśnym przechadzały się patrole niemieckie.

Do rozgryzienia tego zagadnienia zabrał się Frycz. W tym czasie poznałem go już dość dobrze. Podczas cięcia pod Jewjem zrobił jak najbardziej korzystne wrażenie, tak samo podczas Burbiszek I i II. Ze względu na swoją więzienną przeszłość nie chciał pokazywać się w mieście, a urządził się na wsi, pracując niedaleko Jaszun w majątku Małe Soleczniki, należącym do Stanisława Platara. Teraz wziął się do roboty i skręcał pierwsze nici tej szerokiej pajęczyny, którą potem oplótł Jaszuny.

Teraz dopiero Frycz zaczął demonstrować te swoje cechy, które potem uczyniły go niezastąpionym. Posiadał przede wszystkim rzadką zdolność orientowania się w terenie. Zmysł ten był wsparty i uzupełniony przez doprowadzoną do doskonałości umiejętność posługiwania się mapą i busolą.

Mapa była dla Frycza czymś nieodłącznym, jak biblia czy pistolet, stanowiła źródło jego natchnień. Od niej to, od sztabówki zaczynała się każda robota. To było owo podłoże, na którym pierwotna wąta myśl zyskiwała swoją pierwszą realność lub też odwrotnie zamierała, ścięta nadmiarem kilometrów, zduszona w splotach warstw. Wszyscy żyliśmy wówczas w kręgu tych kilkunastu sztabówek pokrywających ziemię Wileńską — Frycz był z nimi zrośnięty.

W ciemną, dżdżystą noc 27 kwietnia ruszyliśmy we dwóch na pierwszą wspólną wyprawę terenową. Szliśmy na wewnętrzne rozpoznanie do składów jaszunskich. Godzinami skradaliśmy się cichymi krokami w różnych kierunkach po czarnym lesie, pociętym gęstą siecią drózek, którymi dowożono bomby w różne punkty ogrodzonego terenu. Coraz to natykaliśmy się na regularne sztable drewnianych, walcowatych, ażurowych opakowań, w których matowo pobłyskiwały ciemne ciała bomb; wszystkie były jednego pokroju, ale różnych kalibrów, od kilkunastokilowego drobiazgu do potężnych tonówek.

Wśród płataniny dróg i pierwotnych i nowopowstałych, a więc nie wykazanych na mapie, ustalił się między nami ten stosunek, który potem obowiązywał stale w terenie, a który tak imponował ludziom: Frycz prowadził, ja byłem prowadzony. On coraz to kładł się na ziemi, ja okrywałem mu szczelnie ramiona i głowę płaszczem, po czym wewnątrz odbywało się hermetyczne misterium, w którym udział brali: Frycz, mapa, busola i latarka.

Łatwość realizowania — to była druga cecha Frycza, która czarowała ludzi podczas organizowania Jaszun.

Sprawy ludzkie są zazwyczaj zawiłe. Ostateczny kształt zja-

wisk i rzeczy — tak prosty, oczywisty i celowy — jest wynikiem długiego kołowania.

Frycz był uniwersyteckim kolegą Fostowicza, co bynajmniej nie wpływało na upodobnienie się tych dwóch ludzi. Spekulatywny umysł mego zastępcy dążył do ujęcia każdego opracowywanego problemu w pewien system, do rozbudowania sprawy, do przewidzenia wszelkich jej możliwości i perspektyw. Każda wyłaniająca się nowa kwestia trafiała przede wszystkim w nadstawione ramiona Fostowicza, który ogarniał ją naraz ze wszystkich stron. Ja przychodziłem już na gotową, przeżytą strawę. Jego powołaniem stało się być niezbędnym. Nie przerzucał na innych poszczególnych działów pracy — przeciwnie: garnął pod siebie wszystko, niezależnie od trudności i stopnia ryzyka. Jeżeli prosiłem go, by pomyślał nad jakimś zagadnieniem, to po paru dniach przy omawianiu sprawy olśniony byłem mnogością jej aspektów, łącznością z innymi kwestiami, wyciągnięciem wszelkich możliwych konsekwencji, które mnie nigdy nie przyszłyby na myśl. „Czyż to aż tak skomplikowane?” — zapytałem siebie w duchu z onieśmieleniem.

„Czyż to aż tak proste?” — zapytywałem siebie w duchu z nieufnością, gdy rzecz się miała z Fryczem. Zwykle okazywało się, że nieufność ta nie była usprawiedliwiona.



Pierwsza, dziewicza wyprawa jaszkańska po sowieckie bomby lotnicze, została wyznaczona na sobotę 8 maja 1943. Miał ją prowadzić oczywiście Frycz. Rzecz nie była łatwa, gdyż ludzi i kompletne uzbrojenie — w tym karabin maszynowy — trzeba było mozolnie sprowadzać z Wilna. Pierwszy raz w podobnej akcji miały być użyte furmanki — bez nich nie można było przecie myśleć o stukilówkach.

Podobnie jak poprzednio tak i tym razem termin wyprawy nie został dotrzymany. Przeszkoda zjawiała się całkiem nieoczekiwanie: zostałem aresztowany. Wieczorem dnia 4 maja wstąpiłem do mieszkania przy ul. Sierakowskiego 8, żeby zobaczyć się tam z moją znajomą Zofią Borkowską. Osoba ta, silnie zaangażowana w pracy konspiracyjnej, nie była jednak związana z Bazą, a знаła mnie prywatnie. Była to bliska krewna kapitana Kalenkiewicza. Sprowadzała mnie do Borkowskiej sprawa na wpuł prywatna: chodziło o moją pomoc w dokumentach i pieniądzech przy przetrzuceniu do Warszawy młodego człowieka nazwiskiem Świda, również krewnego Kalenkiewicza, który został zwolniony z więzienia niemieckiego w Wilnie po szczęśliwym skierowaniu

jego sprawy na tory kryminalne, czy spekulacyjne. Nie wiedziałem wówczas, że Świda, podobnie, jak Kalenkiewicz był wybitnym hubalczykiem, tj. brał czynny udział w walkach głośnego oddziału partyzanckiego mjr. Hubala w Kielecczyźnie, jesienią i zimą 1939/1940.

Orientując się tylko ogólnie co do pracy Borkowskiej i stykając się z nią rzadko, nie znałem jej pseudonimu, ani nie miałem, tak jak zwykle, umówionych znaków ostrzegawczych na mieszkaniu, na wypadek wizyty Gestapo. Wpadłem tedy w zasadzkę złożoną z kilku gestapowców litewskich, czuwających wewnątrz. Dopiero po wyjściu z więzienia dowiedziałem się, że Borkowska została aresztowana na kilka godzin przede mną i tegoż dnia odebrała sobie życie w celi więziennej.

Mnie uratowała dobrze obmyślona „legenda”, którą starałem się zawsze mieć przygotowaną, wchodząc do nielegalnego mieszkania. Pomimo innych obciążających okoliczności, związanych z Borkowską, zostałem po kilku dniach zwolniony z dobrze mi znanych jeszcze z roku ubiegłego piwnic pod gmachem Gestapo.

Przy badaniach w tym gmachu niejednokrotnie wracano do wszystkich moich krewnych ze strony ojca, zaniehbując zupełnie krewnych po kądzieli. Widać stąd było, że identyczne z moim nazwisko komendanta Okręgu generała Wilka, nie jest obce Gestapo. Okoliczność ta interesowała „pana Dziemido”, który poprzednio już uprzedził mnie ogólnie, że pozycja moja w Wilnie jest skomplikowana przez to, że noszę nazwisko jednego z czołowych oficerów Okręgu. Nie podał oczywiście, że sam jest tym oficerem.



Przygotowania jaszuńskie, wstrzymane wobec mego aresztowania, znów ruszyły. Ja nie brałem w nich udziału, gdyż po zwolnieniu z więzienia obowiązywał mnie pewien okres „siedzenia na pokucie”. Wyjechałem na wieś z tym, że zjawię się dopiero na samą robotę. Główny trud w Wilnie spadł na barki Fostowicza. Frycz, Komarowa i Kolarz doprowadzili do końca trasowanie dróg dojścia i odwrotu. Termin został przesunięty na sobotę następną 15 maja 1943 — i ten został dotrzymany.

Trzeba przyznać, że sama robota nie była tak trudna jak przygotowania do niej, prowadzone żmudnie z dala od Wilna, w zupełnie świeżym terenie. Wadą jej było to, że udało się zorganizować tylko jedną furmankę. Poza tym wszystko poszło gładko: ubezpieczenie weszło za płot kolczasty i wystawiło swój główny atut — karabin maszynowy — na przypuszczalnej drodze patrolu. Czterech ludzi zabierało bomby z upatrzonego poprzednio sztabla

i wynosiło je za płot, po czym furmanka ukryta w zaroślach uwiozła trzy zwięzłe, metalowe cielska o blaszanych ogonach, zawarte w drewnianych opakowaniach, jak w trumnach. Nad ranem karabin maszynowy stał już na wzgórku o kilka dobrych kilometrów dalej na wschód, w tzw. lesie Kiejdziowskim, a nad wykopaną, głęboką jamą Frycz i Kos, siedząc okrakiem na bombie, dobierali się do jej wnętrza przy pomocy zabranych z Wilna narzędzi. Po odjęciu półkulistej główicy od przodu, ukazała się gładka powierzchnia lanego materiału wybuchowego, z wyrobionym gniazdem na zapalnik. Każdy z nas wyciągał szyję, wysuwał rękę, by poczuć jej gładkość, by nacieszyć oczy jej żółtą barwą — barwą trotylu. Gdy słońce wzeszło, trzy trumienne futerały, wraz z ich tętniącą nadziejami zawartością, znajdowały się już w ziemi.

Jaszuny ruszyły. Pierwsza wyprawa wyglądała skromnie, ale za nią otwierały się dalekie horyzonty. Nareszcie znaleźliśmy to, co naprawdę odpowiadało potrzebom chwili. Od dawna uważałem, że powinniśmy się brać przede wszystkim za roboty łatwe a zyskowe; unikać strat, a wzbogacać się w broń i wyposażenie.

Już eksploatacja samych tylko „złóż bombowych” zapowiadała nam materiał wybuchowy w obfitości wprost nieograniczonej. Jeżeli warunki jaszuńskie nie ulegną pogorszeniu, to będziemy płynąć na wielkiej fali trotylu, fali, która pokryje nie tylko nasze potrzeby, ale rozejdzie się po całym Okręgu Wileńskim. Na domiar jaszuński „magazyn amunicyjny” nie ograniczał się do materiału wybuchowego. Frycz szybko zorganizował sobie wywiad wewnętrzny (w składach pracowało kilku Polaków), który mówił o bombach zapalających, o barakach wyładowanych amunicją. Było na co ostrzyć sobie zęby.

Z drugiej strony powstawała kwestia odpowiedniego zużycia zdobytego materiału. Bomby były dla nas gatunkiem surowca, surowca bardzo cennego, ale wymagającego przeróbki. To, co zostało zamelinowane w leśnej jamie, musiało być poddane procesowi technologicznemu, aby w formie ładunków mogło iść na tor. Przede wszystkim należało zbadać zdobyty materiał chemicznie i pirotechnicznie.

Zaczęły się tedy badania. Od razu na wstępie spotkał nas zawód: bomba 100-kilowa zawierała tylko 25 kg materiału wybuchowego, zamiast spodziewanych 70-80 kg. To podcięło skrzydła naszym aspiracjom zalania Okręgu Wileńskiego trotylem. Frycz postanowił przetrzymać się w przyszłości na większe bomby, u których stosunek wagi ładunku do wagi ogólnej jest korzystniejszy. Samo wybijanie z bomb wypełniającej je litej, lanej masy materiału wybuchowego okazało się robotą ciężką i hałaśli-

wą, a zatem trudną do wykonania w warunkach konspiracyjnych.

Strona chemiczna badań obciążała Kolarza, a oprócz tego Sław, któremu próbki zostały dostarczone, badał je u swoich chemików. Materiał okazał się mieszaniną trotylu z azotanem amonowym. Masa ta była higroskopijna i musiała być chroniona przed wilgocią.

Próby pirotechniczne materiału wykonane przez Frycza na drzewach lasów jaszuńskich, wykazały dobre jego właściwości. Siła wybuchu nie ustępowała trotylowi, a nawet go nieco przewyższała. Eksplozja dobrze sproszkowanego materiału następowała bez trudu od zwykłej spłonki.

Sprawy jaszuńskie potoczyły się teraz wartko. Wkrótce Frycz zaczął tworzyć na miejscu swój specjalny oddział, którego pierwszym zadaniem miało być eksploatowanie składów. Wszystkie te wyprawy, podobnie jak pierwsza, nie były trudne w sensie bojowym. W tym okresie Jaszuny nie były należycie strzeżone i zapuszczanie się do wnętrza ogrodzonego terenu nie stanowiło dużego niebezpieczeństwa. Jak się potem okazało, główne ryzyko wiązało się z niebezpiecznymi i uciążliwymi dojazdami uzbrojonych ludzi na wyznaczone miejsce zbiórki przed akcją i powrotami po akcji. Toteż nie wartość bojowa była głównym walorem tych wypraw. Zasługa Frycza leży w tym, że przystąpił on w pełnym tego słowa znaczeniu do eksploatacji Jaszun, wkładając w tę robotę całą właściwą mu celowość działania i zmysł realizatora. Wyprawy przestały być sporadycznymi wypadami, a stały się elementami systematycznie prowadzonej akcji. Wkrótce z bocznej, ustronnej bramy wyjazdowej do składów Frycz zdarł niemiecki zamek i zamknął ją na własną kłódkę, od której klucz nosił w kieszeni. Nie darmo mienił się „zarządzającym składów z ramienia Churchilla”.



Ale pozostawmy Jaszuny samodzielności Frycza i wróćmy do Wilna. W naszym małym, ekskluzywnym świątku, który wzrósł w międzyczasie do kilkudziesięciu ludzi, temperatura zaczynała się podnosić. Na ogół cicho było wówczas w naszym kraju. Na wielkich obszarach Wileńszczyzny i Nowogródzczyzny niewiele jeszcze można było zobaczyć z tego, co miało wybuchnąć w rok później, jako powstanie. „Wilk” z roku 1943 był dopiero wilczęciem. Osobowości Kmiciców, Szczerbców, Konarów, Łupaszaków, Jurandów tkwiły jeszcze jako potencjalne ośrodki krystalizacji w sferze Polski podziemnej. Brona był dopiero poczwarką, z której miał wyłonić się późniejszy Tońko.

Lecz my, stojący na konspiracyjnych forpocztach powstania, odczuwaliśmy tej wiosny dalekie jeszcze tchnienie pożaru. Atmosfera zagęszczała się. Na cichą powierzchnię naszego wileńskiego rojstu coraz częściej przenosiły się podziemne wstrząsy. Czasem pojedynczy strzał rozdzierał ciszę miasta — to padał trup litewskiego szpicla, polskiego prowokatora, czy donosiciela. Ktoś ginął w rozpaczliwej obronie, osaczony w mieszkaniu-zasadzce, ktoś po wyczerpaniu amunicji sam ginął od ostatniej kuli.

Jeszcze poprzednio przysłała do Wilna wiadomość o śmierci Dana w katastrofie mińskiej. Nasz dawny dowódca zginął w trakcie organizowania napadu na więzienie w Mińsku dla uwolnienia kilkudziesięciu ludzi z O IV dawnego Wachlarza, aresztowanych jeszcze w jesieni 1942. Po wykryciu przygotowań przez Gestapo, wszyscy ci więźniowie zostali rozstrzelani, a Dan otoczony w kryjówce na mieście zginął po bohaterskiej, lecz beznadziejnej obronie.

Ale w dalszym ciągu czuć było idący od strony Warszawy ten sam dech, który Dan wnosił, kiedy tak niedawno zjawiał się w Wilnie. Wokoło nas tężały formy organizacyjne życia polskiego. To, co dochodziło z „góry”, miało już coraz bardziej wykończone formy, nie było tylko doraźną improwizacją. Rzeczywistość zaczęła zarysowywać problemy łączności, dyscypliny, dowodzenia. Coraz to konkretniej Okręg stawiał mi przed oczy narzucone przez Warszawę „zadanie główne” do wykonania przy wybuchu powstania — nasz istotny cel istnienia. Trwająca od kilku miesięcy lawina bieżącej pracy odsuwała wciąż moją uwagę od tej sprawy.

A lawina wciąż rosła. Przyszły ciężkie tygodnie tropienia gestapowców, wyglądania oknem, wystawania po nocach we wnęce bramy, nierozstawania się z bronią: Brona z hiszpanem zatkniętym za pasek od spodni, Fostowicz z coltem w zanadru, Grad z FN w specjalnej kaburze przymocowanej do szelek, Kos z rękojeścią ufi wystającą bezczelnie z kieszeni. Powodzenie tej akcji, odwoływanej i znów wznawianej, było słabiotkie w stosunku do ilości włożonej w nią pracy — udawało się tam, gdzie Brona osobiście wyciągał z za pasa swego hiszpana. Z niego to zostali położeni na ulicach Wilna agenci Gestapo Wyleżyńska*, Kielbowski i Kotłow.

Brodząc jak w głębokim śniegu w nawale projektów i możliwości, z trudem wyłuskiwaliśmy z Broną i Fostowiczem wymykającą się między palcami konkretność. Wiele z tego, co wy-

* Wyleżyńska została przez Bronę raniona w głowę, w późniejszym czasie dostrzelił ją kto inny.

dawało się realne, trzeba było również odrzucić z braku czasu, ludzi, środków.

Aliści w pierwszych dniach czerwca ujrzała światło dzienne sprawa, za którą chociaż z wahaniem i obawą chwyciłem się oburącz. Chodziło o wysuniętą przez Edypa możliwość zorganizowania wywiadu w Gestapo.

Wielki gmach sądowy przy placu Łukiskim — niezależnie od reżymu, mającego w swoim posiadaniu miasto podczas wojny — budził tę samą nienawiść i rozsiewał tę samą grozę. Instalował się w nim na przemian NKGB bolszewicki i Gestapo hitlerowskie. W ciągu trzech lat okupacji niemieckiej Gestapo w Wilnie, tak samo jak i w wielu miastach Europy, pławiło się we krwi dziesiątków tysięcy ludzi, rozbrzmiewało rozpaczliwymi krzykami torturowanych. Suma nienawiści, która przywarła do tych murów, może być mierzona tylko sumą cierpień tych, którzy przez nie przeszli.

Pomimo całego bestialstwa swoich metod terroru, wszechmocne Gestapo pozostawiło po sobie pamięć instytucji zdemoralizowanej, przekupnej i niedołącznej. Gestapo przez cały czas stało na uboczu życia miasta i kraju — życia, które miało być przez nie kontrolowane; niezdolne było dotrzeć do ukrytych sprężyn tego życia, do jego nerwów i tętnic. Grupa tępych urzędników i policjantów niemieckich — jakże nieliczna w stosunku do potrzeb chwili — tkwiła w dżungli nieznanego kraju, niepojętych stosunków, oddzielona ponadto od tego wszystkiego barierą niezajomości języka. Jedynym czynnikiem na którym mogła budować, było Gestapo litewskie tzw. *Sauguma*, lepiej zorientowane w sytuacji. Tylko opierając się na tym czynniku Gestapo niemieckie zdolne było do akcji.

W tych warunkach Gestapo nie było zdolne do rozładowania zagęszczającej się wciąż atmosfery walki. Rekwizyty terroru: głód i tortury w więzieniu, a potem śmierć na Ponarach były zdolne chwilowo tu i tam przytłumić pełgające zewsząd płomień, ale dalekie były od możliwości zgaszenia pożaru. Podobnie, jak to działo się wielokrotnie w historii, terror nie był w mocy wygrać walki z szeroko rozplenioną, z ideowych korzeni rosnącą akcją polityczną — raczej rozdmuchiwał ją, niż likwidował. Wobec współpracy niemiecko-litewskiej ofiary były duże. Kto dostał się za żelazne, kratowane drzwi, oddzielające ciemny korytarz w podziemiu Gestapo od prowadzących w dół schodów — ten przeważnie nie wracał do życia. Rzadko komu udawało się, tak jak mnie, wyjść dwukrotnie przez te drzwi na wolność. Ale zaraz za murem więzienia rozpoczynała się dżungla naszych

melin, skrzynek, szyfrów, skrytek, zamaskowanych przejść i lewych dokumentów.

Gestapo wileńskie posiadało właściwość zapewne nie wszędzie spotykaną. Oprócz zwykłej ekipy urzędników niemieckich i litewskich, oprócz litewskiego oddziału egzekucyjnego (tzw. *ypatingu Buris*, gmach przy placu Łukiskim mieścił w sobie kilkudziesięciu Żydów. Praca robotników żydowskich w różnych instytucjach niemieckich była rzeczą normalną, toteż nie sam fakt istnienia takich robotników w Gestapo był interesujący, lecz sytuacja, w jakiej się oni z czasem znaleźli.

Gestapo było wszechwładne, nieodpowiedzialne, niekontrolowane. W stosunku do Żydów posiadało władzę życia i śmierci (a raczej tylko śmierci, z pominięciem życia). Ale podobnie jak mózg nie jest zdolny do odczuwania bólu z powodu ran przez tenże sam mózg odniesionych, tak Gestapo nie było w mocy aplikowania wewnątrz siebie tych rygorów, które stosowało na zewnątrz. Żydzi, których los zamknął w samym mózgu śmiertelności potwora znaleźli się w całkiem innych warunkach, niż reszta getta. Nie było wątpliwości, że w końcu czeka ich likwidacja co najmniej równie bezwzględna, jak ogół ich współrodaków. Nie pełnili żadnych innych funkcji poza pracą fizyczną, pozostawali dalej grupą wyzutych z praw pariasów. Mimo to jednak spływała na nich część owych przywilejów, którymi Trzecia Rzesza darzyła swoich pretorianów, znakowanych literami SS i SD; byli poniekąd „przyjęci do chewry”, objęci częściowo materialnym luksusem, w którym żyło Gestapo, niekaralni przez nikogo na zewnątrz. W istocie wszelka kolizja z jakąkolwiek inną władzą kończyła się dla nich skierowaniem do... Gestapo. Tam delikwent był traktowany jako swój człowiek, klepany ze śmiechem po ramieniu i zwalniany. W okresie wyniszczania getta oni zażywali spokojnego życia, mieszkając w mieście — Gestapo posunęło się tak daleko, że wydało im wszystkim aryjskie dokumenty — nie obowiązywał ich ani zakaz poruszania się po chodnikach, ani przymus noszenia żółtych łat.

Ludzie ci nie mieli oczywiście żadnego dostępu do samych spraw, toczących się w kancelariach i gabinetach lub w więzieniu. Mimo to wiedzieli zadziwiająco dużo z tego, co było przed nimi zamknięte. Działał tu oczywiście semicki spryt, lotność, zdolność kojarzenia i wnioskowania. Ale nie tylko to. Niemiec niejednokrotnie nie krępował się wcale w rozmowie obecnością Żyda, uważając tę podrzędną istotę za pewien rodzaj podczłowieka.

W tym to środowisku Edyp zarzucił wędkę i wyłowił swoją rybę. Ryba została mi zaprezentowana na początku czerwca 1943. Był to dość młody, czarny, bystrooki Żyd, nazwiskiem (jak się

tego później dowiedziałem) Ajzyk Brancowski. Pracował w garażu Gestapo jako mechanik.

Szybki potok jego wymowy niósł w sobie wiele cennego. Oczywiście nie można tu się było spodziewać wiadomości rewelacyjnych. Dla mnie jednak zespół drobnych informacji o gmachu, ludziach, samochodach, wartownikach, bramach, zamkach itp. miał ogromne znaczenie. Do tej pory nic w tych materiałach nie wiedziałem poza opowieściami o biciu i torturach. Chwycałem się oburącz za Brancowskiego (któremu zaraz nadałem pseudonim — greckie imię Efiates; brzmiało to jednak tak wymyślnie, że w praktyce zostało uproszczone na Asphalt). Mieć drugiego Edypa w Gestapo, podobnie jak na Burbiszkach — to była po prostu kariera.

Lecz od razu rzucało się w oczy, że nie był to drugi Edyp, o nie! To zwyczajny człowiek od drobnych spraw, bez umysłu umiejącego wyssać z zagadnienia esencję tego co konkretne, bez jednajęcej ludzi bezinteresowności. Znać było, że silna ręka Edypa popycha Asfalta ku mnie, że głos Edypa wstrzymuje mnie, bym się nie wycofał. Pomimo ogromnej wagi, którą przywiązywałem do tego kontaktu, nie byłbym go realizował, gdyby nie moja wiara, że Edyp wie, co robi.

I jeszcze jedno. Trudno było przeniknąć poza maskę tego człowieka, która przylgnęła do twarzy Asfalta po dwóch latach pracy w Gestapo. Ten, zapewne z gruntu dobry i dobroduszny, człowiek za dużo tam widział. Za często ekspediował sprzed swego garażu samochód ponarski pełen związanych ludzi i, wyładowywał po jego powrocie ich przepojone potem przedśmiertnym ubrania. Zanadto wżarło mu się w uszy wycie katowanych. Za wiele razy czyścił z krwi i mózgu nosze, na których dobijano chorych i rannych.

Nie zawsze można było znaleźć wspólny język w tych warunkach. Do nieufności plemiennej odczuwanej wobec Żyda dołączało się inne uczucie, uczucie chłodu, przebiegającego dreszczem po plecach. Asphalt był makabryczny. Mówiąc z nim, wciąż kierowałem pytające i niepewne spojrzenie na siedzącego obok Edypa.



Na bieżący użytek Edyp miał w zanadrzu sprawę mniejszą, ale bliską nam obu: po raz trzeci wysuwały się Burbiszki. Po kwietniowej sfuszerowanej robocie (która przecie wykonywana była w największym pośpiechu ze względu na grożącą lada chwila likwidację magazynów) 3 skrajne bunkry nie zostały opróżnione. Były to te które wówczas atakowaliśmy i których położenie z da-

leka od wartowni utrudniało dozór. Było rzeczą nie do pojęcia, że po naszym nieudanym napadzie, przynajmniej nie przeniesiono zawartości na inne miejsce. A jednak tak się właśnie stało — wbrew wszelkiemu zdrowemu rozsądkowi bunkry zostały pełne, by kusić nas dalej. Edyp przypuszczał, że w jednym z nich znajdują się cenne zapalniki różnych rodzajów i lont wybuchowy, nie mówiąc o samym materiale (o który mniej mi chodziło, wobec tego, że Frycz uruchomił już Jaszuny). W każdym razie robota napraszała się, by ją zrobić.

Przez ten czas Frycz działał. „Ofensywa na Jaszuny” była w pełnym toku. Kilka przeprowadzonych wypraw obejmowało coraz to dalsze partie terenu za drutami, dochodząc wreszcie do centrum — do baraku. Nie było przy nim stałej warty. Dojrzały owoc czekał, by go zerwać.

W nocy 3 lipca pośpiesznie zarządzona ekspedycja dotarła doń i dobrała się do smakowitego mięszu. Wśród wielu interesujących artykułów Edyp (wezwany specjalnie na tę wyprawę, jako ekspert od sowieckiego uzbrojenia) odkrył w bocznym zakamarku baraku skrzynki z amunicją pistoletową. Przeszło 7 tys. naboji do nagana i do automatu sowieckiego zostało załadowanych do worków. Prócz tego wpadła w nasze chciwe łapy biżuteria dywersji: niemieckie spłonki i zapalniki elektryczne.



W tym czasie wyrobił się pewien styl, który odtąd miał obowiązywać w Bazie. Wynikał on głównie stąd, że ten oddział wojskowy nie zawierał w sobie, jak dotąd, ani jednego zawodowego wojskowego. Również nieduża ilość ludzi oglądała wojsko w trybie normalnej służby za czasów pokojowych. Natomiast przytłaczająca większość należała do typu przysięgłych cywili, którzy ujmowali swoje obecne wystąpienia militarne w sposób amatorski. Nikt z nas nie łączył z armią swoich życiowych planów na dalszą metę niż do końca wojny.

Stąd zapewne wynikło, że większość zespołu podzielała moje ironiczne i niedbałe stanowisko w kwestii awansów wojskowych. Ten gatunek spraw jest istotnie ważny, skoro się patrzy na nie oczami oficera zawodowego, dla którego są to naturalne stopnie jego drogi życiowej. Trudno też pomijać te kwestie w normalnej armii. Nas jednak stać było na łagodne ignorowanie gwiazdek i naszywek, przynajmniej teraz, kiedy nie było ich jeszcze do czego przypiąć. Nieraz patrzyłem nie bez złośliwości na kłopoty dowódców konspiracyjnych, którzy dali się uwikłać w pustą zawiłość tych spraw.

Podobnie ordery, krzyże, medale nie przemawiały do mnie. Owszem, odznaczenia są to wcale skuteczne środki stymulowania ludzkich ambicji, ale pochlebiałem sobie, że obejdziemy się bez ugania się za nimi.

Również sprawa dowodzenia ułożyła się w sposób daleki od klasycznych pojęć wojskowych, a możliwy tylko w warunkach wysokiego poziomu całego zespołu. Jedność dowództwa nie istniała. Moje funkcje ograniczały się do ogólnego kierownictwa podczas gdy w polu dowodził coraz to kto inny każdą poszczególną akcją. Było zupełnie naturalne, że wczorajszy dowódca idzie na następną robotę jako szeregowiec. W tej mierze nie przychodziło nikomu do głowy uważać mnie lub mego zastępcę Fostowicza za uprzywilejowanych. Prawie nigdy nie dochodziło do zatargów kompetencyjnych, mimo że tak było o nie łatwo.

Również dyscyplina mimo braku wszelkich jej oznak formalnych sama utrzymywała się na wysokim poziomie istotnej lojalności.



Ta wiosna — maj i czerwiec 1943 — to było przedwczesne apogeum Bazy. Dla całości Wilna i Wileńszczyzny okres taki nastąpił w rok później, wraz z wytryśnięciem spod ziemi dużych, otwartych oddziałów wojskowych, wraz z powstaniem, które rozlało się po naszej ziemi. Powstaniu temu nie było dane rozwinąć pełnej mocy w nim zawartej, zostało ono szybko zgaszone przez zalew ze wschodu. Historia wydobędzie je z obecnego ukrycia i wpisze tę pozycję w rubrykę: wiosna 1944. Tamtą wiosną pamiętają te tysiące, które przebyły ją w polu, o tamtej wiosnie świadczą żołnierskie cmentarze nad Wilią i nad Niemnem.

Lecz dla nas — małej garstki — zachowa swój żar ta nasza, ta poprzednia, przeżywana w hermetycznym okresie konspiracji, płynąca podskórnym nurtem przez dolinę Wili, przez lasy Jaszkańskie, na które patrzył Słowacki, przez wzgórza Ponarskie, po których za swoich lat szkolnych biegał Piłsudski.

Baza rozkwitała ową niebezpieczną plennością, pod którą czai się poczucie katastrofy. W czasie, kiedy wszystko drgało koło mnie rytmem coraz to szybszym, kiedy Brona, Fostowicz, Frycz, Edyp, Podróżnik, ja sam wreszcie, nadawaliśmy coraz ostrzejsze tempo otaczającej nas rzeczywistości, wydawało mi się, że nie trzymam już tej rozpedzonej i rozedrganej Bazy w moich rękach tak pewnie, jak poprzednio. Czasami widziałem niejasno, że jakaś ręka pisze nad nami Mane, Tekel, Fares.

Ale katastrofy przeczuwane mglisto, rysowały się gdzieś w głębi przestrzeni i czasu, a w tej chwili panowała wspaniała

koniunktura, realna i dotykalna *prosperity*, nawał pomysłów i projektów, które jeden przez drugi domagały się urzeczywistnienia. Wokoło mnie wirowała plejada barwnych postaci — ludzi opanowanych wielkim głodem realizowania.

Akcja wymierzona w okupację, jednocześnie zasłaniała tę okupację. Poszczególne drzewa zasłaniały nam obraz lasu. Wpatrzeni w cele na naszym pierwszym planie, nie dostrzegaliśmy nieraz dalszego tła.

Były to dla mnie czasy immunitetu. Duch mój był uodporniony, jak ciało Achillesa skąpane w wodzie styksowej. Jeżeli przyszłość rysowała katastrofy, to czułem w sobie siłę do ich przetrwania. Byłem też odporny na to, co przynosi terażniejszość. W ten sposób śmierć ojca w styczniu 1943 odbiła się niejako od mego wewnętrznego pancerza. W ten sposób Katyń przechodził niejako mimo mnie — w całej grozie niemieckich rewelacji ujawnionych w kwietniu 1943. Wtedy jeszcze nie zupełnie było jasne, którą stronę należy obciążyć odpowiedzialnością za tę zbrodnię.

Tocząca się naprzód Baza miała właściwą młodym i zdrowym organizmom zdolność pochłaniania i godzenia ze sobą najbardziej różnorodnych, a nawet sprzecznych elementów. W jedną całość spletały się wielkie pozytywne właściwości Fostowicza, przezorna dokładność Kolarza — przeciwstawne światoburczym tendencjom i zmysłowi improwizacji Kosa; zdyscyplinowanie Kraba nie kłóciło się z krytycyzmem Komarowej; awanturnicza brawura Podróżnika kwitła w sąsiedztwie z pozbawioną cech bojowych twardości Bogumiła; pozytywny pesymizm Puchały szedł w parze z pogodą Frycza. Wszystko, co dało się użyć jako siła motoryczna, było wprzęgnięte w wehikuł: wielka miłość rodzinna Edypa, ambicje Grada, żywotność Lisicy, poetyckość Przyjaciela. Te siły motoryczne składały się na ogólny wektor toczącej się naprzód Bazy.

KATASTROFA

Tego dnia od samego rana czułem się nieswojo. Były to akurat moje urodziny — 7 lipca. Tzw. złe przeczucia były często spotykaną reakcją psychiki na obciążenia tej epoki i nie dostępowaly zaszczytu specjalnego ich notowania. Jednakże tego dnia ów wewnętrzny niepokój, nurtujący mnie od pewnego czasu, wyraził się tym, że wychodząc z domu zostawiłem kopertę z instrukcją na wypadek, gdybym nie wrócił — tego nie robiłem nigdy przedtem. Coś wisiało w powietrzu.

Dzień nie zapowiadał nic osobliwego — zwykłe sprawy koło naszego „gospodarstwa”. Od samego rana miałem spotkanie z Edypem w szopie przy ul. Kijowskiej, gdzie partia robotników, idąca z getta na Burbiszki, zatrzymywała się i pobierała jakieś narzędzia. Na Burbiszkach nic nowego. Zawartość skrajnego bunkra Nr 16 dalej nie ustalona — trzeba czekać aż się nadarzy okazja wejścia do wewnątrz przy sposobności jakiegoś przeładunku czy remontu.

Dalej rozmowa z Broną w jego mieszkaniu przy Małej Pohulance. Był jeszcze w łóżku — właśnie tej nocy wrócił z Dyneburga, dokąd pojechali z Przyjacielem w jakichś nieznanych mi bliżej sprawach jeszcze ze starego O V. Opowiadał mi bez troski, jak na dworcu w Dyneburgu pożywili się nieźle, przebrani w swoje paradne mundury kolejowe ze złotymi orłami na czapkach i zaopatrzeni w plik kartek żywnościowych, zdobytych przy włamaniu do Dyrekcji Kolejowej w Wilnie. Dowiedziałem się potem, że Przyjacielowi cierpła skóra, patrząc, jak Brona, rozpanoszony w przedziale służbowym zatłoczonego pociągu, wyrzucił stamtąd jadących z frontu na urlop podoficerów, cisnących się na wygodniejsze miejsca.

Dalej rozmowa z Fostowiczem po jego wyprawie wraz z Pod-

różnikiem do Gudogaju po dawno zapowiedziane automaty. Dostali 3 sztuki, ale bez magazynków, do tego 15 kg trotylu, a na dodatek 2 hełmy niemieckie. Wszystko pozostało w mieszkaniu Podróżnika, skąd mieli to zabrać Grad i Kos.

Dalej spotkanie z Gradem i Kosem, którzy przyszedli do mego mieszkania, będącego zarazem punktem obserwacji Gestapo. Okazało się, że poprzedniego dnia wieczorem zastali drzwi mieszkania Podróżnika zamknięte, tak że przywiezione automaty zostały na noc. Mają pójść po nie jeszcze raz po południu.

Dalej spotkanie z Komarową. W międzyczasie poszedłem po obiedzie w jakiejś sprawie na pocztę.

Przechodząc ul. Uniwersytecką, ujrzałem nagle matkę Fostowicza. Była zmieniona na twarzy, podbiegła do mnie gwałtownie. Z tego, co mówiła ze wzburzeniem, wyłowiłem od razu złowieszcze słowo „automaty”. Przed chwilą u rodziców Fostowicza zjawił się Podróżnik z wiadomością, że mieszkanie jego wpadło, a Jerzy i Brona są aresztowani.

Jeszcze kilka zdań wypowiedzianych jej roztrzęsionymi ustami i już biegłem do Grada na plac Napoleona, o paręset metrów.



Więc oto jest ta przeczuwana, ta nieuchronna — katastrofa. Nie mogłem jeszcze uświadomić sobie jej rozmiaru. Musiała przecie nadejść. Stanowiła coś, czego ludzka zdolność przewidywania objąć nie potrafi. Jeżeli naprawdę wpadł Brona — czego niepodobna sobie wyobrazić — to godzi w sam rdzeń mojej wiary. Nikt z nas nie mógł sobie wyobrazić, by ten splot odwagi, przytomności, sprytu, sprężystości, fizycznej siły — mógł znaleźć się w lochu Gestapo.

A Fostowicz? Ten ma kruche ciało zwykłego człowieka, ale jest tak strasznie, tak rozdzierająco bliski i potrzebny!



Cała reszta dnia upłynęła na kurczowych wysiłkach ograniczenia rozmiarów katastrofy i ustalenia stanu faktycznego. Grada nie zastałem w domu, lecz zostawiłem mu pisemne ostrzeżenie. Ktoś nieznanymi zawiadomił mieszkanie Brony na Pohulance o tym, co zaszło. Wynikało z tej relacji, że Brona jest ranny, że widziano go leżącego w jakiejś bramie czy piwnicy w bliskości feralnego domu na Bankowej. Można było stąd wnioskować, że wpadł. Grad na moją wiadomość porwał rower i pistolet i znalazł się szybko w pobliżu krytycznego miejsca. Wkrótce zjawiła się

tam Komarowa, wysłana przeze mnie dla blokowania dostępu do ul. Bankowej, bo Kos wciąż nie był odnaleziony i istniała obawa, że zjawi się w mieszkaniu Podróżnika po odbiór pozostałej tam od wczoraj broni. Wreszcie odszukałem go i zdjęłem Komarową, a przez ten czas Grad wypróżniał mieszkanie Fostowicza, zabierając kasę, papiery, broń. W rozgardiaszu sprzecznych wiadomości zapomniano o mieszkaniu Brony i dopiero po dwóch dniach z odpowiednimi ostrożnościami wygarnięto spod wanny w łazience, zagnieżdżone tam stadko pistoletów, a z różnych innych kątów — pozostałą „kompromitację”.

Nazajutrz wiadomości zebrane na miejscu — informacje od Edypa i Asfalta — pozwoliły ustalić, że Fostowicz został aresztowany sam. Pochwycono go uciekającego na placu targowym koło ul. Słowackiego. Brona zniknął. Dopiero po jakimś czasie wyjaśniło się, że ranny kulą pistoletową w płuco, wydostał się z opresji i znajduje się w ustronnej melinie na Zarzeczcu.

Zaraz po aresztowaniu Fostowicz został przewieziony do położonego przy ul. Wielkiej sklepu Podróżnika, w którym odbyła się rewizja. Stamtąd trafił do Gestapo i niezwłocznie został poddany zwykłej procedurze bicia i torturowania. Już nazajutrz mieliśmy o tym relację Asfalta.

Po paru dniach można było odtworzyć dość dokładnie przebieg wypadków. W przeddzień krytycznego zajścia, we wtorek 6 lipca, Podróżnik z Fostowiczem wrócili z wyjazdu na stację Gudogaj, przywożąc poprzednio zapowiedziane automaty i trotyl. Tegoż dnia po południu mieli się po nie zgłosić Kos i Grad — pośpiech był wskazany, gdyż mieszkanie to, jako obciążone spekulacyjnymi tendencjami jego właściciela, nie było odpowiednie do przechowywania broni. Obaj wysłani zgłosili się w przewidzianym czasie, ale zastali drzwi zamknięte. Lokal, którego stali mieszkańcy wyszli do miasta, został na opiece Rogacza (dawnego Rogacza z O V, który akurat przyjechał do Wilna). Ten zasnął tak mocno, że nie obudziło go dobijanie się ludzi przybyłych po odbiór broni. W ten sposób kompromitujące materiały pozostały na noc i dzień następny, 7 lipca, w mieszkaniu na Bankowej.

W dniu tym powrócił z Dyneburga Brona. Bliski stosunek łączący jego i Fostowicza z Podróżnikiem wyraził się tym, że ten ostatni zaprosił na obiad dwóch swoich przyjaciół. W trakcie posiłku gospodarz został wywołany z racji przybycia dwóch policjantów czy gestapowców. Zainteresowali się furmanką z węglem stojącą przed domem, z której zwalano zawartość do piwnicy Podróżnika. Indagowany w tej sprawie gospodarz wylegitymował się swoim lewym dokumentem kolejowym, co musiało

wzbudzić jakieś podejrzenia, gdyż obaj przedstawiciele władzy przystąpili do oględzin mieszkania. Wówczas to jeden z nich zajrzał do feralnej walizki, przywiezionej poprzedniego dnia i „przespanej” przez Rogacza. Wszystko to działo się w nieświadomości Brony i Fostowicza, którzy w pokoju opodal kończyli spokojnie obiad.

W pewnej chwili w drzwiach pokoju jadalnego ukazał się Podróżnik, z wyrazu twarzy którego można było wyczytać, że dzieje się coś niezwykłego, a bezpośrednio za nim pojawiła się lufa pistoletu i zabrzmiał okrzyk *Hände hoch!* Do pokoju wszedł gestapowiec niemiecki z trupa główką na czapce i litewski funkcjonariusz Gestapo po cywilnemu. Obaj konsumenci obiadu zostali z punktu zbici, skopani, a następnie przeprowadzeni do pokoju obok i położeni plackiem na podłodze w sąsiedztwie fatalnej walizki. Gestapowiec litewski wyszedł, by sprowadzić pomoc, Niemiec z pistoletem w ręku dozorował leżących.

Leżący dopiero po dłuższej chwili uświadomili sobie, że w całym mieszkaniu panuje cisza a więc... W pewnej chwili Niemiec odwrócił się nieco, by zajrzeć do szafy i w tejże chwili miał na sobie Bronę, który przejawiał całą swoją sprężystość — poderwał się z ziemi tak szybko, że niemiecki pistolet nie zdążył odpalić. Przeciwnicy zwarli się ze sobą i nastąpiło dość długie szamotanie się, wśród którego obaj wytoczyli się do przedpokoju. Tam dopiero padł strzał.

Brona został trafiony w lewy bok, na wysokości dolnych żeber. Kula wyszła powyżej lewej łopatki, czyli przebiła całe płuco z dołu do góry. Mimo tak ciężkiej rany, Brona nie zaprzestał walki, wyrwał Niemcowi pistolet i kilkoma ciosami rękojęści w głowę obezwładnił go na czas jakiś. Był to masywny mężczyzna w wieku nieco już starszym. Zapasy skończyły się aż na schodach, po których walczący stoczyli się na dół.

Obaj uciekający rzucili się do wyjścia, za nimi ruszyła żona Podróżnika — jedyna pozostała w pustym mieszkaniu osoba. Brona był kompletnie wyczerpany i krwawił przez usta — Fostowicz prowadził go po schodach zamroczonego. Na dole mieli dwie drogi: wyjście frontowe na Bankową — tędy poszła kobieta — i przejście boczne, przez bramę na ul. Słowackiego, z wylotem na plac targowy — oni wybrali to drugie. Fostowicz podniósł z ziemi pistolet, który upuścił Brona, słaniający się na nogach.

Nie zdążyli wydostać się na ludny plac targowy, kiedy w bramie zamajaczył wysoki mężczyzna — gestapowiec litewski wracający do mieszkania po zaalarmowaniu policji. Nastąpił moment zamieszania. Fostowicz ruszył naprzód i złożył się do Litwina ze zdobytego pistoletu, ale strzał nie nastąpił, broń się zacięła.

Krzyknął „Uciekaj, jesteś ranny!” — Brona przeszedł przez plac targowy, wśród bud i straganów i zniknął w kierunku ul. Węglowej i Piłsudskiego. Fostowicz skręcił ku Kijowskiej i na placu został obalony i ujęty przez gestapowców, którzy nadjechali.

Brona po odskoku (jeżeli tak można nazwać jego na wpół przytomne tułanie się po przyległych ulicach) dostał się do jakiegoś piwnicy, trafił do jakiegoś mieszkania. Jakieś kobiety poiły go wodą, ktoś obmył go z krwi, zrobiono bardzo prowizoryczny opatrunek, zamieniono mu marynarkę pokrwawioną i podartą. Jacyś polscy kolejarze przeprowadzali go z domu do domu w miarę, jak przesuwały się poszukiwania po okolicznych ulicach. Jednemu z nich szepnął swój adres, ktoś pobiegł pędem na Pohulanę. Po pewnym czasie doszedł nieco do siebie i, wobec zaciskającej się nad dzielnicą obławy, ruszył dalej, przynaglany przez przygodnych opiekunów i widzów. Poszedł w kierunku dość odległego mieszkania Przyjaciela, mieszczącego się przy ul. Piwnej za Ostrą Bramą. Mieszkanie było puste, drzwi zamknięte. Wrócił jeszcze raz do Ostrej Bramy (chyba nikt bardziej samotny i bardziej potrzebujący nie przechodził pod jej sklepieniem) i po kilkukilometrowej wędrówce pieszej przez całe miasto, trafił na Zarzeczcu do znanego mu mieszkania, w którym znalazł pomoc.

Co uderza tu w oczy? Czemu walka tak pomyślnie rozpoczęta, miała aż tak katastrofalny rezultat? Przecież z chwilą, kiedy Brona dopadł gestapowca, zanim ten zdążył strzelić — strona polska była górą. W małym pokoiku samotny Niemiec był związany walką z zapaśnikiem tej siły co Brona i flankowany przez Fostowicza, który atletą wprawdzie nie był, ale nie wyglądał na ułomka. W tych warunkach jedno uderzenie byle stołkiem w głowę Niemca, rozstrzygnęłoby sprawę. Czemu to uderzenie nie nastąpiło?

Trudno odpowiedzieć ściśle na to pytanie. W tym momencie Fostowicz zawiódł. W pierwszej chwili zwarcia wyskoczył z pokoju na korytarz, zapewne, by szukać broni. A przecież jedyny pistolet znajdował się w kieszeni Podróżnika. Czemu instynkt walki nie podszeptał mu tego, co jest szybkie, bezpośrednio, pierwotne, co tkwi w nas podświadomie? Szukał pistoletu tam, gdzie potrzebna była goła pięść lub zwykły kij. Czy zaważyło tu jego ukształtowanie psychiczne intelektualisty? Czy nawet w tej sytuacji ugiął się przed brutalnością walki wręcz?

Przez ten czas samotny Brona przez długich kilkadziesiąt sekund unieruchamiał pistolet Niemca, mocując się z nim z całym wysiłkiem. Fatalny strzał padł już po przeniesieniu się zapasów na korytarz. Fostowicz zjawił się na pomoc, gdy Brona, nie

mogąc prawie ustać na nogach, pokonał jeszcze bardziej wyczerpanego walką gestapowca.

Obezwładniony Niemiec ze zmasakrowaną twarzą leży na schodach. Fostowicz sprowadza w dół na wpół przytomnego Bronę, który raz po raz pluje krwią. Do Fostowicza trafia pistolet okrwawiony na niemieckiej głowie. Moment wahania i obaj zapuszczają się w boczne przejście, mające wyprowadzić ich na ludną ul. Słowackiego i na plac targowy. W bramie ukazuje się wracający gestapowiec litewski, za nim inni. Podniesiony do oka pistolet zacina się i strzał nie pada.

I tu Fostowicz odnajduje samego siebie. Puszczą przodem Bronę, krzyżąc mu, by uciekał — ten resztką przytomności uświadamia sobie, że jego odejście odciąży towarzysza — przecina jezdnię i znika między straganami. Fostowicz bierze na siebie i na swój zacięty pistolet cały ciężar pogoni i po kilkunastu metrach zostaje schwytyany.



Jest jeszcze jedno pytanie dotyczące tej tak głośnej wówczas w Wilnie sprawy. Odpowiedź na nie nie została wyraźnie sformułowana. Jaka była w tym dramatycznym przejściu rola Podróżnika?

Podróżnik był gospodarzem lokalu, w którym rozegrały się wypadki. Zarazem był w tym lokalu jedynym człowiekiem uzbrojonym — miał przy sobie swoje sprawne, ostrzelane parabellum. Po ujawnieniu w jego walizce automatów i trotylu, nie mógł nie orientować się, jak poważne jest położenie.

Nie wiadomo, w którym momencie Podróżnik opuścił mieszkanie. Zrobił to jednak aż nadto wcześnie, bez udzielenia jakiegokolwiek pomocy dwóm swoim gościom, bezbronnym i całkowicie zaskoczonym i bez przejawienia troski o los swej żony, która została w mieszkaniu do ostatniej chwili nawet okazała dużą przytomność umysłu, gdyż zdążyła porwać część osobistych rzeczy i przerzucić je do mieszkania sąsiadów na tej samej klatce schodowej. Podróżnik pobiegł natychmiast do mieszkania Fostowicza, by zawiadomić rodzinę, że jego dwaj towarzysze są aresztowani, czy też raczej uprzedzić tę rodzinę, że zostaną aresztowani — to, co zakomunikował, było wiadomością antycypowaną. To wszystko wskazuje na niewątpliwą winę Podróżnika w tej sprawie.

Sprawa odpowiedzialności Podróżnika nie została postawiona przeze mnie ostro wobec władz Okręgu. Po wypadku znikł on,

podobnie jak Brona i zerwał związek z Bazą. Oczywiście musiał opuścić Wilno, jako „spalony”.

Ogólnie stwierdzić należy, że Podróżnik był jednym z najbardziej bojowych i energicznych ludzi w Bazie — to właśnie połączyło go tak ściśle z Broną. W jego kontaktach ze mną wyczuwało się, że wszystko, w czym bierze udział, nie zadowala go, że oczekuje jeszcze czegoś więcej. W sprawach kolejowych jego wysoka kompetencja i sprawność była niezaprzeczona. Doszło do mnie, że nawet po wypadku na Bankowej, kiedy na stacjach kolejowych wisiły afisze z jego opisem i fotografią — dalej poruszał się na kolei brawurowo. O ile wiem, ta sama odwaga cechowała go później jako oficera VI Brygady. Jego zachowanie się w feralnym dniu 7 lipca jest wypadkiem całkowicie odosobnionym. Tym nie mniej powinno być zanotowane i znaleźć prawidłową ocenę.

Pewien wpływ na tę ocenę może mieć fakt, że po wypadku Podróżnik wkrótce zszedł się z Broną, który nie wysunął głośno przeciwko niemu żadnych zarzutów. Wspólnie przebyli okres powstawania VI Brygady, której Brona — późniejszy Tońko — był twórcą i współpracowali ze sobą ściśle w okresie rozkwitu, który Brygada ta przeżyła w roku 1944.



Od tych dalszych spraw wróćmy szybko do celi Fostowicza w piwnicy Gestapo i do nas wszystkich, skupionych koło tej celi.

Już następne dwa dni przyniosły relacje Asfalta o bestialskim biciu Fostowicza, a zarazem świadczyły o jego mocnym trzymaniu się w tym najgorszym, początkowym okresie śledztwa, kiedy sprawa była w centrum zainteresowania Gestapo. Co będzie, jeżeli to potrwa tydzień? Dwa? Jeszcze dłużej? Oto zostaliśmy po raz pierwszy postawieni twarzą w twarz z sytuacją będącą chlebem powszednim polskiej walki konspiracyjnej: asystujemy bezsilni złożeniu do grobu człowieka żywego.

Nie byliśmy pierwsi, ani ostatni w tym położeniu. Powstało ono stale w Polsce w tych latach i nieraz prowadziło ludzi do najwyższych wysiłków, by „odwalić grób”. Mocą tych samych procesów psychicznych pierwsza, spontaniczna reakcja objawiła się od razu: odbijać Fostowicza. Moje zarządzenia przygotawcze do napadu na Gestapo, wydane po naradzie z Asfaltem nazajutrz po katastrofie, były tylko skonkretyzowaniem ogólnego nastroju. Przygotowania polegały przede wszystkim na ściągnięciu broni z Jaszun. Pojechał tam Puchała dla zorganizowania

wraz z Fryczem przewozu do miasta. Pomimo całego ryzyka tego przedsięwzięcia Asphalt wydał o nim opinię raczej pozytywną. Zdaniem jego, w ciągu sobotniego wieczora i niedzieli można było spodziewać się w ogromnym gmachu Gestapo niewielkiej ilości ludzi.

Napad zaplanowany na sobotę, a potem na niedzielę nie doszedł do skutku. Powodem odwołania go było aresztowanie matki Fostowicza, które nastąpiło w piątek. Odbicie samego Fostowicza, z pozostawieniem matki w więzieniu i przerzucenie na nią całego ciężaru sprawy, nie wydawało się nam możliwe. Asphalt, nie znając tej matki osobiście, miał trudności z ustaleniem, gdzie się ona znajduje i nie miał pewności, czy należy jej szukać w piwnicznych pomieszczeniach pod gmachem sądowym, gdzie Fostowicz znajdował się na pewno. Napad miał widoki powodzenia tylko przy szybkości działania i mowy nie było o poszukiwaniu dwóch, rozmieszczonych oddzielnie osób.

Jednocześnie po kilku dniach zarysowała się inna możliwość, która ostudziła nasze bojowe zapały. Kos zgłosił się z niejasną, ale, zdaniem jego, skuteczną możliwością łapówkowej drogi oddziaływania na losy aresztowanego.

Po wyczerpaniu pierwszego zapału zostaliśmy w obliczu klęski. Minęło kilka dni, a relacje Asfalta nic nie mówiły o złagodzeniu śledztwa. Według jego oceny, obserwowany przez niego Fostowicz każdego wieczora wracał do celi przez podwórze, bardzo osłabiony i widocznie zmaltretowany, ale na własnych nogach. Elementarny rozsądek nakazywał nam uznać się za zagrożonych i wykonać to wszystko, co technika konspiracji przewiduje na taki wypadek. Dni mijały, a nic prawie z klasycznych reguł blokady nie zostało zastosowane. Z ociąganiem się przemelinowano skład u Petroneli, od niechcenia przez parę dni nie nocowaliśmy w domu.

Co wpłynęło na taką abnegację? Po prostu Fostowicz wiedział wszystko, jak Baza długa i szeroka, wiedział na pewno więcej, niż ja sam. Gdyby uznać, że istnieje zagrożenie z jego strony, to należałoby likwidować w Wilnie wszystko i wynosić się do najbliższego lasu lub do najdalszego miasta w Polsce. A równocześnie nic nie wydawało mi się bardziej pewne, niż odporność i rozum Fostowicza w więzieniu. Ten człowiek, ze wszystkimi swoimi słabościami, przywidzeniami, przesadami, z kruchym ciałem intelektualisty, z brakiem żywotności naukowca — był w pojęciu nas wszystkich samą niezłomnością. Za jego szerokimi plecami czuliśmy się tak bezpieczni jak za żelazobetonem bunkra.

To przekonanie o bezpieczeństwie zmniejszyło poczucie klęski,

która nas spotkała. Żywotny organizm, który stanowiliśmy, szybko wyrównał zaburzenia w swoim funkcjonowaniu i zdawałoby się nie zwolnił kroku. Wkrótce została nawiązana łączność z Komendą Okręgu, utrzymywana poprzednio tylko przez Bronę i Fostowicza. Sprawy jaszuńskie, burbiskie szły naprzód, płynęła amunicja, działał transport, funkcjonowały skrzynki, grały kontakty. A jednak nosiliśmy w swoim ciele grot, który potem, po miesiącach, miał dawać znać o sobie. Za tym pierwszym ciosem poszły inne. Przez całe lato i jesień 1943 trwała ciężka anemia Bazy.

Przy całej swojej wadze Fostowicz był ostatecznie pojedynczym człowiekiem, a Baza stanowiła duży zespół. Czy istotnie z tym pojedynczym człowiekiem tak wiele ubyło? To pytanie stawiałem sobie potem nieraz, nie mogąc otrząsnąć Bazy i siebie ze złości i musiałem uprzytomnić sobie w końcu, że jest ono źle sformułowane. Fostowicz nie ubył nam przecie. Jego śmierć w krytycznym dniu na Bankowej sprowadziłaby jego wielkie pozytywne wartości do zera, czyli byłaby jego ubyciem. Fostowicz aresztowany nie stawał się pozycją zerową, ale — używając języka algebry — zachowywał swoją wartość, zmieniając jej znak na przeciwny. Im wartość ta była większa gdy był między nami, tym bardziej obciążała nas ona teraz, gdy znalazł się w więzieniu.

Każdy system walki dźwiga za sobą swoje ciężary. Polski piechur z kampanii wrześniowej niósł na swoich ramionach uzbrojenie i rynsztunek często przekraczające jego siły. Amerykański czołgista z końca wojny światowej, umundurowany w lekki strój turystyczny, był związany olbrzymimi dostawami materiałów pędnych. Lotnik przecinający przestworza w aparacie wyglądającym na niematerialną zjawę, wlecze za sobą pasmo zależności od setek ludzi, którzy go obsługują na lotniskach i w warsztatach. A my w naszym najbardziej wyzbytym z obciążeń materialnych systemie walki uginaliśmy się pod brzemieniem płyty grobowej, która zatrzaśniwała się nad żyjącym człowiekiem, nad człowiekiem w więzieniu Gestapo.

LIZANIE RAN

Tymczasem uruchomione przez Kosa chody, prowadzące do Gestapo boczną furtką, okazały się skuteczne. Chodziło nam o doraźne zaprzestanie bicia Fostowicza, o wprowadzenie śledztwa na spokojniejsze tory, tak, by zyskać na czasie i móc coś przedsięwziąć bez pośpiechu, narzucanego przez codzienne relacje Asfalta. Chody Kosa prowadziły przez osobistość, zwaną w jego malowniczej nomenklaturze „Czerwona Maską”. Niezwłocznie po wpłaceniu w dn. 14 lipca 10 tys. marek, bicie ustało, aczkolwiek sprawa zachowała dalej swój pierwotny, groźny charakter. Fostowicz pozostał dalej w piwnicach jako więzień specjalny — ani na chwilę nie zdejmowano mu kajdanków. To, że po 7 dniach katowania dano mu pewne wytchnienie — stanowiło wytchnienie również dla nas.

Jednocześnie życie szło naprzód i unosiło nas na fali wypadków. W Jaszunach Frycz robił swoje bez względu na wileńskie wstrząsy. W Burbiszkach Edyp ustalił wreszcie, że skrajny bunkier zawiera interesujące zapalniki i tak cenny, ze względu na swoją rzadkość, lont wybuchowy. Żądał zmontowania trzeciej wyprawy burbiskiej, zanim bunkry nie zostaną opróżnione. Ja również odczuwałem potrzebę tego kroku, aby wykazać sobie samemu i innym, że mimo katastrofy, nie opuszczamy rąk.

W sobotę 22 lipca 1943 Burbiszki i Jaszuny miały ruszyć jednocześnie. Tam Frycz z kilku ludźmi chciał po prostu dokonać dokładniejszego rozpoznania terenu dla jego dalszej eksploatacji. Tu w Wilnie również nie chodziło o duży zespół, bo zapalniki z natury rzeczy nie są materiałem masowym i nie wymagają wielkiej siły nośnej dla ich transportu. Sprawa została starannie przygotowana. Poprzednio już dostaliśmy się z Kosem nocą do docelowego bunkra dla obejrzenia i zmierzenia kłódki,

zamykającej drzwi, którą Edyp określił jako solidną. Inną znów noc Kos i Bil spędzili w lesie, przy ogrodzeniach, obserwując ruch warty — nic szczególnego nie wykryli. W sobotni wieczór ruszyliśmy w piątkę: prócz mnie szli Bil, Grad, Iwo i Kos. Po wycięciu otworów w dwóch ogrodzeniach kolczastych, dobrze mi znanych z poprzednich ich przekroczeń, staliśmy oto we dwóch z Kosem przed drzwiami bunkra — pozostali trzej ubezpieczali nas, przyłgnięci do drzew w pobliżu.

„Aligator” otworzył szczęki. 9-ciomilimetrowy, stalowy łąk kłódki zaledwo mieścił się w ich rozwarciu. Kos zaparł jedną ręką o drzwi, a całym ciałem naległ na drugą.

W ciszy nocnej rozległo się przenikliwe, krótkie szczęknięcie — dźwięk, który nieraz słyszałem w laboratorium mechanicznym przy rozrywaniu prętów metalowych. Kłódka została mi w ręku.

Ciemne wnętrze, znane mi z relacji Edypa, było całe zastawione skrzyniami i skrzynkami, z których należało dopiero wybierać to, co najsmakowitsze. Od razu wrzuciłem do torby parę pudełek zapalników pociągowych, stanowiących moją słabość. Na samym wierzchu stało nieduże, otwarte pudełko — jak widać podręczne — ze spłonkami sowieckimi, na które spojrzałem z pewnym lekceważeniem — nie były mosiężne, ani aluminiowe, ale po prostu tekturowe. Trzeba poszukać porządniejszych. Obok precyzyjny obciskacz — wspaniałe niemieckie narzędzie, znane mi z poprzednich zdobyczy Edypa. Zapowiadany lont wybuchowy krył się gdzieś głębiej...

Ale nie było nam dane wybierać. Drzwi uchyliły się i za-brzmiał w nich przyciszony, spokojny głos Grada. Wyrecytował tylko trzy słowa: „Warta jest zaalarmowana”.

Teraz szybko. Zgarniałem do torby, co się dało schwycić — jakieś pudełka. W locie wbiłem w kieszeń napraszający się obciskacz. Nawet pogardzane spłonki tekturowe... W tej chwili las już rozbrzmiewał gwałtowną strzelaniną, której natężenie od razu wskazywało, że zagrały półautomaty.

Z pistoletami w rękach rzuciliśmy się do drzwi. Kos wyskoczył pierwszy na rozświetloną błyskami wolną przestrzeń przed bunkrem i od razu udołączył ujadanie swego ufi do rozpętanej strzelaniny. W ciągu paru sekund wywalił magazynek w kierunku błyskających miarowo przed nami luf „dziesiątek”. Ja miałem ręce zajęte, bo niosłem torbę. Uskoczyliśmy za skarpe, gdzie od razu przywitał mnie głos Grada: „Iwo ranny — sam popełził za druty!”. Kos zamienił magazynek. Przykryci skarpe, ruszyliśmy wzdłuż płotu do naszych otworów, oznaczonych w mroku

kartkami papieru przypiętymi do drutów. Wypełziliśmy na zewnątrz.

Tam u góry strzały grzmiały dalej. Kos wypuścił nowy magazyn z szybkością całkiem niezłe imitującą automat. Na ścieżce siedział Iwo — był ranny w samo kolano. Porwaliśmy go i już byliśmy poza zasięgiem ognia. Nałożyłem mu opatrunek wprost na spodnie. Trzeba było odrywać się bez zwłoki.

Rana była ciężka. Wlot kuli na samej rzeźce, wylot po tylnej stronie kolana — staw strzaskany. W jaki sposób Iwo mimo to przebył tak szybko blisko 100 metrów, w tym dwa otwory w drutach kolczastych — pozostanie tajemnicą jego czołgania się. Dalej nieśliśmy go we trzech, zmieniając się kolejno. Był wysoki, ale szczupły, więc niezbyt ciężki. Za przejazdem kolejowym wyszliśmy ze wzgórz na równinę nadrzeczną. Jak zwykle w takich wypadkach, za pierwszy warunek bezpieczeństwa uważałem odskok za Wilię. Tymczasem do rzeki mieliśmy jeszcze parę kilometrów, bo należało okrążyć osadę Dolna.

Już po oddaleniu się od miejsca walki okazało się, że Kos podczas strzelaniny zgubił naszego „aligatora”. Uważałem to za bardzo groźną okoliczność, gdyż pochodzenie tego narzędzia ze składów niemieckich mogło zdemaskować Edypa. Nie było jednak mowy, by wracać po zgubę.

Szliśmy szeroką, brukowaną drogą, stanowiącą objazd przy remontach szosy głównej, która po wyjściu z miasta, zbliża się do Wilii tak, że mieliśmy ją przeciąć tuż nad rzeką. Na poboczu zamajaczył samotny mężczyzna koło pasących się koni — poza tym zupełna pustka i cisza, której Iwo nie zmącił ani jednym jękiem, mimo tak ciężkiej i bolesnej rany. Parę razy prosił, by położyć go na ziemi i dać chwilę wytchnienia, po czym znów podnosiliśmy go, zakładając po kolei na ramiona jego storturowaną nogę. Mimo, że wszyscy upadaliśmy ze znużenia, parliśmy jednak naprzód, byle do przeprawy nie wiedząc, jak sobie z nią poradzimy. A co za rzeką?

Wreszcie Iwo znalazł się już wygodnie ułożony na nadrzecznej skarpie. Skoczyliśmy z Kosem w kierunku zabudowań nadrzecznych, stanowiących przedmieście przedmieść Wilna. Jedna łódka stała przy brzegu, druga opodal przy solidnym palu, sterującym z dna rzeki o kilka metrów od brzegu — obie na tęgich łańcuchach i kłódkach. Szarpaliśmy się z nimi długo. Wreszcie zdecydowaliśmy się zmącić ciszę nocną — Kos przystawił lufę ufi do łańcucha. Strzał huknął i wystrzępione ogniwo spadło na piasek.

Już na rzece zdecydowałem się nie zapuszczać się z rannym

na bezludny i bezdrożny prawy brzeg, a uznać Wilię za naszą właściwą drogę. Dokąd jechać? Oczywiście do Ponaryszek. Można by może dziwić się tej decyzji, skoro byliśmy na przedmieściach Wilna, ale wydawała się ona słuszną: dawała możliwość transportu rannego w warunkach dość dogodnych, bo łodzią z biegiem rzeki i w kierunku oddalającym nas od spodziewanej oblawy. Dom ponaryski stał tuż nad rzeką, a zarazem bliskość szosy i kolei przybliżała go do Wilna. A zatem — do Perlicy.

Łódka — nieduża płaskodenka — frunęła na drugi brzeg, napędzana rękami, kijami, jakimś ułamkiem deski. Kos wysiadł, zabierając ze sobą torbę. Miał zamelinować zdobycz, a potem doczekać świtu i rwać co żywo do miasta, by zorganizować transport i pomoc lekarską. Nas pozostałych prąd rzeki uniósł na zachód. Do świtu mieliśmy dobrych parę godzin, trzeba było wyzyskać ten czas, toteż pobudzałem nieustannie łódkę do szybkości. wyrwaną z płotu żerdzią. Iwo leżał na pościeli skleconym z nalamanych gałązek sosnowych. Jeszcze w zupełnej ciemności przemknęliśmy koło błyskającej światłami papierni w Grzegorzewie. Pierwszy raz przebywałem nocą tę tak dobrze mi znaną trasę kajakową. Przez „rapy” w Sojdziach przejechaliśmy już o świcie. Tyle razy przebywałem je szczęśliwie, a akurat tym razem musiałem wjechać na kamień, skręcona łódź przechyliła się i Iwo o mało nie znalazł się w wodzie.

Po paru godzinach Iwo leżał już na łóżku Perlicy w Ponaryszkach. W południe Kos z lekarzem przyjechali ciężarówką. Rana nie krwawiła i miała wygląd dość niewinny, ale los nogi Iwona był zdaniem lekarza przypieczętowany. Wraz z materacem zanieśliśmy go do stojącego na szosie samochodu. Maszyna ruszyła i Iwo zakończył swoją ostatnią wyprawę bojową. Ubył z naszej ekipy pistoletowej człowiek, najstarszy z nas i o największym doświadczeniu. Iwo brał udział w działaniach dywersyjnych jeszcze w 1939 roku na początku kampanii wrześniowej.



Tej samej nocy, kiedy my poraliśmy się krwawo na Burbiszkach z bunkrem obfitującym w zapalniki, w Jaszunach wyprawa Frycza doznała również niepowodzenia. Frycz i jego dwaj towarzysze Rawicz i Leliwa, podczas nocnego rozpoznania obszernego terenu składów, starli się z patrolem niemieckim, który otworzył do nich ogień karabinowy z odległości kilkunastu metrów, zza sztabla bomb, do którego zbliżali się przy swoich poszukiwaniach. Wycofując się w różne strony, pogubili się wzajemnie

i pojedynczo wydostawali się za druty, nie wiedząc, co się z pozostałymi stało. Frycz i Rawicz odnaleźli się szybko, ale w ciągu paru dni nie było wiadomości o Leliwie i istniały powody do przypuszczeń, że pozostał na terenie magazynów, zabity lub ranny. Dopiero potem sytuacja wyjaśniła się. Kronika pod datą 26 lipca podaje epilog obu wypraw:

Amputacja nogi Iwona. Leliwa odnaleziony.

17 WRZEŚNIA 1943

Na 15 września została wyznaczona kolejna wyprawa u Frycza, na którą udał się zespół z Wilna. Wyprawa nie doszła do skutku wobec zamieszania wywołanego w okolicach Jaszun i Bieniakoń przez przybycie tam polskiego „batalionu Lecha”. Oddział ten, należący do Nowogródzkiego Okręgu Wojskowego, pojawił się w południowej Wileńszczyźnie we wrześniu i wywołał zmienne uczucia podziwu dla jego liczebności i uzbrojenia, a również nieufności i podejrzeń co do jego właściwych celów. Brona (stawiający pierwsze kroki w Puszczy Rudnickiej) a potem Frycz porozumiewali się z dowódcą całości Lechem i nie mogli określić charakteru tego silnego oddziału partyzanckiego. Lech odmówił udziału w napadzie na magazyny jaszunskie, proponowanym przez naszą stronę i rozbroił ludzi Frycza (w tej liczbie i jego samego), gdy ci zjawili się dla porozumienia z przybyszami. Dopiero później została dokładnie ustalona właściwa rola tego batalionu, prowadzącego pewną samodzielną politykę wśród panującego na naszych ziemiach stanu, który można by określić, jako *bellum omnium contra omnes*. Okazało się również, że z samym Lechem zetknąłem się już poprzednio — był to ten sam młody człowiek, który na wiosnę, po zwolnieniu z niemieckiego więzienia, przedostawał się do Warszawy przy pomocy swojej krewnej Zofii Borkowskiej — tej, w której mieszkaniu zostałem aresztowany w maju, a która zakończyła życie samobójstwem w wileńskim Gestapo.

Tak czy owak wyprawa Frycza do magazynów została odwołana. Nazajutrz musiałem wrócić do Wilna, gdyż na dzień następny 17 września spodziewałem się wezwania od Aasfalta — w tym celu wywieszał on o umówionej godzinie na drzwiach garażu Gestapo swój letni płaszcz. Do miasta przybyłem dość

późno po licznych nieporozumieniach z moim rowerem. Była to tzw. Lucynda — tym imieniem została nazwana nasza popularna rowerzyca (jeździło się przeważnie na rowerach damskich, jako nie podlegających rekwizycji) rozklekotana i ledwo powłócząca kołami po sezonie ostrych jazd. Byłem zmęczony i wcześniej poszedłem spać przed jutrzejszym rannym spotkaniem.

W nocy obudziło mnie dzwonienie i dobijanie się do drzwi. Do mieszkania wkroczyło paru gestapoców z pistoletami w rękach. Po krótkiej indagacji, dotyczącej moich personalií zostałem aresztowany.

Panowałem nad sobą należycie, ale byłem przerażony. Przypisywałem moje uwięzienie wykryciu moich stosunków z Asfaltem, z którym miałem się spotkać za kilka godzin. Gdyby ta przyczyna wchodziła w grę — życie moje nie byłoby wiele warte po znalezieniu się w więzieniu. O ucieczce przy wyprowadzaniu mnie z domu nie było mowy w tę jasną noc i przy odległości od moich drzwi do bocznej bramy Gestapo mniejszej, niż sto metrów. Brama ta mimo nocnej pory była otwarta, na podwórzu panował ruch. Nie wprowadzono mnie do dobrze znanego mi podziemia, ale na piętro, do obszernego, narożnego gabinetu, pełnego ludzi pomimo nocnej pory.

Tu dopiero odetchnąłem — przed niemieckim urzędnikiem na biurku leżał długi spis nazwisk. Moje zostało w nim odszukane, opatrzone dopiskiem „Leutnant” i zaznaczone odpowiednim ptaszkiem. Jasne było, że chodzi tu o masową akcję, a nie o robotę indywidualną. Nie odebrano mi ani dokumentów osobistych, ani pieniędzy, ani zegarka. Z poczuciem niemal komfortu znalazłem się w celi na dole, w jednej ze znanych mi, wydłużonych kamer, wychodzących na ul. Ofiarną, zaopatrzonych w podnoszone obciążone brezentem ramy żelazne, służące za nary.

Siedziało tam w ciemności i milczeniu kilkanaście osób stłoczonych na podłodze i na przyściennych legowiskach. Stopniowo przybywali coraz to nowi. Z urywków rozmów wynikało, że wszyscy są aresztowani tejże nocy. Przysiadłem na brzegu nar i zadrzemałem, wciąż przeżywając błogość trafienia do więzienia w tak obfitym gronie. Groźny cień indywidualnej sprawy Asfalta zniknął, gdy tylko ujrzałem moje nazwisko na ogólnym spisie. Inne cele obok też zdawały się być wypchane po brzegi.

Dniało. Rozpoczął się szmer ogólnej rozmowy. Nie znałem nikogo z tych kilkunastu mężczyzn. Był to wszystko element miejski — robotnicy i inteligenci — wyłącznie polski. Z rozmowy dwóch moich sąsiadów, którzy przywitali się, gdy mrok ustąpił,

jak starzy znajomi, dowiedziałem się, że jeden z nich jest oficerem zawodowym. Był to wysoki, szczupły starszy pan o spokojnych ruchach i opanowanej twarzy. Wyrażał poglądy pesymistyczne na nasze położenie, które ja skłonny byłem oceniać bardziej różowo, wciąż mając na myśli Asfalta. Spodziewałem się, że jeżeli dłużej zostaną przetrzymani w Gestapo, to zetknę się z nim tu, co będzie usprawiedliwieniem mojej nieobecności na naszym dzisiejszym spotkaniu, nie mającym dojść do skutku.

Nadchodziła godzina 6-ta. Na korytarzu wszczął się ruch. Dochodziły łomoty jakichś drzwi i jakiś głos wyczytywał wciąż tę samą grupę kilku nazwisk. Siedzieliśmy nad słuchując.

Drzwi otworzyły się. Stał w nich oficer w mundurze Gestapo o ostrej twarzy, ściągniętej w ów grymas bezwzględności, która ma nie dopuścić żadnej słabości, ani wahania przy spełnianiu ważnej, rozstrzygającej czynności. Twarz człowieka, który obcuje ze śmiercią nie ponosi żadnego jej ryzyka. Za tą złowieszczą twarzą wyprężony żołnierz litewski w szarym mundurze *Ypatingu Buris* z karabinem u nogi. I wśród grozy, która wionęła od drzwi, potoczył się skandowany cudzoziemskim akcentem szereg polskich nazwisk:

Antuszewicz, Iwanowski, Orłowski, Biłgorajski...

Stojący obok mnie starszy pan drgnął, a potem opanowanym krokiem ruszył do drzwi. Niemiec odwrócił nieco twarz, jakby nie życząc sobie oglądać zbyt dokładnie wywołanego. Oczy jego, rysujące się niejasno za wypukłymi szklami nieco staromodnego *pince-nez* pochyliły się znów nad listą.

— Lothe, Gryszkiewicz, Manrik — dokończył, ale nikt z nas nie wystąpił.

Po godzinie ciszy i przeżuwanych przez nas w milczeniu myśli, ruch znów się rozpoczął. Tym razem otwarto wszystkie drzwi cel, na korytarz wyległ tłum ludzi. Staliśmy w dwuszeregu, liczeni przez Litwinów, potem schodami wyprowadzono nas z piwnicy na jasne podwórze.

Długo czekaliśmy, ustawieni w szeroki czworokąt dwuszeregów. Zauważyłem kilku znajomych, wśród nich prof. Czeżowski i mego kolegę inż. Klotta. Mogłem rozejrzeć się w sytuacji bez pośpiechu. Wszystko wskazywało na bliski transport. Za płotem widać było brezentowe budy kilku ciężarówek, które potem wjechały na nasz plac. Opodal stało auto osobowe, koło którego kręciło się paru mechaników — wśród nich mój Asphalt. Czyścił zawzięcie karoserię, łypiąc oczami na boki. Wysunąłem się na krok przed dwuszereg, by mnie łatwiej zauważył. Oglądałem okna mego mieszkania o sto metrów za płotem, lecz nie było w nich widać żadnego ruchu.

Nic nie wskazywało, by oczekiwał nas jakiś zbyt dramatyczny epilog. Z ulgą patrzyłem na niezbyt liczną eskortę złożoną z *ypatingów*. Kilku gestapoców kręciło się po placu, wśród nich oficer w *pince-nez* widziany przeze mnie przed godziną — był to szef wileńskiego Gestapo, *Hauptsturmführer* Neugebauer. Kilku Litwinów po cywilnemu, z automatami. Wśród więźniów jakieś kobiety, jakieś niewyraźne typy z tobołkami na plecach — nie, to nie wyglądało na ekspedycję ponarską.

Po segregacji zostaliśmy załadowani do ciężarówki. Znalazłem się w głębi wozu, ściśnięty w tłoku pod budą. Dwóch *ypatingów* zasiadło w tylnych kątach wozu z karabinami w rękach. Jeden z nich mówił dobrze po polsku. Od razu został zasypany przez nas jednym pytaniem: dokąd nas wiozą? czy na Ponary? Odpowiadał drwiąco, że wyjazd na Ponary nie tak wygląda — nie wiezie się na rozstrzał ciężarówki mężczyzn z dwoma ludźmi eskorty. Nie można było odmówić mu racji. Dużo rozsądniej było przyjąć, że jedziemy do obozu w Proweniszkach pod Kownem.

Nasz samochód ruszył jako pierwszy, tuż za nim sunęło auto osobowe, do którego wsiadł Neugebauer i paru cywilnych — wszyscy z automatami. Dalej w zwartej kolumnie posuwał się rząd ciężarówek. Z głębi wozu śledziłem za biegiem mijanych ulic. Jechaliśmy pod górę na Pohulankę.

Temperatura wewnątrz wozu rosła. Natarczywe zapewnienia eskorty, że czekają nas tylko Proweniszki, niepokoiły nas. Dla mnie, znającego teren, położenie było, lekko mówiąc interesujące. Rzecz w tym, że kierunek kowieński (Proweniszki) i grodzieński (Ponary) biegną po wyjściu z miasta jedną drogą, a rozwidlają się dopiero po 10 kilometrach, na górze, koło kapliczki Ponarskiej, po pokonaniu całej wysokości wzgórz Ponarskich przez parokilometrowe serpentynowanie szosy po zboczach. Te parę kilometrów drogi krętej, spadzistej i gęsto z obu stron zarośniętej — to jedyny odcinek, na którym można próbować ucieczki. My jednak dowiemy się o swoim losie akurat po przejechaniu tego odcinka. Jeżeli koło kapliczki samochód skręci w lewo, to nie będzie już nic do zrobienia na tych dwóch czy trzech końcowych kilometrach równiutkiej szosy. Wiele danych wskazuje, że transport jedzie istotnie do Proweniszek, ale kto nam zaręczy, czy nasza pierwsza maszyna, eksportowana przez specjalny samochód osobowy, nie skręci w lewo, podczas gdy pozostałe pojedą w prawo? Po paru minutach staniemy być może przed *Vernichtungs-lager*'em, gdzie będzie nas oczekiwał *Ypatingu Buris* i jesteśmy w worku. Nie darmo przecie przesortowano nas przed załadowaniem i wydzielono ludzi młodszych, mogących uchodzić za oficerów.

Samochód przebył długą ulicę Legionową, a potem osadę fabryczną Dolna na peryferiach miasta. Zapytałem stojącego obok mnie człowieka o wyglądzie inteligenta, który wciąż indagował Litwinów, co myśli o obezwładnieniu eksporty i próbie uciezki na serpentynie — i od razu z jego wyrazu twarzy wiedziałem, że nic z tego. Zacząłem przekonywać z nielepszym skutkiem, robotnika. Zresztą mieli rację — nie ma co rozpoczynać przedwcześnie tej gry, która skończyłaby się zapewne ocaleniem tylko nielicznych, a zagładą ogromnej większości.

Na samej serpentynie podniecenie wciąż wzrastało w miarę, jak podnosiliśmy się po wirażach. Dogonił nas jakiś inny samochód osobowy z oficerami wewnątrz. Mój inteligent rzucił się nagle ku tyłowi wozu i krzyknął przeraźliwie: *Herr Hauptmann, retten sie nich!* Widocznie jakaś instytucja niemiecka starała się wycofać z transportu swoich pracowników aresztowanych w masówce, jak to się niekiedy zdarzało w tych czasach dziwacznie rozgałęzionych kompetencji. Jeszcze wyżej na serpentynie samochód stanął. Wyskoczył z niego podoficer niemiecki jadący w kabinie kierowcy i, zwracając się do nas we wnętrzu, zaczął krzyczeć, że ktoś z przodu wozu rozdziera brezent pokrycia, oczywiście w celu uciezki. Auto osobowe zatrzymało się również, wysiadł z niego Neugebauer i podszedł do nas. Jego twarz spokojna, rzeczowa, z oczami ukrytymi za tarczami szkieł, mogła uchodzić nieomal za pastorską. Zażądał tłumacza spośród nas, na co zgłosił się ów inteligent, mający być uratowany przez obcą interwencję. Powiedział tylko parę zdań swoim przekonywującym tonem: „To, co przypuszczacie, nie będzie miało miejsca, ale każda próba uciezki musi zakończyć się śmiercią uciekającego. Jedziecie do obozu pracy w Prowenizkach. Gwarantuję to wam, jako oficer”.

Ostatnie słowa: *Das garantiere ich ihnen als Offizier* brzmiały efektownie, ale daleki byłem od wiary w tę gestapowską gwarancję.

Jeszcze jeden zakręt i samochód zaczął się wspinać na ostatnie podejście ku kapliczce stojącej już na wzgórzu. Całe parogodzinne napięcie skoncentrowało się na tych ostatnich metrach. Z głębi naszej budy patrzyłem w tył, w jedynym kierunku, w którym mogłem coś widzieć. Poprzez głowy ludzkie chwyciałem ułamki znajomego krajobrazu migające w ułamkach sekund. Z moich towarzyszy nie znających terenu, wielu nie rozumiało, że losy nasze decydują się w tej właśnie chwili. Jeszcze moment — i mignęła mi z boku droga na Grodno, odchodząca w lewo. Jednocześnie pod kołami dała się odczuć gładka, betonowa nawierzchnia szosy kowieńskiej, rozpoczynająca się od rozgałęzienia.

Odprężenie, które zapanowało pod brezentową budą na dalszych kilometrach, wyraziło się jednakowo u wszystkich: poszły w ruch ołówki i skrawki papieru. Moi sąsiedzi z zadziwiającą szybkością wypuszczali swoją produkcję w świat — fruwała nad drogą, ku jadącemu za nami samochodowi osobowemu, który nie reagował na ten mało skuteczny sposób korespondowania. Z kilku mniejszych i większych kartek, które ja wyrzuciłem, żadna nie doszła do adresatów.

Samochody niosły nas po mojej, wyjeżdżonej dziesiątce razy szosie, gdzie znałem każdy zakręt i każde drzewo. Miałem przejechać o pół kilometra od Ponaryszek, ukrytych na brzegu Wilii. Mijaliśmy Grzegorzewo z budynkami fabrycznymi i długim akweduktem wzdłuż szosy, rozciągniętą wieś Bezwodna, potem Rykonty. Mało co widząc, orientowałem się raczej według chodu maszyny na znajomych mi spadkach i wzniesieniach.

Po wyczerpaniu energii korespondencyjnej wszyscy oklapli i zdawało się, że dojedziemy do owych Proweniszek bez żadnych wstrząsów. Jednakże nie było nam dane podróżować tak gładko. W odległości około 30 km od Wilna samochód podrzucił na drewnianym mostku na rzeczce Brażoła, stanowiącej dawną granicę polsko-litewską, wdrapał się na wzniesienie i tam stanął w gęsto podszytym lesie. Za nim zatrzymała się cała kolumna. Konwój wysiadł z wozów i obsadził oba brzegi drogi. Sam Neugebauer przechadzał się wzdłuż samochodów ze schmeisserem w ręku.

Wkrótce wyjaśniło się, że w naszym samochodzie, przeładowanym ludźmi, nie wytrzymały resory. Zaczęto je remontować, a jednocześnie zdecydowano usunąć część obciążenia. Kilku *ypatingów* z nastawionymi karabinami zabrało z przeładowanej maszyny trójkę więźniów i odprowadziło ją gdzieś dalej w środek kolumny. Po chwili wrócili po następną trójkę, z tymi samymi ostrożnościami. Rozumiałem, że podczas tych peregrynacji żadnych szans ucieczki nie ma, mimo gęstych krzaków o kilka kroków. Jednakże perspektywa opuszczenia pierwszego wozu, specjalnie eskortowanego z troskliwością wyrażoną przez kilka automatów, wydawała mi się korzystna, toteż zacząłem się przepychać ku tyłowi, gdy eskorta zjawiała się po trzecią trójkę. Wyskoczyłem z wozu ostatni, za dwoma innymi towarzyszami i po chwili zostałem wepchnięty, również jako ostatni, do innej, podobnie zatłoczonej maszyny w środku kolumny. Znalazłem się więc z samego tyłu, tuż przy odkładanej burcie ciężarówki.

Nie rozumiałem jeszcze, co z tego położenia może wyniknąć, ale wiedziałem jedno: by coś przedsięwziąć, muszę mieć w tym

tłoku pewną swobodę ruchów. Jeżeli zostaną zaciśnięty tak jak w poprzednim samochodzie, to w ogóle się nie ruszę, nawet w najpomyślniejszych warunkach. Toteż zaraz przykląknę, przysiadłem, rozpląszczyłem się, jak kokosz, by zająć jak najwięcej miejsca. Po prawej stronie przytykałem do siedzącego na ławce starszego człowieka o wyglądzie spekulanta, który od razu ochraniał przed moimi żywymi poruszeniami swoje manatki.

Z głębi samochodu dochodziły rozmowy kilku kobiet, widać było typowe więzienne twarze i typowe więzienne tobołki — to była jakaś poślednia zbieranina ludzka wieziona w zwykłym trybie z więzienia do obozu. Las po obu stronach wydawał się jednakowo gęsto podszyty, ale strona południowa była dogodniejsza, bo po północnej, niedaleko od szosy biegł nasz tor kolejowy — ten sam, który atakowaliśmy kilkakrotnie ubiegłej zimy właśnie w tych okolicach. Rów przydrożny był spory, krzaki bezpośrednio za nim. Następny samochód stał o kilkanaście metrów, a odległość ta powiększy się zapewne przy ruszaniu. Byłem nieodpowiednio ubrany w długim i luźnym płaszczu, ale zdejmowanie go w tym momencie uważałem za zbyt demonstracyjne.

Konwój zajął miejsca w maszynach. Do naszej wdrapało się dwóch Litwinów, jeden w szarym mundurze ypatingowskim, drugi w zwykłym, zielonym płaszczu policyjnym. Fluid powodzenia zafalował jeszcze silniej — usiedli obaj obok siebie, po jednej stronie burty, a nie jak zwykle po dwóch rogach samochodu. Moje lewe biodro przytykało do kolana policjanta mundurowego, który z głową zwróconą w stronę towarzysza, zajęty był rozmową.

Przy całym dążeniu, by nie zwracać na siebie uwagi i zachować pozory obojętności — wciąż wierciłem się, podciągając płaszcz, chowając i nakładając okulary, przekładając różne przedmioty po kieszeniach. W ręku miałem mój jedyny bagaż — mój sweter, śliczny, kremowy, nowiutki sweter, roboty słynnej trykotarki Polci z Ponaryszek. Musiałem go porzucić z bólem serca. Kiedy wsunąłem go pod ławkę, by się nie plątał pod nogami, przypomniałem sobie, że w rogu kieszonki mam w nim wszytą moją „landrynkę” — pigułkę angielskiej trucizny — należało ją usunąć. To całe niespokojne kręcenie się wywołało wiele krytycznych uwag ze strony mego sąsiada, ale nie zwróciło uwagi zagadanego policjanta.

Maszyna zwolna ruszyła. Przejechała już kilkanaście metrów, a nie nabrała szybkości, jakby zapraszając do wysiadania. Podniosłem się na nogi z mojej rozpląszczonej pozycji i poczułem luz koło siebie. Przez chwilę patrzyłem na następny samochód, ruszający właśnie i kątem oka śledziłem odwróconą ode mnie

z lekka głowę policjanta. Przed nią sterczała do góry lufa jego karabinu, trzymanego pionowo między kolanami. Powoli, nie wierząc jeszcze samemu sobie, zacząłem windować prawą nogę na krawędź burty.

Kiedyś, przed wojną, o mało nie najechałem moim motocyklem na ruchliwej ulicy na jakąś starowinkę, która przebiegała przez jezdnię drobnym, niedołącznym truchcikiem, wtuliwszy głowę w ramiona, nie patrząc na boki, a zdając się na los szczęścia. Teraz sam przedstawiałem obraz tej staruszki. Do tej pory byłem baczny, spostrzegawczy, posiadałem dar trafnej oceny i szybkiej reakcji. Ale teraz, w tym ruchu nogi przesuwanej chyłkiem, to wszystko zamarło we mnie i „wtuliłem głowę w ramiona”. Nie widziałem już ani policjanta, ani spekulanta, ani niemieckiego podoficera w kabinie szoferskiej następnego samochodu. Spuściłem oczy i miałem przed nimi tylko połę mego płaszczka wydymaną od dołu przez unoszące się kolano. To kolano rozdęte i wielkie, zatrzymało się gdzieś już blisko mojej twarzy — stopa trafiła na krawędź deski. Nastąpiło nieświadome pochylenie ciała do przodu, wciąż jeszcze wolniutkie i nieznaczne...

W następnej chwili moja wewnętrzna sprężyna wyrzuciła mnie za burtę.

Ale zanim zdołałem wylądować na ziemi wolności umykającej mi spod nóg w ruchu maszyny — już wszystko zmieniło się znowu. Już w powietrzu poczułem, że jakaś siła przygwaźdza mnie do samochodu, że jestem schwycony z tyłu za płaszcz. Płaszcz ten zadarł się gwałtownie do góry z trzaskiem odskakujących z przodu guzików, szarpnął mnie pod pachami i uchwycił za szyję. Mimo tego zaburzenia w trakcie skoku i wychylenia ciała z pozycji pionowej, wylądowałem na obie nogi i nie dałem się obalić przez ułamek sekundy, kiedy oddalający się samochód ciągnął mnie tyłem za sobą.

Mechaniczny układ naszego ciała, rozłożenie sił w nim i na nie działających, dochodzi do naszej świadomości z szybkością, o którą może kusić się współczesny mózg elektronowy, ale która jest nieosiągalna dla zwykłej kalkulacji technicznej. Zagadnienie, jakim jest statyczna analiza układu sił stworzonego przez moje ciało wleczone za samochodem i ciało policjanta trzymającego mnie za płaszcz — zostało rozwiązane w mojej podświadomości w drobnym ułamku sekundy: nie uznałem się za pojmanego, ani przez mgnienie oka nie miałem poczucia, że utraciłem wolność w poprzedniej sekundzie zdobytej. Daimonion, którego skrzydła czułem nad sobą, przetłumaczył błyskawicznie na swój język sens równania momentów, z którego wynikało, że powstała siła pozioma spowoduje obrót ciała P (policjant) koło krawędzi b (burta)

— innymi słowy, że policjant sam wypadnie z samochodu, jeżeli nie puści mego płaszcza.

I tak się stało. Samochód włókł mnie tylko przez część sekundy. W następnym ułamku policyjny chwyt ustał i w tejże chwili ja rozciągnąłem się jak długi na szosie.

Trudno jest oddać sprężynową szybkość ruchów w takim momencie. Poderwałem się z ziemi, jakbym się od niej odbił. Z boku miałem ciemną masę samochodu, który nie oddalił się jeszcze więcej, niż o parę metrów. Rzuciłem się ku brzegowi szosy, mając przed sobą szeroki rów przydrożny, kiedy nowa okoliczność targnęła mną w inną stronę: kątem oka dojrzałem jakiś kształt podłużny, leżący na szosie między mną a samochodem — to karabin. Rzuciłem się w bok wielkim skokiem i już byłem przy nim. Nie zastanawiałem się, czy spadł z samochodu, czy z nieba. Następnym skokiem przesadziłem rów i wpadłem w krzaki.

Przedzierać się przez gęste poszycie w luźnym płaszczu a do tego z karabinem w ręku, nie byłoby łatwo, ale jeszcze raz miałem szczęście — od razu wypadłem na wąską ścieżkę wydeptaną przez bydło. Był to zapewne jeden z szybszych biegów w moim życiu. Za mną brzmiały strzały karabinowe oddawane z szosy bez przekonania, ani jeden automat nie zagrał. Rwałem przed siebie zziębnięty, mokry od potu, nakładając w biegu okulary, repetując karabin, podciągając opadające spodnie, bo szelki pękły mi w skoku, siąkając nosem i chlapiąc krwią po przejechaniu się dłońmi po nawierzchni szosy przy upadku. Dopiero po paru set metrach poczułem coś niewyraźnego w prawej stopie. Kula? Nie, bucik cały, krwi nie ma, widocznie uszkodziłem sobie coś przy skoku.

Po jakimś czasie napięcie zaczęło ustępować. Nic nie wskazywało na niebezpieczeństwo. Szosa została daleko z tyłu i nic od niej nie dochodziło do moich uszu. Natomiast uszy te zaczęły same sobie tworzyć halucynacje słuchowe idące za odpływającym napięciem. Jakieś głosy ludzkie, jakieś szumy motorów, jakieś nawet dalekie strzały. W pewnej chwili posłyszałem wyraźnie niemiecką komendę: *Feuer!* Padłem na ziemię z karabinem do strzału, ale nic nie potwierdziło mego wyimaginowanego zagrożenia.

Miałem zamiar przerzucić się na północną stronę szosy i dobrze znanymi mi lasami przebierać się do Ponaryszek, ale przyszło mi porzucić ten projekt — noga bolała coraz to bardziej. Nie widać na niej było żadnego uszkodzenia, ale puchła w kostce i z coraz to większą trudnością dotykałem nią ziemi.

Parę kilometrów przekuśtykałem, używając jako laski to karabinu to różnych przygodnych leśnych kijów. Wlokłem się, odpoczywałem, wstawałem znowu, zalany beztroską, ogarnięty zapachem sosnowym. Życie, którego wartości lepiej nie oceniać zbyt dokładnie, chodząc ścieżkami wojny, przemówiło do mnie całym swoim blaskiem: wolnością i lasem.

Ta radość życia towarzyszyła mi, gdy postępując z bólu wgramoliłem się do napotkanego leśnego wykrotu, by tam rozpiąć spodnie.

PUSTELNIA

Masowe areszty w nocy z 16 na 17 września 1943 roku były akcją odwetową za zabicie o parę dni wcześniej niejakiego Padaby, litewskiego agenta policyjnego, osobnika o kryminalnej i pijackiej przeszłości. Został on zastrzelony przy ul. Kalwaryjskiej. Drakońska reakcja niemiecko-litewska polegała na rozstrzelaniu 10 osób i na masowych aresztach, obejmujących ponad 100 ludzi. Pośród rozstrzelanych znajdowali się profesorowie Uniwersytetu Wileńskiego Pelczar i Gutkowski oraz ogólnie znany adwokat Engiel. Zwłaszcza haniebne było rozstrzelanie Pelczara, europejskiej sławy uczonego, specjalisty od walki z rakiem, człowieka stanowiącego prawdziwy moralny autorytet. Nie ulegało wątpliwości, że zestawienie listy ofiar zrobione było rękami litewskimi — byli to przeważnie ludzie, mający zatargi ze stroną litewską w pracy zawodowej lub społecznej. Odnosiło się to przede wszystkim do samego Pelczara, napotykanego na przeszkodę ze strony litewskiej przy szeroko przezeń rozwiniętej pracy społecznej na terenie Wilna. Był on organizatorem na wielką skalę akcji pomocy ofiarom wojny. Pracę tę rozpoczął zaraz po zakończeniu kampanii wrześniowej. Postawę moralną Pelczara charakteryzuje taki fakt: w roku 1940 skierowano doń propozycję objęcia kierownictwa Królewskiego Instytutu Badań Raka w Rzymie. Odmówił i pozostał w Wilnie.

Ze strony wojskowych medycznych władz niemieckich były przedsięwzięte usiłowania, by go ratować, ale nim zdołano je uruchomić — więźniowie już znaleźli się na Ponarach. Gestapo demonstrowało swój przywilej robienia na przekór nie tylko władzom cywilnym i armii, ale i samemu zdrowemu rozsądkowi.

Ze stu aresztowanych część szybko wróciła z Prowenizsek,

inni pozostali tam na długo. Wstrząs wywołany przez tę masową represję odbił się silnie na życiu miasta.

Ja z tego życia zostałem na razie wyłączony.



Szeroko rozlana Wilia. O kilometr poniżej zaczyna się już pierwsza rapa w Sojdziach, więc rzeka zwalnia nieco przed nagłym skokiem, łagodzi i rozprasza swój nurt. Na głębokich buchtach wzdyma się i kołuje niezdecydowanie osłabły rzeczny prąd.

Za rzeką drugi brzeg wyniosły, pokryty lasem. Ciemna ściana dębów, tych samych ponarskich dębów o swoistej zieleni, zamyka ostro widnokrąg, odcina mnie od szosy, od Wilna, od wojny. Na moim brzegu, wśród zagajników śmieszna chatynka, z daleka wygląda jak budka. Składa się z małej izdebki i sionki. Jest humorystyczna w swojej zupełnej samotności, jak Chaplin w meloniku na wielkim polu śnieżnym. Dalej wzgórze pokryte sosną, na jednym z nich samotna mogiła z wysokim krzyżem dopomina się o balladę. Jasne wrześniowe i październikowe dni. Czasem nocą deszcz bębni po gontach. Czasem doleci odgłos klaksonu z szosy za rzeką lub zahuczy fabryka w Grzegorzewie. Cisza.

W tej ciszy upływają tygodnie. Tu, nad Wilią czas mierzy się tylko zmianą deseniów, które jesienne przymrozki stylizują na leśnej ścianie za rzeką. Co dzień patrzę na żółtość brzoź, na czerwień osin w obramieniu ciemnego dębowia. Grzybowe zapachy idą od sośniaków. W tchnieniu wody, które w ciepłe wieczory unosi się od rzeki, czuć lekką przymieszkę organicznego rozkładu. W nocy, gdy mi się nie śpi, wychodzę kuśtykając z mojej chatynki. Wiatr krzyżuje smugi zapachów i moduluje odległy szum od dołu rzeki — to huczy woda na rapach w Sojdziach.



Skałkówka miała już pewne tradycje. W latach przedwojennych odbywały się tu kursy szybowcowe. A w końcu 1941 roku lub na początku 1942 roku zaintalowała w tej właśnie małej chatce grupa żytych kolegów wśród nich brat naszej Komarowej Władysław Gortyński (pseud. Sosna) i jego bliski przyjaciel Stanisław Łapiński. Mieszkańcy Skałkówki pracowali formalnie rzecz biorąc na pobliskich torfowiskach, lecz byli związani ze zorganizowanym w pobliskiej fabryce papieru w Grzegorzewie oddziałem AK, dowodzonym przez Stanisława Łapińskiego. W skład tej grupy wchodziła także ludność miejscowa.

Nasze kontakty z mieszkańcami Skałkówki były dobre. To oni

byli naszymi przewoźnikami przez Wilię po kwietniowej wyprawie do Burbiszek.

W maju 1943 roku Skałówka opustoszała. Stanisław Łapiński zginął zastrzelony przez Gestapo w zasadzce w mieszkaniu przy ul. Ludwisarskiej. Gortyński także aresztowany, ale udało nam się go wykupić z gestapo litewskiego, zanim sprawa trafiła do Niemców, zaszył się w Puszczy Rudnickiej, po czym wszedł do Bazy jako Sosna. Nam pozostał w spadku Witold Piotrowicz, który jako Krab szybko zrósł się z nami mocno, stał się nieodzowny.

Opuszczoną od maja chatkę zajęły mrówki. Krab usunął ich wielki kopiec, uzupełnił szyby, wyremontował piec, urządził prycze piętrowe, zdobył nawet z grzegorzewskiej fabryki papier, który zastąpił tapety.

Skałówka przybrała nazwę Pustelni.



W Pustelni (nazwa ta ustaliła się od razu — zaledwo mogę sobie teraz przypomnieć, że miejscowość ta figuruje na mapie jako Skałka) przesiedziałem prawie do zimy. Stopa długo nie chciała wrócić do stanu używalności. Diagnoza chirurga brzmiała: „złamanie kości skokowej śródstopia”. W Wilnie pokazywać się nie chciałem, zresztą nie było potrzeby tam jechać, bo lekarz zalecił tylko leżenie, spokój i trzymanie nogi w pozycji uniesionej dla ułatwienia cyrkulacji krwi. Tak więc kilka tygodni spędziłem na narze wbudowanej między piecem a okienkiem chatynki na kurzej stópce.

Wbrew nazwie mego schronienia nie byłem w nim samotny. Gospodarstwo przez pewien czas prowadziła żona Edypa „Michalina”, wycofana z Ponaryszek, które zostały uznane za zagrożone po moim aresztowaniu. W ślad za nią pojawił się Edyp, zatrudniony jako robotnik przy badaniach geologicznych prowadzonych w okolicy. Również grasował tu Krab jako gospodarz lokalu i mniej lub więcej autentyczny pracownik papierni w Grzegorzewie. Dwupiętrowa nara, na której rezydowałem, ugięła się nieraz w nocy, gdy do kompletu dołączali z Wilna Grad, Kolarz lub Komarowa, a o zmierzchu Perlica z wypchanym koszykiem przemykała się z niezbyt dalekich Ponaryszek — owa cynie witana żywicielka Pustelni.

Wbrew pierwotnym obawom sprawa mojej ucieczki „pryszła” w Gestapo. To było w stylu epoki. Wielkie akcje masowe tego rodzaju, zarówno niemieckie, jak sowieckie, kończyły się tak samo nagle, jak się zaczynały, i nie wlokły za sobą „ogonów”.

Nie odebrano mi dokumentów przy aresztowaniu. Zabrakło jednego więźnia w transporcie? Na to miejsce oddano wśród ogólnego śmiechu „rozbrojonego” przeze mnie policjanta. Nie wiem, w jaki sposób uzupełniono brakujący karabin. Spadł mi on z samochodu, ale zarazem i z nieba — bez tego „argumentu” w rękach nie uszedłbym zapewne pogoni z uszkodzoną nogą. Konwój strzelał z drogi, ale wolał nie zapuszczać się w krzaki.

Wobec braku objawów niepokojących Michalina wróciła do Ponaryszek. Natomiast od strony Wilna zaczęła dopływać do Pustelni inna treść, która wkrótce miała wypełnić mały domek.

Ta jesień była poświęcona w naszej pracy raczej na procesy wewnętrzne, niż na czyny mające przysporzyć nam chwały. Zresztą dla całego Okręgu Wileńskiego był to okres ustalenia się i twarzenia pewnych form organizacyjnych. My, Baza, lizaliśmy wciąż swoje rany, odniesione latem i jesienią. Przed niedawnym czasem padło słowo „Kedyw” jako nieznana nazwa owej jednostki, do której Baza została włączona. Dowódca całości mjr Dąbek i jego zastępca kpt. Kostek przejęli nas i rozpoczęli sprawowanie swej władzy, co nie obeszło się bez pewnych zgrzytów. Obaj byli to oficerowie zawodowi, którzy nie zawsze potrafili utrafić we właściwy ton w tych specyficznych warunkach. Baza była oddziałem (niewątpliwie to słowo jest tu na miejscu, a jednak chciałoby się powiedzieć raczej: gronem osób) demonstracyjnie „cywilnym”. Jednocześnie mieliśmy pewne poczucie wartości własnej — leżące na poboczach torów wagony kolejowe i przeładowane amunicją i trotylem meliny Frycza stanowiły jakąś tego podstawę. W tych warunkach oficerowie zawodowi nie zawsze wiedzieli, jak wydobyć ton pośredni między swymi dwoma zasadniczymi sposobami bycia: „jak w kasynie” i „jak w koszarach”. Potem, gdy włożyli mundury i znaleźli się w polu, byli dużo bardziej przekonujący.

Tak czy owak należało realizować to zadanie, które Baza sama sobie postawiła, a które znalazło aprobatę Komendy Okręgu: sieć dywersji kolejowej dookoła węzła wileńskiego. Węzeł ten, jak wiadomo, zbiera w sobie 5 linii kolejowych i jest rozciągnięty na długości około 25 km, od Landwarowa do Nowej Wilejki, gdyż w tych stacjach znajdują się końcowe rozgałęzienia. Obsadzenie tych pięciu kierunków, należyte wyposażenie ich w odpowiednie zestawy i uzbrojenie, zorganizowanie realnie działającej łączności — to były zadania, nad którymi biedził się zespół wileński, kierowany w mojej nieobecności przez Grada. Niepodobna w tym krótkim opisie oddać całą żmudność tych czynności. Mrówcza praca kompletowania i ewidencjonowania zestawów minerskich, z różnych melin, w różne strony, na duże nieraz odległości

— widoczna jest z kroniki, która do znudzenia wyszczególnia niesłychaną ilość spotkań i wszelkiego rodzaju transportowań, odnoszących się do tej sprawy.

Wśród wielu ludzi, którzy pokrywali wówczas dzielnicę Wilna gęstą siecią transportu Bazy, większy od innych jest udział Fasoli (Danuty Slizień).

Ale to jeszcze nie wszystko, to była tylko najściślejsza część zadania. Frycz i Jaszuny stanowiły osobny problem. Poprzednio była mowa, że przyszło zawiesić na jakiś czas wyprawy do jaszuńskich składów dla uporządkowania spęczniałych melin Frycza. Cała jaszuńska gospodarka materiałowa zawisała na tym jednym człowieku. On jeden w nocy nieomylnie trafiał do swoich wielkich bidonów od mleka, o hermetycznych zamknięciach, zakopywanych w najróżniejszych punktach okolicznych lasów po obu stronach toru kolejowego Wilno - Lida, od wschodnich krańców Puszczy Rudnickiej do Lasu Kiejdziowskiego.

Należało organizować odprowadzenie tych materiałów według centralnego rozdzielnika Komendy Okręgu. Nie potrzeba wielu słów, żeby zrozumieć, że zadanie takie stanowiło całą dżunglę spotkań, kontaktów, haseł, dojazdów do Jaszun i transportów do Wilna.

W ramach tych działań, przed domek w Pustelni zajechała pewnego dnia w końcu listopada, furmanka zaprzężona w tęgiego konia. Zeskoczyli z niej Kaprowicz z jaszuńskiej ekipy Frycza i gospodarz Pustelni Krab — obaj chłopcy rosłe i silne — i z trudem wywlekli spod słomy ogromny 120-kilogramowy wór ni to sztucznego nawozu, ni to cementu. Na promie w Grzegorzewie o mały nie zwalili się z wozem i koniem do wody. Worek legł na środku izdebki jak tuczny kaban. Przywieźli materiał od Frycza.

W kilka dni potem, pod kierownictwem Kolarza, rozpoczęło się to, co kronika odtąd wielokrotnie wymienia, jako „produkcję w Pustelni”.

Ta niezbyt skomplikowana produkcja wymagała jednak pewnych przygotowań. Chodziło o to, że wybity z bomb materiał wybuchowy nie mógł być dostarczany odbiorcom, ani nawet używany przez nas samych, w stanie luźnym. Badania laboratoryjne wykazały, że materiał ten, będący mieszaniną trotylu z jakąś inną substancją wybuchową, jest higroskopijny i nieco sflegmatyzowany (że użyję fachowego terminu pirotechnicznego), tak że wybucha od zwykłej spłonki tylko w stanie silnego sproszkowania. Siłę wybuchu miał nieco większą, niż trotyl. Należało wyprodukować z niego jednolite ładunki, odporne na działanie wilgoci i dające się użyć przy zastosowaniu zwykłych spłonek

używanych przez nas. Cały proces technologiczny opracowany przez Kolarza, przewidywał przetopienie materiału, zapakowanie go w odpowiednie pudełko i zaopatrzenie w detonator pośredni.

Odpowiednie pudełka tekturowe zostały zamówione u uniwersalnego Jelonka w dwóch rozmiarach. Mniejsze było obliczone na przecięcie szyny kolejowej, większe, mieszczące ponad kilogram materiału, miało służyć do pakietowania poważniejszych profili. Jako detonatora pośredniego użyto małych kostek trotylu niemieckiego, odpowiednio pociętych, z nawierconymi otworami dla spłonek.

ŚMIERĆ EDYPA

Na noc 23/24 października Frycz wyznaczył kolejną wyprawę jaszuńską, tym razem po duże bomby lotnicze. Bomby takie dawały korzystniejszy stosunek wagi trotylu netto do wagi ogólnej. W ten sposób, z 250-kilowej bomby uzyskiwało się 100 kg materiału wybuchowego. Produkcja w Pustelni potrzebowała surowca.

Jednak zwiększenie skali przedsięwzięcia wymagało zwiększenia środków. Poza ludźmi miejscowymi i z Wilna Frycz zapewnił sobie udział drużyny z partyzanckiego oddziału Brony — obecnie już Tońki. Dowodził nią Szczepcio — zastępca Tońki. Taborem złożonym z czterech furmanek trzeba było wjechać głęboko w obszar magazynów, gdzie ciężkie bomby były składowane w sąsiedztwie baraków zajmowanych przez niemiecką obsadę. Do wewnątrz magazynów Frycz wprowadził oddział złożony w sumie z 22 ludzi, nie licząc obsady melin. W czasie akcji Niemcy oświetlali raketami teren, ale nie otworzyli ognia, mimo że cele były dobrze widoczne.

Zdobycz wyniosła 4 bomby duże i 2 małe bombki na dodatek. Przedstawiało to w sumie 420 kg trotylu, a więc ilość znaczną.



Nad ranem, wśród gęstej mgły nastąpiło rozwiązanie wyprawy. Ludzie bardzo zmęczeni po forsownej nocy rozjeżdżali się i rozchodzili w różnych kierunkach.

Przed wyruszeniem Frycz wręczył Komarowej kilka małych bombek zapalających dla wypróbowania w Pustelni. Umieszczone zostały w plecaku, na bagażniku jej roweru. Nie był to pakunek ciężki ani duży. Wymiary jego wynosiły około 30×20×10 cm.

Grupa wileńska złożona z 6 osób ruszyła rowerami ku Wilnu i Pustelni, odległymi o około 30 km. Edyp, Grad, Komarowa, Krab, Przyjaciół i Sosna kilkukilometrowy odcinek przez lasy jechali gęsiego. Na szosie, na krótkim postoju Edyp zabrał bombki, umieszczając je na bagażniku swego roweru. Zabrał też od Komarowej pistolet „7”, który w jej posiadaniu miał znaczenie tylko symboliczne. Grupa się nieco rozdzieliła. Na przedzie jechała Komarowa i Edyp. O kilkadziesiąt kroków za nimi samotny Sosna na szosie, a na poboczu drogi, w niedużej od Sosny odległości Grad, Krab, Przyjaciół.

Mgła była gęsta, wręcz ciemno szara. W pewnej chwili wyrosły z niej trzy masywne postacie litewskiego patrolu policyjnego. Szli prowadząc rowery. Karabiny trzymali przed sobą. Komarowa krzyknęła do tyłu „uważajcie!” i nie zmniejszając szybkości przemknęła między patroliem. Mężczyźni zostali zatrzymani. Trzymani na muszkach karabinów, zostali z lekka obszukani. Nie znaleziono broni, która przecie była w niektórych kieszeniach — policjanci raczej woleli jej nie znaleźć.

— Można jechać!

Naciskają ostrożnie, nieufnie pedały. Bardzo wolno dojeżdżają do Edypa, który marudzi, poprawia coś przy rowerze. Mija go z bliska Krab, zwalniając jak można najbardziej.

— Jedziemy! Jedziemy!

Nie jest zrozumiałe dlaczego Edyp w tym momencie nie ruszył ze wszystkimi. I za chwilę został sam w ręku Litwinów. Rozległ się krzyk. Wszyscy zeskoczyli z rowerów. Lecz byli już za daleko, by posłużyć się pistoletami. Znaleźli się ponownie na muszkach karabinów. Rozległy się strzały. Zawrócić w tym momencie dla obrony Edypa było już bardzo trudno. Teren odkryty, płaska, nie osłonięta szosa. Najbliższe zarośla o kilkadziesiąt kroków. Grupa wpadła w las. Tu gorączkowa narada. Trzeba dojść na odległość pistoletową... A szosą od Wilna jedzie samochód ciężarowy, który zatrzymują Litwini. I stało się. Edyp jest zgubiony.

W tych dramatycznych chwilach zaważyły właściwie sekundy, w czasie których znikła gdzieś rzutkość Edypa, znikła brawura pozostałych kolegów. Wszystko odbyło się bardzo szybko, w mgłę na drodze wielokrotnie przemierzanej i przez to być może sprzyjającej psychicznemu rozbrojeniu. Zadziały tu raczej odruchy, niż jakakolwiek kalkulacja. Zanim wróciła pełna świadomość — było już za późno.

Po kilku godzinach wiadomość doszła do mnie, do Pustelni. Chociaż rzecz nie chciała mieścić się w głowie, jednak trzeba było liczyć się z tym, że Edyp jest zgubiony.

Nie to było straszne, że ginie człowiek — do strat byłem przygotowany, rozumiałem, że wojny nie wygrywa się bez strat. Jednak te, które już były i te, które miały nadejść — wszystkie mieściły się w pewnym systemie pojęć, w pewnych określonych granicach. Cena Kostrowickiego, który zginął, była wysoka, cena Zahorskiego, stojącego właśnie na rozdrożu swego losu, była niewyznaczalna, jak cena życia. Ale tu, w przypadku Edypa, rzecz wychodziła poza owe konwencje, przyjęte przez polski *ethos* czasu wojny.

Sprawa Edypa była inna. Był on podwójnie zagrożony i jako Żyd i jako człowiek obciążony ryzykiem, jakie niesła współpraca z nami. Czy przysługiwał mu z tego powodu jakiś *status* ochronny? To co się stało nie było zgodne z wyrobionym już stylem reagowania na niebezpieczeństwo, w naszym zespole. W ostatecznym rachunku z sześciuosobowej grupy, której część była uzbrojona wyłuskany został człowiek obciążony bagażem kompromitującym i nacechowany dodatkowym stygmatem zagłady.

Uwzględniając wszelkie poprawki na mgłę, zmęczenie, zaskoczenie, dezorientację, w mym mózgu kołatały uporczywie pytania, jak to się stać mogło? z czyjej winy? czy zadziałała tu wyłącznie siła wyższa? dlaczego nie było walki? nie było obrony? żadnego strzału z naszej strony? Wątpliwości wyglądały zewsząd, przy czym sam Edyp był i jest tymi wątpliwościami obarczony bodaj najsilniej. Wszak jechał na przodzie tej grupy, miał broń, on najsilniejszy w całym zespole, zdający sobie sprawę, czym była dla niego każda konfrontacja z działającą machiną zagłady.

Trudną sprawą zawiadomienia Michaliny obciążona została Komarowa. Wróciła z Ponaryszek z wiadomością o ciąży Michaliny. Musiała też zawiadomić profesora Passendorfera, gdyż Edyp miał przy sobie zaświadczenie z pracy w geologicznej grupie terenowej prowadzonej przez Profesora.

Wszyscy byliśmy zagrożeni, gdyż wobec tortur w Gestapo nie można było polegać na wytrzymałości ludzkiej. Mimo to trwaliśmy na miejscu. W Ponaryszkach Perlica przyjęła dodatkową komplikację z właściwym sobie spokojem i uchyliła życzenie Michaliny udania się do getta dla przerwania ciąży.

Nie ruszył się nikt z Pustelni. Bo i dokąd? Edyp znał wszystkie nasze schowki i skrytki. Trwaliśmy więc w poczuciu kruchości naszego bezpieczeństwa, a jednocześnie mieliśmy poczucie, że siła i warunki rodzinne Edypa stanowią dla nas mur ochronny.

Porzuciłem Pustelnię, wróciłem do Wilna. Moje osobiste zagrożenie sprawą ucieczki z transportu do Proweniszek wyglądało mi już na przybladłe. Masowe areszty w nocy 16/17 września 1943 były akcją doraźną, nie mającą dalszego ciągu. Od tej

strony czułem się spokojniejszy. Natomiast bardzo ciążyła mi niemożność swobodnego poruszania się po mieście, przy mej zde-fektowanej nodze. Chodziłem o lasce.

Przyjechałem do miasta ratować Edypa. Czy była w tym jakaś realność poza gestem dobrej woli? Ciężąca nad nami od lipca sprawa Fostowicza sama jedna zasługiwała na miano k a t a s t r o f y. Teraz przychodziła ta druga — nie mniejszej wagi. Przychodziła w momencie naszej szczególnej słabości. Przycho-dziła z całą ostrością, jaką daje w Gestapo sprawa żydowska i z konieczną w takim przypadku szybkością działań. Nie wiado-mo skąd rzecz ruszyć, gdzie jest Edyp i jakie podał w więzieniu nazwisko. Jeżeli dzięki chodom Kosa udało się sprawę Fosto-wicza wyprowadzić na nieco łagodniejsze wody, to teraz ten sam Kos jest w więzieniu. Jedyne mój chód, to Asphalt, ale od niego można oczekiwać nie interwencji, a najwyżej tylko informacji.

A pytające oczy Michaliny w Ponaryszkach, Michaliny, która zwinęła się z bólu, ale nie chciała żądać ani nawet prosić o polskie pieniądze i polską odwagę (której tak mało dotychczas okazano) dla ratowania męża.

Asfalt, którego Komarowa w dniu następnym 25 października zawiadomiła co się stało, nie stwierdził obecności Edypa w Ges-tapo. Pierwsza wiadomość mignęła jeszcze o dzień później. Szum-bura, przechodząc koło Gestapo, zobaczył Edypa wyprowadzanego z gmachu przez gestapowca po cywilnemu, który poprowadził więźnia w kierunku więzienia na Łukiszkach. Edyp miał kajdanki na rękach.

Skierowanie na Łukiszki dawało nieco czasu na zaczerpnięcie oddechu. Widoki na przewleczenie sprawy były pożądane. Jedno-cześnie znane całemu miastu „łukiskie odżywianie” budziło oba-wę, że Edyp straci tam resztę sił, które i tak musiały być nad-wątłone. Dostarczanie żywności na Łukiszki drogą pokątną czy łapówkową było wtedy praktykowane. Pewną konkretną moż-liwość znała tu obrotna Lisica.

Niestety, nic zrobić się nie dało. Na Łukiszkach ślad Edypa zginął. Dopiero potem dowiedziałem się, że to właściwie sam Edyp ukrywał się przed nami. W śledztwie nie ujawnił żadnych swoich koneksji ze stroną polską. Prawdopodobnie zniszczył swe „lewe” dokumenty osobiste w tym zaświadczenie z pracy i kartę rowerową i wyrzekł się polskiego nazwiska „Żorewicz”, na które one opiewały. Wekslował wszystko na partyzantkę sowiecką.

Na następną wiadomość trzeba było czekać aż do 3 listopada. W tym dniu Asphalt zobaczył na podwórzu Gestapo Edypa zbi-tego, prowadzonego ze śledztwa do piwnicznego więzienia i za-

mienił z nim parę słów. Edyp podał w śledztwie, że jest Żydem i sowieckim partyzantem. Asfalt doręczył mu pochodzącą ode mnie truciznę.

Nazajutrz, 4 listopada Edyp został załadowany do samochodu ponarskiego w grupie innych Żydów.

W drodze na Ponary zdołał rozwiązać sobie ręce i rzucił się do walki wręcz z litewskim konwojem. Naturalnie walki tej nie wygrał.

Wiadomość o ostatniej walce Edypa otrzymał Asfalt od kierowcy po powrocie samochodu.



Chociaż Baza nie może się pochlubić żadnym zrywem w obronie Edypa, to jednak na innym polu można odnotować pewien sukces. Jest on do zawdzięczenia przede wszystkim Perlicy — gospodyni Ponaryszek.

Wkrótce po śmierci Edypa okazało się, że Michalina jest w ciąży.

To, czego tak bronił Edyp, to co tak ochraniał nawet zza grobu — Ponaryszki — pozostało nienaruszonym schronieniem Michaliny i jej pierwszego dziecka — syna Włodzimierza. W czerwcu 1944 urodziło się tam drugie dziecko — był to również syn.

6 M P

Przez cały miesiąc luty 1944 kronika Bazy notuje zatrważającą ilość różnych spotkań, zebrań i narad „w sprawie 6 MP”. W ciągu całego długiego miesiąca robota owa wysysała energię z kilkunastu ludzi zaprzędanych tej sprawie.

3 lutego otrzymałem zawiadomienie, że mam spotkać się tegoż popołudnia w pewnej klatce schodowej przy ul. Mickiewicza z informatorem, posiadającym wiadomości o będącej do zdobycia broni. W owym czasie byliśmy przesyleni tego rodzaju propozycjami. Broń była trudno dostępna — musiało się za nią albo drogo płacić, albo ciężko pracować nad jej zrealizowaniem. Toteż w małej estymie mieliśmy różne bajeczne oferty kupowania pistoletów tuzinami „po cenach urzędowych”, albo uzyskiwane z trzeciej ręki opisy miejsc, w których przed paru laty ktoś zakopał karabin maszynowy, czy skrzynkę granatów. Jeżeli nawet udawało się niekiedy, po długim ryciu w ziemi, odnaleźć według podobnych informacji coś zakopanego — to z reguły taka bezpieczna broń okazywała się kompletnie przerdzewiała i zniszczona. Starannie przechowana, fachowo opakowana broń miała zwykle określonego właściciela i wiadomości o niej nie chodziły po ludziach. Małą wartość praktyczną miały także różne, pochodzące od postronnych osób dobrej woli, sugestie napadów lub podstępów, mających prowadzić do zdobycia łupu. Zwykle okazywało się po przestudiowaniu sprawy, że przeszkody piętrzą się na przeszkodach. W owym czasie broń tkwiła jeszcze mocno w rękach okupantów niemieckich i litewskich.

Te sceptyczne nastroje ustąpiły miejsca zainteresowaniu przy rozmowie na ciemnych schodach, na które wdrapaliśmy się we dwóch z Kosem w oznaczonej godzinie, uzbrojeni w hasło, mające stanowić klucz do tajemnicy. Tym razem nieznamy infor-

mator nasz — człowiek młody i inteligentny — zdawał się stać na gruncie realnym. Z relacji jego wynikało, że *Organisation Todt* posiada w Wilnie biuro werbunkowe, które prowadzi rekrutację ochotników narodowości białoruskiej do jakichś formacji pomocniczych we Francji. W lokalu tym stale znajduje się 6 niemieckich automatów tzw. MP, z magazynami zapasowymi i odpowiednią ilością amunicji. Biuro jest obsługiwane przez kilku urzędników mundurowych, Niemców i Polaków, którzy tamże mieszkają i gospodynię Polkę, nocującą na mieście. W południe personel biurowy udaje się na obiad, a w całym lokalu pozostaje tylko gospodyni.

Rzecz wyglądała poważnie. Wyznaczyłem Kosa dowódcą tego nowego przedsięwzięcia i sprawa 6 MP ruszyła w kopyta.

Na wstępie jak zwykle utknęliśmy w trudności. Biuro mieściło się na pierwszym piętrze dużej, narożnej kamienicy, która okazała się prawie w całości zajęta przez różne wojskowe niemieckie instytucje i jednostki gospodarcze. Wskutek tego na klatce schodowej panował ustawiczny ruch, często wystawały na niej grupy żołnierzy, przeważnie Rosjan ubranych w niemieckie mundury. Ładna historia, jeżeli wewnątrz takiego lokalu dojdzie do strzelaniny, która całą kamienicę postawi na nogi.

Wywiad działał forsownie. Grad i Kos zapoznali się z lokalem od wewnątrz, występując jako interesanci-kandydaci na wyjazd; Komarowa i Sowa, zaopatrując się w pożyczone dziecko, godzinami tkwiły na ulicy, obserwując, kto i kiedy wychodzi i wchodzi do biura.

Siłą rzeczy największa uwaga została skupiona na tej godzinie, kiedy wewnątrz pozostawała sama tylko gospodyni. Ale i ta obiecująca sytuacja nie była łatwa do wyzyskania. W godzinach urzędowych interesant wchodził i wychodził z biura, jak chciał, ale w porze obiadowej gospodyni zachowywała naturalnie pewne ostrożności i niezbyt była skłonna do otwierania drzwi byle komu na byle dzwonek. Drzwi te, szczegółowo obejrzone przez Kosa i Grada, były zaopatrzone w 2 mocne łańcuchy, którymi roztropna niewiasta oddzielała się w godzinach samotności od świata zewnętrznego. Wejście kuchenne też nie wróżyło nic dobrego, jak to stwierdziła Komarowa, która dostała się tamtędy do wewnątrz pod pozorem sprzedaży jaj. Zaatakowanie samotnicy, połączone z forsowaniem łańcuchów, nie było łatwe.

Pozostawał jeszcze zwykły frontalny atak na cały personel, przebywający w biurze w godzinach urzędowych. Tu przynajmniej można było bez żadnych podejrzeń wprowadzić na samo miejsce starcia — do kancelarii — kilku uzbrojonych ludzi. Po wielu wahaniach Kos zdecydował się na tę ostatnią możliwość,

przekładając walkę z kilkoma uzbrojonymi, lecz zaskoczonymi ludźmi wewnątrz, nad zapasy na schodach z jedną białogłową — bezbronną, lecz nieufną.

Zdawałoby się, że skoro powzięto taką czy inną koncepcję — trzeba ją było realizować, realizować szybko, bo heraklitowskie „wszystko płynie” nigdy nie jest tak słuszne, jak właśnie podczas wojny. Mijały dni, potem tygodnie, a sprawa „6 MP” stawała się coraz to grubsza, coraz bardziej rozdęta przez niebezpiecznie mnożące się zebrania, spotkania, odprawy, które są oczywiście niezbędne, jako pomocnicze środki akcji, ale stają się istną trucizną, skoro się dopuści do ich przerostu. Kilka dni zwłoki są istną manną spadającą z nieba dla zawalonego robotą organizatora. Jednakże dalekie przeciąganie rozstrzygnięcia (jeżeli w ogóle nie spowoduje „odpłynięcia” całej sprawy), nic już technicznie nie ulepsza, a rozkleja psychicznie najtwardszych ludzi.

W naszym wypadku powodem zwłoki stała się przede wszystkim tasiemcowa kwestia samochodu. Nie sposób było w tej przeprawie poprzestać na chodzeniu pieszo — zbyt duże były tu możliwości zaalarmowania kamienicy, lub zranienia któregoś z nas podczas zamierzonej walki w kancelarii. Sytuacja domagała się samochodu i trzeba go było skądys wytrzasnąć.

Zaczęła się tedy parotygodniowa kalwaria starań o przydzielenie ciężarówki Komendy Okręgu. Wszelkie postępowanie „drogą urzędową” mieści w sobie pierwiastek powolności, a co dopiero, jeżeli droga ta jest ponadto drogą konspiracyjną. Takie połączenie staje się w sumie „drogą krzyżową”.

Kilkakrotnie wyznaczano terminy i trzeba je było odwoływać wobec trudności porozumienia, które zachodziły w „górze” między Dąbkim, a Jelonkiem — władcą spraw samochodowych Okręgu. Każde takie chybienie przynosiło stratę kilku dni i działało destrukcyjnie. Gorzej jeszcze — parokrotnie samochód umówiony i potwierdzony nie przybył na samą robotę. Trzeba było zdejmować ludzi, którzy w pełnej gotowości, z bronią, workami, sznurami, kneblami już, już wychodzili na ulicę. To przecież było znęcanie się. Zacząłem podejrzewać, że jakaś osobista zawiść, czy niezgoda pakuje tu kij między sprychy; domagałem się bezpośredniego kontaktu z Jelonkiem, który był przecie człowiekiem znanym ze swojej sprawności.

Wobec takiego stanu rzeczy Kos wysilił swój uniwersalny umysł w innym kierunku i uruchomił prywatne chody, które miał jako były szofer i instruktor samochodowy. Tu także nastąpiła płatanina, wynikająca stąd, że niepewny szofer, jeżdżący na pewnej maszynie wzbraniał się pożyczyć tę maszynę innemu szoferowi, pewnemu, jak żelazobeton, ale dysponującemu zdezelowaną cię-

żarówką. Zdaniem Kosa niepewny szofer był też wcale pewny, ale tu znowu ja wzbraniałem się, mając na widoku możliwości „drogi urzędowej”, wchodzić w tak delikatne układy z całkiem nową i nieco wątpliwą osobistością.

Do tej gmatwaniny oczekującej na rozcięcie dołączały się nowe nici: informacja, z którą Kos był w ciągłym kontakcie, zaczęła stawać się niewyraźna: po pewnym czasie zaczęła karmić nas nieskonkretyzowanymi wiadomościami o pewnym zaniepokojeniu, które jakoby zostało wywołane w biurze przez nasze obserwacje (prowadzone przecie bardzo ostrożnie i dyskretnie); o bliżej nieokreślonych środkach ostrożności, których można się było spodziewać w godzinach południowych, kiedy biuro zostaje na opiece gospodyni; o tym, że może byłoby lepiej przeczekać pewien okres czasu. Robiło to wrażenie, że informacja dąży do odciążenia terminu napadu, przypuszczalnie ze względu na uprzednie wycofanie się kogoś związanego z biurem, kto mógłby ucierpieć przy śledztwie, czy też może z jakichś innych powodów. Mimo nasuwającego się przypuszczenia, że wywiad nie jest zupełnie rzeczowy, należało brać pod uwagę jego zdanie. Nie można przecie wierzyć informacji tylko o tyle, o ile jest to wygodne, a odrzucać jako niewiarygodne to, co nam nie dogadza.

Położenie więc dalekie było od tego, by można je było nazwać klarownym. Przeciwnie, w ciągu paru tygodni jasna „sprawa 6 MP” stała się zatraconą i rozpapraną historią, możliwością, która ukazała się nam i oto już odpływa. Rzecz zaczęła nabierać pewnego rozgłosu. Z paru miejsc doszły do mnie okólnymi drogami konspiracyjnymi postronne słuchy o jakiejś szykującej się robocie — wymieniano nawet nazwę ulicy. Grunt, po którym stąpaliśmy, stawał się grząski. Ktoś z nas żartował, że maluczko, a w miejscowym *Gońcu Codziennym* ukaze się artykuł opisujący nasze przygotowania. Czas mijał wśród pustej gadaniny, kłątwa na Jelonka, złorzeczeń na informację, życzeń połamania nóg przez szoferów.

Sam Kos przyczyniał się w pewnej mierze do takiego stanu rzeczy. Jego beztroska odwaga, humor i osobisty wdzięk jednały mu ludzi — ale nie był to urodzony dowódca. Nie umiał narzucić innym powziętej przez siebie koncepcji dla przyjęcia jej bez dyskusji. Mnożące się z konieczności spotkania, czy odprawy robiły wrażenie małych parlamentów. Kos z całą lojalnością informował zebranych o wszelkich wahaniach, czy trudnościach, gotów był wysłuchać obszernej dyskusji i z tej to wymiany zdań oczekiwał konkluzji co do dalszego działania. Każdy (a Komarowa w szczególności) czuł się powołany do krytyki Kosa-dowódcy, a on przyjmował ją z wdziękiem angielskiego męża stanu, który

w Izbie Gmin czyni przyjazne ruchy ręką w stronę *leader'a* opozycji, gdy ten schodzi z mównicy po miażdżącym przemówieniu. Wszystko to było ciekawe, barwne i „w dobrym gatunku”, ale z uśmiechem myślałem o minie prawdziwego oficera zawodowego (np. Sława), który by się przyjrzał takiemu zgromadzeniu.

W tym destrukcyjnym stanie rzeczy minął cały luty. Kiedy 1 marca miałem wychodzić po raz nie wiem już który z domu „na ostro”, nie czułem nic, oprócz tępej rezygnacji zaprawionej rozgoryczeniem. Rozmieszczając po kieszeniach sakramentalny rysz tunek bojowy — pistolet, zapasowy magazyn, opatrunek indywidualny — przeżuwałem to beznadziejne uczucie impasu, w którym od paru tygodni tkwiłiśmy. Poprzedniego wieczora szofer Jelonka znów nie przybył na spotkanie umówione tak pewnie, tak ostatecznie, że niepodobna było uchybić takiemu terminowi bez krzywoprzysięstwa. Z tą chwilą wyznaczony na dziś „ostateczny” termin napadu stał się arcywątpliwy, podobnie, jak poprzednie. Trzeba było jednak iść, bo istniała możliwość, że Jelonek (z którym wszystko i tak było umówione szczegółowo, a szofer miał się zjawić tylko dla ostatecznego potwierdzenia) przyśle samochód na od dawna ustalony róg ul. Nowogrodzkiej koło apteki. Oprócz tego Kos miał od samego rana, zerwawszy się o świcie uruchomić swoje słynne chody prywatne, w które nikt oprócz niego nie wierzył. Koszmar trwał dalej.

O zwykłej porze, czyli o godz. 11.30 całe towarzystwo spacerowało po pustej ul. Słowackiego w sąsiedztwie wylotu Węglowej: nas siedmiu uzbrojonych, zblazowanych i wątpiących i Sowa, która od rana już tkwiła na obserwacji. Kolarz został na wyznaczonym rogu, by podjąć samochód, czy raczej iluzję samochodu. Wskazówki zegarków odmierzały zwolna mijające minuty. Pomimo nadrabiania miną przez Kosa nastrój niepewności przenosił się na wszystkich. Żeby nie robić tłoku, przeszedłem z Krabem na pobliską ul. Makową. Teraz jeszcze odczekać kilkanaście minut, aż zbliży się 12-ta i rzecz będzie rozstrzygnięta — raz jeszcze rozstrzygnięta negatywnie.

Kilka samochodów przejechało ul. Makową w kierunku dworca. Teraz ukazał się jeszcze jeden — mała, niepozorna ciężarówka. Naiwny, prywatny wygląd tego wehikułu, powolny jego ruch, odbijający jak gdyby niezdecydowanie kierowcy, sprawiał, że coś mnie tknęło. Samochód wahająco skręcił w ul. Bankową i tam stanął. Z daleka już poznałem za szybą twarz Kolarza.

Stało się. Wieko zapadło. Idziemy. Nieodwołalność tego, co zaszło, zwała się na mnie ciężarem bez miary. W tej chwili

daleki byłem od radości. W duchu zgodziłem się już na łatwinę rezygnacji.

Na przestrzeni kilkudziesięciu metrów dzielących mnie od ul. Słowackiego musiałem wyrwać tę miękkość, która rozpleniła się w ciągu ostatniego kwadransa.

Wyrwałem. Znów oczy patrzyły bystro w perspektywę ulicy, drgającą innym zgoła rytmem; znów ręka zginała się lekko w stawach i przegubie, by ruchem polotnym sięgnąć w zanadrze po parabellum. Opoдал stał Kos w swoim eleganckim płaszczu i ślicznym kapelusiku, rozmawiając z Sową. Na jego twarzy nieco bladej i wychudzonej, tym razem czarująca swoboda światowca ustąpiła miejsca naprężeniu, z którym słuchał słów Sowy, rzucanych krótko, jak raport. Dalej na ulicy widniała barczysta figura Konia. Inni kręcili się opoдал po klatce schodowej pobliskiej kamienicy. Jeszcze jakieś przekładanie po kieszeniach tajemniczych przedmiotów, podejrzane ruchy rąk w kierunku wewnętrznych kieszeni płaszców na piersiach, cichutkie potrzaskiwanie bezpieczników. I oto startuje już czoło zwartej kolumny, która dla postronnego widza jest tylko rozrzuconym ruchem przechodniów po ulicy.

Pierwsza para — Kos i Grad — doszła do drzwi i skrzyła w klatkę schodową. Za nimi szedłem ja. Otrzymałem za zadanie przedostać się przez podwórze na tylną klatkę schodową i tam ubezpieczać kuchenne wyjście z mieszkania. Miałem zostać wpuszczony do wewnątrz już po opanowaniu kancelarii przez czołową grupę złożoną z 4 ludzi. Na frontowej klatce schodowej tę samą funkcję ubezpieczania wyjścia otrzymali Koń i Gryf.

Miałem jeszcze przeszło 2 minuty czasu. Druga para czołówki (Krab i Bil) powinna była według planu wejść w półtorej minuty po pierwszej, a trzeba było przecie doliczyć jeszcze zapas na chwilkę rozmowy, odpowiednie rozstawienie się w sali, wreszcie na samą akcję terroryzowania. Należało zjawić się pod drzwiami akurat w porę, aby nie sterczeć w sposób beczynny, a podejrzany na schodach. Miąłem róg ul. Makowej i stanąłem koło bramy, która miała zaprowadzić mnie na podwórze. Sekundnik mozolnie odłupywał drobiny czasowe. U wylotu ul. Bankowej widniała wysoka, szczupła postać Kolarza z rękami w kieszeniach płaszcza. Wierzch samochodu wyglądał ponad płotem. Na innym rogu kręcił się jakiś typek, może nieco niewyraźny. Poza tym ulica czysta, sytuacja, jak dotąd, niczym nie zamacona.

Ostatnie sekundy mijają. Powolnym krokiem ślamazarnego robociarza przeszedłem przez podwórze, obrzucony obojętnym spojrzeniem dwóch ludzi piłujących drzewo. Wskazówka sekundnika kończyła opisywać drugie pełne koło — tam przecie już

się zaczęło. Kos musiał już wygłosić swoje hasło wyzwajające pistolety z kieszeni.

Na schodach cisza. To dopiero parter. Jeszcze o piętro wyżej. Znowu cisza. Ucho przyłożone do feralnych drzwi nic nie może wyłowić z zakłętej pieczary. Wzrok i słuch zaostrome i napięte sondują przestrzeń, tę bliską, bezpośrednio przylegającą przestrzeń kamienicy, gdzie za paru ścianami już się zaczęło, już się splotło. W całym domu tak ludnym nie słyhać żadnego ruchu. Jestem zawieszony w pustej klatce schodowej jak w eterze kosmicznym.

Myśl działa jeszcze spokojnie, ale już poczyna podrywać się w gorączkowych zwrotach. Może jakaś nieprzewidziana komplikacja, na przykład duża ilość interesantów w środku? W takim razie odwrót. Albo jakaś przeszkoda przy wejściu? Biuro nieczynne akurat dzisiaj? Czasem przecie te draby wyjeżdżają gdzieś w teren — na to właśnie mają te automaty. A może jakieś podejrzenie — nie chcą wpuścić drugiej pary do kancelarii, a każą im czekać w przedpokoju, aż Kos i Krab wyjdą? Jest przecie nieskończona ilość nieprzewidzianych możliwości. Może...

Coś słyhać. Spływa ulga zahaczenia chociaż jednego ze zmysłów o coś konkretnego. Ktoś wszedł do kuchni i rusza się za drzwiami, coś odciąga, coś przesuwa. Robi to cicho, bez zbytniego pośpiechu... Orientuję się, że drzwi są zastawione jakimiś grami. Po chwili klucz obraca się w zamku. Pistolet do ręki...

Drzwi uchylły się zwolna. Łufa mego parabellum, uniesionego na wysokość twarzy, utknęła, muszka w muszkę, w taką samą łufę po tamtej stronie. Zza pistoletu wyjrzała twarz Grada. Brwi moje uniosły się w przelotnym zdziwieniu — przecie Krab, a nie Grad miał mnie wpuścić według szczegółowo ustalonego podziału czynności. Przez wąsko otwarte drzwi wsunąłem się do wewnątrz. Twarz Grada była, jak zwykle, szara, ziemista. Teraz widniał osadzony na niej na sztywno wyraz obojętnej pogardy, która pokrywa władcze zadowolenie z przeforsowania swojej woli. Kiedy naciągałem na tył głowy tasiemkę od maski — rzucił krótko:

— Niemiec zabity.

Znowu spojrzałem nań pytająco. W jaki sposób? W tej ciszy? Ale nie było czasu na wymianę zdań. Wszedłem do następnego pokoju, który z rozkładu mieszkania znałem, jako przylegający do kancelarii.

Zastałem w nim tylko Bila. Stał pochylony nad rozpostartym na podłodze kocem, na którym leżały w całej okazałości 2 czy 3 automaty. Więc to są owe słynne MP — sens naszego istnienia przez ostatni miesiąc i cel bytności w tym lokalu. Z drzwi

prowadzących do ciemnego pokoju, mieszczącego magazyn ukazał się Gryf, niosąc dalsze egzemplarze na rozłożony na ziemi koc. Lecz ten widok tak podniosły nie był zdolny przykuć mnie teraz. Obojętnie wyminąłem Bila, dążąc na pole bitwy — do kancelarii.

W całym mieszkaniu panowała absolutna cisza. Ludzie poruszali się oszczędnie, ściśle odmierzonymi ruchami, mówili ścisząc głosy. Jedyne dźwięki ostre, wyłamujące się z tego nastroju — to był cichy jęk przechodzący w rżenie, który przywitał mnie w drzwiach kancelarii — jęk konającego Niemca.

Duży pokój zastawiony biurkami i stołami bynajmniej nie robił wrażenia bezładu, czy zamieszania, raczej przedstawiał z siebie obraz pilnej i zaferowanej pracy. Konający Niemiec leżał na wznak na podłodze z odrzuconą w tył głową. Miał na sobie zielony mundur *Organisation Todt*. W dwóch kątach pokoju leżeli na podłodze dwaj inni ludzie w podobnych mundurach, z rękami związanymi w tył, z nogami zgiętymi w kolanach i przytroczonymi do rąk. Ich nieruchomość i dziwna pozycja ciała dawała im pozór tobołów, a atletyczny Koń, pochylony nad jednym z nich i pilnie wykańczający wiązanie — robił wrażenie pracownika firmy ekspedycyjnej pakującego sakwoją przy przeprowadzce.

W kącie pokoju stała „roztropna białogłowa”. Mimo, że nie widziałem jej dotąd na oczy moje — patrzyłem na nią teraz, jak na starą znajomą. To ona była bierną heroiną miesięcznych przygotowań, to o nią głównie zahaczały się nasze chytre podejścia, kombinacje i obserwacje. Dzięki opisom informatora, Komarowej, Kosa i Grada stała się dla mnie realna.

Teraz tkwiła zaparta w kąt pokoju i zastawiona małym stolikiem, który jak gdyby oddzielał ją od okropności tego świata. O krok od niej stał Krab, przydzielony, jak widać, specjalnie do jej osoby. Oprócz przerażenia i niepewności w twarzy jej i postaci uderzył mnie pewien wyraz jak gdyby porozumiewawczy. Patrzyła na Kraba, jakby oczekując czegoś, nachylała się z lekka ku niemu przez stolik, przewyciężając groźbę pistoletu. Krab, rosły i silny „chłop na schwał” stał we władczej pozycji konstabla, który „osadza” niesforne więźnia. Kiedy wszedłem, rzucił właśnie ostrym tonem:

— Jeżeli Pani słabo, to może Pani usiąść — proszę, jest krzesło.

W tej chwili podszedł w naszą stronę Kos i, wskazując okrągłym ruchem dłoni — jakby przy uprzejmej prezentacji — nieszczęsną „roztropną białogłową”, zwrócił się do mnie swoim swobodnym tonem:

— Bałtruk, wiąż kobietę.

W pół roku później, we wrześniu 1944, już za czasów bolszewickich, Krab szedł sobie najspokojniej przez miasto w kierunku Zwierzyńca, kiedy z tyłu zawołał go ktoś po imieniu:

— Panie Witku! Panie Witku!

Witek obrócił się i ujrzał panią, starannie ubraną, brunetkę, w wieku pozabalszakowskim, zbliżającą się ku niemu z radosnym wyrazem twarzy starej znajomej. Po parosekundowym wysiłku stwierdził, że nie przypomina sobie tej osoby, ale wyraz zakłopotania na jego twarzy nie studził radości damy z niespodziewanego spotkania.

— Więc nie poznaje mnie Pan?. I nigdy Pan mnie nie widział? Przecież ja jestem z ulicy Węglowej.

To magiczne słowo oświetliło, jak błysk latarki postać pani w wieku pozabalszakowskim. Witek zebrał się w sobie — należało się bronić.

— Nigdy, jak żyję, nie mieszkałem przy Węglowej.

— Tere fere. Ja też nie mieszkałam, tylko pracowałam tam w pewnym biurze, w którym Pan mnie odwiedził. O, będę to pamiętała aż do śmierci.

— W jakim biurze?

— Odchorowałam to przez parę miesięcy. A naprawdę myślałam, że już po Panu. Wciąż starałam się czegoś o Panu dowiedzieć, ale znajomych nie chciałam tak wprost wypytywać...

— A cóż Pańscy koledzy? Czy chodzą zdrowo po świecie? Ten, który wami dowodził, to bardzo elegancki młody człowiek. Zaraz Pana poznałam, jak Pan tylko wszedł. Myślę sobie: czy ten Witek oszalał, żeby zapisywać się na wyjazd do Francji? Ten w masce, co mnie wiązał, też był do rzeczy. Jak mu powiedziałem, że za mocno ścisnął ręce, to zaraz zluźnił sznur i zapytał, czy tak będzie dobrze. Czy chociaż żyje do tej pory?

Witek zmuszony został do kapitulacji.

— Ale skąd właściwie zna Pani mego brata i rodziców?

— Przecież przychodziłam do was przed wojną, kiedy mieszkaliście na Kalwaryjskiej. Z Pana wtedy był całkiem młody chłopak. Ale przejścia miałam okropne. Pan wie, że byłam aresztowana? Bili mnie w Gestapo. Ale pary nie puściłam. Najwięcej się bałam, że przyprowadzą mi Pana w więzieniu na konfrontację i nie będę wiedziała, co mówić.



Ale wróćmy do pogrążonego w zaaferowanej pracy lokalu biurowego. W tej chwili „roztropna białogłowa” leży, nieszczęsna, na podłodze, związana w sposób niezupełnie odpowiadający sza-

cunkowi należnemu jej płci, ale nie pozbawiony pewnych względów dla jej próśb i jęków. Koń na zarządzenie Kosa próbuje opatrywać konającego Niemca, lecz porzuca ten daremny trud po stwierdzeniu niewątpliwego przestrzału serca. W pokoju obok leżą 2 spore toboły, zawinięte w koce i starannie obwiązane sznurkami. Grad skrzętnie ładuje do teki zarówno leżące na stole pliki banknotów, jak pudełka papierosów. Zbliża się chwila opuszczenia lokalu.

Do tego czasu wszystko szło gładko. Pierwsza para — Kos i Krab — weszła do kancelarii, nie zastała w niej szczęśliwie żadnych interesantów i zajęła miejsca przy biurku jednego z urzędników, z którym Kos zaczął rozwlekle omawiać warunki wyjazdu do Francji. Wejście drugiej pary — Grada i Bila — nie wzbudziło żadnych podejrzeń. Mimo uzyskanego kompletu i należytego rozstawienia ludzi, Kos przeciągał denerwującą rozmowę, gdyż zaniepokojny był pozycją lewej ręki urzędnika, trzymanej przez cały czas w kieszeni spodni. Aby ją wymanewrować z tego położenia „interesant” wydobyl swoje dokumenty osobiste i podał je urzędnikowi. Ręka ukazała się na stole, sięgając po papiery. W tej chwili inna ręka po drugiej stronie biurka powędrowała dyskretnie do kieszeni płaszcza. Pozostali „interesanci” unieśli się z lekka na swoich miejscach — i Kos wygłosił ową z dawna umówioną formułę, której działanie — niby zaklęcie średniowiecznego alchemika — w istocie miało wykazać swoją moc:

„A interesuje mnie jeszcze stan kasy”.

Cztery pistolety — wszystko nowe, wypielęgowane 9-tki parabellum — wyrwały się na światło dzienne. Grad trzymał ponadto w lewej ręce specjalny nagan „cichostrefkę”. Polskie „Ręce do góry” splotło się z niemieckim *Hände hoch*.

Znany z obserwacji kierownik biura Herr Schmidt, na którego głównie była zwrócona uwaga całego zespołu, poprzednio jeszcze podniósł się od swego biurka i szukał czegoś na półce, tak, że w krytycznej chwili stał tyłem do pokoju. Odważny ten człowiek, gdy obrócił się i ujrzał, co się dzieje, bez chwili wahania rzucił się naprzód. Skurczył się, osłonił głowę rękami i, krzyżąc przeraźliwie, parł do drzwi. Po paru krokach już wymijał Bila, który blokował wyjście do przedpokoju. Ale młody, szczupły Bil, o delikatnych rysach i błyskawicznych reakcjach, nie był człowiekiem, który by się spóźnił w takim wypadku. Dwa strzały rozbrzmiały ogłuszająco w ciasnocie pokoju. Niemiec zrobił jeszcze krok, zachwiał się i chwycił rękami za pierś. Straszny krzyk został zgłuszony przez dalsze 2 strzały — to Grad i Krab podlicytowali rozgrywkę. Upadł, charcząc i rzucając się po podłodze.

Trudno powiedzieć, co kierowało tym odważnym człowiekiem, gdy decydował się na swój czyn szaleńca. Może rachował, że napastnicy bluffują, że nie zdobędą się na strzały w tym pokoju, że wszystkich stron otoczonym przez wroga. W takim razie mógłby może przebić się do drzwi wyjściowych, przenieść walkę na schody, podnieść alarm. Niezależnie od tego, co myślał i na co liczył — należy z szacunkiem ocenić jego odwagę.

Dwaj pozostali urzędnicy siedzieli bladzi na swoich miejscach, z podniesionymi rękami. Bil wpuścił przez drzwi frontowe stojące na schodach ubezpieczenie — Konia i Gryfa. Ja zjawiłem się na kuchennej klatce schodowej z małym opóźnieniem, które sprawiło, że nie słyszałem już strzałów.

Kiedy inni kończyli wiązać pakunki ze zdobytą bronią, a ja — wiązać kobietę, przy wejściu frontowym rozległ się dzwonek. Nie sprawiło to większej emocji, bo znać było od razu, że idzie jakiś interesant — tym razem interesant bez cudzysłowu. Dzwonek nie miał w sobie żadnej natarczywości, powtarzał się w dużych odstępach. Tym niemniej wyjście frontowe zostało zatarasowane i trzeba się było skierować moją drogą: przez kuchnię i podwórze. Odwrót odbył się bez żadnych przeszkód. Brama wyprowadziła nas na ul. Makową w odległości 100 m od samochodu.

Szliśmy powoli, bez pośpiechu, ja z Koniem nieco naprzód, niosąc oba główne toboły. Koło mnie niedbale sunął Kos. Na nasz widok Kolarz — również powoli i spokojnie — ruszył do samochodu. Sześciu ludzi, jak za działaniem sprężyn, znalazło się w jednej chwili we wnętrzu ciężarówki. Zapuszczony silnik dygotał. Ja siadłem przy szoferze, by prowadzić odwrót — odwrót, który miał być tylko idyllą.

Idylla po chwili zmieniał się w dramat. Zaledwo maszyna Bankową i Kijowską wydostała się na ul. Słowackiego, czyjaś dłoń klasnęła energicznie w dach szoferki. Kierowca zahamował. Coś się stało — wyskoczyłem.

Na jezdni, koło samochodu stał Kos. Tym razem elegancja i nonszalancja opuściły go. Był bladzi i wzburzony.

— Zostawiłem w biurze moje dokumenty.

— Lewe?

— Nie, prawe!

Rozumiałem aż nadto dobrze, co grozi Kosowi, a pośrednio i nam wszystkim. Wiedziałem, że natychmiast trzeba będzie organizować ucieczkę całej rodziny, że w największym pośpiechu przyjdzie ewakuować starych, chorych rodziców, opróżniać meliny, zrywać kontakty. Zgroza. Kataklizm. Trzęsienie ziemi.

Lecz mimo to nie stać mnie było na żadną inną decyzję, jak

tylko na ucieczkę. Zawrócić w takiej chwili — jest rzeczą ciężką. Ani myśleć nie mogłem, by znów drapać się na górę po przeklętych schodach, wszystko wzdrygało się we mnie na wspomnienie kancelarii. Gotów byłem przyjąć najgorsze komplikacje, zgodzić się na wszelkie kataklizmy, byle by nie wracać, nie wracać, nie wracać. Kazałem Kosowi wsiadać, a szoferowi jechać dalej.

Tu jednak nastąpił zwrot. Kos w tej trudnej chwili przestał być „parlamentarny”. Ostro zwrócił mi uwagę (bardzo słuszną), że nie ja jestem dowódcą w tym wypadku, lecz on. Samochód ma jechać dalej i melinować broń — on wraca do biura.

Po sekundzie Kos znikł w przejściowej bramie, zostawiając nas oszołomionych. Nikt nie pobiegł za nim. Obawiam się, że dyscyplina, którą wykazaliśmy w tym wypadku, miała w sobie coś z oportunistycznym.

W roli dowódcy Kos szwankował. Brakło mu tego, co jest istotą dowodzenia — umiejętności narzucania swojej woli innym. Lecz jako *gentleman* był bez skazy. Zawsze miałem go za takiego, ale nigdy nie okazał tego tak dowodnie, jak w tej chwili. Nie chciał narażać nikogo w sprawie wynikłej z jego własnej winy.

Samochód jechał dalej. Koło szpitala św. Jakuba zatrzymałem maszynę i wysadziłem z niej Gryfa, by natychmiast zawiadomił rodzinę Kosa, o tym, co zaszło, i Konia, którego nieobecności w miejscu pracy nie trzeba było przedłużać ze względu na ewentualne alibi. W ciężarówce pozostało oprócz mnie tylko trzech ludzi. Szofer rwał pełną parą przez Antokol za miasto. Z sympatią patrzyłem na jego zaciętą chłopską twarz.

W drodze już postanowiłem nie jechać wprost do Petroneli. Dojazd samochodem mało uczęszczaną drogą na Turniszki zanadto rzucił się w oczy. Wolałem skierować się szosą niemenczyńską, a potem przejść parę kilometrów pieszo, lub skorzystać ze znajdującego się w Kolonii Magistrackiej mieszkania Luxa, by doczekać się zmroku.

Tymczasem samotny Kos wspinał się na swój Monslawat odwagi, odwagi wysokiego gatunku, której wymaga zawrócenie przy ucieczce. Na ulicy przed domem zamienił parę słów z Komarową, która, nie biorąc w samej robocie określonego udziału, zjawiła się na miejscu w charakterze nieco spóźnionego widza. Ta, patrząc jak blady i anormalnie spokojny, samotnie wchodzi do bramy, nie mogła zrozumieć, co się stało.

Gdy wdrapał się na schody kuchenne okazało się, że wejście jest zamknięte. Pomimo gwałtownych usiłowań, drzwi nie chciały ustąpić, najwidoczniej wchodził tu w grę zatrask. Wewnątrz mieszkania panowała cisza.

Nic więcej nie można było zrobić. Kos wycofał się na ulicę. Zajrzał jeszcze na frontową klatkę schodową, gdzie zastał przed wejściem do mieszkania jakieś dwie kobiety, w dalszym ciągu dzwoniące do drzwi. Wobec wyczerpania wszelkich możliwości, porzucił myśl dotarcia do kancelarii i ruszył do miasta. Idąc, wetknął rękę do którejś kieszeni... i znalazł w niej swoje dokumenty. Tak pospolicie skończył się epizod heroiczny.

W melinie u Luxa zrobiliśmy pośpieszny przegląd zdobyczy. Oprócz 6 automatów MP, objętych oficjalnym planem, wpadł nam w ręce jeszcze jeden nadprogramowy — śliczny Schmeisser. Prócz tego dwa nowiutkie visy. Pieniądzy niedużo, bo tylko około 3 tys. marek.

Dalsza część dnia minęła wśród szalonego niepokoju o Kosa. Przez kilka godzin trwało wzajemne odszukiwanie się po mieście. Dopiero wieczorem ja spotkałem Kosa, Kos odszukał Grada, Krab zetknął się u Petroneli z Komarową i Kolarzem. Te rozłożone symetrycznie grupy utworzyły coś na kształt „Apoteozy Zwycięstwa” na obrazie alegorycznym. Sukces był tym pełniejszy, że samochód okazał się (o czym nikt prócz Kosa nie wiedział podczas napadu) prywatną ciężarówką, zdobytą dzięki „chodom”, a nie oficjalną maszyną Okręgu z departamentu Jelonka. Tak więc poradziliśmy sobie całkowicie własnymi siłami. Mało kiedy zwycięstwo było tak kompletne.

Pewien kłopot wynikł od razu z Kosem. Żadna siła nie była skłonna skłonić go do zredagowania pisemnego raportu, który winien był złożyć jako dowódca. Opierał się stanowczo, twierdząc, że może opowiedzieć wszystko ustnie, „swoimi słowami”, ale układanie pisemnych tekstów nie leży w jego naturze. W końcu zgodził się, ale okazało się, że namazał: „Przyszedłem, zobaczyłem i zwyciężyłem”. Ostatecznie machnąłem ręką i Grad stworzył bardziej rzeczowy i obszerniejszy elaborat, który został przedłożony Dąbkowi.

Po paru tygodniach, wśród salw śmiechu przeczytaliśmy w miejscowym piśmie, wydawanym w języku polskim, ogłoszenie o ponownym otwarciu biura werbunkowego przy ul. Węglowej.

Zbliżał się akurat *Prima Aprilis*. Kos zdradzał ogromną ochotę, by pójść w tym dniu do nowo otwartego biura, aby powiedzieć urzędnikom, z którymi miał okazję zawrzeć znajomość, że wtedy, przed miesiącem, to były żarty — teraz namyślił się i zamierza naprawdę zapisać się w szeregi ochotników i wyjechać do Francji.

Udało mi się odwieść go od tego projektu.

K O Ń

Wkrótce po Nowym Roku 1944 zjawił się w melinie Kosa barczysty mężczyzna, ubrany w charakterystyczną skórzaną czapkę i długie buty typu litewskiego, mówiący tą specyficzną polszczyzną, która nie zawsze może być dokładnie rozumiana w Warszawie. Oczekiwałem z pewną atencją na to spotkanie przygotowane pod auspicjami Lisicy. Był to Szczepan Ławcewicz, Polak z Litwy, litewski lekarz więzienny z Łukiszek.

Lisica zaś doszła do tej koneksji za pośrednictwem dr. Biruty Iszorowej, żony tego samego dr. Iszory, który jeszcze za czasów Wachlarza był aresztowany w związku ze sprawą Kostrowickiego. Dr Iszorowa (występująca pod pseudonimami Kuzynka lub Ciotka) pracowała w laboratorium szpitala św. Jakuba, co dawało jej duże możliwości ingerowania w sprawy medyczne i manipulowania wynikami analiz.

Lisica uprzedziła, że jej nowy kandydat do Bazy szuka przydziału tam „gdzie mniej gadają, a więcej robią”. Chodziło mi o to, by ta cenna ryba połknęła nasz haczyk, toteż bez wielu słów wyekspediowałem nowego adepta na szkolne cięcie kolejowe organizowane przez instruktora Freza akurat w tym czasie na kierunku wschodnim, gdzie niedaleko za Nową Wilejką. Ławcewicz został zaprzysiężony i przybrał sobie pseudonim „Koń” dobrze pasujący do jego wielkiej figury i tubalnego głosu.

Ta pierwsza robota, mająca zaprezentować nowo przybyłemu należyty obraz dywersji kolejowej, będącej naszą *specialité de la maison* — nie wypadła tak, jak sobie tego życzyłem. Oto co notuje o niej kronika Bazy pod datą 19 stycznia:

„Wieczorem wymarsz patrolu w składzie: Frez, Bil, Koń, Nektar, Szumbura na cięcie w kierunku wschodnim.

Wobec defektu instalacji elektrycznej i niezapalenia się lontu prochowego, wybuchy nie nastąpiły pod dwoma kolejnymi pociągami. Próba uszkodzenia toru bez pociągu również nie dała wyniku, gdyż ładunek nie eksplodował. O godz. 3-ciej patrol zszedł z toru”.

Co sprawiło, że tak smętna relacja musiała trafić do annałów Bazy, ozdobionych wielu bardziej chlubnymi zapisami? Wymaga to obszerniejszego rozpatrzenia.

Poprzednio już była mowa o „kryzysie zaufania”, który w tym czasie przechodziła nasza produkcja w Pustelni, stanowiąca dumę Bazy. Ukryty defekt spłonek, których osłabiony wybuch nie był w stanie wywołać detonacji trotylu, pozornie przerzucał winę z zapalnika na ładunek. Do tego dołączył się inny defekt instalacji elektrycznej, polegający po prostu na umieszczeniu zbyt grubej i zbyt twardej warstwy izolacyjnej między płytkami kontaktowymi. Rzecz została wyjaśniona podczas jednego z następnych cięć, kiedy to wybuch nastąpił dopiero pod końcowymi wagonami, po sklepaniu zapalnika przez koła parowozu i całego prawie zestawu pociągu. W przyszłości, po wprowadzeniu drobnej modyfikacji, dobrze pomyślany zapalnik Grada działał bez zarzutu.

Ten zbieg dwóch defektów sprawił, że patrol Freza wrócił z niczym, niosąc z powrotem skompromitowane ładunki i instalację elektryczną, na którą rzucili się Grad i Kos, nie mogąc wykryć w niej na razie żadnego defektu.

Wróćmy jednak do Konia-Ławcewicza. Zimowa noc, którą spędził gdzieś pod Kieną na obserwowaniu pociągów przejeżdżających spokojnie po minie (nie ma widoku smutniejszego dla oka dywersanta) — nie była zmarnowana dla Bazy. Koń przylgnął tam do nas i do roboty i do ludzi. Frez, Bil, Szumbura, materiał wybuchowy, sprzęt techniczny — to wszystko była dywersja bez blagi, robiona przez ludzi nie od parady. Do Wilna Koń wrócił jako „wyznawca”. Oczywiście jego istotna rola była starannie zakonspirowana przed ogółem „wiernych”.

Dalsza współpraca z Koniem w naszych ramach układała się w sposób dość osobliwy. Jasne było od razu, że mnie chodzi o jego stanowisko na Łukiszkach, a nie o jeden więcej pistolet w akcji. Żadne bojowe sukcesy nie pokryłyby mi wagi posiadania w więzieniu człowieka o takich możliwościach i o takim zasięgu działania, jak lekarz więzienny. To było warte kilku Asfaltów. Tylko to się rachowało.

Zupełnie inaczej ujmował te sprawy sam Ławcewicz. Dla niego jego główne atuty były czymś ubocznym, czymś, co się

ledwo liczy przy byle pistolecie, czy minie. Coś niby Montaigne, który całą swoją twórczość pisarską uważał za błahy dodatek do godności kanonika kapitulnego w Blois. Kanonika dywersji Konia olśniewało i urzekało to, czego był tak gruntownie pozbawiony, tkwiąc w murach Łukiskiej turmy. Trzeba mu było dostarczać od czasu do czasu dawki tego antydotum aby wytrzymał dalej. Trzeba było szczególnie na początku — wmawiać w niego jego główne zadanie a odrywać go od spraw ubocznych, którym patronował pistolet i trotyl.

Już przed wstąpieniem do Bazy Ławcewicz rozwinął w więzieniu na własną rękę szeroką akcję pomocy więźniom, dwoił się i troił, dostarczając żywności, przynosząc listy i wiadomości. Przechodziły przez niego nici spraw o wadze znanej tylko tym, których bezpośrednio dotyczyły, o wadze życia i śmierci. Łukiszki — to nie był warszawski Pawiak, gdzie porozumienie na zewnątrz szło licznymi i wyrobionymi przewodami — to była wyspa litewsko-niemiecka, gdzie Polak wchodził tylko jako więzień. Trudno ocenić wartość wielu miesięcy aktywności Ławcewicza — była ona rozproszona, ale tworzyła w sumie ogromną pozycję.

Na tym ważnym kanale Baza usadowiła się w styczniu. Gdybyśmy zdołali zrobić to o parę miesięcy wcześniej — być może umożliwiłoby to ratowanie Edypa. Teraz naturalnie cała uwaga została skierowana na Fostowicza.

Sprawa Fostowicza w tym czasie już przycichła, mimo swego groźnego charakteru. Już po paru tygodniach gwałtownego śledztwa zaprzestano bicia i tortur na skutek potężnej łapówki doręczonej via Sauguma litewska. Po długim pobycie w Gestapo (po przelotnym spotkaniu w celi z aresztowanym Kosem) więzień został przeniesiony na Łukiszki, które były wypoczynkiem po piwnicach pod gmachem sądowym. Odpoczynek ten miał się przekształcić w zupełne uzdrowisko, kiedy Koń wystąpił na naszej arenie: odprężenie, łączność, zaopatrzenie w żywność i książki — trzeba przejść przez więzienie, żeby zrozumieć, co to wszystko znaczy. Doszło do nas, że Fostowicz zajmował się w celi swymi studiami nad św. Augustynem, zawieszonymi na czas wojny.

W ciągu lutego 1944 sprawa odbicia Fostowicza z więzienia przycichła na naszym warsztacie, zajęтым przez cały miesiąc „zagadnieniem 6 MP”. Koń wchodził w skład ekipy bojowej Kosa i brał czynny udział w długotrwałych przygotowaniach i w samym napadzie. Bezpośrednio po triumfie, kiedy my wszyscy przeżyliśmy chwilę odprężenia, on popadł w ciężkie tarapaty i czuł się poważnie zagrożony. Oto z jakich powodów:

Cały personel biurowy z Węglowej został od razu po napa-

dzie aresztowany. Kobieta i dwaj urzędnicy znaleźli się na Łukiszkach, gdzie stali się bardzo niepożądanym sąsiedztwem dla Konia. Taki bieg rzeczy był przez Kosa przewidywany i dlatego właśnie, mimo swej siły fizycznej, Koń nie został zaliczony do czołówki, która terroryzowała kancelarię, lecz był odsunięty na ubezpieczenie na schodach, które miało wejść później do mieszkania i wystąpić tam w maskach. Aliści Koń i Gryf zapomnieli włożyć te maski i zaprezentowali swoje twarze „roztropnej białogłowie” i jej dwóm towarzyszom. Już nazajutrz Koń spotkał się na korytarzu więziennym nos w nos z tym właśnie urzędnikiem, którego wiązał i ledwo zdążył odwrócić nieco twarz. Jeżeli nawet nie wzbudził w nim w tej chwili podejrzania, to jednak było prawdopodobne, że *à la longue* któraś z trzech aresztowanych osób rozpozna jego charakterystyczną, barczystą figurę, mimo ogolonych wąsów, zmiany ubrania i ogromnego dystansu, który w umyśle więźnia winien był dzielić te dwie postacie: solidnego lekarza więziennego mówiącego po litewsku i polskiego bojowca, wyprawiającego się po automaty.

Przez parę dni trwała w więzieniu ta zjadająca nerwy gra w ślepą babkę. W każdej chwili niedawny napastnik i ofiara mogli zamienić się rolami. Sprawa nabrała przez ten czas pewnego rozgłosu i stała się w więzieniu swego rodzaju „sensacją dnia”. Aresztowanych wciąż wzywano na badania, Gestapo konfrontowało z nimi różnych zatrzymanych na mieście ludzi. W tych warunkach unikanie spotkań stawało się balansowaniem na linie.

Po kilku dniach Koń, zgodnie ze swoją impulsywną naturą, postanowił rozciąć sprawę: z urzędową miną, ubrany w biały płaszcz lekarski kazał wezwać do siebie pod jakimś pozorem obu aresztowanych urzędników; potem przeprowadził inspekcję celi, w której siedziała „roztropna białogłowa” i wdał się z nią w rosyjską rozmowę. Jasne było z zachowania się ofiar napadu, że nie przychodzi im do głowy, by mieli oto przed sobą jednego z napastników — role nie miały się odwrócić.

Udział w tej okazowej robocie bojowej nasycił nieco pistoletowe skłonności Konia i postawił go w rzędzie „seniorów” Bazy. Może dzięki temu udawało mi się powstrzymywać go od udziału w drobnych akcjach i hamować jego zapędy, by iść do lasu. Trudno mu było nie przyznać mi racji, że powołaniem jego są Łukiszki. Domagałem się wciąż, by nie dawał się ponieść bezinteresowności i nie narażał swej pozycji dla indywidualnej filantropii, która może nań tylko ściągnąć polityczne oskarżenia. W takich przypadkach najbardziej bezpieczna była poza litewskiego łapownika, takiego, jak cała sfera więziennej administracji łukiskiej, w której tkwił i z której się wyrwał.

Szerokie możliwości Konia i osobista sympatia, która szybko powstała między nim a Fostowiczem przy ich bliższym poznaniu — wszystko to bardzo polepszało warunki więźnia, ale nie posuwało naprzód sprawy jego uwolnienia. Czas mijał na wzajemnych konsultacjach, na porozumiewaniu się z rodziną, na penetrowaniu zamiarów Gestapo przy pomocy „Czerwonej Maski”. Zbyt wiele miesięcy upłynęło już od aresztowania, aby idylla więzienna miała trwać jeszcze długo — zbliżał się już kwiecień. Trzeba było działać.

Działania te nastąpiły w końcu marca. Koń postanowił przeprowadzić przeniesienie więźnia do szpitala św. Jakuba i zarządził wielki spektakl symulowanego ataku wyrostka robaczkowego. W dniu 20 marca Fostowicz znalazł się w szpitalu więziennym. Nazajutrz Grad został wyznaczony dowódcą ekipy mającej wykonać zadanie.

Rzecz oczywiście nie szła tak prosto, jak w filmie zakończonym *happy end*'em. Sprawa Fostowicza, aczkolwiek od dawna osiadła na cichej mieliźnie wymoszczonej grubymi łapówkami — należała do kategorii groźnych. Przeniesienie do szpitala odwlekło się i wymagało nasilenia symulacji — trudnej i dla symulującego, i dla jego patrona, oraz wciągnięcia do pomocy jeszcze paru osób z obsługi szpitalnej. Niedawno z tegoż szpitala św. Jakuba uciekł Jelonek, szef gospodarczy Okręgu, aresztowany w styczniu. Zrozumiałe było, że Koniowi przeforsowanie jego zamysłu pójdzie niełatwo. Natomiast sama akcja w szpitalu sprowadzała się do sterroryzowania paru strażników i nie była zbyt kompromitująca dla Konia, w każdym razie nie tworzyła dowodu jego udziału.

Zwłoka w planie szpitalnym dała Gradowi czas na przygotowanie akcji z koronkową dokładnością. Zestawił tęgi skład ekipy, zapewnił sobie murowany samochód, ustalił jego trasę, przygotował melinę przejściową i stałą. Obmyślano, w jaki sposób siostra Fostowicza ma spotkać się z bratem nazajutrz po odbiciu, nie narażając go na żadne ryzyko. Nieomal ustalono jadłospis triumfalnego święconego, jako że zbliżała się Wielkanoc. Znaczący zapewnili, że w Wielkim Tygodniu nie nastąpi żaden wywóz więźniów, ani egzekucja na Ponarach — poprzednia odbyła się niedawno. Koń uzyskał formalne zezwolenie na przewiezienie chorego do szpitala. W poczuciu zupełnej pewności ustaliliśmy z Koniem i Gradem datę 7 kwietnia, w Wielki Piątek, uważając ten termin za odpowiedni właśnie dlatego, że był świąteczny. O tych wszystkich przygotowaniach Fostowicz był najdokładniej poinformowany. W dniu 3 kwietnia władze więzienne zezwoliły mu na widzenie z siostrą. Od czasu pamiętnej drugiej wyprawy

na Burbiszki (zakończony niepowodzeniem) nie mieliśmy roboty tak dobrze przygotowanej.

We środę 5 kwietnia, na dwa dni przed zamierzonym terminem, do mego mieszkania wpadła Lisica. Odbывała się tam akurat zbiórka pełnego składu fostowiczowskiej ekipy Grada, który zebrał ją dla doszlifowania ostatnich szczegółów.

Lisica wywołała mnie do przedpokoju. Widać było z jej twarzy, że nie przynosi nic dobrego. Przed chwilą otrzymała wiadomość od Konia, że w południe do więzienia Łukiskiego przybył samochód Gestapo, który zabrał około 20 więźniów — wśród nich Fostowicza. Ponieważ wywożonych wiązano przy ładowaniu — nie ulegało wątpliwości, że jadą na Ponary.

W ciągu naszej rocznej współpracy Fostowicz niejednokrotnie wykazywał lęk przed feralnym dniem, którym w jego pojęciu była środa. Ten przesąd był w nim zakorzeniony ze szczególną siłą. Przytaczał cały szereg przypadków, w których to, co spotykało go w życiu najgorszego — zdarzało się nieodmiennie we środę. W tym dniu tygodnia bywał często onieśmielony i bez inicjatywy.

Został aresztowany we środę 7 lipca 1943 i rozstrzelany we środę 5 kwietnia 1944.

Jak zwykle w takich wypadkach, śmierć Fostowicza nie od razu została uznana za niewątpliwą. Jeszcze czas jakiś i rodzina, i my, łapaliśmy jakieś nici, chwytaaliśmy się podsuwanych przez naiwność lub przypadek wątpliwych skojarzeń, lecz po miesiącu wszystkie te kielki nadziei stopniowo uschły i Fostowicz zapadł się w śmierć ostateczną.

Do samego końca miałem uczucie ufności i pewności, że nam wszystkim, schronionym za jego szerokimi plecami — nic nie grozi.



Śmierć Fostowicza pozostawiła w niepisanym testamencie powziętą koncepcją odbicia więźnia z Łukiszek. Była to więcej, niż koncepcja. Ten plan realny, szeroko rozpracowany, narzucał się jako pomszczenie i uczczenie tego, który, wycofując się w ostatniej chwili sprzed otwierającej się dlań furty, zostawił to przejście wolne dla kogo innego. Można było w każdej chwili uruchomić mechanizm.

Jeżeli jednak od razu tego nie zrobiono, to wynikało to z tej przyczyny, że brakło w więzieniu obiektu, którego odbicie opłacałoby nam zachwianie lub nawet spalenie pozycji Konia. Nie brakło tam oczywiście aresztowanych Polaków, lecz ani my, ani

Koń, nie wiedzieliśmy, kto z nich jest naprawdę godny wypalenia w powietrze takiego ładunku. W warunkach konspiracyjnych i w zawierusze spraw tego okresu trudno nam to było ustalić.

Jednakże odpowiedni delikwent ukazał się już wkrótce. Był to ni mniej, ni więcej nasz własny Frez — spadochronowy instruktor Kedywu. Tu już nie ulegało wątpliwości, że ładunek nie zostanie wypalony na darmo.

Sprawa Fostowicza podziałała na Konia ze szczególną siłą. Już w okresie przygotowań poprzedzających dramatyczny epilog, bardziej może obawiałem się o stan lekarza, niż leczonego. Teraz, po aresztowaniu Freza, impulsywny jego uczeń z toru kolejowego uznał za swoją misję, za swój obowiązek naczelnym ratowanie instruktora, któremu zawdzięczał swój chrzest bojowy (z dość wątpliwej chrzcielnicy) pod Kieną. Nie uznawał tu żadnych kontrargumentów, które wysuwaliśmy z rozsądnym Kostkiem, biorącym żywy udział w przygotowaniach — Frez musiał być odbity.

Był to zresztą głos nie tylko Konia. Inicjatywa odbicia Freza wyszła przede wszystkim od Egzekutywy, z którą Baza była skomunikowana głównie za pośrednictwem wspólnego instruktora (jako że wspólne dowództwo często raczej dzieli, niż łączy dowodzone przez siebie oddziały konspiracyjne, przestrzegając pilnie ewangelicznego „niech nie wie lewica, co czyni prawica”). Wiedzieliśmy, że natychmiast po aresztowaniu Freza Egzekutywa wyległa z pistoletami na ulicę, by go odbić z rąk policyjnej eskorty, zanim trafi do Gestapo — nie udało się tego dokonać, działając na ślepo, bez dostatecznego wywiadu. Ta mocna pozycja, ta legenda Freza wynikała nie tylko z owej londyńskiej aureoli unoszącej się nad jego głową i przydającej blasku (nie zawsze zasłużonego) całemu klanowi spadochronowemu, rozproszonemu po Polsce. Tę legendę sam ukuł sobie w Wilnie. Był między nami od kilku miesięcy, a jednak reprezentował całą epokę, stworzył całą szkołę. Ten przeciętny belfer dywersji przyniósł do nas z Anglii swoje rzemiosło, które wykonywał prosto, jasno, bez polotu, z całą solidnością zawodowca i to właśnie sprawiło, że był tak przekonujący, że reprezentował nie zrywy i wzloty, a pewien system. Ten właśnie system „wziął” Konia, który przyszedł do Bazy, aby „mniej gadać, a więcej robić” a teraz, po aresztowaniu Freza podnosił na nogi Egzekutywę, Bazę i cały Kedyw.

Ale z drugiej strony na sprawę tę kładły się pewne cienie. Frez został aresztowany w okolicznościach zupełnie łagodnych i zapewne nie potrzebowałby tak ostrych środków zaradczych, gdyby nie jego dokumenty. Zostały one od razu rozszyfrowane,

jako produkty „Gospody”. Jednak i to nie byłoby jeszcze ostatecznym zagrożeniem, gdyby nie zupełnie nielegalna pozycja Freza w Wilnie. Ten człowiek miał egzystencję złożoną tylko z pistoletu i trotylu. Nie posiadał żadnego legalnego oparcia w jakiejś pracy, w jakichś stosunkach towarzyskich, czy zawodowych z legalnymi ludźmi. Nie mógł podać o sobie żadnej legalnej wersji — tego, co mnie dwukrotnie uratowało z Gestapo. Nie miał charakteru Edypa, który podał wersję samobójczą. Nie miał sprytu i zaradności Brony, który od razu zagospodarowywał się i opierał na nowym miejscu i potrafił urealnić fikcję. Toteż sprawa jego nabrała ostrego charakteru i nie było mowy o skierowaniu jej na jakieś spekulankie, czy kryminalne tory.

To jeszcze nie wszystko. Nie mając żadnego gruntu pod nogami, Frez ujawnił w Gestapo parę nazwisk, które od razu znalazły się na liście więźniów na Łukiszkach. Ujawnił najmniej nielegalne ze swoich koneksji, tyżące się spraw brydżowych — brydż w jego życiu stał na drugim miejscu po trotylu — ale w tej epoce obie te jego pasje łączyły się często w jedno i trudno było oddzielić brydżystów od trotylistów. Trzeba sobie uświadomić, że pozycja więźnia, który w śledztwie nie może ujawnić nic, zupełnie nic — jest straszna. Fostowicz do końca nie obciążał nikogo ani cieniem oskarżenia, ale obszernym polem kluczenia i manewrowania była dlań jego legalna egzystencja. Frez nie mogący odpowiedzieć na żadne z elementarnych pytań, dotyczących jego istnienia w Wilnie, był postawiony przed tym, co jest w śledztwie najgorsze — przed „ścianą milczenia”.

Tak czy owak ludzie byli uwięzieni i w tej sytuacji odbicie Freza nie tylko przerzucało ciężar śledztwa na jego współaresztowanych, ale ogromnie podnosiło dla Gestapo wagę odbitego więźnia, a więc i jego towarzyszy. Odbicie Freza nie likwidowało sprawy, ale właśnie miało ją rozpętać.

Wszystkie te rozważania miały charakter raczej teoretyczny, bo Frez na razie nie był w zasięgu Konia. W sprawie przebiegu śledztwa w Gestapo dochodziły niepokojące wiadomości, które jednak nie mogły być sprawdzone przez Asfalta. W dalszym ciągu Koń stosownie do swego pseudonimu gryzł wędzidła i galopował. Tym końskim sposobem zagalopował się parokrotnie aż do piwnic w gmachu Gestapo, gdzie pod pozorem samozwańczej inspekcji sanitarnej, czy innych czynności lekarskich, starał się dotrzeć do Freza. Nie udało mu się to, jednakże Frez w celi słyszał i poznał na korytarzu tubalny głos swego ucznia.

Inicjatywa przeszła całkowicie w ręce Konia, gdy dnia 10 maja Frez został odnaleziony na Łukiszkach. Już nazajutrz więzień znalazł się w szpitalu i poszło w ruch stare, fostowiczowskie dzie-

dzictwo: ostra symulacja — gra, w której chory i lekarz w jednakowym stopniu byli aktorami. Od tej pory szpital więzienny narzucał nam tempo przygotowań — tym razem było ono bardzo ostre, jeżeli zważyć trudności wewnątrzwięzienne Konia.

Trzeba rozpatrzeć jeszcze jeden aspekt tej sprawy. Frez był najdokładniej poinformowany o przygotowywanym odbiciu go, a jednocześnie zagrożony przeniesieniem z powrotem do Gestapo, skąd droga jego mogła prowadzić tylko w ślady Fostowicza. Nie był to jednak z ducha drugi Fostowicz. Ta wisząca w powietrzu katastrofa, która mogła go ściągnąć z wyżyn na najniższe dno — zmiądzzyłaby go zupełnie. O jego ciężkim stanie psychicznym coraz to mówiły krótkie i niechętne napomknienia Konia.

Co dalej? Grozi nam przeniesienie do Gestapo człowieka, którego my sami rozłożyliśmy duchowo, roztaczając przed nim perspektywy realne, lecz w porę nieuruchomione; człowieka, który nie ma innych możliwości obrony, jak tylko samobójcza „ściana milczenia”; człowieka, który o Kedywie wileńskim wie więcej, niż Dąbek i Kostek razem wzięci, zna go od samej góry do dołów szkolonych przez siebie komórek. Tego człowieka nie wolno wpuścić z powrotem do Gestapo. Trzeba go albo odbić w drodze z Łukiszek, albo też... Jakie jest inne wyjście?

Mała kapsułka, pochodząca z apетки Jundziłła, doręczona przeze mnie Koniowi była odpowiedzią na to pytanie. Zanim jednak miało dojść do jej użycia, należało myśleć o pierwszej alternatywie.

Kilka ostatnich dni napięcia targało mną w różne strony. Od czasu fostowiczowskich przygotowań, zmontowanych tak koronkowo przez Grada, minęło mało co więcej niż miesiąc, a sytuacja była gruntownie zmieniona. Grad i Kos byli już w polu, odkomenderowani jako instruktorzy do VI-tej Brygady. Wraz z nimi odpadły ich prywatne chody samochodowe a dobijanie się o samochód Komendy Okręgu było równie beznadziejne, jak i dawniej. Parokrotne mobilizacje Bazy wymiotły do lasu, do Frycza, kilkunastu ludzi, wśród nich całą prawie śmietankę bojową. Razem z nimi popłynęła oczywiście i śmietanka uzbrojenia. Doszło do tego, że moje osobiste parabellum pofrunęło w tamtą stronę a ja zostałem przy dość wątpliwym visie, wojennej niemieckiej produkcji, zdobytym na Węglowej. Nie było czasu ani możliwości ściągać coś z powrotem — wysysanie broni przez las było procesem trudno odwracalnym.

Tym razem sam objąłem dowództwo i musiałem zacząć od szukania pomocy postronnej dla stworzenia ekipy. Skończyło się na tym, że Dąbek, wbrew dotychczasowym zasadom, przydzielił na tę robotę ludzi z innego oddziału i to nie byle jakich: filary

naszej najbliższej sąsiadki Egzekutywy — tej właśnie, u której Frez był oczkiem w głowie.

Filary stały się przede mną w pośpiechu i gotowości do działania. Byli to Zeks i Jurek — dwaj dowódcy i „główni operatorzy” oddzielnych zespołów likwidacyjnych. W całym Wilnie — a może i w całej Polsce — trudno by mi było znaleźć bardziej kompetentnych wykonawców przy pistoletowej rozprawie na bliski dystans. Z naszej strony oprócz mnie siedł Szumbura, którego obowiązki zawodowe utrzymały dotychczas w mieście. Ta czwórka mimo że złożona z obcych sobie elementów, nadawała się na robotę, wymagającą pewnej ręki.

Koń był uwikłany w trudności wydębienia pozwolenia na przeprowadzenie operacji wyrostka robaczkowego w szpitalu św. Jakuba i co dzień zmieniał prognozę. W ciągu półtorej doby kontakt z nim był urwany, po czym nastąpiły gwałtowne przygotowania do nocnego zaatakowania szpitala, do którego „chory” miał być przewieziony w przeddzień „operacji”. Zanim jednak zdołałem wyszukać odpowiedni lokal w sąsiedztwie dla umieszczenia w nim naszej czwórki właściwych operatorów — już przyszło odwołanie. Władze więzienne godziły się na przewiezienie Freza do św. Jakuba tylko na samą operację — miał przybyć na nią wprost z Łukiszek i niezwłocznie po niej winien był być odstawiony z powrotem.

Niedziela 14 maja była dniem wytchnienia, gdyż w święto przeniesienie do Gestapo było nieprawdopodobne. Natomiast następny dzień pachniał bardzo silnie tym przeniesieniem. Tylko w wyjątkowych wypadkach Gestapo używało tu samochodu, normalnie, wobec małej odległości, więźniów pędzono pieszo. W naszym wypadku wchodziłaby zapewne w grę furmanka, którą więzienie odesłałoby chorego.

Obsadzenie krótkiej trasy na kilka długich godzin wydawało mi się niepodobieństwem. Szukałem gorączkowo mieszkania, dającego możliwość obserwacji. Koło wieczora zdecydowałem się na lokal położony na najwyższym piętrze narożnej kamienicy po przeciwnej stronie placu Łukiskiego, naprzeciwko Gestapo. Było to mieszkanie prywatne personelu mojej ukochanej apteki Jundziłła, mieszczącej się w tym samym domu. Stamtąd można było obserwować wylot ulicy Montwiłłowskiej, położony w odległości ok. 400 m. od Gestapo i panować nad całym placem Łukiskim i dojazdem do szpitala św. Jakuba.

Ranek dnia następnego zastał mnie w upatrzonym mieszkaniu, szamoczącego się z moim niwelatorem. Wobec tego, że obserwacja miała być prowadzona na tak dużą odległość, zapra-

gnąłem użyć lunety mego instrumentu jako *quasi*-lornetki (autentyczne były dawno w polu, nie wyłączając teatralnych). Jednakże mansardowe okna mieszkania były tak daleko wysunięte do przodu, że właściwe położenie lunety udało się dopiero po gwałtownym zmaganiu się z ramą okienną. W tym czasie Zeks i Jurek obsadzili trasę. Podziwiałem ich twardość. Poprzednio już trwali godzinami na tym krótkim i niezbyt ludnym odcinku i nie dali się spędzić ani przez policjanta, który wylegitymował ich na rogu ul. Mickiewicza, ani przez podejrzliwe uwagi przechodniów i dozorców domowych. Dopiero o 10-tej ściągnąłem ich do lokalu, uważając, że nie tylko narażają siebie, ale i kompromitują trasę.

Dzień był słoneczny, dość chłodny, o doskonałej widoczności. Liście lip na placu Łukiskim nie rozwinęły się jeszcze całkowicie, dając drzewom ażurowe sylwetki. Cały ruch na placu był dokładnie widoczny.

Czuwanie trwało. Instrument geodezyjny nie jest idealnym narzędziem obserwacji w takim przypadku — luneta daje obraz odwrócony, a zatem nie tylko ustawia postać ludzką „do góry nogami”, ale zmienia również kierunek ruchu. Dla mnie wdrożonego w technikę pomiarową, nie stanowiło to żadnej przeszkody, lecz inni, po raz pierwszy zagląający w okular, byli zdezorientowani tymi komplikacjami. Toteż Zeks, pozostawiając mnie moją chytrą optykę, sam zasiadł w oknie i nie spuszczał swego gołego oka z obserwowanego rogu ulicy. Miał niesłychany wzrok — na tę dużą odległość, po przekątnej ogromnego placu Łukiskiego, rozróżniał twarze ludzkie. Komarowa również wyłapywała swoich znajomych — ale przez lunetę. Musiała stawać na palcach, by dosięgnąć okiem aparatu, ustawionego na wysokim statywie, toteż przyszło zrobić dla niej specjalny podnózek.

Do południa ani gołe oko Zeksa, ani moje uzbrojone, nie wykryło na trasie nic podejrzanego. Byliśmy wolni do jutra.

Po południu nadeszła wiadomość od Konia, że wysłanie Freza na operację — tylko na operację — jest uzgodnione między więzieniem a szpitalem św. Jakuba na jutrzejszy ranek. Jednocześnie został zrobiony ostatni, kurczowy wysiłek otrzymania samochodu. Ja machnąłem już na to ręką i zdecydowałem się na przestudiowaną poprzednio trasę odskoku brzegiem Wilii do przeprawy łódką u wylotu ul. Tartaki, w połowie drogi między mostem Zielonym a Zwierzynieckim. Jednakże Komarowa i Lisica nie dały za wygraną i ruszyły z zaciekłością gończych psów do ostatniego ataku na Jelonka, ukrytego, jak pająk, w głębi swojej siatki organizacyjnej. Kilka godzin trwało przebijanie się przez tę sieć. Komarowa sforsowała kilka „kręgów wtajemniczenia” i dotarła gdzieś już blisko centrum. Jednakże po kilku godzinach wróciła

z niczym. W nadchodzącym dniu mieliśmy być zdani tylko na własne nogi.

Zaraz potem nastąpiło moje ostatnie spotkanie z Koniem. Była to jedna z tych dramatycznych rozmów, w których ścierają się obnażone krawędzie — zwykle głęboko ukryte — odrębnych duchowych struktur.

Obaj byliśmy wpleceni w bieg wypadków, który niósł nas ku jutrzejszemu rozwiązaniu. Koń dążył ku niemu ze stanowczością, pod którą kryła się jego bezinteresowność, wrażliwość i narastający w duszy bunt przeciwko Łukiszkom. Ja również nie czułem się w mocy wstrzymania toku wydarzeń tak rozpędzonych, lecz starałem się ułożyć je w jakiś określony kierunek, ocenić wartość tego, o co walczymy i co mamy w tej walce poświęcić.

Oto wychodzimy na ciężką robotę, rozgrywaną w centrum miasta, pod samym nosem Gestapo, w biały dzień. Nie mamy samochodu, który jest elementarnym warunkiem bezpieczeństwa. Zamierzamy wycofywać się wzdłuż murów więzienia Łukiskiego ku niezbyt pewnej przeprawie. Jeżeli ona zawiedzie, znajdziemy się w worku stworzonym przez łuk Wili i rozległy kompleks więzienny, stanowiący całą dzielnicę. Ryzykujemy grubo w tej źle przygotowanej robocie.

Ale mniejsza o to ryzyko. Godzimy się na nie z góry, idąc do nierównej walki konspiracyjnej. Gotowi jesteśmy przyjąć je dla osiągnięcia celu, lecz co właściwie jest tym celem?

Przy najszcześniejszym przeprowadzeniu akcji, przy najcelniejszych strzałach, najściślejszych nogach — czeka nas tylko pyrrhusowe zwycięstwo. Odbicie Freza będzie niewątpliwie efektowne, ale czy równie celowe? Czy zapłaci nam ono cenę Konia? Musimy przecie poświęcić jeżeli nie jego samego, to jego łukiski posterunek. Czy da się coś uratować z tego, co jest jedną z głównych wartości Bazy? Do tej pory jechaliśmy wciąż na dobrym wywiadzie. Może za parę miesięcy będziemy zdobywać Łukiszki i opłacimy dziesiątkami trupów nieobecność Konia wewnątrz murów? Może nieobecność ta pociągnie za sobą inne dziesiątki trupów na Ponarach? Jakie są szanse utrzymania tej pozycji, wobec ostatnich ograniczeń ze strony więzienia? Przekazanie Freza szpitalowi miejskiemu bodaj na dobę zwalnia Konia od odpowiedzialności za dalszy bieg wypadków, ale odbicie więźnia prawie pod murami Łukiszek, w liczone minuty po przekroczeniu bramy więziennej, jest gilotyną ucinającą wszelkie nasze nadzieje utrzymania Konia tam, gdzie jest on tak potrzebny. Do tego jeszcze ta ostrość warunków wymaga ostrości walki. Koń zapłaci nie tylko za zniknięcie więźnia, ale i za trupy eskorty. Tu już nie będzie mowy o jakimś terroryzowaniu, czy obezwładnianiu, jak

to było przewidziane w wypadku Fostowicza. Pistolety Egzekutywy nie będą strzelały inaczej, jak tylko w głowę — to było jasne i to było słuszne. Tylko takie strzały liczą się w tych warunkach.

Czy nie ma innego wyjścia? Jest przecie owa ampułka cyjanali, dostarczona przeze mnie Koniowi. Czy mamy iść na tę deficytową robotę dla ratowania pojedynczego człowieka, robotę porzucającą cały ciężar walki na nas, o cały ciężar śledztwa na tych, którzy pozostają w więzieniu. Konieczność otrucia Freza była już rozważana z Dąbkim i Kostkiem, gdy wydawało się, że odbicie go jest niemożliwe. Czy do końca mamy zostać Polakami, czyli bać się kalkulacji bardziej, niż samobójstwa?

Wykalkulowane przeze mnie wyjście nie miało zostać zrealizowane. Koń sprzeciwiał się stanowczo moim sugestiom otrucia Freza. Nie miałem dostatecznej siły przekonania, by narzucić mu je w formie rozkazu, zresztą rozkaz wydawać należy wtedy, gdy się jest pewnym jego wykonania. Również nie sformułowałem w formie rozkazu mego poglądu, że po odbiciu Freza Koń nie ma po co wracać na Łukiszki, a powinien natychmiast znaleźć się w lesie. Wbrew memu zdaniu, Koń chciał trwać dalej i spodziewał się, że po pewnym kryzysie, uda mu się utrzymać na Łukiszkach w swoim dotychczasowym charakterze. Teraz dopiero miał poczucie swej wartości i wagi tego, co robił.

Rozstaliśmy się wieczorem, dawno po godzinie policyjnej, w półmroku chłodnego zmierzchu majowego. Rozchodziliśmy się bez jasnego uzgodnienia i bez należytego wyrażenia przeze mnie tego, co czułem przez cały czas rozmowy: że istotą i sprężyną całej sprawy jest niezwykła ofiarność Konia. To, że w tym napiętym momencie nie postawiłem tamy tej ofiarności — stanowi dla mnie obciążenie.

Nazajutrz 16 maja 1944 Frez został odbity. Żmudna budowa, wznoszona przez nas od miesięcy na barkach Konia, otrzymała swoją efektowną fasadę. Był to drobny epizod tych zmagających się w owym czasie zamieniały Warszawę i całą Polskę w kłębowisko błyskające strzałami i eksplozjami. Nasza fasada była podobna do tylu innych — tych okazałych, które błyszczą do dzisiaj czy tych skromnych, trwających może już tylko w pamięci nielicznych. Wszystkie one — nawet te najbardziej monumentalne — pokazują nam tylko swój front, a kryją w głębi swoje kuchenne schody, oficyny i fundamenty. Toteż bez ozdóbek oddajmy słowo lakonicznemu i chropawemu tekstowi, zanotowanemu bezpośrednio po walce:

„16. V. wtorek. O godz. 8-ej rano zbiórka Bałtruka,

Jurka, Zeksa, Szumbury i Komarowej na punkcie obserwacyjnym i rozpoczęcie obserwacji przez lunetę. Perlica i Lisica organizują wyżywienie na drogę przy ucieczce i utrzymują łączność z Hektorem na przeprawie i z Koniem. Około godz. 9.30 alarm, który okazuje się fałszywy i powrót do mieszkania wypadowego. Wiadomość od Konia o wyruszeniu furmanki o godz. 10.15. Około godz. 10-tej drugi alarm, który też okazuje się fałszywy. Bezpośrednio potem Jurek i Zeks, w nieobecności Bałtruka i Szumbury, którzy poszli inną drogą, spostrzegają furmankę z Frezem, eskortowaną przez 2-ch strażników więziennych. Komarowa i Sowa obserwują przebieg wypadków z okna. Przed bramą szpitala Jurek i Zeks likwidują eskortę dwoma strzałami (jeden zabity, drugi ciężko ranny) i wraz z Frezem uciekają w kierunku Wilii w dół rzeki, gonieni przez niemieckiego czołgistę. W międzyczasie nadbiegają Bałtruk i Szumbura. Na placu targowym nad rzeką następuje wymiana strzałów między czołgistą a Jurkiem, Bałtrukiem i Szumburą. Czołgista chowa się za skarpe nadbrzeżną. Wszyscy uciekający dobiegają do łódki i przeprawiają się na drugą stronę, po czym wraz z Hektorem uciekają w stronę ul. Wiłkomierskiej. Biegnący z przodu Frez i Zeks znikają z oczu pozostałych czterech, po czym rozdzielają się również mimowoli Szumbura z Hektorem od Bałtruka i Jurka. Wszyscy uchodzą szczęśliwie.

Lakoniczny tekst wymaga może pewnego uzupełnienia w swojej części końcowej. Po drugim alarmie wywołanym ukazaniem się nowej furmanki w polu widzenia niwelatora, znaleźliśmy się znów na placu przed szpitalem, by stwierdzić, że i tym razem chybiłmy celu. Wobec tego, że ukazanie się furmanki więziennej wisiało już w powietrzu, postanowiłem nie wracać do mieszkania obserwacyjnego, a czekać na miejscu. Pozostawiłem ostrookiego Zeksa i Jurka przed szpitalem, a sam z Szumburą przeszedłem nad rzeką na plac targowy, przytykający do ulicy, na której oczekiwaliśmy ukazania się furmanki więziennej i odgrodzony parkanem od kompleksu budynków szpitalnych. Plac targowy był już pusty, po porannym ożywieniu. Kilkanaście przekupek siedziało beczynnie koło balustrady nadrzecznej. Było słonecznie, sennie i cicho. Od strony więzienia ani śladu ruchu.

Nagle Szumbura trącił mnie ostro. Przez plac szybkim krokiem przechodziło dwóch mężczyzn — spojrzałem i zamarłem ze zdumienia. Byli to ponad wszelką wątpliwość dwaj nasi towarzysze, pozostawieni przed chwilą przy bramie szpitala. Wiedziałem

brązowy garnitur Zeksa, rozpoznawałem brezentową torebkę, w której nosił stale swoje ufi. Obok jasny, prawie biały płaszcz letni Jurka. A między nimi...

Między nimi szedł dobrze mi znanym, kołyszącym się krokiem, barczysty mężczyzna. Z daleka widać było policzki i brodę poszarzałe od ciemnego, parotygodniowego zarostu. To przecie był Frez.

To oczywiście świadectwo moich oczu nie zdołało od razu przebić się do mózgu. Staliśmy z Szumburą, zamienieni w słupy zdumienia. Tamci przemierzali plac owym wyciągniętym krokiem, już, już przechodzącym w bieg. Jurek odwrócił się, dając nam ręką wojskowy sygnał zbiórki. A my wciąż trwaliliśmy w bezruchu z wytrzeszczonymi oczami i otwartymi ustami.

Aż wreszcie czar prysnął. Zza rogu wypadła na plac wysoka, czarna postać — żołnierz niemiecki w mundurze czółgisty. Niemiec biegł, trzymając w ręku pistolet. Coś jak prąd elektryczny targnęło mną do przodu. Biegliśmy z Szumburą na ukos przez plac, zlizając się coraz więcej z boku do Niemca. Tamci trzej byli już koło ruin po przeciwległej stronie placu. Jurek przywarował za pierwszym załomem ściany i starannie mierząc, strzelił do Niemca z dużej odległości. Jednocześnie my dwaj dopadliśmy stojącego na placu murku — była to ściana podziemnego ustępu publicznego, wznosząca się o metr nad ziemią. W pozycji kłęczącej, z ręką opartą na żelaznej balustradzie na wysokości oczu, miałem wymarzoną pozycję do strzału. Niemiec zatrzymał się i przylgnął do stojącego na placu słupa telefonicznego w odległości około 30 m. Miałem go na muszce na tle stadka rozbiegających się po placu przekupek.

Byłem zdyszany przeszło stumetrowym biegiem o nieco kulejącej nodze. Mierzyłem uważnie, ale strzał chybił — czułem to. Na domiar złego moja nieufność do obcego pistoletu znalazła swoje potwierdzenie — vis zakaprysił: repetownica, która przy strzale odeszła do tyłu — pozostała w tej pozycji na niezarepetowanym ładunku. Ten „defekt”, świadczący tylko o lekkim osłabieniu sprężyny głównej, usunąłem w mgnieniu oka pchnięciem nasadą dłoni, ale w podobnej chwili nawet taki drobiazg się liczy. Następne moje strzały też były niecelne. Obok traskało parabellum Szumbury, z ruin za nami odzywał się nagan Jurka. W pewnej chwili czółgista oderwał się od swego słupa, przebiegł kilkanaście metrów, przeskoczył balustradę i zniknął na skarpie schodzącej do rzeki. Równocześnie my trzej rzuciliśmy się między ruiny, gdzie o kilkaset metrów czekała łódź zorganizowana przez Hektora.

Za rzeką nasz dalszy bieg na przełaj był przeciwny biegowi

naszych poprzednich przewidywań. Podczas przygotowań do akcji była obszernie dyskutowana sprawa osłabienia Freza. Istniały obawy, że więzień skatowany w Gestapo, wyczerpany długotrwałą symulacją na Łukiszkach, nie będzie mógł posuwać się z należytą szybkością przy odskoku. Rzeczywistość zadała kłam tym przypuszczeniom ludzi małej wiary. Już od łódki Frez wyrwał się naprzód i mocy nie było, by ktoś z nas mógł mu dorównać. Za nim biegł Zeks, równie ostrooki, jak bystronogi — ci dwaj oderwali się szybko od pozostałych, którzy rozciągnęli się na długim dystansie. Ostatni biegłem ja, kulejący i ciężko dyszący, wywalając sobie pod nogi przygarście machorki i grzebiąc po kieszeniach za buteleczką z amoniakiem, którym należało skrapiać nasze ślady. Znalazłem ją ale już w domu...

Mimo że byłem niewątpliwym dowódcą całej akcji i rzeczywiście kierowałem nią od początku do końca, najbardziej istotny moment odbicia Freza umknął mojej świadomości, a widok Freza wolnego przyjęty był przeze mnie z najwyższym zdumieniem.

W ciągu paru minut zużytych przez Szumburę i przeze mnie na obejście szpitala od strony rzeki, furmanka więzienna wioząca Freza przejechała po przeciwnej stronie szpitala i stanęła przed bramą, u której czuwały filary Egzekutywy. W tym jeszcze nie było nic niewiarygodnego. Prawdziwie zadziwiające było dopiero to, że ani Szumbura, ani ja, z niedużej odległości na tyłach szpitala, nie posłyszeliśmy najśłabszego echa strzałów oddanych przy bramie głównej. Strzały te były słyszane zarówno przez Hektora, znajdującego się na przeprawie w odległości przeszło pół kilometra, jak i przez Kolarza, ubezpieczającego trasę za Wilią w odległości jeszcze większej. Ukazanie się Freza odbitego w zupełnej ciszy, wytworzonej przez drzewa, budynki i kierunek wiatru — wywołało moje osłupienie i utratę orientacji w ciągu kilku krytycznych sekund.

Ten niezwykle przebieg mego dowodzenia odjął mi część poczucia triumfu po udatnie wykonanym zadaniu.

Nasz triumf odbył się w ramach bardzo ścisłych. Nazajutrz na melinie Zeksa mogłem uścisnąć Freza (którego otrucie domagałem się przed dwoma dniami) i wykonać rozkaz Dąbka opuszczenia miasta. Przerzuciliśmy się na prawy brzeg Wili i ruszyliśmy we czterech lasami do Pustelni, skąd miał nas podjąć Frycz. W ciasnej izdebce naszej do niedawna szumnej „fabryki”, noszącej jeszcze ślady przyschniętego trotylu na ścianach i podłodze, moi trzej towarzysze rozpoczęli natychmiast brydza na cześć Freza, który zapewne od tej dopiero chwili uczuł wolność naprawdę. Ja, jako jedyny osiągalny czwarty, statystowałem w grze, nie mając o niej pojęcia, w roli tzw. „łebka do pozłoty”.

ODDZIAŁ FRYCZA

W bujnym roku 1944, od wiosny przebiegał w Wilnie proces tłumnego wychodzenia młodzieży w pole. Proces ten rozpoczął się już w jesieni roku poprzedniego, tak że istniały oddziały, które zimą 1943/1944 spędziły w lesie. Od Kampanii Wrześniowej mijało 5 lat, rosło pokolenie, które napatrzyło się wojny, licząc konspiracji. Powstające na wschód i na południe od Wilna brygady partyzanckie na ogół nie miały kłopotu z osiągnięciem planowanych stanów. Twórcą jednej z nich, powstałej jeszcze w jesieni, był nasz dawny Brona, który obecnie przybrał pseudonim „Tońko” (do pary z por. Piotrem Motylewiczem „Szczepciem” — poległym jeszcze w styczniu, w walce pod Mikuliszkami). Teraz, na wiosnę była to silna jednostka leśna — 6-ta Brygada. Brygada ta była podporządkowana komendzie Kedywu, a nie jednemu z Inspektortów, jak inne brygady. W ten sposób zachowaliśmy z oddziałem Brony powinowactwo organizacyjne.

Natomiast prabrygada powstała jeszcze latem w roku poprzednim (1943) jako tzw. oddział Kmicica na północny wschód od Wilna, nad jeziorami Narocz i Miastro i tam współdziałająca z sowieckim oddziałem partyzanckim Markowa — ta brygada już nie istniała. Została podstępnie rozbrojona przez Markowa i, po wymordowaniu oficerów, wcielona w szeregi sowieckie. Ostatecznie większość tych ludzi uciekła i zasiłała polski oddział kawaleryjski Łupaszki — późniejszą 5-tą Brygadę.

Z oddziałem Kmicica łączyła Bazę nie tylko więź organizacyjna, ale i stosunki prywatne, tak skuteczne w warunkach konspiracji: jeden z zamordowanych oficerów tego oddziału, Prus (Jerzy Ziemiński) był krewnym naszego Bila z Bazy. Dramatyczne rozwiązanie nad Naroczą stanowiło tło do dalszych sto-

sunków polsko-sowieckich, które rysowały się jako coraz to trudniejsze zagadnienie.

Opodal jaszuńskich terenów Frycza krzewiła się w stronach turgielskich rozrośnięcia 3-cia Brygada, dowodzona przez Szczerbca (kpt. Gracjan Fróg). Kilka innych — mniejszych i gorzej uzbrojonych — rozrzuciło się dokoła Wilna, bliżej i dalej. Jeszcze dalej, od Brasławszczyzny na północy, do Nowogródzczyzny na południu rozwijały się oddziały poza bezpośrednim zasięgiem Wilna. W Nowogródzkim oddziały te nazywały się batalionami, a nie brygadami. W końcowym efekcie powstania, całość liczyła ok. 40 brygad, batalionów i innych jednostek, w ogólnej sile ok. 14 tys. ludzi.

Jedną z nich, stosunkowo drobną była kompania Kedywu, dowodzona przez Frycza, czyli nasz rodzony oddział Bazy. Komenda Okręgu zachowała jego odrębność, chociaż mogła go przecie włączyć do kedywowskiej 6-tej Brygady.

Frycz wyruszył w pole 17 kwietnia. Stało się to nie mocą jakiegoś rozkazu od góry, lecz siłą nacisku od dołu. W tej porze szanujący się oddział nie mógł już całkowicie pozostawać w konspiracji. Komenda Kedywu bynajmniej nie narzuciła, a tylko akceptowała nowy stan rzeczy.

Samo wyjście Oddziału w pole nie miało tego charakteru przymusowego, jaki widoczny był nieraz przy opuszczaniu miasta przez grupy ludzi całkowicie „spalonych”, wycofujących się do lasu. Tu było inaczej. Oddział był całkowicie zorganizowany i zaprawiony podczas poprzedzającego raidu próbnego, który trwał 2 tygodnie. Samo wyjście nieuzbrojonych jeszcze ludzi z Wilna, na punkt zborny w Pustelni, na zachód od miasta, gdzie broń była zamelinowana — nie przeszło gładko, bo natknęło się na niemiecką obławę, w której dwaj młodzi chłopcy Gerard i Mamba zostali aresztowani, a część ludzi rozproszyła się i wróciła do miasta. Obaj aresztowani trafili na Łukiszki, gdzie zostali podjęci przez Konia.

Z chwilą wyjścia Oddziału w pole, nastąpiło wyludnienie Bazy w Wilnie, o którym była mowa poprzednio. Nastąpiło odwrócenie ról dotychczasowych. Oddział pomocniczy, który Baza miała w rejonie Jaszun, stał się teraz centralnym pisklęciem — żarłocznym i wymagającym. Jego otwarty dziób, zwrócony w stronę miasta, żądał mundurów, butów, wyposażenia technicznego — ale przede wszystkim broni. Jego dowódca Frycz stawał się faktycznym dowódcą Bazy, a ja schodziłem do roli dostawcy czy intendenta, mimo że w Wilnie działy się jeszcze sprawy wymagające mojej obecności, i to obecności pistoletowej.

Nie my jedni byliśmy w tym położeniu. Stanowiliśmy odbicie tego, co przechodziło całe Wilno tej wiosny. Wszystkie pobliskie brygady tkwiły swymi korzeniami w mieście, były z nim powiązane nie tylko łącznością wojskową, ale i rodzinnymi splotami uczuć.

Łączność z oddziałem Frycza wyłoniła w Bazie nową osobistość — Fregatę. Była to młodsza siostra Fostowicza, Zofia Zahorska. Za jego życia nikła w cieniu brata. Aresztowanie Fostowicza w lipcu 1943 dało Zosi rolę głównego członka rodziny przy gorączkowych rozmowach z Bazą, w kwestiach interwencji łapówkowych dla ratowania więźnia. Potem, kiedy sprawa weszła w stadium łagodniejsze, Zosia była stale przywiązana do jego osoby, stanowiła jego ekspozyturę na zewnątrz więzienia. Brała udział w rozbudowanych przygotowaniach do jego odbicia ze szpitala św. Jakuba. Wraz z nią przeżywaliśmy jego wstrząsające rozstrzelanie tuż u progu oswobodzenia.

Kiedy nazajutrz po rozstrzelaniu zjawiała się wśród nas rozstrzęsionych — prawie uśmiechnięta, rzeczowa i spokojna ponad wszelką normalną miarę — zdawała się przedstawiać jakiś niedowład uczucia. A przecie tak nie było wcale! Sprężony ładunek energii — to była jej odpowiedź na śmierć brata.

Ta rosła dziewczyna stała się teraz rdzeniem łączności z oddziałem Frycza. Umiała jak nikt osiągnąć szybko wyznaczony rejon i odszukać oddział utajony w jakimś ustronnym gospodarstwie chłopskim. A wtedy, na północnych skrajach Puszczy Rudnickiej lub na malowniczym pojezierzu Trockim, Frycz stosował klasyczną taktykę partyzancką: częste, prawie conocne zmiany miejsca postoju, dniówki w oddzielnych koloniach chłopskich, izolowanych dokładnie na czas postoju oddziału. W takich tarapatach łączniczka Zosia — wtedy już Fregata — pokazywała, jak potrafi odnaleźć igłę w stogu siana.

To nie wszystko. Jeżeli w pierwszej chwili po śmierci Fostowicza mogło zdawać się, że Fregata wykazuje niedowład uczucia, to teraz, widząc ją w akcji, można było sądzić, że jej odwaga nie jest opanowywaniem instynktu samozachowawczego, ale jakimś niedorozwojem tego instynktu.

W polu oddział Frycza przybrał bardziej wojskowe formy, niż to było w konspiracji. Składał się z dwóch wyraźnych frakcji. Z młodego elementu spod Jaszun i Solecznik i ze sporo starszych, bardziej życiowo wyrobionych ludzi z Wilna, zaprawionych do walki w mieście, chociaż niekoniecznie wdrożonych do walki w polu. Swoistą cechą oddziału było to, że nigdy nie pytano w nim o drogę i nie brano przewodników. Zmysł terenowy Frycza i jego orientacja topograficzna, a również wyposa-

zenie w mapy 1 : 100 000 sprawiało, że oddział innym pokazywał drogę, a nie inni jemu — oczywiście wtedy, gdy Frycz prowadził.

W północnej Wileńszczyźnie i w Puszczy Nalibockiej mimo dramatycznej sprawy oddziału Kmicica, o której była mowa wyżej, dochodziło niekiedy do uzgodnienia działań między stroną polską a sowiecką. W Puszczy Rudnickiej do takiej ugody nie doszło. Przy sowieckim przenikaniu w teren, dochodziło nieraz do niespodziewanych nocnych spotkań z polskimi oddziałami, niekiedy kończących się krwawo. W takim starciu oddział Frycza poniósł swoją pierwszą stratę: zginął Jasienko (Jan Wesołowski). Był to senior oddziału i nietypowy jego przedstawiciel — człowiek czterdziestoletni, z zawodu nauczyciel, skromny, cichy i ogólnie lubiany.

Pomimo wystawienia własnego oddziału leśnego, Baza roku 1944 nie była już tym gorejącym zespołem z lata roku ubiegłego. Straty które poniosła (rozstrzelanie Edypa i Fostowicza, odejście Brony i Podróznika, inwalidztwo Iwona) poderwały jej kręgosłup. Jednak nie o to tylko chodziło. Konspiracyjna Baza nie była już na głównym nurcie wypadków otwartego powstania. Z chwilą pojawienia się otwartych oddziałów zbrojnych, których liczebność z reguły wyrażały liczby trzycyfrowe, weszły w grę nowe stosunki ilościowe, inne wartościowanie stanu uzbrojenia, niż to było w konspiracji. Imponujące „arsenały” Bazy przestały być tym, czym były w roku ubiegłym. Zawierały one przede wszystkim uzbrojenie dywersyjne.

Obszar działań oddziału wynikał z jego zadań. Komenda Okręgu przydzieliła oddziałowi zadanie w ramach znanej akcji Burza. W ówczesnej terminologii, Baza miała wykonać pewien fragment Burzy, pod kryptonimem Roma. Zadanie to miało polegać na przeprowadzeniu zniszczeń na linii kolejowej Wilno-Grodno, w rejonie stacji Rudziszki, na rozkaz radiowy nadany z Londynu. Chodziło o pomocnicze działanie na korzyść 6-tej Brygady, która, jako zadanie w akcji Roma, miała zniszczyć most kolejowy na rzece Uła, na tej samej linii kolejowej.

Między odebraniem hasła londyńskiego (miała to być pewna określona melodia, nadana po komunikacie wieczornym BBC) a wykonaniem zniszczeń na stacji Rudziszki, przewidziany był spory luz czasowy — 2 doby. Nie trzeba było zatem warować na stacji, można było się od niej oddalić o 2 noce marszu.

Na początku czerwca, wobec poruszenia w terenie, wywołanego dotychczasową aktywnością, oddział przerzucił się na prawy brzeg Wilii i znalazł się w rejonie Suderwa-Dukszty-Szyłany. Nastąpiło pewne zacisze, gdyż po oddaleniu się od miejsca

przewidzianego na akcję Roma, tj. od Rudziszek, oddział nie angażował się w większe walki, oczekując z dnia na dzień na mogące zabrzmieć z radia hasło londyńskie, które rzuciłoby go z powrotem za Wilię.

W końcu miesiąca nastąpił największy sukces oddziału: starcie pod wsią Szyłany z oddziałem niemieckim w sile ok. plutonu (złożonym w części z Rumunów i Węgrów zakarpaccich) który, przyparty udatnym manewrem do Wili, poddał się i złożył broń. Broń ta stanowiła znaczne wzmocnienie uzbrojenia oddziału.

Jednocześnie rozpoczęły się starcia z wycofującymi się z Wilna na zachód siłami niemieckimi. 5 lipca zginął w nich Rawicz (Józef Skawiński) zastępca Frycza i Kot (nazwisko nieznane) jednooki włościanin ze wsi Koniuchy, który poszedł do oddziału po rzezi mieszkańców i doszczętnym spaleniu tej dużej wsi przez partyzantkę sowiecką, w jesieni 1943.

W dn. 9 lipca wpadła na nas cała kompania łotewskiego SS, wycofująca się chyłkiem z Wilna. Kompania poddała się bez walki. Wszystko przeszłoby bezkrwawo, gdyby nie to, że w pewnej chwili zarówno rozbijający, jak i rozbijani dostali się pod ogień. Był to omyłkowy ogień ze strony nadeszłych właśnie Rosjan. Mieliśmy kilku rannych.

Położenie było paradoksalne. Przed nami ogromnymi słupami pożarów dymiło Wilno. Nie bacząc na obowiązującą nas akcję Roma, która zdawała się tracić swą aktualność, posuwaliśmy się w kierunku miasta, osiągając miejscowość Klewiny. Było jasne, że po drugiej stronie miasta walczą o nie jakieś polskie siły. Nie mieliśmy z nimi łączności.

Gwałtowna potrzeba łączności nie byłaby zaspokojona, gdyby nie Fregata. Od Wilna byliśmy już przecie oddzieleni kordonem sowieckim — niezbyt łatwym do przekroczenia. Przez ten kordon, przez Wilię, przez walki w mieście przebijająca się Fregata aż do podziemi w murach Dominikańskich, gdzie rezydował zastępca Wilka — płk Ludwik.

Dzięki niej doszedł do nas rozkaz Ludwika, kierujący oddział do II-go Zgrupowania Armii Krajowej, znajdującego się na północ od Wilna, pod dowództwem Węgielnego (mjr dypl. Mieczysław Potocki). Akcja Roma ostatecznie odpadła. Kiedy meldowałem się Węgielnemu, nie zainteresował go ani stan oddziału, wynoszący już ponad stu ludzi, ani nie zaimponowało jego uzbrojenie, dużo wyższe ponad osiągnięty stan ludzi. Jedno co zafraowało — to była łączność z Wilnem, świeży rozkaz od Ludwika.

HEKATOMBA

Zaraz po odbiciu Freza Koń został aresztowany i w mieszkaniu jego przy ul. Kasztanowej przeprowadzona została rewizja.

Odbicie Freza nie było jedynym ewenementem dla Wilna, w tych dniach majowych. Wileńszczyzna w tym czasie przechodziła inne wstrząsy, o dużo szerszym charakterze. Można liczyć, że już od stycznia 1944 Wileńszczyzna była objęta otwartym powstaniem. Za początek jego można uważać starcie pod Mikuliszkami w dniu 8 stycznia.

W toku dalszych walk zaznaczała się przewaga polska nad litewskimi oddziałami gen. Plechavičiusa, stworzonymi przez Niemców, specjalnie dla opanowania sytuacji na Wileńszczyźnie. Przewaga polska znalazła swój pełny wyraz w natarciu kilku brygad polskich na dwa bataliony litewskie w Murowanej Oszmince i Tołminowie, w nocy 13/14 maja. Zupełna porażka strony litewskiej w tej bitwie postawiła Niemców przed decyzją rozwiązania i internowania korpusu gen. Plechavičiusa.

Kiedy nazajutrz po odbiciu Freza, czyli 17 maja znalazłem się na ul. Zawalnej, ujrzałem tam tabor ciężarówek wyładowanych wojskiem litewskim — bezbronnym, pod konwojem niemieckim. Wywożono ich do jakichś obozów pracy. Oczywiście była to tylko mała część całości. Większa część rozproszyła się i na własną rękę uciekała na zachód, na Litwę Kowieńską. Z nimi razem zabierali się gęsto pracownicy litewscy z gmin i urzędów na prowincji. W samym Wilnie, mimo że mocno trzymanym przez Niemców, zaznaczał się odpływ administracji litewskiej. Jednocześnie z tegoż Wilna odpływał młody element polski — na wschód, na północ, na południe do brygad partyzanckich. Miasto pustoszało.

Ta pustka dawała się najbardziej odczuć w Bazie. Po areszto-

waniu Konia, komenda Kedywa dała rozkaz opuszczenia miasta przez całą ekipę odbijającą. Z Wilna zniknęliśmy nie tylko my — pistoletowi, ale i Lisica — najbardziej wgryziona w Konia. Zabrała dzieci i dała głębokiego nura w głąb Litwy. Jej mąż Puchała pozostał na miejscu, ze względu na swoje sprawy zawodowe.

Sytuacja doznała znacznego zaostrzenia, kiedy w dniu 27 maja został aresztowany Puchała. Stało się to na ulicy, był specjalnie śledzony. Związek ze sprawą Konia był od razu niewątpliwy. Ja zostałem zagrożony bezpośrednio, bo Puchała był przecie moim szwagrem.

Dalej losy potoczyły się niezwykle drogą. Po paru dniach, 1 czerwca Puchała uciekł z Gestapo. Ucieczki z wielkiego gmachu sądowego przy pl. Łukiskim, w którym mieściły się na przemian Gestapo niemieckie i NKWD sowieckie, należały do rzadkości. Przed paru laty dokazał tego Kostrowicki, który udusił sowieckiego śledowatiela w jego własnym gabinecie i wyskoczył z okna pierwszego piętra. Sukces Puchały trzeba było zawdzięczać nie tylko jego sprawności fizycznej, ale i dobrej znajomości psychiki litewskiej.

Puchała od razu trafił do Gestapo i został poddany gruntownej obróbce. Skonfrontowano go z Koniem, na którym widoczne były ślady obróbki jeszcze gruntowniejszej. Puchała do niczego się nie przyznał, wszystkiemu przeczył. Obróbka odbyła się w pokoju położonym na drugim (najwyższym) piętrze gmachu sądowego, w skrzydle wychodzącym na ul. 3 Maja. W trakcie katowania, Puchała zdołał jednak zauważyć, że od okna katowni, na zewnątrz odchodzi kabel elektryczny, przebiegający nad ulicą i umocowany na wysokości pierwszego piętra kamienicy naprzeciwko, nad samą bramą wjazdową. Następne bicie odbyło się w tymże pokoju. Puchała utrzymał swą pozycję wyjściową, ale czuł, że słabnie.

Dano mu parę dni spokoju, by „dojrzał”. Kiedy 1 czerwca zabierano go na górę, Puchała, mimo ciepłej pogody, włożył swój sweter.

Na górze Puchała znalazł się wobec dwóch swoich oprawców. Tonem konfidencjonalnym (znał litewski, tak jak polski) zaczął od tego, że sprawa jego jest jakimś nieporozumieniem, które się z pewnością wyjaśni, tak że w ciągu paru dni spodziewa się być zwolniony. Jedno, co go niepokoi, to to, że w teczce jego, którą mu odebrano, znajduje się pewna suma dolarów (tak było istotnie). Jeżeli wyjdzie to na jaw, to gotowa z tego wyniknąć nowa sprawa. Prosi więc obu swoich prześladowców, by dolary zniknęły z jego teczki, co uwolni go od jego głównej obawy.

Ten manewr psychologiczny chwycił. Jeden z Litwinów zaraz poszedł na poszukiwanie interesującej teczki, drugi został na miejscu. Kiedy nieobecność pierwszego przeciągała się, niepokój dolarowy ogarnął drugiego do tego stopnia, że wyruszył za pierwszym, zamykając drzwi na klucz. Na to tylko czekał właściciel dolarów.

Puchała otworzył okno i owinał swetrem kabel. Przed sobą miał całą szerokość ulicy 3 Maja, wynoszącą w tym miejscu ok. 20 m. Po lewej stronie rząd wysokich lip na chodniku, wzdłuż skrzydła gmachu osłaniał akrobację od pobliskiej ul. Mickiewicza, o gęstym ruchu. Dalsza część napowietrznej „trasy” biegła nad jezdnią, przy całkowitej widoczności z obu stron.

Akrobata zwiśł na swetrze założonym na kabel i zaczął zsuwać się po pochyłości. W ten sposób przebył parę metrów. Ostatnim jego wrażeniem był trzask czegoś pękającego: kabla czy swetra. Dalej wszystko się urwało...

... i po pewnym czasie Puchała odzyskał przytomność w łóżku w znanym mu mieszkaniu przy ul. Podgórnej, należącym do jego przyjaciela, przedwojennego prokuratora Piotrowskiego.

Nikt nie wie, co się działo w międzyczasie, a najmniej sam Puchała. Nie było żadnych świadków. Chyba tylko anieli, którzy nieśli akrobatę na swych skrzydłach przez miasto.

Puchała po przebyciu paru metrów swej napowietrznej drogi, runął w dół. Przypuszczalnie spadł nie na płyty chodnikowe, a na zadarnioną rabatkę, zdobiącą chodnik. W upadku złamał rękę, poranił udo i popadł w stan zaniku pamięci, co jednak nie pozbawiło go możliwości rozsądnego i celowego postępowania w podświadomości. Oddalając się od gmachu sądowego w kierunku ul. Podgórnej, najprawdopodobniej szedł ul. Jasińskiego, obok kamienicy, gdzie mieszkałem. Było dowodem jego podświadomego rozsądku, że tam nie wstąpił, a poszedł dalej szukać innego schronienia.

W Gestapo, skoro miłośnicy dolarów spostrzegli, co się stało, rozpoczęła się pogoń. Istnieje wersja, że na rogu ul. 3 Maja i Portowej jakaś stara kobieta wskazała goniącym kierunek odwrotny, niż ten, którym zbiegł poszedł.

Puchała był strasznie zbity i długo chorował. Złamana ręka zrosła mu się nieco krzywo, wrócił jednak do zdrowia.

Ucieczka Puchały przerzuciła cały ciężar śledztwa z powrotem na Konia. Śledztwo to toczyło się przez cały czerwiec, wśród przerzucania się z jednej skrajności w drugą. Z jednej strony nie ustawało torturowanie więźnia, z drugiej strony wyłaniały się możliwości ratowania Konia na drodze prawnej, czy raczej łapów-

kowej. Sprawy te prowadziła rodzina Konia — jego matka i jego kuzynka dr Iszorowa. Dawał się we znaki brak obrotnej Lisicy.

Jak zwykle w czasach przejściowych i zamąconych, następowało przeczucie się od rozpacz do nadziei. Ostatecznie Koń był tylko podejrzany, ucieczka Puchały urywała śledztwo. W czasie gdy reżym niemiecko-litewski dogorywał w Wilnie, można było oczekiwać, że nastąpi skłonność do „wyprzedazy ogonów”. Kronika Bazy odbija tę huśtawkę nastrojów.

„W ostatnich dniach wyłoniły się pewne możliwości ratowania Konia zbrojnie. Więzienie Gestapo w piwnicach gmachu sądowego likwidowało się, straż koło niego była słabsza, wiadomo było w której celi Koń siedzi. Gdyby w Wilnie pozostało nieco ludzi i nieco pistoletów... I gdyby ci ludzie mieli głowę do Konia w tych ostatnich dniach burzowych rozwinąć...”.

Koń został rozstrzelany 4 lipca, na parę dni przed rozpoczęciem planu OSTRABRAMA, czyli przed generalnym natarciem na Wilno ze wschodu i północy polskich brygad wileńskich i batalionów nowogródzkich.

POWSTANIE

Od czasu utworzenia otwartych oddziałów wojskowych tj. od zimy 1943/1944, Wileńszczyzna znajdowała się w stanie czynnego powstania*.

Nasilenie walk wciąż wzrastało wobec tworzenia przez Niemców oddziałów litewskich dowodzonych przez gen. Plechavičiusa, przeznaczonych specjalnie do walki z polskim powstaniem. Naczelnym organem samorządu, który Niemcy przyznali Litwie było tzw. Kolegium Radców Generalnych, zasiadające w Kownie (znaczną rolę grał tam gen. Kubiliunas). Kolegium to sprzeciwiało się przeprowadzeniu w Litwie poboru dla tworzenia wojsk do walki na froncie przeciw sowieckim, a nalegało na formowanie oddziałów wojskowych na użytek wewnętrzny. W tych warunkach znaczne (jak na warunki walki partyzanckiej) siły plechawiczowskie, złożone z szeregu batalionów, były stopniowo przesuwane na Wileńszczyznę i wchodziły do walki, zwłaszcza w rejonach na wschód od Wilna, kontrolowanych przez polskie siły. Sytuacja która w zimie wydawała się groźna dowództwu polskiemu, na wiosnę wyjaśniła się na korzyść strony polskiej. Oddziały litewskie były słabo wyszkolone i słabo wspierane przez Niemców. Otrzymały od Niemców lekką francuską broń piechoty, natomiast nie otrzymały broni ciężkiej ani zmotoryzowanej (Niemcy przezornie woleli nie przesadzać pod tym względem). Mimo to uzbrojenie litewskie znacznie górowało nad polskim. Jednakże bataliony plechawiczowskie nie mogły sprostać agresywnym polskim brygadam, mającym za sobą zimę spędzoną w walkach leśnych. Był to rzadki przypadek przewagi

* Za informacje dotyczące tego okresu dziękuję serdecznie dr. Romanowi Korab-Zebrykowi.

oddziałów partyzanckich nad wojskami regularnymi. Po szeregu porażek, oddziały gen. Plechavičiusa zostały rozbrojone w dniu 17 maja 1944 przez Niemców i internowane.

A jednocześnie Wilno spoglądało zafrasowane na wschód — nie na ten bliski oszmiańsko-smorgoński wschód pod ręką, ale na tereny nad Dnieprem i Berezyną po których miał się prze-walać na zachód, po sowieckiej Białorusi front niemiecko-sowiecki. Cofanie się Niemców, poczynając od epoki Stalingradu pozwalało oczekiwać, że zamaryły w miejscu przez czas długi front białoruski, w końcu drgnie i zacznie przesuwać się na zachód.

Te mające nadejść wojska oswobodzą nas od Niemców, ale czy przyniosą wolność? Przecie znamy je jako te, które przed trzema laty były ramieniem władzy przeprowadzającej fizyczne wyniszczanie narodu polskiego i to ręka w rękę z tymiż Niemcami.

Oto idą wojska wchodzące na naszą ziemię w założeniu, że jest to teren litewskiej czy białoruskiej republiki sowieckiej. Jak nastąpi zetknięcie się z wojskami, które w tej mierze mają wręcz przeciwne przekonanie: uważają ziemię na której stoją za Polskę?



Zupełnie nieoczekiwanie w dniu 15 kwietnia pojawił się w Wilnie mjr Kotwicz — ten sam mjr Kotwicz, który akurat przed dwoma laty w Warszawie stał u kolebki mojej kariery dywersyjnej.

Obecne spotkanie nasze w Wilnie było dla mnie również ewenementem nie lada. Podobnie jak poprzednio, było ono przede wszystkim źródłem informacji.

Zaczęliśmy od informacji osobistych. Kotwicz po dłuższym przydziale do Komendy Głównej AK III Oddz. Sztabu w Warszawie został odkomenderowany na teren Nowogródzczyzny z zadaniem zlikwidowania tzw. secesji Lecha. Chodziło o to, że jeden z dowódców brygad (zwanych w Nowogródzkiem batalionami) Lech (Józef Świda), w trudnych warunkach tego terenu, nasyczonego również partyzantką sowiecką i siłami niemieckimi, uznał za zbyt trudne i nedorzeczne prowadzenie walki wszystkich przeciwko wszystkim i poszedł lokalnie na zawieszenie broni z Niemcami. Otrzymał od nich broń, co od razu postawiło jego oddział (był to I-szy Batalion 77-go Pułku Piechoty AK) w pozycji nadrzędnej i ogromnie zmniejszyło zależność od Komendy Okręgu Nowogródzkiego, która wykazywała bezradność w tej sytuacji.

Sprawę mógł ruszyć tylko człowiek odpowiedniego autorytetu.

Kotwicz posiadał ten autorytet nie tylko jako oficer, ale i jako krewny Lecha. W tym podwójnym charakterze zjawiał się w Nowogródzynie, spowodował zdjęcie Lecha z dowództwa jego Batalionu i oddanie go pod sąd wojenny. Sąd skazał podsądnego na śmierć. Wyroku nie wykonano i odesłano Lecha na inny teren walk, w Góry Świętokrzyskie.

W dalszym ciągu naszych rozmów, Kotwicz wyłożył mi to, co potem przybrało nazwę „plan OSTRA BRAMA”. Był to stworzony przez Kotwicza plan rozwinięcia powstania w obliczu nadchodzących wojsk sowieckich. Plan przewidywał koncentrację pod Wilnem całości sił powstańczych wileńskich i nowogródzkich dla przeprowadzenia natarcia na miasto łącznie z siłami garnizonu powstańczego. Zdobycie miasta miałyby być przeprowadzone na jakiś czas przed osiągnięciem go przez wojska sowieckie, nacierające ze wschodu. Ten czas miałby wystarczyć na stworzenie w mieście własnych zaczątków władz politycznych i administracyjnych, jako faktu dokonanego.

Kotwicz przyjechał do Wilna celem przedstawienia swego planu Komendzie Okręgu.

Kiedy zapytywałem mnie o zdanie, wyraziłem opinię raczej sceptyczną, sądząc że nasze brygady partyzanckie, chociaż wysoko kwalifikowane w polu i w lesie, będą czuły się mniej pewnie w walkach ulicznych, w mieście ufortyfikowanym i obsadzonym przez prawdziwe wojska frontowe.

Po wyjeździe Kotwicza, plan OSTRA BRAMA pozostał mi w głowie jako daleka alternatywa, w której nie było jeszcze czuć realności. Pochłonięły mnie prace dnia bieżącego, przede wszystkim odbicie Freza i działania oddziału Frycza.

Jakie były dalsze losy planu Kotwicza? Zapewne przechodził jakieś trudne koleje, bo zapadło nad nim milczenie, milczenie dość długie, bo prawie dwumiesięczne. W tej fazie wojny sowiecko-niemieckiej wiele się stało w ciągu tych dwóch miesięcy.

Plan Kotwicza wychynął z ukrycia w dn. 12 czerwca 1944 w Warszawie. W dniu tym odbyła się w Warszawie odprawa komendantów okręgów Wilno i Nowogródek, na której plan Kotwicza, jako „operacja OSTRA BRAMA” został zaaprobowany przez Komendę Główną AK.

Jednocześnie dokonana została zmiana na stanowisku komendanta okręgu nowogródzkiego. Dotychczasowy komendant Borsuk (ppłk Janusz Prawdzic-Szlaski) został zmieniony przez Poleszuka (ppłk dypl. Adam Szydłowski). Okręg nowogródzki podporządkowany został okręgowi wileńskiemu dowodzonemu przez Wilka (gen. Aleksander Krzyżanowski).

Tak szerokie zakrojenie celów wojennych planu OSTRA

BRAMA i związanych z nim zmian organizacyjnych w strukturze konspiracyjnej wymagało znacznego czasu. Mogło się zdawać, że czas ten nie jest zbyt nagły. W chwili zaaprobowania „operacji OSTRĄ BRAMA” przez Komendę Główną AK, front sowiecko-niemiecki na Białorusi od dłuższego czasu trwał nieruchomo na linii Dniepru i Berezyny.

Można było sądzić, że stan taki utrzyma się nawet do zimy, znając sowiecką tendencję do czekania na mrozy dla podejmowania decydujących operacji.

Sytuacja zmieniła się diametralnie kiedy, wbrew przewidywaniom, od dn. 23 czerwca zaczęły nadchodzić wiadomości o wielkiej ofensywie sowieckiej podjętej na froncie środkowym. Postępy jej były tak uderzające, że cała zamierzona operacja pod murami i w murach Wilna miała toczyć się w napiętym wyścigu z czasem.

Jednak, zanim ten wyścig zdołał się rozwinąć, prawie na wstępie plan doznał wstrząsu: w dniu 20 czerwca jego autor Kotwicz został ranny pociskiem karabinowym w prawe przedramię. Stało się to w starciu dowodzonego przez Kotwicza zgrupowania z oddziałem niemieckim pod wsią Dyndyliszki koło Iwia. Rana została zaniedbana, tak że w dniu 29 czerwca amputowano mu rękę powyżej łokcia.

W owym czasie plan OSTRĄ BRAMA wyszedł już z rąk Kotwicza i trafił w stadium sztabowe, ale w tym właśnie stadium przydałby się planowi bardzo nadzór autorski.

Chociaż widać było od razu, że czas jest kusy, to trudno było ocenić, że jest on aż tak kusy. Na dystansie od Mińska do Wilna szybkość ofensywy sowieckiej przykroczyła wszelkie oczekiwania i była możliwa do osiągnięcia tylko przy zupełnym braku rezerw po stronie niemieckiej. Było wielkim zaniedbaniem polskiego wywiadu, że tego stanu rzeczy nie przedstawił Komendzie Okręgu.

Polskie szafowanie czasem najlepiej można ocenić prześledziwszy w krytycznym okresie czynności trzech czołowych osobistości realizujących plan OSTRĄ BRAMA: Wilka, Borsuka i Poleszuka. Po większej części były to czynności przekazywania i lustrowania oddziałów nowogródzkich przejmowanych przez Poleszuka, przy czym z postawy Borsuka można było odczytać jego malkontenctwo, a Poleszuk przy całej swojej dobrej woli, był człowiekiem nowym w Polsce, jako bardzo świeżej daty spadochroniarz, i nowym na kresach wschodnich, jako pochodzący z innych dzielnic Polski. Paranie się konspiracją szło mu na początku opornie.

Kardynalna sprawa przybliżenia do Wilna zwłaszcza oddzia-

łów nowogródzkich stacjonujących w odległościach do 150 km gubiła się w zaniedbaniu. Kiedy nareszcie wyznaczono termin uderzenia na Wilno na noc 7/8 lipca, to okazał się on tak przyspieszony, że trzeba było rezygnować z udziału pewnych oddziałów, dla których Wilno było już nie do osiągnięcia w tym terminie. A jednocześnie termin ten był tak opóźniony, że nadszły ze wschodu dywizje sowieckie weszłyby do walki wcześniej, niż brygady polskie. By nie robić polskiego natarcia przez plecy wojsk sowieckich, Wilk podjął arcytrudną decyzję przyspieszenia polskiego uderzenia jeszcze o dobę, tj. na noc 6/7 lipca. Jeżeli pierwszy termin był napięty, to ten drugi, ucinający ostatnią dobę, okazał się po prostu karkołomny. Środkami posiadanej łączności, nie dało się już doprowadzić tego przyspieszenia terminu do wiadomości wszystkich zaangażowanych oddziałów. Łączność między koncentracją brygad na wschód od Wilna a konspiracyjnym garnizonem w Wilnie została praktycznie zerwana, gdyż odbywała się z szybkością gońca pieszego, przy licznych przeszkodach w ruchu przez miasto, w wyniku mocnego obsadzenia Wilna przez niemieckie formacje frontowe, dowodzone przez gen. Stahela.

Natarcie polskie wyruszyło w zaimprovizowanym terminie w nocy 6/7 lipca. Wzięło w nim udział ok. 3.500 ludzi (3-cia i 8-ma Brygady Wileńskie, 1-szy, 3-ci, 5-ty i 6-ty Bataliony Nowogródzkie, Oddział Osłony Groma), co stanowiło ok. 50 % wyjściowego *ordre de bataille*. Niektóre oddziały były silnie zdekompletowane w pośpiechu marszowym. Szereg innych przybyło z opóźnieniem. Natarcie odbywało się wprost z marszu nocnego, wynoszącego ok. 15 km, bez przygotowania ogniowego. Skierowane było na główną linię bunkrów niemieckich po wschodniej stronie miasta.

Mimo twardości, którą wykazały doborowe oddziały polskie atakujące centralny bunkier umocnień, ponosząc duże straty, jasne stało się wkrótce, że jest to orzech nie do zgryzienia dla lekkiej broni piechoty. Gen. Wilk, osobiście prowadzący natarcie, zarządził odwrót.

Pewne powodzenie można było zanotować na prawym brzegu Wilii, w dzielnicy Kalwaryjskiej, opanowanej początkowo przez dzielnicowe oddziały powstańcze, dowodzone przez Jana (kpt. Bolesław Zagórny). Z dzielnicy Kalwaryjskiej ograniczone działania przeniosły się przez rzekę do śródmieścia. Również w dzielnicy „D” (Zarzecze) działał oddział Szare Szeregi, dowodzony przez Kmitę (kpt. Józef Grzesiak-Czarny). Tą drogą biało-czerwona chorągiew załopotowała na baszcie Góry Zamkowej.

W międzyczasie miasto zostało otoczone przez oddziały so-

wieckie, których główna masa stanęła do walk ulicznych, a część mijała Wilno, nacierając dalej na zachód.

W dn. 13 lipca ostre walki przeniosły się na prawy brzeg Wilii, na który przepawiła się w bród część garnizonu niemieckiego przebijającego się z Wilna na zachód i natrafiającego raczej przypadkowo na polskie II-gie Zgrupowanie, rozmieszczone w tym rejonie a dowodzone przez Węgielnego (mjr dypl. Mieczysław Potocki). W walkach tych 1-sza Brygada utraciła swego dowódcę Juranda (por. Czesław Grombczewski).

Nastąpił kilkodniowy (jakże krótki!) okres idylli sowiecko-polskiej. Obie strony zdawały się dochodzić do porozumienia w sprawie wojskowego współdziałania na dłuższą metę, bez uzgodnienia politycznego. Mowa była o 2-ch dywizjach piechoty i brygadzie kawalerii, uzbrojonych przez stronę sowiecką i podlegających operacyjnie dowództwu sowieckiemu, a politycznie Rządowi Londyńskiemu. Ta dziwna struktura była stworzona tylko na parodniowy pokaz. Dnia 17 lipca gen. Wilk został podstępnie uwięziony, to samo spotkało jego korpus oficerski. Oddziały polskie zostały w dużej części otoczone, rozbrojone i wywiezione do sowieckich łagrów. Mniejsza część rozproszyła się lub odskokczyła do puszczy Rudnickiej, a z niej na południe do puszczy Nackiej.

Tam również znalazł się nasz rodzimy oddział Frycza — podobnie jak inne wyzbyty swoich nadmiarów ludzi i broni, sprowadzony do postaci kadrowej, zredukowany ze stanu osobowego przeszło stu ludzi do kilkunastu.

Oddział Frycza w ogóle nie został skierowany do akcji OSTRABRAMA i nie był wycofany z akcji ROMA (przeprowadzenie zniszczeń na st. Rudziszki, na szlaku kolejowym Wilno-Grodno), mimo że akcja ta była już wyraźnym anachronizmem. Po zachodniej stronie Wilna oddział natknął się na jednostki sowieckie i rozpoczął współdziałanie z nimi, przyjmując funkcje oddziału rozpoznawczego. Nastąpiła przeprawa na lewy brzeg Wilii i działania na zachód. Dopiero stamtąd oddział został odwołany na koncentrację oddziałów AK po wschodniej stronie Wilna.



W tym czasie -Kotwicz przebywał w szpitalu polowym w Antoniszkach. Od 2 lipca szpital przeniesiono do Onzadowa. Amputację ręki przeniósł ciężko i silnie gorączkował. Z daleka śledził rozwój wypadków w Wilnie, będący w sumie prawie całkowitym zawaleniem planu OSTRABRAMA, którego był autorem.

Po kryzysie w dniu 17 lipca Kotwicz w stanie niecałkowicie jeszcze zlikwidowanego szoku pooperacyjnego znalazł się w puszczy Rudnickiej, gdzie objął dowództwo szczątkowych oddziałów nowogródzkich, które się tam schroniły. Uchodziły one na południe, na swój teren macierzysty, naciskane przez sowieckie pogonie. Obie strony unikały starć orężnych, klucząc wkoło siebie w sposób niezdecydowany. Dochodziło do przeplatanek. Wojsko to utrzymywane było twardością Kotwicza, który chciał trwać.

Polityczny sens operacji OSTRABRAMA doznał znamiennej volty w połowie lipca, kiedy to pisma sowieckie zaczęły zamieszczać komunikaty twierdzące, że miasto Wilnius zostało zdobyte przez wojska sowieckie przy wybitnym udziale partyzantów litewskich.

W jakiś czas potem w dniu 21 sierpnia 1944 nastąpił fragment epilogu: w sąsiedztwie wsi Surkonty, o 10 km na południe od Radunia oddział Kotwicza przyjął walkę z naciskającym go oddziałem sowieckim. W pierwszej fazie walki strona polska osiągnęła sukces i odparła przeciwnika, który poniósł straty. Ku wieczorowi sprowadzono posiłki z Radunia i silne uderzenie sowieckie zmioło pozycję polską. Kotwicz poległ, trafiony w głowę. Został pochowany na miejscu we wspólnej mogile liczącej 32 zabitych.



Postać Kalenkiewicza, majora, a w końcu podpułkownika Kotwicza, ostatniego Komendanta Nowogródzkiego Okręgu Wojskowego, doczeka się z pewnością osobnej monografii, pióra tych, którzy lepiej, niż ja, znają ostatnie lata jego wojennej działalności — tej działalności, która w sposób sienkiewiczowski, czy wańkowiczowski łączyła w sobie elementy brawury, rozmachu i irracjonalizmu ze ścisłością technicznego i naukowego myślenia i z przerostami silnej woli, nie cofającej się przed ostatecznością. Ta wola w ostatnim, krytycznym okresie jego życia doszła do granic patologicznego napięcia. Należał do tych niebezpiecznych osobowości, które na służbę nieracjonalnej koncepcji, w którą wierzą, potrafią powołać zespół środków skutecznych, praktycznych, realnie skalkulowanych i nie umieją już popuścić chwytu aż do końca. Tacy ludzie giną zazwyczaj przy przebijaniu ściany głową, lecz jeżeli uda im się tę ścianę przebić — to historia bierze ich na swoje skrzydła.

Siłą Kotwicza-Kalenkiewicza w armii, a zarazem jego słabością w specyficznych warunkach ostatniej wojny w Polsce, było jego gruntowne wykształcenie wojskowe, predystynujące go do wysokich szczebli sztabowych. Wartość tego oficera polegała na tym,

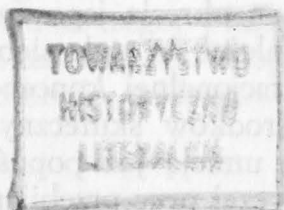
że należał do rzadkiego w armii polskiej typu ludzi „na wyrost”. Już jako początkujący podporucznik kierował technicznymi robotami batalionu saperskiego — podobnie i potem jego faktyczne czynności i kwalifikacje wybiegały naprzód i wyprzedzały jego oficjalne stanowiska. Przywykliśmy w Polsce raczej do sytuacji odwrotnych: kwalifikacje oficera nieraz nie mogły nadążyć za jego stanowiskiem służbowym. Młody Kalenkiewicz wcześniej nauczył się myśleć kategoriami dywizji, wielkich operacji frontowych, wielkich zagadnień fortyfikacyjnych. Ten cały balast sztabu generalnego wniósł do swojej późniejszej działalności partyzanckiej, w której łączył brawurę z wygórowanymi koncepcjami taktycznymi, z wysoką ambicją sprostania wymaganiom historycznej chwili. Nie umiał znaleźć pośredniej drogi między dysproporcją środków a wielkością zamierzeń i rozbił o mur głowę, nad którą unosił się cień innego oficera — kapitana Sułkowskiego.

Ale czy cień Kotwicza znajdzie swojego Żeromskiego?

Epilog Kotwicza i jego oddziału był jednym z ostatnich zbrojnych protestów zniewolonej Ziemi, którą obca przemoc wyrывała Polsce.

W tle tego epilogu rozpadał się ostatecznie „plan Ostra Brama” i świeciła paląca się Warszawa, ginąca w samobójczym Powstaniu.

Był sierpień 1944 roku.



INDEKS NAZWISK

- Abramowicz Witold, senator 16
 Andrej — patrz Baran Eliasz
 Andruszkiewicz Ludwik (Iwo) 184-187, 241
 Antuszewicz Kazimierz 190
 Asfalt — patrz Brancowski Ajzyk
- Bałtruk — patrz Krzyżanowski Bronisław
 Baran Eliasz (Andrej, Edyp) 49, 50, 52-58, 68, 88-93, 95, 102-106, 108, 109, 111, 114, 115, 117, 119, 120, 123, 124, 131, 132, 137-144, 146, 147, 156-160, 168-174, 176, 183-185, 200, 205-208, 224, 229, 241
 Baran Guta (Michalina) 49, 52, 53, 55, 95, 158, 200, 201, 206-208
 Baran Owsiej 49, 158
 Baran Włodzimierz 52, 53, 55, 95, 208
 Basanawicius 15
 Basiura Zofia, siostra zakonna (Petronela) 94-96, 103, 120, 122, 139, 141, 143, 149, 151-153, 160, 161, 181, 220, 221
 Bąk 157
 Bezmian — patrz Koplewski Leon
 Białokur Jerzy (Kord) 72, 74, 87, 102
 Białokur Michał (Szarek) 72, 74, 76, 91, 102
 Bil — patrz Dłużniewski Władysław
 Biłgorajski Mieczysław 190
 Bizauskas Kazimierz, pełnomocnik rządu litewskiego 19
- Bobola — patrz Lisowski Andrzej
 Bociański Ludwik, wojewoda 18
 Bogumił — patrz Budkiewicz Lucjan
 Borkowska Zofia 163, 164, 188
 Borowski Aleksander 86
 Borsuk — patrz Prawdzic-Szlaski Janusz
 Boryczko Adam (Brona, Tońko) 72, 73, 75, 76, 87-89, 91, 92, 102, 103, 120, 130, 135, 152, 154-161, 166, 167, 172, 174-182, 188, 204, 229, 238, 241
 Brancowski Ajzyk (Asfalt, Efiates) 170, 176, 180, 181, 183, 188-190, 207, 208, 223, 229
 Brant Olgierd, sędzia 16
 Brona — patrz Boryczko Adam
 Budkiewicz Lucjan (Bogumił) 58, 69, 75, 89-93, 119, 123, 127, 143, 173
 Budkiewiczowa Irena 143
 Bujnicki Teodor (Lidzki) 29
 Burzyński Antoni (Kmicic) 166, 238, 241
- Cat-Mackiewicz — patrz Mackiewicz Stanisław
 Centnarowski Zygmunt, ppłk 32
 Cetys Teodor (Sław) 135, 137, 152, 154, 158, 166, 213
 Chyliński Eugeniusz (Frez, Szkolnik) 222, 223, 228-237, 243, 249
 Ciemnołońscy 15
 Ciotka — patrz Iszorowa Biruta
 Cywińska Janina (Lisica) 56, 58, 69, 133, 139, 140, 143, 150, 173, 207, 222, 227, 232, 235, 244, 246

- Cywiński Stanisław, prof. 16
 Cywiński Tadeusz (Puchała) 104, 108, 173, 180, 244-246
 Czarnowski Czesław, prof. 16
 Czarny — patrz Grzesiak Józef
 Czernik Stefan (Stefan, Orwat) 71, 74, 135, 154
 Czeżowski Tadeusz, prof. 190
 Czerwona Maską 183, 226
 Człowiek z bródką 78, 82-84
- Dan — patrz Rychter Stefan
 Dąb-Biernacka Zofia (Ewa) 74, 78
 Dąb-Biernacki, gen. 43
 Dąbek — patrz Radzikowski Kazimierz
 Dobrzański Henry (Hubal) 164
 Dłużniewski Władysław (Bil) 141, 144-148, 184, 214-216, 218, 219, 222, 223, 238
 Doktor — patrz Grocholski Remigiusz
 Dowgiałło, sędzia 16
 Dziemido — patrz Krzyżanowski Aleksander
- Edyp — patrz Baran Elias
 Efiates — patrz Brancowski Ajzyk
 Ehrenkretz Stefan, prof. rektor 17
 Engiel Mieczysław, adw. 198
 Ewa — patrz Dąb-Biernacka Zofia
- Fasola — patrz Ślizień Danuta
 Fostowicz — patrz Zahorski Jerzy
 Fregata — patrz Zahorska Zofia
 Frez — patrz Chyliński Eugeniusz
 Fróg Gracjan (Szczerbiec) 166, 239
 Frycz — patrz Święcicki Andrzej
- Gaca Irena (Majewiczowa) 69, 79
 Gerard — patrz Krzemiński Lech
 Głazek Emil, prezes dyr. PKP 16
 Godecki Marian, kurator okr. szkoln. 16
 Gordonowie 88-90
 Gortyńska Stanisława (Komarowa) 73, 79, 83, 92, 94, 95, 97, 103-106, 115-117, 120, 122-125, 127, 129, 131, 133, 134, 138-142, 145, 148, 150, 156, 157, 164, 173, 175, 176, 199, 200, 204-207, 210, 212, 216, 221, 232, 235
 Gortyński Władysław (Sosna) 157, 199, 200, 205
 Grad — patrz Nasutto Jan
- Grek 72, 74, 76, 120, 130
 Grocholski Remigiusz (Doktor, Waligóra) 65, 68, 70, 76, 87, 102
 Grodzicki Kazimierz, wiceprezydent miasta 16
 Grom — patrz Kitkowski Władysław
 Grombcewski Czesław (Jurand) 166, 252
 Gryf — patrz Szaniawski Ludwik
 Gryszkiewicz Stanisław 190
 Grzesiak Józef (Czarny, Kmita) 70, 72, 74-76, 251
 Gutkowski Mieczysław, prof. 198
- Hektor 235-237
 Hindenburg, feldmarsz. 43
 Hlebowicz Henryk, ks. prof. 31, 32
 Homołko 85, 86
 Hubal — patrz Dobrzański Henryk
- Inocenta — patrz Jakubowska Inocenta
 Irena — patrz Kalenkiewiczowa Irena
 Iszora, dr 79, 80, 84, 222
 Iszorowa Biruta, dr (Ciotka, Kuzynka) 80, 222, 246
 Iwanowski Kazimierz, 190
 Iwo — patrz Andruszkiewicz Ludwik
- Jacewicz Władysław 42-44, 46, 47
 Jakowicki Władysław, prof. 16
 Jakubowska Inocenta, siostra zakonna (Inocenta) 94, 95, 151, 152
 Jan — patrz Zagórny Bolesław
 Jaroszewicz Jan (z Warszawy) 80, 82, 84
 Jaroszewicz Stanisław (Leliwa) 186, 187
 Jasięko — patrz Wesołowski Jan
 Jelonek — patrz Kiałka Stanisław
 Jentys Adam 85, 86
 Jędrzychowska Anna 17
 Jodko — patrz Sulik Nikodem
 Józef — patrz Grzesiak Józef
 Jundziłł, farmaceuta 230, 231
 Jundziłł Zygmunt, prof. 18
 Jurand — patrz Grombcewski Czesław
 Jurek — patrz Słowikowski Piotr
 Jurek — patrz Urbankiewicz Jerzy
- Kalenkiewicz Maciej (Kotwicz) 62-67, 163, 164, 248-250, 252-254
 Kalenkiewiczowa Irena (Irena) 62
 Kamiński Władysław, senator 32

- Kaprowicz — patrz Zniszczyński Zygmunt
 Karol — patrz Sulik Nikodem
 Karwicki Jan (z Warszawy) 80, 82, 84
 Kiałka Stanisław (Jelonek) 203, 211, 213, 221, 226, 232
 Kiełbowski 167
 Kisielewicz Marian (Marek) 70, 74
 Kitkowski Władysław (Grom) 251
 Klott Józef 190
 Kmicic — patrz Burzyński Antoni
 Kmita — patrz Grzesiak Józef
 Kolarz — patrz Wojciechowski Jan
 Komarowa — patrz Gortyńska Stanisława
 Konar — patrz Koprowski Franciszek
 Konarzewski Daniel, gen. 43, 47
 Koncius, prof. litewski 17
 Koń — patrz Ławcewicz Szczepan
 Koplewski Leon (Bezmian) 65, 66, 69-74, 76-78, 87, 102, 103, 122, 130, 131, 140
 Koprowski Franciszek (Konar) 166
 Korab-Żebryk Roman 247
 Kord — patrz Białokur Jerzy
 Korewa Paweł 75
 Kos — patrz Piotrowski Edward
 Kostek — patrz Pollak
 Kostrowicki Daniel (Zygmunt) 77, 78-84, 87, 90, 206, 222, 244
 Kot 242
 Kotłow 167
 Kotwicz — patrz Kalenkiewicz Maciej
 Kowalski Wincenty 7
 Krab — patrz Piotrowicz Witold
 Krzemiński Lech (Gerard) 239
 Krzemień — patrz Motylewicz Piotr
 Krzeszowski Lubosław (Ludwik) 242
 Krzyżanowska Helena (Perlica) 8, 56-58, 69, 103, 105, 106, 125, 128, 133, 143, 151, 186, 200, 206, 208, 235
 Krzyżanowska Maria 20, 24, 25
 Krzyżanowski Aleksander (Dziemido, Wilk) 70, 74, 75, 77-81, 131, 164, 166, 186, 249, 252
 Krzyżanowski Bronisław, adw., ojciec 8, 12, 13, 17-22, 24-26, 35, 49, 67, 173
 Krzyżanowski Bronisław (Bałtruk) 12, 13, 66, 216, 234, 235
 Kubiliumas, gen. litewski 247
 Kubissa 59-61
 Kucharski Kazimierz, ks. 32
 Kuzynka — patrz Iszora Biruta
 Lech — patrz Świda Józef
 Leliwa — patrz Jaroszewicz Stanisław
 Leszcz — patrz Święcicki Józef
 Lidzki — patrz Bujnicki Teodor
 Limanowski Mieczysław, prof. 73
 Lipek — patrz Smela Jan
 Lis 123, 135, 139, 141
 Lisica — patrz Cywińska Janina
 Lisowski Andrzej (Bobola) 58, 122, 157
 Lothe Tadeusz, prof. 190
 Ludwik — patrz Krzeszowski Lubosław
 Lux — patrz Śliwiński Adam
 Łapiński Stanisław (Przewoźnik) 157, 199, 200
 Ławcewicz Szczepan (Koń) 214, 216, 218, 220, 222-235, 239, 243-246
 Ławcewiczowa Maria, matka Konia 246
 Łucja — patrz Łukaszewicz Janina
 Łukaszewicz Janina (Łucja) 143, 145
 Łupaszko — patrz Szyndzielarz Zygmunt
 Mackiewicz Józef 15
 Mickiewicz Stanisław (Cat-Mackiewicz) 15
 Maculewicz, dyr. banku 16
 Magdalenki, Zgromadzenie Zakonne 25, 94, 95
 Majewiczowa — patrz Gaca Irena
 Maleszewski Wiktor, prezydent m. Wilna 16
 Małkowski Stanisław, prof. 73
 Mamba — patrz Michniewicz Zenon
 Manrik Włodzimierz 190
 Marek — patrz Kisielewicz Marian
 Maria — patrz Romaszkan Roman
 Markow 238
 Matuszewicz Jadwiga (Barbara) 58, 69, 89, 143, 144
 Mazurowski, wiceprezes dyr. kol. 16
 Merkys Antoni, premier litewski 19
 Michalina — patrz Baran Guta
 Michniewicz Zenon (Mamba) 239
 Mikulski Zenon 16
 Minkowski Jerzy (z Warszawy) 80, 82, 84

- Mołotow Wiaczesław 37, 38
 Motylewicz Piotr (Krzemień, Szczep-
 cio) 204, 238
 Nasutto Jan (Grad) 97, 99, 100,
 104-111, 113-115, 117, 119-122,
 124-128, 133, 134, 139-141, 157,
 167, 173, 175, 176, 184, 200, 201,
 205, 210, 214-216, 218, 221, 223,
 226, 227, 230
 Nasutto Maria, matka Grada 122
 Nektar — patrz Zahorski Jan
 Neugebauer, szef gestapo 191-193
 Norwid-Neugebauer Mieczysław, gen.
 polski 43
 Nostradamus 33, 35
 Nowosilcow 17
 Obiezierski Mieczysław 16
 Orłowski Aleksander 190
 Orwat — patrz Czernik Stefan
 Ostroga — patrz Kisielewicz Marian
 Pac — patrz Urbanowicz Jadwiga
 Padabas Marian 198
 Passendorfer Edward, prof. 206
 Paulina 13
 Pelczar Kazimierz, prof. 17, 198
 Perlica — patrz Krzyżanowska He-
 lena
 Petronela, siostra zakonna — patrz
 Basiura Zofia
 Petruszewiczowa Maria 17
 Pietuchow, lekarz 46
 Piłsudski Jan 16
 Piłsudski Józef, marszałek 9, 15, 67,
 172
 Piłsudski Kazimierz 16
 Piotrowicz Stanisław, ks. 32
 Piotrowicz Witold (Krab) 157, 173,
 200, 202, 205, 213-218, 221
 Piotrowska Emilia, matka Kosa 121
 Piotrowski Edward (Kos) 97, 100,
 101, 104, 120-122, 124, 125, 127-
 129, 130-134, 141, 143, 145, 147,
 149, 150, 153, 154, 157, 165, 167,
 173, 175, 176, 181, 183-186, 207,
 209-216, 218-225, 230
 Piotrowscy, rodzice Kosa 128, 129
 Piotrowski, prokurator polski 245
 Plater Stanisław 162
 Plechawicius Paweł, gen. litewski
 243, 247, 248
 Podróżnik 122, 123, 141, 154, 155,
 161, 172, 173, 175-180, 241
 Podróżnika żona 177, 179
 Poleszuk — patrz Szydłowski Adam
 Pollak, kpt. (Kostek) 201, 228, 230,
 232, 234
 Potocki Mieczysław (Węgielny) 242,
 252
 Pozdniakow 28, 30
 Prawdzic-Szlaski Janusz (Borsuk)
 249, 250
 Preston, poseł angielski 20
 Prorok z Popiszek 33, 35
 Prus — patrz Ziemiński Jerzy
 Przewoźnik — patrz Łapiński Sta-
 nisław
 Przyjaciół 173, 174, 178, 205
 Puchała — patrz Cywiński Tadeusz
 Radzikowski Kazimierz (Dąbek) 201,
 211, 221, 230, 234, 237
 Rakowski Józef, wicewojewoda 16
 Ramaszkan Roman (Maria) 72-74
 Rawicz — patrz Skawiński Józef
 Rennekampf, gen. niemiecki 43
 Rogacz 70, 75, 176, 177
 Rychter Stefan (Dan) 65, 68, 70,
 76, 87, 102, 123, 129, 131, 135,
 167
 Rydz-Śmigły Edward, marsz. Polski
 43
 Samsonow, gen. 43
 Sęk, ks. 86
 Sikorski Władysław, gen. 38
 Skawiński Józef (Rawicz) 186, 187,
 242
 Skarżyński Bohdan 17
 Skuczias Kazimierz, gen. litewski 19
 Sław — patrz Cetys Teodor
 Słowikowski Piotr (Jurek) 69, 70,
 97, 99
 Smela Jan (Lipek) 69, 70, 73, 74-
 84, 87, 130, 131
 Smetona, prezydent Litwy 42
 Sosna — patrz Gortyński Władysław
 Sowa — patrz Uzdowska-Nasutto z d.
 Ciozda Krystyna
 Stahel Reiner, gen. niemiecki 251
 Staniewicz Witold, prof. 15, 18
 Stefan — patrz Czernik Stefan
 Sulik Nikodem, płk (Jodko, Karol)
 32
 Szaniawski Ludwik (Gryf) 214, 216,
 219, 220, 225
 Szarek — patrz Białokur Jerzy
 Szczepcio — patrz Motylewicz Piotr

- Szczerbiec — patrz Fróg Gracjan
Szumbura 104, 141, 145, 146, 148, 154, 157, 207, 222, 223, 231, 235-237
Szydłowski Adam (Poleszuk) 249, 250
Szyndzielarz Zygmunt (Łupaszko) 166, 238
Szyzkowski Bolesław 15
- Ślepowron 70, 74, 87, 92, 98, 102
Śliwiński Adam (Lux) 82, 84, 93, 94, 102, 105, 140, 157, 220, 221
Ślizień Danuta (Fasola) 157, 202
Świda Józef (Lech) 163, 164, 188, 248, 249
Święcicki Andrzej (Frycz) 86, 133, 134, 141, 144-150, 159-166, 171-173, 181, 183, 186-188, 201, 202, 204, 230, 237-242, 249, 252
Święcicki Józef 15
- Taberowie 34
Tońko — patrz Boryczko Adam
Urbankiewicz Jerzy (Jurek) 231, 232, 235, 236
Urbanowicz Jadwiga (Pac) 69, 123
Uzdowska-Nasutto z d. Ciozda Krysztyna (Sowa) 210, 214, 235
- Waligóra — patrz Grocholski Remigiusz
Wałęjko Zygmunt 26, 30, 37
Wernyhora 33, 35
Wesołowski Jan (Jasieńko) 241
Węgielny — patrz Potocki Mieczysław
- Wilczewski Eugeniusz 21
Wilk — patrz Krzyżanowski Aleksander
Witos Wincenty, premier 67
Wojciechowski Jan (Kolarz) 56, 58, 72, 73, 87, 90, 97, 100, 104, 123, 127, 133, 135, 138, 140-142, 145, 148-152, 157, 159, 164, 166, 173, 200, 202, 203, 213, 214, 219, 221, 237
Wróżbita z Belmontu 33, 35
Wyleżyńska Danuta 155, 167
- Zagórny Bolesław (Jan) 251
Zagórski Ignacy, adw. 17
Zahorska-Kryczyńska Adela, matka Fostowicza, Fregaty, Nektara 175, 179, 181
Zahorska Zofia (Fregata) 226, 240, 242
Zahorski Jan (Nektar) 222
Zahorski Jerzy (Fostowicz) 97-99, 103, 104, 106, 120, 123-126, 128, 130, 131, 135, 140, 141, 143-145, 147-149, 151, 152, 154, 155, 157, 159, 160, 163, 164, 167, 172-183, 206, 207, 224, 226-230, 234, 240, 241
Zahorski Władysław, prof. 98
Zeks 231, 232, 235-237
Ziemiński Jerzy (Prus) 238
Zniszczyński Zygmunt (Kaprowicz) 202
Zygmunt — patrz Kostrowicki Daniel
- Żeligowski Lucjan, gen. 45
Żółtowski Adam, prof. 20

SPIS TREŚCI

<i>Pierwsi bolszewicy (18 września - 28 października 1939)</i>	7
<i>Litwa Smetonowska (28 października 1939 - 15 czerwca 1940)</i>	14
<i>Drudzy bolszewicy (15 czerwca 1940 - 24 czerwca 1941)</i>	24
<i>Miłe złego początki</i>	36
<i>W dniach spełnienia prorocत्व</i>	49
<i>Przyłot Daimoniona</i>	59
<i>„Baza Miód”</i>	68
<i>„Ukaszonemu pocałunkiem Bożym”</i>	77
<i>„Czar oręża”</i>	84
<i>Nowi ludzie</i>	97
<i>Narodziny Edypa</i>	102
<i>Jesień 1942</i>	118
<i>Sen nocy zimowej</i>	137
<i>Wiosna 1943</i>	152
<i>Katastrofa</i>	174
<i>Lizanie ran</i>	183
<i>17 września 1943</i>	188
<i>Pustelnia</i>	198
	261

<i>Śmierć Edypa</i>	204
<i>6 MP.</i>	209
<i>Koń.</i>	222
<i>Oddział Frycza</i>	238
<i>Hekatomba</i>	243
<i>Powstanie</i>	247
<i>Indeks nazwisk</i>	255

SPIS TREŚCI

7	Przewrót bolszewicki (18 września - 28 października 1939)
14	Lista Zamojska (28 września 1939 - 15 czerwca 1940)
24	Działy bolszewickie (15 czerwca 1940 - 24 czerwca 1941)
36	Miła tego poranka
49	W dniach zjednoczenia powiatu
59	Przebieg Daimoniona
68	"Baza Miód"
77	"Ukazaniem pochłonięciu Bogów"
84	"Czas orszak"
97	Nowi ludzie
102	Narodziny Edypa
118	Jeńcy 1942
137	Żen nowy zimowy
152	Wiosna 1943
174	Katastrofa
183	Wzrosty
188-189	17 września 1943
198	Przebieg



**ACHEVE D'IMPRIMER
LE 15 MAI 1979
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD
24, RUE STEPHENSON,
PARIS (XVIII^e)
Dépôt légal : 2^e trim. 1979
Imprimé en France.**

100, -

i 23564805

Bibl. Polska
PARYŻ

2.01.2006

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001001008939

65 F